



Weneckie
lato

NICKY PELLEGRINO

Prószyński i S-ka

NICKY PELLEGRINO

Weneckie
lato

PRZEŁOŻYŁA
MAGDA WITKOWSKA

Tytuł oryginału

ONE SUMMER IN VENICE

Copyright © Nicky Pellegrino 2015

All rights reserved

First published by Orion, London

Projekt okładki

Katakanasta Joanna Wasilewska

Zdjęcia na okładce

© Nadja Berberovic/Trevillion Images; fazon/Fotolia.com

Redaktor prowadzący

Joanna Maciuk

Redakcja

Joanna Ziolo

Korekta

Katarzyna Kusojeć

Zofia Firek

ISBN 978-83-8069-394-4

Warszawa 2016

Wydawca

Prószynski Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

W życiu nie chodzi o to, aby odnaleźć siebie.

W życiu chodzi o to, aby siebie stworzyć.

George Bernard Shaw

To na pewno nie jest kryzys wieku średniego. Przede wszystkim jestem na to jeszcze za młoda. Nazywam to eksperymentem w dziedzinie szczęścia. Postanowiłam poświęcić na niego całe lato. Liczę, że gdy dobiegnie ono końca, wyjadę stąd z listą w dłoni.

Listy odgrywają w moim życiu dużą rolę. W domu mam jedną przyklejoną magnesem do lodówki. W pracy drugą – przypiętą pinezką do ściany. Na obu znajduje się mnóstwo zadań do wykonania i spraw, które wymagają mojej uwagi. Zamierzam sporządzić kolejną listę.

Tym razem planuję umieścić na niej dziesięć rzeczy, które dają mi szczęście. To chyba nie będzie trudne. Mogą się na niej znaleźć drobne przyjemności – jak choćby chwila w łóżku z herbatą w dłoni czy dzień bez deszczu – ale też bardziej doniosłe wydarzenia. Dopiero zaczynam, więc jeszcze nie wiem, co z tego wyjdzie.

Dręczą mnie różne pytania. Czy coś mnie w życiu nie omija? Czy może powinnam podążać inną ścieżką? Czy nie wybrałam drogi życiowej z niewłaściwych powodów? Chcę znaleźć odpowiedzi na te pytania, zanim mój czas minie i będzie za późno, żeby coś zmienić.

Czy się boję? Tak, trochę. Ale człowiek strachliwy raczej nie zdecydowałby się na taki eksperyment. Znacznie łatwiej jest telepać się starą drogą, niż na chwilę z niej zboczyć; co innym łatwiej jest zaakceptować.

Nie przesadzę, jeśli powiem, że moi bliscy nie są zachwyceni moją decyzją. Mój mąż chyba uważa mnie za egoistkę. Moja siostra pewnie myśli, że mi odbiło. Córka zaś może mieć poczucie, że ją porzucam. Być może mają rację. Niemniej to tylko jedno lato, jedno skradzione lato. Zamierzam je spędzić w mieście, w którym nikt mnie nie zna.

Czego chcę od życia? Chcę być szczęśliwa. Jak każdy.

Rozdział 1

Zastanawiam się nad swoją przeszłością i dochodzę do wniosku, że już od dłuższego czasu szłam przez życie z zaciśniętymi zębami.

Nie bardzo to do mnie pasuje – każdy to potwierdzi. Jestem raczej takim typem, co to podkreca muzykę na przyjęciach. Hałaśliwą, roześmianą kobietą cieszącą się powszechną sympatią. W każdym razie taka byłam kiedyś.

Coś mnie zmieniło. Nie chodzi jednak o upływ czasu, macierzyństwo czy długie godziny spędzone w pracy. A może właśnie chodzi o to wszystko, nie wiem. W każdym razie zaczęłam się jakby kurczyć, zwijać do środka. Zamierać w bezruchu i milknąć. Na zewnątrz pewnie nie było tego widać, bo starałam się to ukrywać. Nikt na pewno tego nie zauważył.

„Addolorato Martinelli, przecież ty prowadzisz wymarzone życie”, mówią często moi przyjaciele. Chyba mi zazdroszczą. Singielki pewnie myślą, że spotkało mnie nie wiadomo jakie szczęście, bo trafił mi się taki mąż jak Eden. Moje bezdzietne przyjaciółki pewnie oddałyby wszystko, żeby mieć córkę taką jak moja. No i jeszcze restauracja Little Italy. Mój ojciec poświęcił jej całe życie, a po przejściu na emeryturę przekazał mi swoje dzieło. Tego akurat zazdrości mi każdy, kto nie lubi swojej pracy albo swojego szefa.

Cóż mogę powiedzieć, z zewnątrz życie wygląda inaczej niż od środka. Weźmy choćby restaurację. Istnieje, odkąd pamiętam. Działa na rogu w Clerkenwell, w pobliżu rynku. Dzisiaj jest znacznie większa niż na początku, wprowadziłam kilka zmian: wymieniłam markizę, pod którą stoją stoliki na zewnątrz, kazałam usunąć stiuki ze ścian, a obrusy w czerwoną kratę zastąpiłam gładkimi, bardziej stylowymi. Ale serwujemy ciągle takie samo jedzenie. Klient zawsze może liczyć na kremowe i sycące risotto, zje u nas wiejskie zupy z makaronem i fasolą, zachwyci się głębokim smakiem neapolitańskiego ragù, które dusiło się w garnku wiele godzin. Zimą serwujemy minestrone, wiosną kwiaty cukinii. Stale mamy w karcie świeże tiramisu. Pod tym względem jesteśmy niezawodni.

Tyle że niezawodność to dzisiaj za mało. Ludzi przyciągają

nowinki: ekskluzywne burgery, barbecue w stylu południowym, dania na bazie surowych składników, małe talerze i różne inne atrakcje. Przestali nas odwiedzać bywalcy, którzy co tydzień przyprowadzali do restauracji swoich klientów, gdyż stracili budżet na tego rodzaju wydatki lub, co gorsza, pracę. Niektórzy się przeprowadzili, inni umarli, a jeszcze inni przestali jadać poza domem.

Na szczęście mieliśmy dość stałych gości, żeby interes jakoś się kręcił. Restauracja, co prawda, nie generowała strat, ale taka wizja czasem dręczyła mnie po nocach. Kogo miałabym w takiej sytuacji zwolnić? Kucharza, któremu właśnie urodziło się dziecko? Kelnera, który pracuje u mnie od wielu lat? Młodą dziewczynę z kuchni, która ma, co prawda, niewielkie doświadczenie, ale za to wielki talent? Oni wszyscy na mnie polegają... a ja jestem tylko jedna.

Tak, bo odkąd Eden doznał urazu pleców i musiał zrezygnować z pracy, to ja zarabiam na ratę kredytu i pozostałe wydatki. Do tego nasza córka Katia, która dopiero skończyła dwanaście lat, już zachowuje się jak nastolatka i co chwila buntuje się albo wpada na jakiś znakomity pomysł. Uparła się, żeby trzymać w domu myszy, złote rybki i cholerne żółwie. W rezultacie to ja teraz muszę te stworzenia karmić i dbać o czystość w klatkach, akwariach i terrariach.

Sama sobie zgotowałam takie życie, więc zagryzałam zęby i brnęłam naprzód. Po cichu liczyłam na to, że nie będę musiała nikogo zwalniać. Miałam nadzieję, że stan pleców Edena się poprawi. Nade wszystko jednak trzymałam kciuki, by żółwie nie odgryzły Katii palca.

Nie rozmawiałam o swojej sytuacji. Wolałam tłamsić problemy w sobie i udawać starą Addoloratę, pełną temperamentu i energiczną. Pomagało mi wino. Zawsze czułam ulgę, gdy w końcu mogłam sobie nalać pierwszy kieliszek. Pół butelki wystarczało, żebym się trochę uspokoiła. Po opróżnieniu całej byłam już prawie sobą.

Nie, nie zdecydowałam się na żadną formę terapii. Nie cierpię takich rzeczy. Poza tym nie miałam depresji, po prostu nie czułam się szczęśliwa. Nie chodziłam cały czas zapłakana, potrafiłam skupić się na pracy. Nie chodziły mi po głowie żadne czarne myśli. Znam ludzi, którzy wpadli w depresję. Zatrudniałam kiedyś kucharkę, która bardzo się męczyła, dopóki lekarz nie przepisał jej odpowiednich leków.

Powiedziała mi kiedyś, że jej życie przypomina stromą górę, a ona nie ma siły się wspinać. Ze mną nie było tak źle, zdecydowanie nie. Czułam się raczej otępiała, jakbym utknęła w krainie pozbawionej emocji. Nie potrafiłam wyrwać się z marazmu. Nie mogę powiedzieć, żeby mi to odpowiadało, ale udawało mi się przeżyć kolejne dni i tygodnie. Radziłam sobie. Do momentu, w którym przeczytałam recenzję Guya Rochesterera.

Guy Rochester prowadzi felieton w „Sunday Herald”, pisze błyskotliwe, lecz niezbyt życzliwe teksty. Podobno wiele restauracji wywiesza jego zdjęcie, żeby kelnerzy mogli go rozpoznać. Obok jego podobizny zwykle znajdują się również wizerunki Jaya Raynera i Fay Maschler. To taka galeria wpływowych krytyków kulinarnych. Chodzi o to, by kelnerzy mogli natychmiast rzucić się do akcji, gdyby któreś z nich pojawiło się w lokalu. Krytykom należy zaserwować doskonały posiłek i zapewnić im nienaganną obsługę. Potem można już tylko trzymać kciuki za pozytywną opinię. W wypadku Guya Rochesterera taka strategia nie przynosi rezultatu. Nie będzie zadowolony nawet z najlepszego posiłku. Facet słynie ze zjadliwych komentarzy.

Żaden z liczących się krytyków kulinarnych już dawno nie interesował się Little Italy. Restauracja miała już swój status, a wokół roило się od nowych, modnych lokali zatrudniających znanych szefów kuchni. Od czasu do czasu zdarzało się, że któryś z gości napisał coś o nas w Internecie, zwykle były to opinie pozytywne. Tak więc negatywnej oceny zupełnie się nie obawiałam.

Guy musiał pojawić się u nas, gdy Frederico miał akurat wolne. Frederico jest szefem kelnerów, pracuje u nas niemal od początku. Już dawno osiągnął wiek emerytalny, ale dalej chce pracować, a ja nie mam serca zmuszać go do odejścia. Uwielbia Little Italy, traktuje to miejsce jak swój dom. Przywiązuje dużą wagę do konwenansów podczas powitania, wymachuje gościom nad talerzami wielkim młynkiem z pieprzem i rozkłada im serwety na kolanach. Nie ma sobie równych, jeśli chodzi o sprawowanie nadzoru nad tym, co się dzieje w sali. Na pewno rozpoznałby Guya Rochesterera. Od razu przyszedłby do kuchni, żeby mnie przestrzec.

Tylko co ja bym wtedy zrobiła? Pewnie nic. Powtarzam sobie, że

wszystkim klientom oferujemy wyborne dania i dobrą obsługę. W każdej kuchni zdarzają się gorsze dni, ale nigdy nie posłałabym na salę nieudanej potrawy. Mój ojciec Beppi nauczył mnie, że przed porą lunchu i kolacji wszystko trzeba dokładnie skontrolować – popróbować sosu, uszczknąć makaronu i ryżu, sprawdzić kruchość wołowiny i jagnięciny. Podchodził do tego rygorystycznie, a ja przejęłam po nim tę politykę. Gdybym wiedziała, że w sali siedzi krytyk kulinarny, być może przejęłabym się tym, ale tylko odrobinę. Gdybym zaś wiedziała, że odwiedził nas Guy Rochester... Innym szefom kuchni zdarzało się go wyprosić – i wcale im się nie dziwię.

Tymczasem tak się złożyło, że krytyk przyszedł, zjadł, wyszedł i nikt z nas go nie zauważył. O jego wizycie dowiedzieliśmy się dopiero wtedy, gdy pewnej wiosennej niedzieli napisał o nas w swoim felietonie.

W moim domu niedziela to dzień jak co dzień, ta sama harówka. Nie mam czasu wylegiwać się w łóżku z kawą i gazetą jak inni ludzie. Wstaję o tej samej godzinie, co zwykle. Gotuję jajka dla Katii, a sama pochłaniam kilka tostów, po czym szybko wychodzę do pracy.

W Little Italy największy ruch mamy w niedzielę w porze lunchu. Wielu stałych klientów odwiedza nas po nabożeństwie w kościele św. Piotra. Przychodzą z dziećmi i wnukami, żeby świętować urodziny, imieniny i rocznice, i zamawiają swoje ulubione dania.

Akurat tej niedzieli miałam lekkie opóźnienie. Katia wściekała się, bo nie radziła sobie z zadaniem domowym z matematyki. Musiałam jej pomóc, ponieważ Eden stwierdził, że kiepsko spał i jeszcze chce poleżeć. Nie zdążyłam więc zajrzeć do sekcji kulinarnej „Heralda”, żeby się przekonać, kogo tym razem Guy Rochester postanowił wypatroszyć.

Po przybyciu do restauracji stwierdziłam, że nie tylko ja nadrabiam czas. W Little Italy panowała napięta atmosfera, a Frederico zmarszczył na mój widok brwi. Mój zastępca i kilku pracowników kuchni nerwowo spoglądało w moim kierunku znad desek do krojenia.

– Wiem, że się spóźniłam. Wiem, że mamy mnóstwo rezerwacji i wszystko jest w rozsypce. – Zerwałam fartuch z haczyka i schowałam loki pod czarnym czepkiem. – Już jestem, więc zabierajmy się do pracy, dobrze?

Frederico spojrzał na mnie ponownie, tym razem jakby

z powątpiewaniem.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Tak, zwykły kryzys w rodzinie, nic takiego.

Przed rozpoczęciem dnia patrzę na listę rezerwacji. W Little Italy nadal zapisujemy je w dużym skórzanym notesie – głównie dlatego, że Federico nie ma zaufania do komputerów – i zwykle zaglądam do niego, żeby sprawdzić, czy będziemy bardzo zajęci.

Tej niedzieli stwierdziłam z zaskoczeniem, że kilka nazwisk zostało przekreślonych grubą czarną kreską.

– Aż tyle rezygnacji? Trochę to dziwne.

Federico spojrział na mnie i ponownie uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

– Może panuje epidemia grypy albo coś w tym stylu. Gości na pewno nie zabraknie. Przyjdą z ulicy.

Nie przyszli. Od lat nie mieliśmy takiej spokojnej niedzieli. Miałam nawet czas, żeby wyjść z kuchni i przejść się wśród stolików. Pośród gości dostrzegłam znajome twarze ludzi, którzy znali mnie od dziecka, więc z chęcią zatrzymałam się przy nich, żeby zamienić kilka zdań.

– Wszystko w porządku, kochana? – Kilku stałych bywalców zadało mi to samo pytanie, klepiąc mnie przy okazji po ręce i uśmiechając się ze współczuciem.

– Tak, w jak najlepszym – odpowiadałam, zastanawiając się, czy może jestem blada albo wyglądam na bardziej zmęczoną niż zwykle.

Pora lunchu dobiegała końca i zaczęliśmy przygotowywać tiramisu. Wtedy zadzwonił mój telefon. Stanowczo zabraniam używania telefonów w kuchni. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby moi pracownicy wysyłali SMS-y podczas przyrządzania posiłków. Tylko by ich to rozpraszało. Najwyraźniej jednak sama jeszcze w domu w pośpiechu wrzuciłam telefon do kieszeni, a potem o nim zapomniałam.

– Cholera – powiedziałam, wyjmując go. – Przepraszam.

Musiałam odebrać, bo na wyświetlaczu pojawiła się informacja, że dzwoni moja siostra Pieta. Dobrze wiedziała, że nie należy mi przeszkadzać w porze głównych dań, więc musiało chodzić o coś

pilnego.

– Hej, co tam? – zapytałam, pchnięciem otwierając drzwi prowadzące do niewielkiego ogródka na tyłach restauracji, w którym hodowaliśmy pietruszkę i rozmaryn.

– Dzwonię zapytać, czy wszystko u ciebie w porządku.

– Tak. Dlaczego wszyscy mnie dzisiaj o to pytają?

Zapadła cisza.

– Pieta?

– O rany, jeszcze tego nie widziałaś, co? – powiedziała.

Zaczęłam szukać po kieszeniach papierosów. Najwyraźniej zapomniałam, że znowu rzuciłam palenie.

– Czego nie widziałam? Pieta, o czym ty mówisz? – zapytałam poirytowana.

– Gdzie jesteś?

– W restauracji, a gdzie mam być? Jest niedziela.

– Ale gdzie dokładnie?

– Na zewnątrz. Zamarzył mi się papieros.

– I nikt ci nic nie powiedział?

– Na litość boską, Pieta! Do rzeczy!

– No dobrze, już dobrze, ale to ci się nie spodoba – powiedziała. –

To ci się naprawdę nie spodoba.

– No to poczekaj chwilę. – Otworzyłam drzwi i zaczęłam grzebać po kieszeniach kurtek, które wisiały po drugiej stronie. W końcu znalazłam paczkę papierosów Benson & Hedges. Lighty, ale trudno. Będą musiały wystarczyć.

– No dobrze, co się stało? – Zanim zadałam siostrze to pytanie, zapaliłam papierosa i się zaciągnęłam.

– W dzisiejszej gazecie Guy Rochester recenzuje Little Italy – szybko wyrzuciła z siebie Pieta. – Straszny z niego palant. Czy on kiedyś o jakimkolwiek lokalu napisał cokolwiek dobrego? Chyba nie. Ostatni raz kupiłam „Sunday Herald”, odtąd będę ich bojkotować. Dolly, wszystko w porządku? Nie możesz brać tego poważnie. Wszyscy wiedzą, jaki on jest...

Głos Piety jeszcze długo rozbrzmiewał w słuchawce, ale ja przestałam jej słuchać. Rzuciłam papierosa na ziemię i pognałam do

kuchni.

– Niech mi to ktoś pokaże!

Kelnerzy zamarli w bezruchu i spoglądali na mnie z przerażeniem. Pracownicy kuchni usiłowali udawać, że są czymś bardzo zajęci.

– Słuchajcie, przecież dobrze wiecie, o co mi chodzi. O tę cholerną gazetę. Ktoś na pewno ma!

Nino, moja prawa ręka, wyglądał, jakby mu się zrobiło niedobrze.

– Sądziłeś, że widziałas i po prostu nic sobie z tego nie robisz – wymamrotał.

– Nie widziałam.

Skinął głową w stronę swojej torby, która wisiała obok kurtki.

– Tam – powiedział.

Wyszłam z gazetą na dwór, odratowałam papierosa, włożyłam go do ust i rozpałam na nowo, po czym odszukałam felieton Guya Rochesterera i zaczęłam czytać.

„Mówi się, że do przeszłości nie warto wracać, że przeszłość jest jak inny kraj. Niestety nie posłuchałem tej rady. Duszny świat mojej pamięci wypełnia wiele ciepłych wspomnień, a jedno z najcieplejszych dotyczy Little Italy. To właśnie tam rodzice zabierali mnie na kolację w wieczór poprzedzający mój wyjazd do szkoły z internatem. Mogłem wtedy zamówić, co tylko chciałem – dodatkowy parmezan, podwójny deser, a nawet odrobinę wina wymieszanego z wodą. Właściciel Beppi zawsze dawał mi na drogę papierową torebkę z grissini. Jako chłopiec uwielbiałem to miejsce. Jak w każdej dobrej trattorii w okolicy jedzenie tonęło w sosie pomidorowym, na stiukowych ścianach wisiały rodzinne zdjęcia z dawnych czasów, a ludzie przy stolikach obok rozmawiali po włosku.

Należało zadowolić się tymi wspomnieniami. Coś mnie jednak podkusiło, żeby tam wrócić – i serce mi pękło.

Little Italy jest jak stary przyjaciel, który zafundował sobie kiepski lifting twarzy, ale któremu nikt nie ma odwagi powiedzieć prawdy prosto w oczy.

Jakiś czas temu restaurację przejęła od Beppiego jego córka Addolorata Martinelli, która usilnie pracuje nad tym, aby przekazać temu miejscu swój brak charakteru. Mógłbym się nawet zgodzić na bielone

ściany, śnieżnobiałe obrusy i standardową zastawę. Taki minimalistyczny styl, co prawda, nie wyróżnia się, ale też nic mu nie można zarzucić. Szkoda, że w taki sam sposób nie potraktowała jedzenia – że nie pozostało ono proste i autentyczne jak za czasów jej ojca.

Niestety, pani Martinelli wybrała rozwiązanie zgoła odwrotne. Znakomite składniki postanowiła przystroić w koronki i kwiatki. Można odnieść wrażenie, że pojechała do Włoch i przywiozła stamtąd zbiór kulinarnych cudów, którymi teraz szafuje bez większego zastanowienia: odrobina salmoriglio tu, tam i gdzie się tylko da, szczypta bułki tartej albo kruszonych pistacji, a najlepiej jednego i drugiego, dziwaczna, chyba orzechowa posypka pieczonego dyniowego risotta. Little Italy zdaje się mieć za nic zasadę, że więcej znaczy mniej. Każde danie ma zbędny dodatek, albo dwa. Zrobiło się miejscem, w którym brak wyrazu próbuje się przyćmić kumulacją smaków.

Coś jednak z dawnej świetności pozostało. Rozpoznałem choćby gigantyczny młynek, z którego na spaghetti z małżami mojej towarzyszki posypały się kawałki pieprzu. Dostrzegłem też na ścianie zdjęcia młodego Beppiego. Całą resztę niestety nowa miotła wymiotła.

Mógłbym się pogodzić z tym, że Little Italy jest dziś restauracją inną niż kiedyś. Wszyscy się zmieniamy. Nie potrafię się jednak pogodzić z tym, co się z nią stało. Żałuję, że tam wróciłem”.

Co zrobiłam, gdy skończyłam czytać? Nie, nie zaczęłam krzyczeć, nie rozplakałam się i nie wybiegłam z restauracji. Przez chwilę stałam w bezruchu z egzemplarzem gazety w dłoni, a potem weszłam do środka i włożyłam ją do torby Nina. Nie odezwałam się na temat tej recenzji ani słowem, nikt też mnie o nią nie zagadnął. Zabraliśmy się do sprzątania, żeby przygotować się do kolacji. Pracowaliśmy niemal w całkowitym milczeniu.

Nasi goście zamawiali teraz kawę. Stary ekspres Gaggia był i gwizdał, a na spodkach postukiwały ciasteczka. Kelnerzy znosili talerzyki po tiramisu, wyczyszczone do cna. Wszystko przebiegało niby tak jak każdej innej niedzieli, a jednak zupełnie inaczej.

– Addolorato, przyszła twoja siostra. – Biedny stary Frederico. Wyglądał, jakby mu ktoś umarł. – Przyprowadzić ją czy do niej wyjdiesz?

Zastanawiałam się nad tym przez chwilę. Pieta rzadko zaglądała do restauracji i wtedy zwykle siadałyśmy przy stoliku w sali. Dzisiaj nie miałam już ochoty pokazywać się klientom.

– Przyrowadź ją tutaj, Frederico. Dziękuję – powiedziałam, zastanawiając, czy głos mi za bardzo nie drży.

Gdy przestałam się odzywać do słuchawki, Pieta pewnie czym prędzej wybiegła z domu i zatrzymała pierwszą wolną taksówkę. Mimo to wyglądała nienagannie. Włosy miała gładko zaczesane, usta starannie pomalowane na czerwono, a wokół szyi zawiązany kolorowy szalik. Któż by się bez powodu tak stroił w niedzielne popołudnie? Oprócz mojej siostry chyba nikt.

Otarłam pot z czoła.

– Chodź, wyjdziemy na tyły – zaproponowałam. – Muszę się przewietrzyć.

Usiadłyśmy obok siebie na progu. Pieta podała mi paczkę papierosów.

– Rzuciłam palenie – powiedziałam, otwierając ją.

– Tak, wiem. – Podała mi tanią plastikową zapalniczkę. – Jutro możesz znowu rzucić.

W dzieciństwie dużo czasu przesiedziałyśmy z Pietą na progach, wyplatając wianki ze stokrotek i wypełniając kolorowanki. Jako nastolatki zapamiętałam paliłyśmy papierosy, żeby dać wyraz swojej brawurze. Potem dorosłyśmy i teraz Pieta prowadzi uporządkowane życie, złe nawyki pozostały zaś moją domeną.

– I co? – zapytała.

– No nic – skwitowałam.

W tym momencie coś we mnie pękło. Zaczęłam płakać tak głośno, że zapewne aż w kuchni było mnie słychać. Płakałam tak bardzo, że potem prawie nie mogłam mówić.

Pieta wyjęła papierosa z mojej dłoni, zaciągnęła się, zakaszłała i oddała mi go z powrotem.

– Wiesz, Dolly, teraz wydaje się to okropne, ale to tylko recenzja. – Jej słowa zabrzmiały rozsądnie. – Wielbiciele Little Italy nic sobie nie będą z tego robić, bo jak już ci mówiłam przez telefon, wszyscy doskonale gościa znają.

Nie wspomniałam jej, że kilka osób rano odwołało rezerwacje. Nie powiedziałam też, że ostatnio mamy więcej stolików wolnych niż zajętych. Pieta odniosła w życiu sukces. Jest wziętą projektantką mody ślubnej, razem z mężem Michele prowadzi sieć kawiarni, a ich dwójka wysportowanych dzieci bez przerwy ustawia na półce kolejne puchary zdobyte na zawodach. Mam bolesną świadomość tego, że nie dorastam jej do pięt.

– Może on ma rację, może zepsułam to miejsce – powiedziałam tępo.

– Nonsens. Zmieniłaś pewne rzeczy, ale na lepsze. A jeśli chodzi o to, co napisał o jedzeniu... Ten idiota nie wie, co mówi. Nie sądzę, żeby tu kiedykolwiek przychodził jako chłopiec. – Nigdy nie widziałam Piety tak zdenerwowanej. – To kompletne bzdury.

– Tak, tylko co powie tata, gdy to zobaczy? To się pojawi w sieci. Niewykluczone, że już to czytał.

Rodzice nadal mieli małe mieszkanie w Londynie, ale większość czasu spędzali w domu nad morzem na południu Włoch. Początkowo myślałam, że ojcu się tam znudzi, lecz gdy odkrył to, co nazywał „intersięcią”, ku wielkiemu niezadowoleniu matki zafascynował się szybko tą nowinką.

– Prawdopodobnie nigdy tego nie przeczyta. Za dostęp do strony „Sunday Herald” trzeba chyba zapłacić, a ojciec ma węża w kieszeni.

– No to ktoś mu powie, ktoś mu pokaże. Będzie załamany.

– Będzie wściekły – stwierdziła Pieta. – Zawsze się denerwuje, gdy coś nas wyprowadza z równowagi. Nie mam wątpliwości, że on też uzna to za skrajnie głupie.

– O mało nie wyszedł z siebie, gdy kazałam zdjąć stiuki ze ścian – przypominałam jej. – No i zawsze uważał, że nie gotuję tak dobrze jak on.

Pieta się roześmiała.

– Wiadomo, że nikt nie gotuje tak dobrze jak on. Nie przeżyłby tego.

Zgasiałam papierosa i schowałam twarz w dłoniach.

– Mam ochotę stąd uciec – wyjęczałam.

– Ja czasami też.

Zaskoczyło mnie to.

– Naprawdę?

– A kto nie ma? Chyba każdy czasem marzy o tym, żeby się wyrwać z tego wyścigu szczurów i prowadzić proste życie w domku na plaży albo w jakiejś chatce we Francji. Michele i ja ciągle o tym rozmawiamy, ale nic nam z tego nie wychodzi.

– Dlaczego nie? Gdybyście sprzedali wszystkie firmy, spokojnie byłoby was na to stać. Skoro o tym marzycie...

– No tak, ale czy naprawdę chciałabym, żeby to marzenie się ziściło? Nie potrafię sobie wyobrazić, że porzuciłabym wszystko. Żebyś ty porzuciła restaurację. Przecież to zbyt cenne. Zbyt wiele włożyliśmy w to, co mamy.

– Chyba tak.

– Wiem, że teraz czujesz się fatalnie, ale...

– Przekazać temu miejscu brak charakteru – z goryczą zacytowałam fragment recenzji. – Brak charakteru!!!

– Od razu można się zorientować, że nigdy cię nie poznał – powiedziała Pieta.

– Niech trzyma kciuki, żeby tak zostało, bo jeśli mi się kiedykolwiek nawinie pod rękę, to grzmotnę go w ten jego niewyparzony ryj.

– Jest dobrze... Skoro przesłaś od rozzalenia do gniewu.

– Co jest potem?

– Nie wiem – przyznała Pieta. – Ale pewnie niedługo się dowiem. Nachyliłam się do niej.

– Dziękuję, że się tak szybko zjawiłaś. Pewnie musiałaś się oderwać od czegoś ważnego.

– Robiłam tort. Twój siostrzeniec ma dzisiaj urodziny – obwieściła radośnie.

Uwielbiam urodziny, zawsze hucznie je świętuję. Piękę różne smakołyki i zapamiętałe zawijam prezenty w kolejne warstwy papieru, żeby obdarowany nie miał szans zgadnąć, co kryje się w środku. Organizuję gry i bale przebierańców dla dzieci, a dla rodziców przyjęcia koktajlowe. Ostatnio jednak byłam tak zapracowana, że musiałam ograniczyć różne zajęcia. Niemniej nie mieściło mi się w głowie, że

zapomniałam o tak ważnej okazji.

– Cholera! Zupełnie mi to uciekło. Chyba tracę kontrolę nad rzeczywistością.

– Nic nie szkodzi. Dobrze się bawiłam przy pieczeniu – odparła z dumą Pieta. – Michele obiecał wyjąć ciasto z pieca, krem mam już gotowy. Nie muszę się spieszyć. Może wybierzemy się gdzieś na kieliszek wina?

Zdjęłam czepek i poprawiłam włosy palcami.

– Chętnie bym poszła, ale powinnam jak najszybciej wrócić do domu. Gdy wychodziłam, Katia walczyła z pracą domową, a Eden czuł się nie najlepiej.

– Czyli z jego plecami cały czas kiepsko?

Potaknęłam głową.

– Tak – odpowiedziałam krótko.

Eden jest budowlańcem. Zawsze zachowywał dużą ostrożność, pracując w terenie, i w przeciwieństwie do kolegów z branży nigdy nie uległ żadnemu głupiemu wypadkowi na budowie. Tyle że zafundował sobie wyjazd, na który nie do końca mogliśmy sobie pozwolić, z kumplami na snowboard i wrócił z poważną kontuzją pleców. Pomimo wielu miesięcy fizjoterapii nie wrócił do pełnej sprawności. W chwilach załamania zastanawiałam się, czy tych chorych pleców nie wykorzystuje jako wymówki, by unikać wykonywania prac, na które nie ma ochoty: sprzątanía, zmywania naczyń, czyszczenia toalet.

– Na jednego drinka chyba możesz sobie pozwolić, Dolly? – upierała się Pieta. – Zajmie nam to nie więcej niż pół godziny. Dadzą sobie przecież radę przez ten czas?

– Pewnie tak – przytaknęłam. – Ale pod warunkiem, że pójdziemy zaraz.

Zazwyczaj chętnie zostaję w Little Italy dłużej. Szukam nowych pomysłów na organizację kuchni albo krzątam się po sali restauracyjnej. Tamtego popołudnia z niecierpliwością czekałam na przybycie popołudniowej zmiany. Chciałam jak najszybciej uciec z tego miejsca i od tych wszystkich smętnych twarzy.

– Chodźmy do Soho – zaproponowałam. – Jest tam bar, który już dawno chciałam odwiedzić.

Z Little Italy do Soho jest względnie blisko, żwawym marszem jakieś dwadzieścia minut. Po drodze minęłyśmy dwie kawiarnie mojego szwagra. Wszystkie wyglądają dokładnie tak samo: industrialne podłogi z betonu wyłożone jutą, worki po kawie i nie do końca pasujące do siebie metalowe meble. Z daleka czuć zapach palonej kawy i można odnieść wrażenie, że kawiarnie działają na okrągło i całą dobę cieszą się wzięciem.

Aż trudno uwierzyć, że dziesięć lat temu Michele miał tylko stary lokal po swoim ojcu. On i Pieta ciężko pracowali i teraz klienci w całym Londynie ustawiają się w kolejkach po ich cappuccino i słodczyce obsypane cukrem.

Moja siostra nigdy nie mówi, ile zarobili, ale obserwując jej wydatki, łatwo się zorientować. Co chwila wspomina o krótkim wyjeździe albo uroczym zakątku gdzieś na południu Francji. Na pewno już zapomniała, jak to jest żyć na kredyt i zastawić dom, żeby wypłacić pracownikom wynagrodzenie. Gdyby wiedziała, jak jest mi ciężko, zaproponowałyby pomoc, spłaciłyby mój debet albo udzieliła mi pożyczki. Źle bym się z tym jednak czuła, tak samo jak źle się czuję, gdy płaci za taksówkę albo sięga po rachunek w restauracji.

– Dokąd mnie zabierasz? – zapytała, gdy szłyśmy Old Compton Street.

– Do małej knajpki, która serwuje przekąski rodem z północnych Włoch... i zbiera świetne recenzje. – Siłałam się na ironię, ale mi nie wyszło.

Pieta chwyciła mnie za rękę i ścisnęła na pocieszenie.

– Wolalabym coś razem z tobą świętować, niż się smucić, ale najważniejsze jest to, że jesteśmy razem. Dawno nie rozmawiałyśmy...

– Faktycznie.

– Przekąski z północnych Włoch na pewno mi posmakują, cokolwiek to będzie.

Pieta nie ma serca do jedzenia, najwyraźniej nie odziedziczyła po ojcu żadnego z genów, które przekazał mi. Może nie zjeść w ciągu dnia jakiegoś posiłku i nawet nie zauważy. Gdyby nie Michele i dzieciaki, pewnie żywiłaby się tostami z jajkiem. Skutek jest taki, że nosi ubrania co najmniej o dwa rozmiary mniejsze niż ja i we wszystkim

wygląda świetnie.

Dla równowagi ja chyba wolę jeść. Jedzenie zawsze stanowiło dla mnie główną motywację do tego, aby wstać rano z łóżka. Nawet jako nastolatka zachwycałam się pierożkami z wieprzowiną i fenkułem, które serwowano w mojej ulubionej chińskiej restauracji, wietnamską zupą z makaronem i świeżymi ziołami, tłustymi sałatkami z Bliskiego Wschodu w kartonowych pojemnikach wykończonych folią i ciężkimi migdałowymi rogalikami z francuskiej piekarni, która znajdowała się o kilka kroków w górę ulicy. Podkradałam Piecie perfumy, używałam jej szminki i sępiłam papierosy od znajomych, bo wszystkie pieniądze wydawałam na przysmaki. Zdarzało mi się urywać ze szkoły, żeby samotnie szwendać się po mało atrakcyjnych knajpach w Chinatown albo wędrować na wschód miasta na bajgle i do żydowskich garmażerni na placki ziemniaczane z wędzonym łososiem. Testowałam nawet ofertę lokali z Hoxton, które raczyły klientów wędzonym w cieście.

Od tamtej pory jedzenie stanowiło nieodłączny element mojego życia. Nie potrafię wyjaśnić dlaczego, ale muszę dobrze zjeść, bo inaczej robię się drażliwa. Pieta powiedziała, że mam świra. Moja matka pewnie też. Tylko ojciec mnie rozumie. Różni nas to, że on lubi tradycyjną kuchnię i tradycyjne potrawy. Ja zaś zawsze chętnie próbuję nowinek. Właśnie dlatego przyprowadziłam siostrę do malutkiej, ale modnej knajpki, która nie ma nawet szyldu na drzwiach. Za barem stał wytatuowany facet, a lada ugięła się pod porysowanymi emaliowanymi talerzami, na których leżały śródziemnomorskie przekąski.

– Jak zwykle przesadzisz z zamówieniem, co? – W głosie Piety pobrzmiwała rezygnacja.

– Pewnie tak... Proszę, ty decydujesz, co pijemy. – Podałam jej kartę win.

Zamówiła prosecco, a ja tymczasem podeszłam do lady. Wybrałam pizzetki z cienkimi plasterkami marynowanej cukinii, oliwki faszerowane anchois i szalwią smażone w głębokim tłuszczu, salami doprawione chili, półmisek klopsików i miseczkę marynowanych zielonych papryczek chili.

– Wystarczy – powiedziała Pieta. – Muszę wrócić do domu na kolację urodzinową Carla, zapomniałaś?

Znowu poczułam wyrzuty sumienia.

– Jutro wpadnę z prezentem – obiecałam. – Dostanie coś uroczego.

– Ma dosyć rzeczy, nie przejmuj się tym. Dziadkowie ciągle mu coś kupują.

– To przecież mój siostrzeniec, chcę go rozpieszczać – nalegałam, gdy przyglądałyśmy się, jak barman napełnia musującym winem dwa wysokie kieliszki.

Pieta wzięła jeden w dłoń i uniosła go.

– Za ciebie i Little Italy – powiedziała.

– Za to, żebym za sprawą jedzenia i picia poradziła sobie z tym bólem – odparłam, stukając swoim kieliszkiem w jej, a potem upiłam łyk lekkiego wina o cytrusowym posmaku.

– Mamy czas na jeszcze jeden? – zapytała Pieta, spoglądając na drogo wyglądający zegarek, który dostała w prezencie gwiazdkowym od Michele.

– Raczej tak – przytaknęłam.

Dzień był ponury i wietrzny. Przez okno obserwowałyśmy spieszących się przechodniów. Chowali twarze w szalikach, by osłonić się przed wiatrem, który rozwiewał im poły płaszczy. Cieszyłam się, że siedzę w środku, w kręgu miękkiego światła, w towarzystwie wytatuowanego barmana, który dolewa mi prosecco.

– Może niech ta butelka po prostu tu zostanie – powiedziałam.

Kiedyś Pieta pewnie próbowałaby nadażyć za mną z piciem. Teraz za bardzo obawia się bólu głowy i kaca, poprzestaje więc na ogół na dwóch kieliszkach. Jeśli przedstawiam ją jako pedantkę, to nie o to mi chodziło. Nie jest pedantką. Po prostu różnimy się od siebie.

– Dolly, kiedy ostatnio miałaś wolne?

– Mamy zamknięte w poniedziałki – przypomniałam jej.

– Mam na myśli wakacje, nie jeden dzień.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem.

– To niezdrowe, każdy czasem musi sobie zrobić przerwę.

– Tak, ale nie każdy prowadzi restaurację, która ledwo wiąże koniec z końcem...

– Jak to ledwo wiąże koniec z końcem? – W głosie Piety

zabrzmiało zaniepokojenie.

Obracałam w dłoni kieliszek z prosecco.

– Pewnie podobną sytuację ma teraz wiele innych lokali.

– W takim razie zastanów się, jak to zorganizować, żebyś mogła wyjechać na urlop. Musisz to zrobić. Dwa tygodnie nie powinny stanowić problemu. Nie możesz na jakiś czas przekazać restauracji w ręce Frederica? Albo drugiego kucharza? Nazywa się Nino, prawda? Pracuje z tobą na tyle długo, że poradziłby sobie z prowadzeniem kuchni.

– No proszę, jak ty się nagle dobrze znasz na prowadzeniu restauracji.

Chyba sprawiłam jej przykrość tymi słowami.

– Nie bądź taka.

– Nie mogę po prostu wyjechać na wakacje, zwłaszcza nie po tym, co się dzisiaj wydarzyło. To chyba oczywiste...

– A mnie się wydaje, że to doskonały moment. Nabrałybyś dystansu do siebie i do Little Italy. Odprężyłybyś się, oczyściła umysł. Jestem przekonana, że dobrze by ci to zrobiło.

– Świetny pomysł, ale nic z tego nie będzie.

– Mogłoby być, gdybyś tylko chciała – upierała się Pieta.

Napełniła winem mój kieliszek, po czym dołała sobie trochę, czyli była gotowa wypić więcej niż zwykle.

– A niby dokąd miałabym pojechać? – zapytałam znużona.

– Cały świat stoi przed tobą otworem. Azja by ci się spodobała, ale możesz pojechać do Maroka. Oczywiście powinnaś wybrać miejsce, które słynie z dobrego jedzenia, pięknych barw i życia pełną piersią. Raczej się nie nadajesz na kolarską wyprawę po Francji, co?

– Na pewno nie – zgodziłam się.

– Zastanów się nad tym, może natkniesz się na jakąś atrakcyjną ofertę.

– Pewnie mogłabym porozmawiać z Edenem... Chociaż czy on byłby w stanie wysiedzieć w samolocie z tymi swoimi plecami...

– W takim razie zabierz tylko Katię – stwierdziła. – Niech to będzie podróż matki i córki. Nie byłoby fajnie?

– Może...

Pieta ma dwóch hałaśliwych, ale nieskomplikowanych synów. Nie ma pojęcia, jaka jest Katia, gdy nagle dopadną ją humory. Chociaż może ma rację. Może wspólny wyjazd dobrze by nam zrobił.

– Cudownie by było zrobić sobie wakacje – rozmarzyła się Pieta. – Pojechałabym z tobą, ale zaraz zacznie się sezon ślubny.

– Ty rzuć swoje panny młode, to ja rzucę restaurację – zaproponowałam.

– To nie takie proste – odparła z żalem w głosie moja siostra. – Michele i ja zaplanowaliśmy dłuższą podróż na czas Bożego Narodzenia. Jedziemy na wyspy Galapagos. To ma być niespodzianka dla chłopców, więc nic im nie mów.

Moja siostra miała niezwykły talent: zawsze potrafiła sprawić, że się czułam złą matką. Gdzie dotychczas była biedna Katia? Pomijając kilka deszczowych wypadów pod namiot do Kornwalii, kilka dni na kamienistej plaży w Brighton i wyjazdy do dziadków do Włoch, w ogóle nie widziała świata. Wychodzi na to, że jej kuzynostwo ma pod każdym względem lepiej.

– Na mnie już chyba pora – powiedziałam, dopijając wino. – Eden pewnie już czytał tę recenzję. Może nawet martwi się o mnie.

– No dobrze, ale umówmy się, że niedługo się zobaczymy. Może jeszcze w tym tygodniu, u nas na kolacji? Nie martw się, Michele będzie gotować.

– Przecież dzisiaj samodzielnie upiekłaś tort – przypomniałam jej.

– Zobaczymy, co z tego wyjdzie. Jeśli będzie smaczny, to może jeszcze kiedyś spróbuję.

Pieta zapłaciła rachunek. Nalegała, a tym razem nie miałam ochoty się z nią spierać. Gdy wyszliśmy na ulicę, przytuliła mnie na pożegnanie.

– Kocham cię, Dolly – wyszeptała mi do ucha.

– Ja też cię kocham, skarbie.

Odprowadziłam ją wzrokiem. Za sprawą szczupłych nóg łączących krótką spódniczkę z butami do kostek, dodatkowo podkreślonych wzorem na rajstopach, wyglądała jak postać rodem z niezależnego francuskiego kina. Przez chwilę miałam ochotę za nią pobiec. Na rogu Wardour Street Pieta zatrzymała taksówkę, która miała ją zabrać do

męża i elegancko urządzonego domu. Czekwały tam na nią urodzinowe przekąski dla Carla, stół nakryty do kolacji jasnymi serwetkami i pięknie zapakowane prezenty. Na mnie w domu czekał ten sam chaos, co zwykle. Gdy tak stałam przed dziwną małą knajpką, smagana wiatrem, na lekkim rauszu, ta myśl doprowadzała mnie niemal na skraj rozpacz.

Ostatecznie skierowałam się do Oxford Circus i pojechałam metrem do domu. Pośród terkotu kolejki przemierzającej trasę Victoria Line rozmyślałam o tym, co powiedziała mi siostra. Wydawało mi się to śmieszne, miałam stanowczo za dużo spraw na głowie, żeby zrobić sobie wolne. Zamknęłam jednak oczy, żeby mnie nie raziły jasne światła pociągu, i zaczęłam rozmyślać o szumie morza, promieniach słońca, koktajlach w wysokich kieliszkach, o wspólnym wieczornym oglądaniu filmów w pokoju hotelowym w towarzystwie Katii, o pogodnych dniach leniwie przechodzących jeden w drugi. Niemalże czułam w tym momencie zapach kremu do opalania.

Wiele lat temu miałam grono przyjaciół, z którymi jeździliśmy na wakacje. Miałam koleżanki ze szkoły, z którymi utrzymywałam kontakt i z którymi spotykałyśmy się w domkach nad Morzem Śródziemnym. Myślałyśmy tylko o tym, żeby się dobrze bawić. Czasem odzywamy się do siebie. Wysyłamy sobie mejle albo kartki na urodziny i święta, ale bardzo dawno już nigdzie razem nie byłyśmy. Pochłonęły nas małżeństwa, rozwody, praca i dzieci. Nie potrafimy uzgodnić terminu ani miejsca spotkania. Chyba nawet przestałyśmy udawać, że kiedyś nam się to uda.

Z metra wlokłam się do domu z ciężkim sercem. Słabe słońce zniknęło za horyzontem, wiatr stał się bardziej przejmujący. W Hiszpanii byłoby teraz ciepło, tak samo w Maroku, o którym wspominała Pieta. Na pewno nie byłoby tak ponuro i szaro, nie śmierdziałoby spalinami, a brak perspektyw nie wydawałby się tak dokuczliwy.

Przeszło mi przez myśl, że może powinnam zarezerwować lot do jakiegoś słonecznego miejsca – zapłacić za bilet kartą kredytową, a spłatą martwić się później. Szybko jednak uświadomiłam sobie, że to nierealistyczne... i pomaszerowałam do domu.

Rozdział 2

Ciągle zajmujemy z Edenem mieszkanie, które kupiliśmy po ślubie. Ma dwie sypialnie. Większy dom został tanim kosztem podzielony na mniejsze lokale, dlatego słyszymy na górze skrzypienie podłogi i odgłosy kroków, ale mamy ogródek – cały czas się zbieram, żeby posadzić krzewy i drzewa – a poza tym jak na tę okolicę nasza ulica należy do względnie spokojnych.

Spokoju natomiast nie ma nigdy w środku. Gdy tylko otworzyłam drzwi w tamtą niedzielę po południu, od razu zaatakował mnie ryk samochodów wyścigowych. Eden oglądał Formułę 1. Leżał na wznak przed telewizorem, zapewne ciągle w tych samych dresowych spodniach, w których poprzedniego wieczoru położył się spać.

– Ścisz to! – krzyknęłam, idąc do kuchni.

W zlewie piętrzyła się sterta brudnych naczyń ze śniadania, powiększona o kilka talerzy z lunchu. Katia i jej przyjaciółki najwyraźniej zapragnęły coś namalować, ale znudziły się i porzuciły swoje rzeczy na stole w kuchni obok pliku pozostawionych przeze mnie rachunków.

Wyjęłam z lodówki na wpół już opróżnioną butelkę chardonnay. Odkręciłam ją i nalałam sobie spory kieliszek.

– Nie słyszałeś, co powiedziałam? Ścisz ten cholerny telewizor! – krzyknęłam znowu.

– Co? – odkrzyknął. – To ty, Dolly?

– Tak, to ja. A kogo się spodziewałeś? – Z kieliszkiem w ręku wmaszerowałam do salonu. – Gdzie jest Katia?

– Hm... – Lekko się skrzywił, gdy się podnosił. – W swoim pokoju. Gra na komputerze.

– W co?

– Nie wiem, pewnie w jakąś grę.

– Eden, rozmawialiśmy o tym. Miałeś ją nadzorować. Przecież ona może oglądać różne rzeczy: pornografię, przemoc...

– Dlaczego miałyby oglądać pornografię? – Eden podniósł się ostrożnie. – Pójdę sprawdzić, ale idę o zakład, że nic takiego nie robi.

Siadając na kanapie, zauważyłam egzemplarz „Sunday Herald”. Leżał rozłożony na podłodze w miejscu, które przed chwilą zajmował Eden. Recenzje restauracji zwykle go nie interesowały. Gdyby przeczytał dzisiejszą, raczej by do mnie zadzwonił.

– Dobrze mówiłem. Gra – powiedział, gdy wrócił. – Nie ma się czym martwić.

Usiadł obok mnie, wsuwając sobie poduszki pod plecy. Wyścig od razu go pochłonął.

– Widziałeś? – zapytałam.

– Co? – Sprawiał wrażenie rozkojarzonego.

– Guy Rochester napisał o Little Italy.

– A, to... Czytałem. Pieta do mnie dzwoniła.

– I?

– Kiepska sprawa, co? – Nie odrywał wzroku od telewizora.

– To wszystko, co masz na ten temat do powiedzenia?

Patrzył na mnie przez krótką chwilę.

– A co jeszcze miałbym powiedzieć?

Czasami, gdy na niego spoglądam, wiem, dlaczego się w nim zakochałam. Jego piękny profil jest wyrazisty jak u rzeźby. Skórę ma koloru mlecznej czekolady. Dredy co prawda przyciął i teraz ledwo sięgają ramion, ale nadal wyglądają seksownie. Gdy do niego podchodzę, nadal czuję głęboki zapach piżma na jego cieplej skórze. Gdy mnie dotyka albo uśmiecha się do mnie bez powodu, potrafię dostrzec w nim dawnego Edena. Nawet po tych wszystkich dniach spędzonych osobno... To nie był jednak ten szczególny moment.

– Mógłbyś mnie na przykład zapytać, jak się czuję.

– A jak miałybyś się czuć? – Sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Chyba żartujesz? Guy Rochester nie zostawił na mnie suchej nitki. Jestem zdruzgotana!

– Jeden facet wyraził swoją opinię, ot co.

– Tylko że ta opinia została wydrukowana w ogólnokrajowej gazecie. To upokarzające. Ciężko pracowałam, a tu coś takiego. Ręce mi opadły.

– Dolly, zachowujesz się, jakbyś straciła nogę albo jakby ktoś ci umarł. Nie przesadzaj.

– Przesadzam? Serio?

– Dobrze wiesz, co mam na myśli. Jeśli będziesz robić z igły widły, to sprawa stanie się poważniejsza, niż jest.

Upiłam łyk chardonnay.

– Przecież to jest poważna sprawa. Jeśli tego nie rozumiesz, to znaczy, że mnie w ogóle nie znasz.

Wtedy Eden mnie zaskoczył, bo wyłączył telewizor. Gdy ryk silników umilkł, w pokoju zapanowała dziwna cisza.

– Znowu chcesz rozmawiać o sobie? – zapytał. – Dobrze, słucham. Mów, co masz do powiedzenia.

Eden i ja ciągle się kłóciliśmy. Zwykle wydzieraliśmy się przy tym, od czasu do czasu któreś z nas czymś rzuciło. Natomiast nigdy się nie zdarzyło, żeby zwrócił się do mnie takim tonem: zimnym, pełnym rezygnacji.

– Bo zawsze chodzi o ciebie – kontynuował spokojnie. – O twoją restaurację, twoje problemy z personelem, twoje zmęczenie, twój brak czasu. Nigdy nie zapytałaś, jak mi minął dzień. Pewnie nie masz ochoty tego słuchać. Gdy tobie coś nie pasuje, nawet Katia schodzi na drugi plan.

– To nieprawda. – Byłam oburzona.

– Jesteś w domu od dziesięciu minut, ale nie znalazłaś ani chwili, żeby do niej zajrzeć i się przywitać. Woląłeś nalać sobie wina i jak zwykle skupić się na swoich sprawach.

Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami. Aż mnie zatkało. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Addolorato, przecież ty zawsze zużywasz cały tlen. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Wróciłam do domu zdenerwowana, więc postanowiłam wszczać kłótnię. O co ci chodzi? – zapytałam.

– Ktoś w końcu musiał to powiedzieć.

Eden cały czas mówił dziwnym, obojętnym tonem. W pewnym momencie uświadomiłam sobie, że nasza kłótnia jest inna niż wszystkie dotychczasowe.

– Jestem, jaka jestem. – Na tyle tylko potrafiłam się zdobyć.

– Oczywiście. To co, dolać ci wina? Potem będziesz mogła pić, aż zupełnie się rozluźnisz i odpłyniesz na kanapie jak co niedzielę wieczór. Jutro, co prawda, nie pójdziesz do pracy, ale będziesz oschła i drażliwa. Przyzwyczailiśmy się do tego ja i Katia, co oczywiście nie znaczy, że nam się to podoba.

To było tak niesprawiedliwe, że aż mi odebrało mowę. Co złego w tym, że czasem muszę się napić, żeby się odprężyć?

– Bardzo mi przykro, że nie jestem idealna tak jak ty – odcięłam się.

Eden zignorował moje słowa.

– Pewnie możemy to ciągnąć jak wiele innych par. Pytanie brzmi, czy tego chcemy...

Nagle przeszedł mnie zimny dreszcz.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że prędzej czy później coś musi się zmienić. – W jego głosie pobrzmiwał smutek. – Przeczytałem dzisiaj rano tę recenzję i wiesz, co pomyślałem? Że teraz się zacznie. Że teraz się, cholera, zacznie.

– Ta restauracja to nasze źródło utrzymania, Eden. Dzięki niej spłacamy kredyt i mamy co włożyć do garnka...

– Tak, tak, wiem. Na każdym kroku mi o tym przypominasz. Ale chyba zapomniałaś, że przez lata ja też zupełnie przyzwoicie zarabiałem, więcej niż ty. Jeśli myślisz, że obecna sytuacja mi odpowiada, to się mylisz. Nie mogę pracować, nie mogę uprawiać sportów. Na litość boską, samo wsiadanie i wysiadanie z samochodu sprawia mi ból. A do tego robisz wszystko, że czuję się jak...

– Niby jak?

Odwrócił wzrok.

– Jak życiowa offerma.

Co noc kładłam się spać obok tego mężczyzny. Znałam jego ciało równie dobrze jak swoje, a może lepiej. Każdą bliznę na jego dłoni, każdy pieprzyk na plecach, każdą kępkę sztywnych ciemnych włosów na jego klatce piersiowej. Najwyraźniej jednak zupełnie nie zdawałam sobie sprawy, co się dzieje w jego głowie.

– Chciałbyś ode mnie odpocząć? – zapytałam cicho. – O to ci

chodzi?

Wzruszył ramionami.

– Eden?

– Nie chcę stresować Katii.

– Czyli chciałbyś?

Zacisnął usta i przytaknął głową.

– O Boże! – Byłam zszokowana.

Nagle zrozumiałam cały absurd swojego zdenerwowania z powodu prasowej recenzji: słowa zapisane na papierze, nawet jeśli okrutne, były niczym więcej, tylko słowami.

Chrapliwym głosem, jakby z wahaniem, zapytałam:

– Chcesz się rozstać?

– Chyba wystarczyłoby, żebyśmy spędzili trochę czasu z daleka od siebie. Chciałbym odetchnąć. Oczywiście pod warunkiem, że da się to zrobić tak, żeby Katia na tym nie ucierpiała.

– Czyli nadal mnie kochasz? – Nie mogłam nie zapytać.

Eden milczał trochę za długo.

– Zawsze będę cię kochać.

– Ale?

– Jak powiedziałem, w obecnym układzie żadne z nas nie czuje się szczęśliwe.

Założyłam ręce na piersiach i wzruszyłam ramionami.

– O Boże – powtórzyłam.

Prawie nie podnosiliśmy głosu, ale Katia chyba się zorientowała, że się kłócimy. Przyszła, żeby usiąść między nami na kanapie. Zaczęła się do nas przytulać. Poprosiła, żebym jej zaplotła francuski warkocz, i zaczęła głośno piszczeć, gdy Eden udawał, że ją łaskocze.

Moja córka jest przerażająco piękną istotą, odziedziczyła po mnie i Edenie najlepsze cechy. Ma jego pełne usta, moje lśniące loki, jego skórę w kolorze kawy z mlekiem i moją twarz w kształcie serca. Całości dopełnia wysportowana sylwetka, po ojcu. To taki typ dziecka, które wszyscy pragną uwiecznić na zdjęciach i obrazach. Kilka razy zaczepił nas ktoś z agencji modelek. Oczywiście Eden nigdy by się nie zgodził na modeling. Jest dumny ze swojej córeczki, ale jednocześnie bardzo opiekuńczy.

Katia rozłożyła nam się na kolanach i zaczęła wymachiwać nogami w powietrzu.

– A w ciebie co wstąpiło? – zapytał czule Eden.

– Diabeł! – odparła mu ze śmiechem.

– Oho, właśnie tego się obawiałem. – Eden wtulił twarz w jej loki, a potem pocałował ją w czoło.

– Tylko mnie już nie łaskocz! – ostrzegła.

– Mogę nie być w stanie się powstrzymać! – Zaczął poruszać dłońią. – Moje palce są chyba dzisiaj w łaskotliwym nastroju.

Katia przechodziła dziwny okres. Momentami zachowywała się już jak nastolatka, kiedy indziej – zupełnie jak małe dziecko. Eden zdawał się nadążać za tymi zmianami jej osobowości znacznie lepiej niż ja.

Oczywiście kocham córkę bezgranicznie. Mimo to zdarza mi się zastanawiać, jak wyglądałoby moje życie, gdyby nie pojawiła się na świecie. Matka nie powinna się przyznawać do takich myśli, prawda? Na pewno nie wtedy, gdy chce uchodzić za dobrą matkę. Ale jak by to było, gdyby się nie urodziła? Gdybyśmy przez miesiące nie żyli kąpielami, drzemkami, karmieniami... Gdybyśmy nie popadli w tę rutynę? Gdybym przez ostatnie lata nie czuła się przytłoczona tym wszystkim, przepracowana? Gdyby moje życie nadal należało tylko do mnie...

– Co jest na kolację, mamo? – Katia usiadła. – Umieram z głodu. Przyniosłaś mi coś z restauracji?

– Nie, przepraszam – wymamrotałam.

– W takim razie możemy zjeść burgery z frytkami? Proszę!

Z zasady jestem przeciwna śmieciowemu jedzeniu, ale tamtego wieczoru nie miałam siły z nią walczyć.

– No dobrze.

– I do tego kremowy shake?

– Dlaczego nie...

Katia zeskoczyła z kanapy, wyrzucając ręce w powietrze niczym podekscytowany kibic.

– Taaak!

Pomyślałam o tych wszystkich posiłkach, które przyrządzałam specjalnie dla niej, a które nigdy nie spotkały się z taką reakcją.

– Dzisiaj wyjątkowo – podkreśliłam. – Niech ci się nie wydaje, że tak będzie w każdą niedzielę.

Katia postanowiła nie psuć sobie nastroju.

– To co? Możemy już iść? Mam wkładać buty i kurtkę?

Eden był chyba zaskoczony.

– Zaniżasz standardy – powiedział, gdy Katia wybiegła z pokoju.

Wzruszyłam ramionami i dopiłam wino.

Następnego ranka nie miałam siły wstać z łóżka. Eden musiał zrobić Katii śniadanie i wyprawić ją do szkoły, bo ja leżałam w sypialni przykryta kołdrą po samą szyję. Zasłony były zaciągnięte, a ja co chwila przysypiałam i się budziłam. Nigdy tak nie robiłam, nawet w poniedziałki, czyli w jedyny dzień wolny od pracy. Nie mogłam przestać myśleć o wszystkim, co musiałam w swoim życiu uporządkować, ale nogi miałam za słabe, a głowę za ciężką.

W pewnym momencie usłyszałam telefon. Naciągnęłam kołdrę jeszcze wyżej i zasłoniłam uszy. Myślałam o ludziach, którzy prowadzą inne życie niż ja. O tych wszystkich londyńczykach, których pochłaniają teraz typowo poniedziałkowe sprawy. Leżąc w tym swoim kokonie, miałam poczucie, że dużo mnie od nich dzieli. Właśnie pomyślałam, że mogłabym leżeć i nie ruszać się przez cały dzień, gdy Eden otworzył drzwi do sypialni.

– Śpisz, Dolly?

Przewróciłam się na bok i mruknęłam.

– Twoja siostra dzwoniła już trzy razy.

– Czego chciała? – zapytałam rozspanym głosem.

– Mówiła o kolacji w tym tygodniu i o planach wakacyjnych.

Pewnie myślała, że wiem, o co chodzi.

– No tak.

Rzucił telefon na łóżko.

– Masz... Na wypadek gdybyś chciała oddzwonić.

– Dzięki.

– Dolly, wracając do wczorajszego wieczoru...

– Musimy o tym teraz rozmawiać? – szybko mu przerwałam. –

Głowa mnie boli. Chyba jestem chora.

– Prędzej czy później będziemy musieli o tym porozmawiać, ale

nie, nie musimy teraz.

Odczekałam dłuższą chwilę, żeby zdążył dojść do salonu. Dopiero wtedy wybrałam numer do siostry.

– Hej! – Odebrała po drugim sygnale. – Wszystko u ciebie w porządku?

– Jak ci się udał tort? – zapytałam.

– Trochę się zapadł na środku, ale zapaćkałam dziurę kremem i Carlo chyba nie zauważył. Tak na marginesie, wręczyłam mu jeszcze jeden prezent. Powiedziałam, że od ciebie.

Zamknęłam oczy i schowałam głowę pod kołdrę. Przycisnęłam telefon do ucha.

– Nie musiałaś tego robić. Przecież obiecałam, że sprawię mu coś fajnego.

– Tak, wiem, ale masz teraz tyle stresu. Nie chciałam, żebyś jeszcze tym musiała się martwić...

Tyle że mnie to nieźle zdenerwowało.

– Jestem za bardzo zestresowana, żeby kupić prezent urodzinowy? Naprawdę wydaję się wam wszystkim aż taką egoistką? – zapytałam.

– Dolly, co ty...

– Naprawdę myślisz, że twoje dzieci mnie nie obchodzą? Że nie pamiętam o ich świętach? Że myślę tylko o sobie?

– Kochanie, co się dzieje? Przecież nikt nie uważa, że jesteś egoistką. Dlaczego tak mówisz? Pokłóciłaś się z Edenem?

– No cóż...

– No tak. – Nie była zaskoczona. – Dzwonię, bo mam dla ciebie dobrą wiadomość. Myślałam, że ci poprawię humor.

– Jaką wiadomość?

– Po naszej wczorajszej rozmowie natrafiłam na niesamowitą ofertę. Wiem, że postąpiłam impulsywnie, ale uznałam, że to świetny wyjazd dla matki i córki, więc zarezerwowałam bilety.

Usiadłam na łóżku, odrzucając kołdrę.

– Bilety? Dokąd?

– Do Wenecji. Przelot, tydzień w hotelu w pobliżu mostu Rialto, degustacje w miejscowych restauracjach... Brzmi świetnie!

– Nie mogę jechać. Chociażby dlatego, że nie mam pieniędzy, żeby

ci zwrócić.

– Nie musisz mi niczego zwracać. To prezent.
– Trochę przesadziłaś. Nie mogę go przyjąć.
– Wiedziałam, że to powiesz. Tyle że tych biletów nie da się zwrócić, zarezerwowałam je na wasze nazwisko. Naprawdę mają się zmarnować?

Siedziałam na łóżku z telefonem przy uchu, nie mogąc wydusić ani słowa.

– Dolly, słyszę, jak oddychasz. Wiem, że się nie rozłączyłaś.
Myślałam o Edenie i o tym, że chce ode mnie odpocząć.
Wyobrażałam sobie, jak zabieram Katię na przejażdżkę gondolą albo jak siedzimy w kawiarni przy placu Świętego Marka i słuchamy muzyki na żywo.

– Przecież nie mogę... – powtórzyłam.
– Nie podejmuj decyzji od razu, po prostu się zastanów – poradziła Pieta. – Pamiętaj, że nie jesteś niezastąpiona. W Little Italy poradzą sobie bez ciebie przez tydzień.

Zbierało mi się na płacz.
– No dobrze – wychrypiałam.
Dopiero później siostra mi powiedziała, że to jest oferta *last minute* i że mamy lecieć z Katią za dwa tygodnie. Do tego czasu Eden i ja zdążyliśmy sobie wszystko wyjaśnić.

– Wiem, że ostatnio trochę działamy sobie na nerwy – powiedziałam. – Może faktycznie przydałoby nam się trochę od siebie odpocząć.

– Tak, może – przytaknął bez przekonania.
– Porozmawiamy o tym, gdy wrócę – obiecałam, licząc na to, że przez tydzień mojej nieobecności Eden się uspokoi i wszystko będzie po staremu.

Oprócz niezadowolenia mojego męża pojawiły się inne przeszkody. Musiałam uzyskać zgodę na to, żeby Katia mogła opuścić tydzień lekcji w szkole, a poza tym ktoś musiał przejąć moje obowiązki w restauracji. Niemniej dzień wyjazdu do Wenecji się zbliżał. Moja córka i ja miałyśmy jechać razem na wakacje.

Najwięcej problemów stwarzała Katia. Powiedziała, że właśnie

w tym tygodniu nie może nie iść do szkoły, bo ominie ją wycieczka do Muzeum Historii Naturalnej, próba do sztuki, w której odgrywa jakąś nieznaczącą rolę, a nade wszystko przyjęcie urodzinowe Saffron Cooper, na które wiele innych dziewczyn w ogóle nie dostało zaproszenia.

Zaskoczyło mnie to. Wyobrażałam sobie różne fajne rzeczy, które miałyśmy razem robić. Spodziewałam się, że Katia będzie się cieszyć na myśl o wyjeździe tak jak ja. Próbowałam ją przekonać do wyjazdu, lecz ona zrobiła mi wielką awanturę: z przesywającymi wrzaskami, tupaniem nogami, trzaskaniem drzwiami.

Eden zdołał ją trochę uspokoić, ale do wyjazdu jej nie przekonał.

– Spodoba ci się Wenecja – zapewnił, gdy w końcu przytuliła się do niego. – Będzie fajniej niż na imprezie urodzinowej. A do Muzeum Historii Naturalnej możesz przecież iść w dowolnym innym terminie. Zabiorę cię, gdy wrócicie.

Wtuliła w niego twarz.

– Chcę iść z klasą. – Mówiła w jego koszulkę, więc ledwo było ją słyszeć.

– Katiu, daj spokój. – Byłam zniesmaczona tą sceną. – Przecież nikt nie będzie cię zmuszał do wyjazdu na wakacje, skoro tak bardzo ci się ten pomysł nie podoba.

Spojrzała na mnie załzawionymi oczami.

– Twoi koledzy i koleżanki pewnie chętnie by pojechali do Wenecji – powiedziałam.

– Ale ja chcę zostać z tatą – oświadczyła stanowczo.

Zrobiło mi się przykro. Najwyraźniej nikt nie chciał spędzać ze mną czasu, nawet moje dziecko.

– No dobrze, w takim razie pojedę sama. Będę się świetnie bawić, a po powrocie pokażę ci zdjęcia.

Eden podjął jeszcze jedną próbę przekonania córki.

– Mama będzie bardzo smutna i samotna. Nie chce jechać sama.

– Nic mi nie będzie – stwierdziłam. – Potrafię świetnie się bawić we własnym towarzystwie.

– To akurat nieprawda. – Eden się roześmiał.

O dziwo, w tej kwestii wszyscy mieli podobne zdanie. Pieta

również. Nie wierzyła, że potrafię przeżyć w Wenecji sama choćby parę godzin, a co dopiero cały tydzień. Podsuwała mi więc pomysły, kogo mogłabym ze sobą zabrać.

Zaproponowałam wyjazd kilku osobom. Toni, moja przyjaciółka dziennikarka, akurat pracowała nad ważnym materiałem śledczym. Lou była na etapie gorących randek z nowo poznanym facetem. Rosie zaś chętnie by mi towarzyszyła, ale jej teściowa nie najlepiej się czuła i potrzebowała pomocy.

– Pojadę sama. Będzie świetnie – oznajmiłam.

Pieta się skrzywiła.

– Nie będzie ci się podobać, jestem o tym przekonana. Zastanów się jeszcze, na pewno ktoś się znajdzie.

Byliśmy u niej w domu na kolacji. Katia bawiła się na górze ze swoimi kuzynami, a Eden doradzał Michele w sprawie remontu. Pieta i ja poszliśmy do kuchni. Gotowałam, a ona sprzątała za moimi plecami.

– Nie wiem, dlaczego uważasz, że jestem aż taka żalosna – powiedziałam lekko urażona. – To przecież tylko tydzień.

– Potrzebujesz ludzi wokół siebie – stwierdziła moja siostra. – Jesteś duszą towarzystwa.

– Przecież zawsze różne rzeczy robiłam sama, nie pamiętasz? Chodziłam na chińszczyznę, odwiedzałam różne lokale.

– No tak, w porze jedzenia sobie poradzisz. A co będziesz robić między posiłkami?

– Pieta, przecież to ty wykupiłaś tę wycieczkę – przypomniałam jej. – Twoim zdaniem nie powinnam jechać, skoro nie mam kogo ze sobą zabrać?

– Tak... nie... Właściwie nie wiem. Może tam na miejscu kogoś poznasz... – powiedziała z nadzieją w głosie.

– Raczej będę sama – stwierdziłam, chyba po to, żeby przekonać samą siebie. – Powinnam się czuć jak w rajku przez tydzień w mieście, w którym zupełnie nikogo nie znam. Już nie mogę się doczekać.

Rozdział 3

Ciemna woda rozpryskująca się po starych kamieniach. Gondole przecinające jej toń. Urokliwe mosty i monumentalne pałace. Tajemnicze ogrody. Niestety, niczego takiego nie dane mi było podziwiać z okna pokoju. Pieta byłaby przerażona, gdyby zobaczyła ten rzekomo czterogwiazdkowy hotel. Tapeta odpadająca ze ścian, ogłuszający klimatyzator i zapadnięte łóżko. Wystarczyło uchylić okno, by do środka wdarły się charakterystyczna woń ścieków oraz pokrzykiwania szefa kuchni pobliskiej restauracji, który chodził w tę i z powrotem wąską uliczką i rozmawiał przez telefon.

Nie tak turyści wyobrażają sobie romantyczną Wenecję, ale skoro już tam byłam, postanowiłam jak najlepiej wykorzystać tydzień wolny od pracy. Obiecałam sobie, że zrobię to wszystko, na co w domu nigdy nie mam czasu. Zamierzałam więc iść na zakupy, poczytać książkę, spacerować godzinami i ucinać sobie popołudniowe drzemki. Na pustej stronie w przewodniku, który kupiłam na lotnisku, nakreśliłam nawet krótką listę rzeczy do zrobienia.

Dziwnie się czułam w samotnej podróży do Włoch. Podczas lotu cisnęły mi się na usta komentarze dotyczące gburowatej obsługi, szybko jednak uświadomiłam sobie, że nie mam się z kim nimi podzielić. Pieta się nie myliła: większość czasu spędzałam wśród ludzi, przywykłam do tłocznej kuchni w restauracji i do zamieszania w domu, przez który ciągle ktoś się przewijał. Powtarzałam sobie, że chętnie się od tego wszystkiego oderwę. Tak jak Eden, a może nawet bardziej, potrzebowałam chwili, żeby odetchnąć i spokojnie pomyśleć. Być może minie kilka dni, zanim przyzwyczaję się do samotności, ale spodziewałam się, że ostatecznie mi się to spodoba.

Włączyłam telewizor, żeby zagłuszyć ciszę w pustym pokoju hotelowym, po czym przystąpiłam do rozpakowania walizki i powieszenia ubrań, które w domu zwykle zalegały na dużej stercie w rogu. Szczotkę i wszelkie upiększające mikstury ustawiłam równo na

biurku, a książki położyłam na stosiku przy łóżku. Usiadłam na skrzypiącym łóżku i zaczęłam się zastanawiać, co by tu zrobić.

Była dopiero trzecia po południu, za wcześnie na drinka. Na posiłek też jeszcze nie pora. Postanowiłam wybrać się na spacer, żeby rozejrzeć się po okolicy.

Na zewnątrz świeciło słońce, co od razu poprawiło mi humor. Wąską uliczką doszłam na plac, wokół którego stały budynki w kolorze karmelu. Odchodziła stamtąd tylko jedna ulica, Strada Nuova – pełna turystów i straganiarzy, supermarketów i butików, sklepów ze skórzaną galanterią i szklaną biżuterią.

Ruszyłam wzdłuż pierwszego kanału, jaki napotkałam na swojej drodze. Już po przejściu kilku kroków znalazłam się z dala od turystów. Byłam na *fondamenta* niemal zupełnie sama, z otwartych okien zwisało pranie, a powietrze wypełniały odgłosy muzyki i włączonych telewizorów. Przeszłam najpierw mostem, a potem zacienionym tunelem pod starym budynkiem. Raz po raz skręcałam w jakąś małą uliczkę. Dopiero po pokonaniu kolejnego mostku uświadomiłam sobie, że nie wiem, gdzie jestem.

Nachyliłam się nad mapą i usiłowałam się na niej odnaleźć. Okazało się to zbyt skomplikowane, ruszyłam więc przed siebie, aż doszłam do najbliższego baru. Przed witryną stały ławki i beczki po winie, które służyły za stoliki. W środku siedziało dwóch starszych mężczyzn z kieliszkami wina w dłoniach. Może nie było wcale za wcześnie, żeby pić? Zamówiłam pinot grigio i zajęłam miejsce przy drzwiach.

Do tej pory udało mi się powstrzymać przed wyjęciem telefonu z torby. Teraz pokusa okazała się zbyt silna. Nie dostałam żadnej wiadomości, więc wysłałam Piecie krótki SMS, by dać jej znać, że dotarłam. Próbowałam zadzwonić do Edena, ale od razu włączyła się poczta głosowa. W ostatniej kolejności wybrałam numer do Little Italy. Odebrał Federico.

- *Ciao, bella!* Jesteś w Wenecji? – zapytał. – I jak jest?
- Och... słonecznie... pięknie. A u was?
- W porządku, w porządku. Nie martw się.
- Dużo gości w porze lunchu? Nino radzi sobie ze specjalnym

menu?

– Tak, wszystko w porządku – powtórzył Federico. – Baw się dobrze i nami się nie przejmuj.

– A rezerwacje na wieczór?

W tle usłyszałam śmiechy. Najbardziej doniosły, głęboki męski głos wydał mi się znajomy.

– Kto to? – zapytałam.

– Ach... Zadowoleni goście, którzy jedzą posiłek przy stoliku numer cztery.

– Znam ich?

Federico się zawahał.

– Nie.

Ogarnęło mnie dziwne przeświadczenie, że nie powiedział mi prawdy.

– Na pewno wszystko w porządku? – zapytałam podejrzliwie.

– Tak, tak! *Cara*, nie marnuj wakacji na wydzwanianie do mnie.

Ciesz się słońcem. Ciesz się Wenecją. *Ciao, ciao!*

Po tych słowach się rozłączył.

Wróciłam do picia wina, ale jedna myśl nie dawała mi spokoju. Znałam ten głęboki śmiech. No i dlaczego Federico tak szybko się rozłączył?

Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić jeszcze raz, ale nie chciałam, by odniósł wrażenie, że mu nie ufam. Zamówiłam więc dolewkę wina, poprosiłam też o porcję *crostini*, które stały na barze, a następnie podjęłam kolejną próbę odnalezienia się na mapie. Może nie zgubiłam się aż tak bardzo? Jeśli uda mi się wrócić na *Strada Nuova*, powinnam stamtąd trafić do hotelu.

Już spokojniejsza, skupiłam się na dzióbaniu *crostini*, czyli kawałków chrupiącej bagietki, do których wykałaczkami przyszpilono *prosciutto*, ser i grillowane warzywa. Kiedyś byłam w Wenecji z koleżanką. Żywiłyśmy się wtedy takimi właśnie *cicchetti*, przekąskami zapijanymi winem. Ten bar nie oferował dużego wyboru, ale w innych lokalach spodziewałam się znaleźć chrupiące owoce morza, soczyste klopsiki, marynowane karczochy, no i przede wszystkim *baccalà mantecato*, czyli przepyszną pastę z suszonego solonego dorsza,

namaczanego, a następnie gotowanego.

Podczas tej bytności w Wenecji nie zamierzałam ograniczać się do *cicchetti*. Postanowiłam skosztować jak największej ilości różnych dań, aby wrócić do domu z nowymi pomysłami i dzięki nim wzbogacić ofertę specjalną Little Italy. Niemniej ta myśl, zamiast mnie fascynować, ciążyła mi jak obowiązek.

Poza gotowaniem nie mam innych talentów. Jedzenie rozumiem instynktownie. Tak mi się przynajmniej wydawało, bo po prasowej recenzji zaczęłam wątpić w siebie i z podejrzliwością odnosić się do smaku każdej potrawy. Czy ragù na pewno smakuje tak dobrze, jak za czasów mojego ojca? Czy orzechy włoskie i pieczona dynia to faktycznie szczęśliwe połączenie w wypadku risotta? Pytałam o to Nina, Frederica, a nawet Edena, gdyż opinie innych wydawały mi się bardziej wiarygodne niż moje. W takiej atmosferze ciężko się pracuje, o jedzeniu nie wspominając.

Przed przyjazdem do Wenecji powinnam była sprawdzić, które osterie zasługują na szczególną uwagę, których dań warto spróbować i za jakimi składnikami należy się rozglądać. Miałam czas, żeby to zrobić, ale nie zadałam sobie tego trudu. A gdy już znalazłam się na miejscu, koncepcja wyszukiwania odpowiednich lokali i zamawiania najwłaściwszych dań po to, żeby kolekcjonować smaki, robić notatki i szukać pomysłów na własne wersje poszczególnych potraw... całkowicie odebrała mi apetyt.

Siedząc przy winie i *cicchetti*, uświadomiłam sobie, że jedzenie nie sprawia mi takiej radości jak kiedyś. Czyżby moja miłość do niego przygasła?

Ludzie mają różne zainteresowania. Niektórzy moi przyjaciele fascynują się sportem, kulturą albo modą. Inni coś zbierają, lubią surfować, grać w tenisa stołowego, jeździć konno, sadzić rośliny bądź pisać wiersze. Moje życie do tego stopnia było wypełnione gotowaniem i jedzeniem, że na nic innego nie było już miejsca. Teraz zaczęłam się zastanawiać, czy nie jestem monotematyczna. Przecież na pewno coś jeszcze sprawiałoby mi radość, gdybym tylko znalazła czas, żeby to odkryć.

Wenecja dawała po temu okazję. Owszem, musiałam coś jeść, ale

mogłam to robić szybko, na stojąco, w barach z winem, tak jak ci starsi panowie – z przekąską w jednej dłoni i kieliszkiem w drugiej. Resztę czasu mogłabym poświęcić na poznawanie miasta i samej siebie. Czekwały na mnie galerie, wystawy, muzea, zabytki architektury i wiele innych atrakcji. Wyjęłam przewodnik, żeby opracować plan z prawdziwego zdarzenia, zmieniłam jednak zdanie i postanowiłam żyć z dnia na dzień. Jutro wsiądę do *vaporetto*, czyli tramwaju wodnego kursującego po Canale Grande, i znajdę coś ciekawego do obejrzenia. Zdam się na przypadek, jak to robiłam kiedyś, zanim spadły na mnie obowiązki związane z rodziną i pracą.

Ta myśl podniosła mnie na duchu. Zamówiłam więc trzeci kieliszek i sączyłam wino, przyglądając się ludziom. Obok baru przeszło wielu turystów, których łatwo było rozpoznać nie tyle po mapach w dłoniach, ile po praktycznych ubraniach i wygodnych butach, plecakach spakowanych z myślą o całodziennym wycieczce, powolnym kroku i na wpół zagubionym wyrazie twarzy.

Bez problemu udawało mi się wyłować z tłumu okolicznych mieszkańców. Oni z kolei w pośpiechu przeciskali się przez tłum, często ciągnąc za sobą torbę z zakupami. Pozdrawiali się nawzajem zdawkowym: *Salve, come va?*

W pewnym momencie do baru weszła para weneccjan w średnim wieku. Minęli niskie drzwi, nie patrząc na mnie. Najwyraźniej od razu rozpoznali we mnie przypadkowego gościa. Nawet jeśli zdają sobie sprawę, że miasto potrzebuje pieniędzy turystów, pewnie nas nie lubią, bo zapychamy ich małe *calli* i kanały. Zaczęli pogawędkę z jednym z mężczyzn siedzących w środku i on powiedział coś, co ich rozbawiło. Żałowałam, że nie mogę uczestniczyć w tej rozmowie. Mówię trochę po włosku, ale w tym mieście to za mało, żeby ktokolwiek z miejscowych w ogóle zwrócił na mnie uwagę. Zapowiadał się samotny tydzień – i w końcu należało się z tym pogodzić.

Właśnie miałam uregulować rachunek, gdy ją dostrzegłam. Kobieta wyróżniała się w natłoku przechodniów. Od stóp do głów była ubrana w czerwień, tylko na jednej ręce miała bransolety pomarańczowe, na drugiej zaś żółte. Między nogami plątały jej się trzy przeurocze, kudłate pieski, każdy na osobnej smyczy. Miała już swoje lata – moim zdaniem

była po siedemdziesiątce – ale szła przed siebie pewnie, z głową uniesioną wysoko. Ciągnęła torbę na kółkach wypchaną zakupami. Przechodząc koło mnie, kiwnęła w geście pozdrowienia.

– *Salve*.

– *Salve, signora* – odpowiedziałam, odprowadzając ją wzrokiem.

Gdyby ktoś widział ją tylko z tyłu, to bardziej łaskawie oceniłby jej wiek, sugerując się jej prostymi plecami. Włosy miała białe jak mleko i krótko ostrzyżone. Spódniczka odsłaniała kształtne nogi. Dla zabicia czasu zaczęłam się zastanawiać, kim ta kobieta może być i dokąd idzie.

Weszłam do środka. Barman wziął ode mnie pieniądze. Starsi mężczyźni unikali mojego wzroku, a para zachowywała się tak, jakby w ogóle nie zauważała mojej obecności. Czułam się, jakbym była niewidzialna, jakby potrafiła mnie dostrzec tylko ta stara kobieta w czerwieni. Chyba właśnie za sprawą tego dość niepokojącego uczucia postanowiłam pójść w tym samym kierunku, co ona. Nie śledziłam jej, a w każdym razie nie miałam takiego zamiaru, ale ponieważ nie szła szybko, wkrótce ją dogoniłam.

Przechodziła właśnie przez most. Jedną ręką trzymała się balustrady i nie bez wysiłku wciągała torbę po schodach. Urocze psy ciągle plątały jej się u nóg. Gdy wyrównaliśmy krok, odwróciła się i spojrzała na mnie przez przyciemnione szkła dużych, okrągłych okularów przeciwsłonecznych.

– Mam do pokonania jeszcze cztery mostki, zanim dojdę do domu – powiedziała niemal oskarżycielskim tonem, po angielsku, ale z silnym akcentem. Zmarszczki, którymi poorana była twarz kobiety, potwierdziły moją wstępną ocenę jej wieku.

– Może pani pomożę? – zaproponowałam, bo zrobiło mi się jej żal.

– Jak to miło z pani strony. – Odsunęła się na bok pośród brzęku bransoletek. – Obawiam się, że nie jest lekki.

Wzięła na ręce najmniejszego ze swoich kudłatych psów i przytuliła go do piersi. Szła przede mną rozkołysanym krokiem, roztaczając wokół siebie rytmiczne pobrzękiwania i słodką woń. Jak się okazało, miałam przed sobą długą drogę, a zakupy ważyły chyba tonę. Gdy wciągałam torbę na schody kolejnych czterech mostków, a potem sprowadzałam na dół, cały czas zastanawiałam się, jak kobieta

poradziłaby sobie bez mojej pomocy.

– Jak to miło z pani strony – wymamrotała ponownie, gdy stanęliśmy przed jej domem.

Pogmerała kluczami w zamku i w końcu go otworzyła. Raz jeszcze zmierzyła mnie wzrokiem.

– Powinna pani przyciąć włosy i trochę się umalować – oświadczyła, po czym zniknęła w środku i zamknęła za sobą drzwi.

Zostałam sama na wąskim *fondamenta*, zaskoczona i jeszcze bardziej zagubiona niż wcześniej. Próbowałam wrócić drogą, którą tu przyszedłam, ale za drugim mostem skręciłam w lewo, podczas gdy raczej powinnam w prawo. Zamiast więc znaleźć się przy barze, szłam brzegiem szerszego kanału wzdłuż restauracji ze stolikami stojącymi na zewnątrz w cieniu kolorowych parasoli.

Przyciąć włosy? Umalować się? Starsza pani najwyraźniej miała nie po kolei w głowie. Ale gdy spojrzałam na swoje odbicie w oknie restauracji, zaczęłam się nad tym zastanawiać.

Kelner zauważył, że się zatrzymałam, i od razu wybiegł do mnie z kartą w dłoni.

– Zechce pani coś zjeść, *signora*? – zawołał, próbując dotrzymać mi kroku. – Możemy pani zaproponować wyborną pizzę albo makaron, świeże ryby prosto z laguny.

Szłam przed siebie, cały czas kiwając głową, aż dał sobie spokój. Potem jeszcze wielu innych kelnerów zabiegało o mnie, głośno zachwalając mątwy w sosie atramentowym z ośmiornicy oraz sardynki w wersji słodko-kwaśnej. Z ulgą pomyślałam, że w Little Italy nie musimy polować na klientów i uganiać się za nimi po ulicy... przynajmniej na razie.

Myśl o restauracji płynnie przeszła w refleksję nad tym, co się dzieje w domu. Zastanawiałam się, co robi Eden. Czy odebrał Katię ze szkoły, czy może wysłał ją do koleżanki? Czy zrobił jej kolację? Czy sprawdził zadanie domowe? Często zapominał o tego typu drobiazgach, jakby oczekując, że ja będę o nich pamiętać. Chyba to najbardziej mi przeszkadzało.

Poznałam Edena zaraz po ukończeniu szkoły. Wtedy byliśmy do siebie pod wieloma względami podobni. Oboje niczym się nie

przejmowaliśmy, wydawaliśmy wszystko, co udało nam się zarobić, i robiliśmy to, co akurat sprawiało nam przyjemność. Mieliśmy takie samo podejście do życia. Stawialiśmy na dobrą zabawę i luz, ulegaliśmy impulsom. Małżeństwo nie miało tego zmienić. Dzieci miały się w ten model naszego życia wpasować. Zamierzaliśmy zabierać je ze sobą na imprezy i do restauracji, do pubów i na próby sekcji perkusyjnej Edena. Wydawało nam się to takie proste, że nie potrafiliśmy zrozumieć, o co inni rodzice robią tyle krzyku.

No i przekonaliśmy się, co się dzieje, jeśli dziecko nie śpi i nie je o stałych porach. Otóż wtedy robi się nerwowe i zaczyna płakać, z czasem coraz głośniejsze, aż w końcu wszyscy goście w restauracji czy kawiarni zaczynają rzucać rodzicom nienawistne spojrzenia. Matka karmi dziecko w nadziei, że to je uciszy, ono tymczasem zdecydowaną większość ulewa jej z powrotem na ramię, więc ona roztacza wokół siebie kwaśny zapach mleka. A potem dziecko wrzeszczy jeszcze przez pół nocy.

Katia nie sprawiała dużych kłopotów. Dzieci miewają przecież kolki i mocno ulewają. Niektóre wcale nie śpią, inne mają wiecznie czerwoną twarz, zakatarzony nos albo załzawione oczy. W porównaniu z nimi Katia była idealna, a mimo to rodzicielstwo przychodziło nam z ogromnym trudem.

Może byliśmy za młodzi? Może byłoby łatwiej, gdybyśmy wstrzymali się kilka lat? A może po prostu nie nadawałam się na matkę? Może należę do kobiet, które nigdy nie powinny mieć dzieci?

Tak czy owak, właśnie wtedy zaczęliśmy się kłócić. Ja uważałam, że Eden powinien mi pomagać w opanowaniu domowego chaosu. On zaś był przekonany, że robi dużo. Tego sporu nigdy nie udawało nam się rozstrzygnąć, a dochodziło do niego regularnie. Chcąc udowodnić, że mam rację, pewnego razu sporządziłam nawet listę spraw, za które odpowiadam; znalazły się na niej: porządkowanie prania, zakupy spożywcze, umawianie różnych wizyt, płacenie rachunków czy zamawianie opiekunki do dziecka. Eden jednak tylko rzucił na nią okiem, po czym orzekł, że to absurdalne i że on ma gdzieś moje głupie listy.

Wiem, że marudzę. Tak już mam i wcale nie jestem z tego dumna.

Jakaś myśl pojawia się w mojej głowie i potem nie potrafię się od niej uwolnić. Nawet w pięknej Wenecji cały czas roztrząsałam różne drobne niesprawiedliwości, podsycalam w sobie zgorzknienie i złość.

Musiałam się od tego uwolnić. Patrząc na mnie – a byłam przecież szefem własnej kuchni, mamą we własnym domu, przyjaciółką, siostrą i kobietą, która miała przed sobą tydzień wakacji – można by bez problemu znaleźć powód do zadowolenia. Skoro zatem tak się przedstawiało moje życie, to dlaczego nie potrafiłam być szczęśliwa?

Rozdział 4

Wenecja ma to do siebie, że gdziekolwiek się pójdzie, wszędzie spotyka się tych samych ludzi. Para turystów zwracających na siebie uwagę wyjątkowo kiepskim strojem lub głośnym zachowaniem pojawia się na każdym kroku. Tu płyną gondolą, tam stoją w kolejce do Pałacu Dożów, zaraz potem kupują wodę od ulicznego sprzedawcy, tłoczą się w *vaporetto* albo raczą kawą na jakimś *piazza*.

Tak też było z tą starszą kobietą. Następnego dnia wczesnym rankiem dostrzegłam ją na rynku Rialto. Miała na sobie białe spodnie przedzielone cienkim metalowym paskiem. Oczy schowała za okularami jeszcze bardziej okrągłymi i jeszcze większymi niż te, które miała na nosie poprzedniego dnia.

Spacerowałam właśnie po targu rybnym, gdy na nią – dosłownie – wpadłam. Robiłam zdjęcia straganów, na których wystawiano morskie stworzenia z mackami, przegrzebki w skorupkach, różowiutki krewetki i srebrnawe pałasze. Cofnęłam się o krok, nie oglądając się do tyłu.

– Ach – powiedziała – proszę uważać.

– Przepraszam, signora.

Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Powinna pani napić się kawy, żeby się obudzić.

– Tak, zapewne tak – przytaknęłam.

– Tam proszę nie iść. – Wskazała palcem na kawiarnię

zlokalizowaną w przeciwległym rogu. – Dalej dostanie pani lepszą kawę.

Ponownie zobaczyłam ją po południu, podczas zwiedzania Kolekcji Peggy Guggenheim. Siedziała w ogrodzie pod rzeźbą Henry'ego Moore'a. Miała na sobie zwiewną zieloną sukienkę, a na szyi kilka sznurów niebieskich szklanych koralików. Towarzyszyły jej pieski, które siedziały obok na ławce (jestem pewna, że widziałam znak zakazujący wprowadzania zwierząt). Otaczała ją aura spokoju. Usiadłam naprzeciwko niej w takim miejscu, z którego mogłam ją niepostrzeżenie obserwować. Zdążyłam już wcześniej zwiedzić kilka galerii, sumiennie

zapoznałam się więc z dziełami kubistów, surrealistów i amerykańskich ekspresjonistów abstrakcyjnych, wypłam też szklankę wody gazowanej w jednej z kawiarni.

Chyba mnie nie zauważyła, a przynajmniej nic na to nie wskazywało. Od czasu do czasu głąaskała któregoś psa, poza tym pozostawała właściwie w bezruchu, wpatrując się w stojącą obok rzeźbę. Może nawet bym się do niej odezwała, ale nie udało mi się nawiązać z nią kontaktu wzrokowego.

Po pół godzinie wstałam z ławki i ruszyłam z powrotem korytarzami białego kamiennego pałacu, które zaprowadziły mnie na taras wychodzący na Canale Grande. Wenecja oferuje turystom wiele innych galerii, dzieła sztuki można też podziwiać w kościołach i muzeach, ale nie kusiło mnie to. Powoli dochodziłam do wniosku, że sztuka mnie nie interesuje. Co innego ta starsza wenecjanka, ona miała w sobie coś intrygującego.

Wróciłam do ogrodu, ale już jej nie było. Na ławce siedziała teraz para Japończyków, którzy robili sobie nawzajem zdjęcia. Zatrzymałam się i zaproponowałam, że ich sfotografuję razem. Uśmiechnęli się, skinęli głowami i podali mi aparat, a potem przytulili się do siebie, pochylili głowy w swoją stronę i jeszcze szerzej się uśmiechnęli.

Można było odnieść wrażenie, że tutaj każdy ma kogoś do pary albo stanowi część jakiejś grupy. Poza mną tylko ta starsza kobieta zdawała się wszędzie bywać sama. Postanowiłam, że jeśli jeszcze raz natknę się na nią, postaram się nawiązać rozmowę i dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

Na lunch zafundowałam sobie *cicchetti* w tradycyjnym *bacaro* w jednej z wąskich alejek. W środku z sufitu zwisały stare dzbany do noszenia wody, a na stolikach leżały stare, pożółkłe obrusy. Stojąc przy barze, zjadłam w pośpiechu nieduży posiłek. Składał się z kilku smażonych klopsików i grillowanych warzyw. Całość popłam małym kieliszkiem białego wina. Obok stali inni ludzie, ale i tak czułam się samotnie.

Ponownie spojrzałam na wyświetlacz telefonu. Eden napisał, że u nich wszystko w porządku. Pieta nadal się nie odzywała, co wydało mi się dziwne. Obojgu wysłałam wiadomość, że świetnie się bawię.

Spodziewałam się, że mi nie uwierzą, ale zupełnie mi to nie przeszkadzało.

Nie miałam nic lepszego do roboty, ruszyłam więc przez labirynt małych uliczek wzdłuż wodnych szlaków. Przeszłam na drugą stronę kanału mostem Rialto i wtopiłam się w tłum turystów zmierzających w stronę placu Świętego Marka. Po drodze mijałam sklepy z przeróżnymi artykułami o przesadnie wysokich cenach. W cieniu było mi chłodno, a w słońcu za gorąco. Mniej więcej w połowie drogi doszłam do wniosku, że nie mam już ochoty chodzić. Postanowiłam wrócić do hotelu. Po drodze cały czas wypatrywałam starszej kobiety i jej uroczych piesków, ale nigdzie ich nie było.

Gdy zobaczyłam ją po raz kolejny, miała na głowie pomarańczowy turban i tańczyła tango. Niepotrzebnie jednak wybiegam myślami naprzód, wcześniej bowiem wydarzyło się wiele innych rzeczy. Zaskakująco wiele.

Najpierw poznałam uroki drzemki, która nie pociąga za sobą wyrzutów sumienia. Wsunęłam się w chłodną pościel, zamknęłam oczy i przespałam najcieplejszą część dnia. Obudziłam się zdezorientowana. Potrzebowałam chwili, żeby rozpoznać tani żyrandol na suficie i przypomnieć sobie, gdzie się znajduję. Spałam ponad godzinę – tak głęboko, że nic mi się nie śniło. W domu rzadko zdarzało mi się tak dobrze spać, bo po nocach dręczyły mnie różne troski, zawsze jakieś myśli tłukły mi się po głowie aż do rana.

Od razu sięgnęłam po telefon. Pieta ciągle nie odpisała, za to dostałam wiadomość od mojej przyjaciółki Rosie, że bardzo jej przykro, ale nie uda nam się spotkać. Rosie mieszka daleko od Wenecji, na południu Włoch, w pobliżu moich rodziców. To jedna z moich najstarszych koleżanek, bardzo mi jej brakuje. Nawet ze znajomymi mieszkającymi w tym samym mieście ciężko się umówić, a cóż dopiero mówić o tych za granicą. W ostatnich latach nie miałam kontaktu z Rosie, stopniowo znikala więc z mojego życia podobnie jak wiele innych osób, które kiedyś zajmowały w nim ważne miejsce. Gdy tak leżałam w łóżku, obserwując pęknięcia na suficie i kurz na żyrandolu, uświadomiłam sobie, że jest mi bardzo smutno z tego powodu.

Nie musiałam wstawać – w każdym razie jeszcze nie teraz – i nagle

odkryłam, że odwykłam od wolnego czasu i nie potrafię wynajdować sobie zajęć. W domu rzadko miałam choćby chwilę, żeby zastanowić się nad różnymi sprawami. Ktoś zawsze miał do mnie jakieś pytania, coś mnie ciągle odrywało od tego, czym się zajmowałam. Teraz o niczym nie musiałam decydować, nie musiałam rozwiązywać niczych problemów. Czułam się zupełnie inaczej, chociaż nie potrafiłam tego opisać. Miałam wrażenie, jakbym po raz pierwszy od wielu lat znalazła się w swojej głowie. Dotarło do mnie, że niepostrzeżenie straciłam kontakt nie tylko ze starymi znajomymi, takimi jak Rosie, ale także z samą sobą.

Wyturlałam się z łóżka i poszłam do łazienki odświeżyć się pod prysznicem. Włożyłam też czyste ubranie: luźne bawełniane spodnie i swobodną lnianą koszulkę. W ramach biletu Pieta wykupiła mi wycieczkę kulinarną; grupa zbierała się za godzinę na Campo della Maddalena. Spojrzałam na mapę i stwierdziłam, że to zaledwie kilka kroków od hotelu, a ponieważ nic lepszego nie miałam do roboty, postanowiłam się tam wybrać.

Słońce ciągle mocno świeciło, a Strada Nuova pękała w szwach od turystów przeciskających się z rożkami wafłowymi napełnionymi *gelato*, raz po raz dotykających torebek z taniej skóry wywieszonych przy wejściach do butików. Tłum przemieszczał się powoli, zatrzymywał zupełnie bez powodu i tarasował drogę. Oczywiście byłam jego częścią, co niespecjalnie mnie cieszyło, wcisnęłam więc mapę do torebki i przyspieszyłam kroku. Zaczęłam się przeciskać między grupkami turystów, tak jak to robili miejscowi. Wydawało mi się, że przy moich ciemnych włosach i oliwkowej skórze mogłabym nawet uchodzić za wenejankę (tyle że strój miałam niewłaściwy, stanowczo zbyt prosty i praktyczny).

Ponieważ na Campo della Maddalena dotarłam za wcześnie, postanowiłam usiąść na schodach przed starym kościołem i tam zaczekać na przewodnika. Wycieczka pod znakiem jedzenia i wina raczej nie miała szans przybliżyć mnie do odkrycia nowej życiowej pasji, ale i tak myślałam o niej z przyjemnością. Przynajmniej mogłam liczyć na to, że kilka kolejnych godzin spędzę w towarzystwie innych ludzi. Miałam też nadzieję, że uda mi się skosztować czegoś, co mnie

zainspiruje.

Po chwili obok mnie pojawiły się kolejne osoby. Najpierw para, zapewne trochę po pięćdziesiątce, później trzy Angielki z północy kraju i młody mężczyzna z błyszczącymi niebieskimi oczami, a na końcu jeszcze jedna para, na pierwszy rzut oka nowożeńcy.

– Czekasz na wycieczkę? – zapytał młody mężczyzna mówiący z amerykańskim akcentem.

– Tak – odpowiedziałam.

– Ja też. – Wyciągnął do mnie rękę. – Jestem Matt.

Odbyliśmy banalną pogawędkę typową dla ludzi w podróży: skąd jesteś, dokąd zmierzasz... Przyjechał na ślub przyjaciela do Amalfi i następnego dnia rano miał wyruszyć w podróż powrotną do domu. Byłam trochę rozczarowana. Bynajmniej nie pociągał mnie fizycznie, po prostu pomyślałam, że fajnie by było, gdyby mógł mi dotrzymać towarzystwa dzień czy dwa.

Przewodniczka przybyła jako ostatnia. Wyglądała na wenecką. Miała ciemne włosy zebrane w płaski warkocz przewieszony przez jedno ramię. Spod gęstej grzywki wyglądały brązowe oczy o głębokim spojrzeniu. Jej dość swobodny strój podkreślał krągłości ciała. Wzięła od nas bilety, sprawdziła nazwiska na liście i poleciła nam ustawić się w kółku, po czym zaczęła powtarzać to, co mówiła już zapewne dziesiątki razy.

– *Buona sera*, drodzy państwo. Nazywam się Valentina i będę waszą przewodniczką – zaczęła z werwą. – Proszę się nie martwić, nie będziemy daleko chodzić. Wystarczy oddalić się od głównych ulic zaledwie o kilka przecznic, by trafić do lokali, w których jedzą i piją miejscowi.

Nowożeniec wszedł jej w słowo:

– Może nam pani pokazać na mapie, dokąd się udajemy?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Podczas tej wycieczki to ja będę państwu służyć za mapę. Waszą rolą będzie iść za mną i słuchać.

Przerzuciła warkocz przez ramię, po czym odwróciła się i gestem nakazała nam podążać za sobą. Amerykanin postanowił iść równo z nią. Ja ustawiłam się tuż za grupką kobiet. Nasz pochód zamykały dwie pary.

Udaliśmy się w tym samym kierunku, który obrałam poprzedniego wieczoru. Po drodze minęliśmy mały bar z beczkami w roli stolików. Valentina zatrzymała się i wskazała to miejsce jako jeden z ulubionych lokali okolicznych mieszkańców, nie weszliśmy jednak do środka. Wskazała nam kościół, w którym można podziwiać dzieła Tintoretta, a także kilka restauracji, do których jej zdaniem powinniśmy zajrzeć, jeśli czas nam na to pozwoli. Potem zawróciła w stronę Strada Nuova i poprowadziła nas na przystanek gondoli.

Gondole może i są ładne, ale nigdy nie spieszyło mi się aż tak, żebym musiała z nich skorzystać. Nie wyobrażałam sobie, że miałabym się przeciskać między promami i taksówkami wodnymi w towarzystwie gondoliera, który pali papierosa albo, co gorsza, prowadzi głośną rozmowę przez telefon komórkowy.

Nowożeńcy najwyraźniej nie mieli nic przeciwko temu.

– Nie wiedziałam, że podczas tej wycieczki czeka nas podróż gondolą – powiedziała z radością w głosie żona.

Mąż zajrzał do ulotki i zmarszczył brwi.

– Tutaj nic nie ma na ten temat, mam nadzieję, że nie wiąże się to z dodatkowymi kosztami.

Valentina ustawiła nas gęsiego, żebyśmy sobie nie przeszkadzali.

– Nie będziemy płynąć gondolą, przykro mi – powiedziała do nowożeńców. – To jest *traghetto*. Wenecjanie właśnie w ten sposób przepływają na drugą stronę kanału. Proszę zwrócić uwagę, że gondolierów jest dwóch. Pasażerowie tych łódeczek zwykle podróżują na stojąco, ale mogą państwo usiąść.

Zdecydowałam się skorzystać z tej możliwości. Nie chciałam podzielić losu tych turystów, których trzeba potem wyławiać z wody, tym bardziej że nie sprawiała ona wrażenia czystej. Pozostali przepływali się na stojąco, kołysząc się i chwiejąc podczas podróży w stronę rynku Rialto.

– Nie wiem, czy mogłabym tak płynąć po kilku kieliszkach wina – zaśmiała się jedna z Angielek.

Dawniej nie wahałabym się ani chwili – natychmiast bym się przedstawiła, dołączyła do grupy i od razu nawiązałabym przyjazne relacje. Teraz jednak postanowiłam nie spieszyć się z tym, ale

bynajmniej nie z powodu wrodzonej nieśmiałości. Po prostu straciłam dawną wiarę w to, że w jednej chwili potrafię sobie zaskarbić sympatię innych ludzi.

Straganiarze z rynku Rialto zakończyli już pracę, podobnie jak mała osteria, do której zaprowadziła nas Valentina. Nie przeszkodziło jej to jednak zapukać do drzwi.

– Dla mnie otworzą – obiecała.

Rzeczywiście drzwi lekko się uchyliły.

– Salve, Angelo – zakrzyknęła.

Drzwi otworzyły się szerzej i moim oczom ukazał się mężczyzna. Ciemne lśniące włosy miał związane z tyłu czerwoną chustką. Poza tym jego twarz wyróżniała się starannie przystrzyżoną brodą, długimi rzęsami i krzaczastymi brwiami.

– Salve – odpowiedział, odsuwając się trochę, żeby nas przepuścić.

W środku dominowały chrom i szkło. Wystrój był bardzo współczesny, zupełnie nie przypominał innych weneckich restauracji, które miałam okazję odwiedzić. Na barze stały gablotki, w których wystawia się jedzenie; teraz były puste.

– Specjalnością zakładu są ryby, ale najpierw skosztujemy wina – powiedziała Valentina. – Przypuszczam, że pinot grigio pijecie dość często?

Wszyscy skinęli potakująco głowami.

– Dziś wieczorem możecie o nim zapomnieć. Wenecja ma wam do zaoferowania wiele innych gatunków wina.

Valentina zamówiła butelkę verduzzo, a przystojny mężczyzna z chustką na włosach rozlał je do kieliszków. Wypiłam kilka łyków i od razu poczułam, jak rozluźniły mi się mięśnie karku, a ramiona odrobinę odprężyły.

– Pyszne – stwierdziła jedna z Angielek. – Zrobię zdjęcie etykiety, może uda się to kupić w Waitrose.

– Na pewno nie. Będziesz musiała iść do winiarni – odparła jej przyjaciółka.

– I zapewne zapłacić jak za zboże – dodała druga.

Nagle pomyślałam, że chyba nie pasuję do tego towarzystwa. Nie wiedziałam, skąd się wzięło to przeświadczenie, po prostu czułam się

inna. Nie miałam z tą grupką nic wspólnego. Mimo to stwierdziłam, że nie ma sensu cały wieczór siedzieć cicho, i postanowiłam nawiązać kontakt.

– Znam miejsce, w którym może da się to wino kupić – odezwałam się. – Znajduje się w Londynie, ale prowadzi sprzedaż internetową. Zapiszę pani nazwę, jeśli pani chce.

– Super, dziękuję. Tak w ogóle to jestem Jennifer. Jesteśmy z Manchesteru.

Wszystkie się sobie przedstawiłyśmy, po czym – jak mają w zwyczaju Anglicy spotykający się za granicą – podjęłyśmy próbę znalezienia czegoś, co by nas łączyło.

– Jennifer, Kim i Vicky – powtórzyłam z nadzieją, że uda mi się zapamiętać, która jest która.

– Odważna jesteś, że przyjechałaś tu sama – powiedziała Jennifer. Wzruszyłam ramionami.

– Decyzja o wyjeździe zapadła w ostatniej chwili. No i przyjechałam tylko na tydzień.

– Tak czy owak, ja bym się na coś takiego nie zdobyła. Bardzo się cieszę, że Kim i Vicky mogą wziąć urlop w tym samym czasie, co ja. Inaczej nigdy nigdzie bym nie pojechała.

Potem pojawiły się *cicchetti*, zupełnie zaskakujące. Zamiast standardowych *crostini* dostaliśmy małe bułeczki przełożone wędzonym tuńczykiem, karczochami i rzodkiewką. Jennifer skosztowała przekąski i zmarszczyła nos.

– Coś mi się wydaje, że to nie jest prawdziwe włoskie jedzenie – powiedziała.

Valentina zapewne słyszała już tę uwagę z ust uczestników swoich wycieczek, bo miała gotową odpowiedź.

– Nie, to nie jest tradycyjna przekąska. Ale Angelo cieszy się rosnącą popularnością w świecie kulinarnym. Wszyscy znani szefowie kuchni zaglądają do tej osterii przy okazji wizyty w Wenecji. Serwuje się tu bardzo interesujące dania i dlatego was tu przyprowadziłam. Jeśli ktoś nie lubi tuńczyka, to polecam nadzienie z miecznika, sera *mascarpone* i suszonych pomidorów.

Jennifer sprawiała wrażenie nieprzekonanej. Zapewne miała ściśle

określone upodobania i to połączenie smaków jej nie odpowiadało. Mnie wydało się interesujące.

– Dlaczego w takim razie lokal jest dziś wieczorem zamknięty? – zapytałam.

– Działa tylko w dni, gdy jest otwarty targ rybny – wyjaśniła Valentina. – W porze lunchu Angelo przyrządza risotto, każdego dnia inne, ale zawsze bardzo smaczne. Powinna tu pani zajrzeć, jeśli nadarzy się okazja.

– Powinnam – przytaknęłam, przyglądając się Angelowi, który właśnie niósł ostatnią tacę. Tym razem znajdowały się na niej crostini z dobrze mi znaną kremową pastą. Angelo nie był wysoki, ale miał zwartą budowę ciała, która dodawała mu seksapilu. Tacę niósł pewnie i z wdziękiem.

– *Baccalà mantecato* – oznajmił. – Najpopularniejsze danie kuchni weneckiej. Jeśli ktoś je dla was przyrządzi, możecie być pewni, że was lubi, bo sporo się przy tym namęczył.

– W takim razie muszę spróbować. – Głos Jennifer zabrzmiał zalotnie. Tym razem nie skrzywiła się po pierwszym kąsie.

Nigdy się nie spieszę z tym, żeby powiedzieć, czym się w życiu zajmuję. Gdy ludzie dowiadują się tego, nagle zaczynają mnie traktować inaczej. Od szefów kuchni oczekuje się dużej wiedzy na temat jedzenia, a także krytycznego, a przynajmniej wnikliwego podejścia do spożywanych potraw. Dla kogoś, kto pracuje w kuchni, nikt nie chce gotować, no, może z wyjątkiem innych szefów, którzy robią to wówczas wyłącznie po to, aby zadziwić, udowodnić swoją wyższość albo popisać się odwagą bądź oryginalnością. Nawet na pozór luzacki Angelo, gwiazda rocka w swoim fachu, mógłby niepotrzebnie poczuć ducha rywalizacji. Gdy zatem zaczęliśmy wymieniać informacje o naszym prywatnym życiu, postanowiłam się nie odzywać. Poprosiłam tylko o dokładkę crostini z *baccalà mantecato*.

Zbieraliśmy się już do wyjścia, gdy Angelo zwrócił się po włosku do Valentyny.

– Widzimy się później na milondze? – zapytał.

– Nie, dzisiaj nie mogę. Przykro mi – odpowiedziała mu po angielsku.

– Ostatnio w ogóle nie przychodzisz – powiedział rozżalony.
– Przecież wiesz, że muszę pracować – wyjaśniła z nutką niecierpliwości w głosie.
– Tak, mówiłaś, ale szkoda. Dawno nie mieliśmy okazji razem zatańczyć.

Valentina westchnęła.

– Może przyjdę, jeśli nie będę za bardzo zmęczona po pracy. Ale najwyżej na jeden taniec.

– Lepsze to niż nic – powiedział Angelo, przechodząc na angielski. Jennifer najwyraźniej przysłuchiwała im się i usiłowała zrozumieć treść rozmowy, bo teraz się do niej włączyła.

– O, proszę. Będą jakieś tańce?

Angelo zwrócił się teraz do niej:

– Tak, milonga, dzisiaj wieczorem na Campo San Giacomo dell’Orio. Będziemy tańczyć tango przed starym kościołem. To naprawdę świetny sposób na letni wieczór w Wenecji.

– Nie wiedziałam, że weneccjanie tańczą tango. Przecież to nie jest włoski taniec – dziwiła się Jennifer.

– Nie jest włoski, ale dzisiaj tango tańczy się na całym świecie. W większości miast organizuje się wieczorki taneczne, milongi. Czasem są to bardzo duże imprezy, kiedy indziej grupka przyjaciół spotyka się, żeby razem potańczyć tango. W Wenecji milongi odbywają się na ogół na dworze, w różnych pięknych miejscach. I dlatego są wyjątkowe.

– Każdy może wziąć udział w dzisiejszej milondze? – zapytała Jennifer.

– Oczywiście... Mogą w niej uczestniczyć nie tylko miejscowi, ale również turyści – odpowiedział Angelo. – Może pani przyjść potańczyć albo po prostu posiedzieć, wypić coś i popatrzeć.

Szliśmy za Valentiną wąskimi uliczkami San Polo. Przez całą drogę Jennifer radośnie szczebiotała do swoich przyjaciółek: tango jest takie seksowne, Angelo zresztą też.

– Jak się to miejsce nazywało? – usiłowała sobie przypomnieć. – Czy to daleko stąd?

– Campo San Giacomo dell’Orio – przypomniała Valentina. – Niedaleko. Można tam dojść na piechotę albo podpłynąć *vaporetto* do

San Stae.

– Moim zdaniem powinnyśmy pójść – zwróciła się do swoich przyjaciółek Jennifer. – Co o tym myślicie?

Obie odmówiły. Po całym dniu pieszego zwiedzania w upał nogi odmawiały im już posłuszeństwa. W żadnym razie nie miały ochoty na nocne tańce. Jennifer była chyba rozczarowana.

– No cóż, sama nie pójde. – Wtedy zwróciła się do mnie: – A może ty? Może ty masz ochotę mi towarzyszyć?

Nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz tańczyłam. Wiedziałam, że nawet wtedy było to przypadkowe płużanie, takie jak na ślubnych przyjęciach po wypiciu jednego kieliszka za duzo.

– Nie umiem tańczyć, a tanga to już w ogóle.

– Uczyłam się kiedyś na kursie tańca towarzyskiego, ale chyba nie pamiętam kroków – odparła Jennifer. – Ale przecież możemy popatrzeć. Co ty na to?

Wzruszyłam ramionami.

– No może. Zobaczymy, w jakiej kondycji będę po wycieczce.

Następny przystanek zrobiliśmy w restauracji o nazwie All' Arco, zdecydowanie bardziej tradycyjnej niż poprzednia. W oknach wisiały krochmalone białe zasłony, a wewnątrz mogło pomieścić zaledwie kilka marmurowych ław, na których stawiało się talerz albo kieliszek. Za barem stali ojciec z synem, podobni do siebie jak dwie krople wody, tyle że jeden miał siwe włosy i lekko zarysowany brzusek.

Valentina znów zaczęła opowiadać o sławie, jaką cieszy się to *bacaro*. Twierdziła, że wielu szefów kuchni z zagranicy szuka tu inspiracji.

– Naprawdę? Nigdy o tym lokalu nie słyszałam – powiedziałam, podejrzewając ją o przesadę.

Nic mnie tak nie denerwuje, jak snobistyczne podejście do kuchni, a zwłaszcza szum wokół restauracji, które cieszą się złą lub dobrą sławą bez związku z jakością serwowanych posiłków. Sława szefów kuchni to, moim zdaniem, nonsens, o gwiazdkach Michelin, kuchni molekularnej i potrawach, które celowo wyglądają zupełnie inaczej niż powinny, nawet nie będę wspominać.

Rzuciłam okiem na *cicchetti* wystawione na barze. Dostrzegłam

pośród nich standardowe crostini z peklowanymi wędlinami, grillowanymi warzywami, serem lub rybą, białe szparagi w paskach pancetty, faszerowane i smażone kwiaty cukinii i owoce morza z grilla... Nic nadzwyczajnego.

Valentina ponownie zamówiła wino, tym razem schłodzone musujące, czerwone raboso. Zawsze je lubiłam. Kiedyś zastanawiałam się, czy nie wprowadzić go do oferty Little Italy, ale Federico uznał, że nikt nie będzie nim zainteresowany. Już po pierwszym łyku pomyślałam, że nie należało go słuchać. Trunek był wyborny.

Frederico był, co prawda, kelnerem, ale zasięgałam jego opinii nie tylko w sprawach związanych z funkcjonowaniem sali. Liczyłam się z jego zdaniem w kwestiach związanych z kartą win, a niekiedy również z doborem dań do menu dnia. Przemawiał przez niego mój ojciec. Tak długo razem pracowali, że Federico zawsze wiedział, co na dany temat miałby do powiedzenia Beppi. Życzliwości i dobrych intencji absolutnie nie można mu było odmówić, ale po kolejnym łyku raboso pożałowałam, że akurat w tym wypadku nie posłuchałam własnej intuicji.

Dopijając wino, zauważyłam, że po drugiej stronie baru Jennifer ćwiczy kroki taneczne. Wychylając lekko kieliszek, który trzymała w dłoni, niebezpiecznie zbliżała się do dwóch starszych Włochów pochłoniętych konsumpcją grillowanych warzyw.

– W tangu liczy się przede wszystkim praca nóg – wykrzyknęła do mnie, wyginając plecy w łuk i ponownie je prostując. Po chwili dodała niepewnie: – Chociaż nie wiem, czy to nie dotyczyło fokstrota. Liczę na to, że na miejscu wszystko sobie przypomnę.

– Nawet jeśli z tobą pójdę, to nie zamierzam tańczyć – zapowiedziałam jej.

Być może dobroczynny wpływ miało towarzystwo i nowe znajomości, ale jedzenie w tym *bacaro* smakowało lepiej, niż się spodziewałam. Zostało przyrządzone ze świeżych składników, dobranych w przemyślany sposób. Crostini przykrywała warstwa miękkiej gorgonzoli albo wędzonej gęsiej piersi. Do degustacji przewidziano smażone rybki, ośmiorniczki doprawione solą i cytryną, grillowaną mątwę i marynowane anchois.

Gdy raczyliśmy się tymi przysmakami, Valentina kontynuowała

swoją tyradę:

– Aldo i jego syn Pietro spędzają w tym *bacaro* więcej czasu niż w domu. Tak to zresztą na ogół wygląda w wypadku rodzinnych lokali. To coś więcej niż bary, to miejsca skupiające małą społeczność. Każdego dnia pojawiają się tu ci sami znajomi i sąsiedzi. Jedzą coś, piją wino i rozmawiają.

– Okoliczni mieszkańcy muszą mieć turystów po dziurki w nosie – powiedziałam.

– Przywykliśmy do gości – odrzekła swobodnie Valentina.

– Przecież nas są miliony, a was zaledwie garstka.

– Tak, to prawda – przytaknęła. – Niektórym przeszkadzają statki wycieczkowe i turyści, którzy wpadają tu tylko na jeden dzień, a to z obawy przed tym, że zadepczą miasto albo zamieni się ono w Disneyland. Moim zdaniem nie ma sensu się tym martwić. Wenecja istnieje od wieków i przetrwa.

Rozglądałam się wokół. Dwóch mężczyzn kończyło posiłek i zbierało się do wyjścia. Poza właścicielem i jego synem wszyscy inni wyglądali na turystów.

– Urodziła się tu pani? – zapytałam Valentinę.

– Tak, pochodzę z rodziny szklarzy z Murano. Prowadzimy małe muzeum. Jeśli zostaje pani na kilka dni, zachęcam do wizyty. Tu mam wizytówkę, proszę. – Sięgnęła do torby.

– Czyli cała pani rodzina żyje z turystyki? – dociekałam.

– Chyba tak można powiedzieć. – Podała mi błyszczącą wizytówkę ze zdjęciem niebieskiej wazy.

– Odpowiada to pani? Jest pani szczęśliwa? – padło z moich ust.

Valentina wydawała się zaskoczona tym pytaniem.

– Wenecja jest piękna, a ja mogę tu mieszkać. Dlaczego miałoby mnie to smucić?

Wyglądała na młodszą ode mnie, chyba nie miała jeszcze trzydziestki. Nie nosiła obrączki, domyślałam się więc, że jej życie ciągle jeszcze pozostaje pełne możliwości. Niewykluczone, że za kilka lat zacznie powątpiewać w to, czy atrakcyjne otoczenie wystarcza do szczęścia.

– Dziękuję – powiedziałam, chowając wizytówkę do kieszeni. –

Jeśli dotrę na Murano, na pewno tam zajrzę.

Następne *bacaro*, do którego nas zaprowadziła, znajdowało się zaledwie kilka kroków w górę *calle*. Był to mroczny lokal wykończony drewnem, wedle naszej przewodniczki słynący z klopsików.

Przyrządzano je tu między innymi według klasycznego przepisu, czyli z drobno mielonego mięsa cielęcego, obtoczonego w bułce tartej i smażonego, ale również w wersji z pikantnym sosem pomidorowym albo na bazie drobno siekanego tuńczyka z dodatkiem dużej ilości ziół. Czerwone wino nalane z gąsiora nie smakowało najlepiej, ale i tak wypiałam cały kieliszek i nie odmówiłam dolewki. Zdażyłam się już odprężyć.

W ostatnim z odwiedzonych barów jedliśmy *fondi di carciofo*, czyli szarozieloną dolną część karczocha, przyciętą i namoczoną w oliwie z oliwek z dodatkiem czosnku, oraz szaszłyki z malutkimi słodkimi krewetkami.

Wkrótce potem Valentina zaczęła znacząco spoglądać na zegarek.

– Mogę zostać jeszcze pięć, dziesięć minut, a potem muszę was opuścić – powiedziała. – Jeśli macie mapy, mogę pokazać jeszcze kilka innych lokali, które warto odwiedzić.

Inni mnie ubiegli, więc znalazłam wąską ławeczkę, na której mogłam jeszcze na chwilę przysiąść z winem i poczekać.

Gdy nadeszła moja kolej, Valentina już tylko nagryzmoła kilka nazw, po czym oddała mi mapę.

– Koniecznie proszę odwiedzić księgarnię Acqua Alta. To wyjątkowe miejsce – powiedziała, po czym pożegnała się i wyszła z baru. Jej lśniący czarny warkocz powiewał w rytm szybkiego kroku. Nie wiem, dokąd zmierzała, ale wyraźnie się spieszyła.

– Może zostaniemy tu na jeszcze jednego drinka? – zaproponowała Jennifer.

– A nie lepiej byłoby się cofnąć i zafundować sobie jeszcze jedną butelkę raboso, tego musującego czerwonego wina, które piliśmy do owoców morza? – zgłosiłam inny pomysł.

Nowożeńcy mieli inne plany, a starsza para uznała, że nie będzie już pić. W pomniejszonym składzie podjęliśmy wysiłek cofnięcia się i jak można się było spodziewać, w którymś miejscu skręciliśmy nie w tę

stronę i zgubiliśmy drogę. Na domiar złego, nikt nie pamiętał, jak nazywa się bar, którego szukaliśmy.

– Al Babbo – zgadywała Jennifer.

– Nie, to było poprzednie miejsce, z klopsikami – powiedziałam.

– Tak, rzeczywiście. Ale może gdyby udało nam się je znaleźć, trafilibyśmy również do poprzedniego. Dzieliło je nie więcej niż sto metrów.

Jakiś czas krążyliśmy w tę i z powrotem. Prawie doszliśmy do wniosku, że nic z tego nie będzie, gdy zza kolejnego zakrętu wyłonił się poszukiwany przez nas bar. Panował tam teraz znacznie większy tłok niż wcześniej. Pośród szumu rozmów weneccjan i zapachu smażonego jedzenia klienci wylewali się przez drzwi na ulicę.

– Za dużo ludzi, nie uda nam się przecisnąć do baru – powiedział Matt.

– Mnie się uda, zapewniam! – oświadczyłam.

Akurat z tym nie mam problemu, w barze zawsze sobie poradzę. Może zwracam na siebie uwagę wyglądem, a może po prostu umiem się przepychać, w każdym razie zawsze potrafię dopiąć swego. To moja supermoc. Tutaj nie było to szczególnie trudne. Ledwie bowiem wbiłam się w tłum i ruszyłam w kierunku lady, dostrzegłam przed sobą znajomą czerwoną chustkę zawiązaną wokół czarnych loków.

– Hej! Angelo, dobrze pamiętam? Może mnie pan przepuścić?

Odwrocił się, żeby zrobić mi trochę miejsca.

– Signora – powiedział uprzejmie.

– Byłam wcześniej w pańskim barze, z Valentiną i jej wycieczką – przypomniałam mu się.

– A tak, oczywiście... Wielbicielka *mantecato*! Wzięła pani drugą porcję.

– Bardzo mi smakowało.

– A teraz chce się pani napić, ale o tej porze panuje tu straszliwy zamęt. Pani pozwoli, że pomogę. Pietro! Aldo! – zawołał. – Mam tu bardzo spragnioną panią. Musicie się o nią czym prędzej zatroszczyć.

Pietro wykrzyknął coś, co chyba miało wyrażać niezadowolenie. Mówił jednak szybko, na dodatek w weneckim dialekcie, więc go nie zrozumiałam. Pośród gromkiego śmiechu i kolejnych okrzyków

otworzył butelkę raboso, czemu towarzyszyło lekkie psyknięcie. Postawił wino na tacy wraz z kilkoma kieliszkami.

Angelo nalegał, że pomoże mi wydostać się na zewnątrz, szedł więc za mną, niosąc pełną tacę. Pozostali ucieszyli się na jego widok, a Jennifer w szczególności. Być może chciała połączyć podróż do Wenecji z przelotnym romanssem? Jeśli tak, to czekało ją rozczarowanie. Angelo był rzeczywiście czarujący, nalał nam wino i zgodził się wypić z nami kieliszek, ale nie zwracał najmniejszej uwagi na Jennifer. Interesował się – o ile w ogóle można tak powiedzieć – tylko mną.

Mężczyźni zawsze mnie lubili. Może brzmi to arogancko, ale taka jest prawda. Nie sędzę, żeby sprawiał to mój wygląd. Ważę dziesięć kilogramów za dużo, nigdy nie udaje mi się zapanować nad burzą loków na głowie i na pewno nie jestem tak elegancka, jak moja siostra Pieta. Raczej chodzi o to, że w towarzystwie mężczyzn czuję się swobodnie i oni potrafią to docenić. Eden powiedziałby, że flirtuję, że zabiegam o podziw i że coś się we mnie zmienia, gdy ktoś okazuje mi zainteresowanie, ale on jest po prostu zazdrosny. Czasami widzę, jak rzuca mi znaczące spojrzenie z drugiego końca pokoju tylko dlatego, że poprosiłam jakiegoś faceta o ogień albo jego zdaniem stoję za blisko. Może faktycznie trochę flirtuję. Dzięki temu jednak moje życie nabiera smaku, a ja się lepiej bawię. Każdy tego potrzebuje od czasu do czasu. Nigdy nie pozwoliłabym, żeby wynikło z tego coś więcej.

W każdym razie Edena nie było ze mną, nie mógł więc robić krzywych min, a ja mogłam spokojnie pogawędzić z Anżelem tak długo, jak tylko chciałam.

– Kiedy zaczął pan przygodę z tańcem towarzyskim? – zapytałam.

– Nie z tańcem towarzyskim, tylko z taniem argentyńskim – poprawił mnie.

– Czy to nie to samo?

Zaprzeczył głową.

– W żadnym razie. To dwa zupełnie różne światy.

– Tango jest bardzo namiętne, prawda? – wtrąciła Jennifer.

– Namiętne? – Angelo wzruszył ramionami. – Jeśli ktoś chce, żeby było, to jest.

– Rozumiem, że pan to widzi inaczej – stwierdziłam.

– Dla mnie tango to uczucie, więź, coś głębokiego. – Wypowiadając te słowa, utkwiał we mnie spojrzenie swoich czekoladowobrązowych oczu. – Taniec zmienia. Niech pani przyjdzie dzisiaj wieczorem na Campo San Giacomo dell’Orio i popatrzy, jak tańczymy. Może wtedy pani zrozumie.

– Brzmi to bardzo romantycznie – znowu wtrąciła się Jennifer. Angelo spojrzał na nią.

– Tango może mieć różne oblicza – powiedział poważnie. – Musiałaby pani sama się przekonać, czym będzie dla pani.

Wyobrażałam sobie, jak usiłuję tańczyć i potykam się o własne nogi albo depczę mu po palcach.

– Dla mnie byłoby zapewne głównie upokorzeniem. Musiałabym sporo wypić, żeby w ogóle spróbować.

– Kobieta w tangu musi być giętka, musi poruszać się z gracją. Wino raczej by w tym nie pomogło. – Już się uśmiechał.

– Naprawdę? – zapytałam zaczepnie. – Zawsze myślałam, że wino pomaga we wszystkim.

Nic nie sprawia Edenowi takiej przyjemności jak krytykowanie mnie za stosunek do picia. Lubi zwracać mi uwagę, że mam z tym problem, chociaż to bzdura. Czasami rzeczywiście zdarza mi się wypić trochę na koniec dnia, ale nigdy się nie upijam. W trakcie wieczoru zdarza mi się osiągnąć taki stan, że zaczynam się potykać, ale wtedy przestaję pić... a przynajmniej zaczynam się ograniczać.

Mój mąż zadowala się zimnym piwem, lub dwoma, w piątek po pracy. Uważa, że też tak powinnam. Alkohol to jedna z rzeczy, o które się kłócimy. Nie cierpię, gdy mnie obserwuje i liczy mi kieliszki. Owszem, wino pomaga mi się odprężyć. Owszem, otwieram butelkę zaraz po powrocie z restauracji do domu. Owszem, czekam na ten moment cały dzień. Zawsze mu jednak powtarzam, że nie ma w tym nic złego. Mnóstwo ludzi tak robi.

Jennifer i pozostali wlewali w siebie kolejne kieliszki wina z taką samą swobodą i w takim samym tempie jak ja. Wszyscy dobrze się bawiliśmy.

Na Campo San Giacomo dell’Orio wyruszałam w znakomitym nastroju. Amerykanin Matt postanowił nam towarzyszyć, szłam więc

między nim a Angelem, trzymając ich pod ręce. Wreszcie ogarnął mnie wakacyjny nastrój.

Mieliśmy przed sobą drogę nieco dłuższą, niż się spodziewałam. Nie mogłam liczyć na to, że uda mi się zapamiętać trasę, by potem nią wrócić, ale nie przejmowałam się tym. Znalazłam nowych przyjaciół, miałam okazję dobrze zjeść i się napić, a teraz szłam na imprezę. Nie potrafiłam przewidzieć, o której godzinie ten wieczór się skończy, i nie miałam zamiaru się tym martwić. Nie musiałam później nigdzie iść, a na mojej liście rzeczy do zrobienia znajdowała się tylko dobra zabawa. Aż mi się kręciło w głowie od tego nagłego przyływu wolności.

Rozdział 5

Na *campo* dotarliśmy po zmierzchu. Muzyka już grała i kilka par tańczyło. Usiadłam z Jennifer na ławce w pobliżu niewielkiej kępki zieleni. Jeszcze raz przypomniałam wszystkim, że przyszedłam tylko popatrzeć. Angelo roześmiał się i wyraził nadzieję, że rzeczywiście tak będzie.

Sam od razu podszedł do bardzo ładnej ciemnowłosej dziewczyny. Ich taniec był piękny i niewątpliwie namiętny, a jednocześnie pełny emocji i jakby smutku. Zaczęli powoli, potem muzyka przyspieszyła, a oni wraz z nią. Pary tańczące w pobliżu robiły w porównaniu z nimi dość dziwne wrażenie.

Światło coraz bardziej przygasało. Ktoś podał mi kieliszek z prosecco, ale ja dłuższy czas nie mogłam oderwać wzroku od Angela i jego partnerki. Czy oni to ćwiczyli? A jeśli nie, skąd wiedzieli, kiedy przesuwać się do przodu i do tyłu, kiedy się odwrócić?

Tango bardzo mi się spodobało. Żałowałam, że nie potrafię go tańczyć. Nie miałam jednak najmniejszych wątpliwości, że moje stopy nie poradziłyby sobie z wykonywaniem starannych kroków, a ciało na pewno nie wyginałoby się swobodnie. Nie miałam właściwej postawy i brakowało mi poczucia równowagi.

– Zamierzasz spróbować? – zapytałam Jennifer, która nadal siedziała obok mnie na ławce, chyba równie zachwycona.

– Chciałabym, ale...

– To chyba skomplikowane, co? – zauważył Matt, który stał nad nami i sącył piwo z butelki.

– Mówiłaś, że kiedyś tańczyłaś – przypomniałam Jennifer.

– Nie tak. Nie chciałam się ośmieszyć. Nie, chyba tylko chwilę popatrzę.

Angelo i jego partnerka zrobili sobie kilka przerw, od czasu do czasu upijali łyk wody, głównie jednak tańczyli z niesłabnącą energią i zapałem. Gdy muzyka grała wolno, ich ruchy przepełniało uczucie. Ich

taniec stawał się w pełni fascynujący dopiero wtedy, gdy poruszali się do szybkich, jakby pospiesznych rytmów. Do takiej muzyki ewentualnie mogłabym zatańczyć.

Było już późno, gdy wśród zgromadzonych dostrzegłam Valentine. Stała z boku i przyglądała się tańczącym. Zdążyła się przebrać, teraz miała buty na wysokim obcasie i fioletową spódnicę nad kolano. Na chwilę odwróciłam wzrok, a gdy ponownie na nią spojrzałam, zobaczyłam ją przy mężczyźnie ubranym na czarno. Inne pary przesunęły się, żeby zrobić im miejsce.

Nawet niewprawnym okiem potrafiłam dostrzec, że tańczyli inny rodzaj tanga – bardziej seksowne, ale też bardziej agresywne. Zwarli się w uścisku, jakby toczyli ze sobą bitwę. Ona unosiła nogę, jakby zamierzała wykonać wykop, a potem zahaczała ją wokół ud partnera. On mocnym ruchem popychał ją do obrotu.

Angelo początkowo w ogóle nie spoglądał w jej stronę. Zastanawiałam się, czy w ogóle ją zauważył. Potem jednak opuścił ramiona i odsunął się od swojej partnerki. Było zbyt ciemno, żebym mogła dostrzec wyraz jego twarzy, ale postawa ciała sugerowała gniew. Stał kilka chwil z ramionami zwieszonymi wzdłuż boków, po czym ruszył w kierunku Valentiny.

Wydarzyła się rzecz zaskakująca. Valentina nagle znalazła się w objęciach dwóch mężczyzn. Odwróciła się najpierw do Angela, a następnie do swojego pierwszego partnera – i po chwili tańczyli we trójkę, kręcąc się wokół siebie w rytm muzyki. Mężczyźni przekazywali sobie Valentine z rąk do rąk, czasami agresywnie, niekiedy unosząc ją przy tym nad ziemię. Przysuwali się do siebie na tyle blisko, że ich ciała mogły się zetknąć. Było to niesamowite widowisko, a jednocześnie tak intymne, że aż dziwnie się na nie patrzyło.

– O mój Boże, nigdy w życiu nie widziałam nic równie seksownego – powiedziała cicho Jennifer.

Gdy muzyka w końcu zwolniła, Valentina zatrzymała się i wyrzuciła w górę ręce, jakby chciała tym gestem powiedzieć: dość! Angelo dotknął jej ramienia, lecz ona odtrąciła jego dłoń. Nadal przyglądała im się spora grupka ludzi, ona jednak nie zatrzymała się, by z kimkolwiek zamienić choćby słowo, tylko precyzyjnie przecisnęła się przez tłum

i zniknęła w ciemności.

Ja również uznałam, że pora wracać do domu. Schyliłam się, żeby sięgnąć po torbę i... w tym momencie dostrzegłam starszą kobietę, która tańczyła w kręgu światła rzucanego przez jedną z ulicznych latarni. Nie mogłam uwierzyć, że tu przyszła. W ramionach siwego mężczyzny wyglądała niezwykle błogo. Miała na głowie pomarańczowy turban, którego barwa współgrała z koralowym odcieniem szminki. Jej partner świetnie prowadził.

Matt zdążył się ulotnić, a Jennifer szukała chyba kogoś, kto by zechciał jej pokazać kilka podstawowych kroków. Siedziałam teraz na ławce sama. Ta starsza kobieta bardzo mnie intrygowała. Chciałam popatrzeć, jak tańczy, choćby przez chwilę. Aby było mi nieco wygodniej, rozłożyłam się na twardych drewnianych deskach i wykorzystałam torebkę w charakterze poduszki.

Kobieta i jej partner byli zdecydowanie najstarszymi tancerzami i poruszali się wyraźnie mniej swobodnie, nie wykonywali efektownych wykopów ani podniesień. Po kilku minutach doszłam do wniosku, że ich taniec sprowadza się do powtarzania w kółko paru kroków. To było tango w wersji umiarkowanej, w ich ruchach widać było jednak dumę i tłum obserwatorów często oklaskiwał tę parę. Leżąc, patrzyłam, a scena ta zaczęła nabierać cech snu.

Najwyraźniej w końcu powieki mi się zamknęły, bo gdy otworzyłam oczy, muzyka już nie grała, tancerze się rozeszli, a świat wokół mnie pogrążał się w brudnej szarości wczesnego poranka. Czym prędzej włożyłam rękę do torby, po chwili jednak stwierdziłam z ulgą, że żaden kieszonkowiec nie zainteresował się moimi pieniędzmi. Ramiona mnie bolały i szyja mi ścierpła, a do tego przemarzłam na kość. Jak długo tu leżałam?

– *Buongiorno*. – Zaskoczył mnie kobiecy głos.

Starsza kobieta siedziała na krańcu ławki przy moich stopach. Oczy miała rozmazane, a spod turbanu tu i ówdzie wysunęły się pasma siwych włosów.

– Czy już jest rano? – zapytałam po włosku.

Skinęła potakująco głową.

– Przespałam tu całą noc?

– *Si, signora.*

Powoli usiadłam. Nic dziwnego, że czułam się fatalnie.

– Powinna pani napić się gorącej kawy. Zaprowadzę panią do dobrego miejsca niedaleko stąd. – Kobieta z wdziękiem zsunęła się z ławki i wstała.

– Tak, kawa – zgodziłam się, zastanawiając się, czy siedziała przy mnie całą noc.

Musiało być bardzo wcześnie, bo wokół nas nie było żywej duszy. Nie chciało mi się wierzyć, że o tej porze coś będzie otwarte, ale wstałam i poszłam za nią. Teraz, gdy nie ciągnęła torby i u jej nóg nie kręciły się pieski, starsza kobieta poruszała się zaskakująco sprawnie. Wyprzedzała mnie o trzy kroki, wskazując drogę krętymi *calli*.

Pokonałyśmy kilka mostków, zatrzymując się po drodze tylko raz, przed szybą wystawową. Moja towarzyszka postanowiła pokazać mi czerwony szklany naszyjnik, w którym jej zdaniem dobrze bym wyglądała.

– Brakuje pani koloru – powiedziała, zerkając na mnie.

– Być może, ale może najpierw kawa, dobrze?

Powoli traciłam nadzieję, że cokolwiek z tego wyjdzie, gdy za rogiem, nad samym kanałem ukazała się mała *pasticceria*. W oknie stały półmiski z marcepanowymi owocami w krzykliwych kolorach, w środku zaś przewidziano wyłącznie miejsca stojące. Przy barze zgromadziło się już kilka osób, które postanowiły zatrzymać się na espresso lub dwa przed rozpoczęciem pracy. Ustawiliśmy się za nimi. Starsza kobieta spojrzała w lustro wiszące na ścianie w głębi i najpierw poprawiła wszystkie pasemka, które wyzwoliły się spod turbanu, a dopiero później złożyła zamówienie.

Ja poprosiłam dodatkowo o brioszkę z kremem angielskim i dużą szklankę wody.

– Tak w ogóle to mam na imię Addolorata. Wiele osób mówi do mnie po prostu Dolly – powiedziałam, gdy czekałyśmy na zamówienie.

– Jestem Coco, miło mi cię poznać – odpowiedziała po angielsku z lekkim amerykańskim akcentem.

– Dziękuję, że zostałeś ze mną przez całą noc.

– Chciałam cię obudzić, ale Silvio stwierdził, że powinniśmy dać ci chwilę pospać. Wieczór był uroczy, tańczyliśmy i rozmawialiśmy,

a potem on poszedł, a ja też na chwilę przysnęłam... i nagle zrobiło się rano.

Mówiła szybko i śpiewnie, raz po raz przechodząc z angielskiego na włoski i z powrotem. Musiałam się bardzo skupić, żeby za nią nadążyć.

– Kto to jest Silvio?

– Mój znajomy... Mój partner do tańca.

– Ach, tak. Przyglądałam się, jak tańczycie, zanim zasnęłam.

Świetnie się prezentowaliście.

Wzruszyła ramionami.

– No tak, tak, oczywiście.

– Często przychodzicie na *campo* potańczyć?

– Latem co wtorek wieczorem, chociaż Silvio ma kłopoty z kolanem i nie tańczy już tak jak kiedyś. W środy tańczę z Marcellem na schodach kościoła Santa Maria della Salute, a w niedzielę jest milonga na tarasie *palazzo*. Tam chodzę na zmianę raz z jednym, raz z drugim z nich. Taniec to jedna z moich pasji.

– Trudno ci się dziwić – powiedziałam. – Wczoraj na *campo* podziwiałam taniec pewnego kucharza, Angela. Coś niesamowitego. Na koniec tańczyli we trójkę: on, przewodniczka, która ma na imię Valentina, i jeszcze jakiś mężczyzna.

Coco zmarszczyła nos.

– Znam ich. Też to widziałam.

– Ty też tak kiedyś tańczyłaś?

Potrząsnęła głową.

– Ta dziewczyna, Valentina, zdaje się mówić: patrz na mnie.

Tańczy tango, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Nie lubisz jej? – Ten mały świat, który właśnie poznałam, zaczynał mnie coraz bardziej fascynować.

– Nie podoba mi się sposób, w jaki tańczy.

– Moim zdaniem to było bardzo namiętne.

– To było nieszczerze i na pokaz – stwierdziła pogardliwie Coco. – Mój Silvio to zupełnie co innego. W jego tańcu nie ma nic na pokaz. On nie myśli o tym, jak wygląda. Myśli tylko o mnie, o kobiecie, którą trzyma w ramionach.

Pojawiła się nasza kawa i Coco przez chwilę poświęciła jej całą swoją uwagę. Z małego dzbanuszka dołała sobie do espresso kilka kropel spienionego mleka.

Wgryzłam się w bułkę. Była jeszcze ciepła, lekka i oprószona drobnym cukrem.

– Mmm, pycha! Chyba skuszę się na jeszcze jedną.

– Nie mogę za długo zostać – oznajmiła Coco. – Moje pieski całą noc siedziały same w mieszkaniu.

– Oczywiście.

Coco najwyraźniej usłyszała w moim głosie rozczarowanie, bo spojrzała na mnie i powiedziała:

– Jeśli spodobało ci się tango, to koniecznie przyjdź dzisiaj do Santa Maria della Salute. Wybieram się tam. – Podmuchała lekko na kawę, po czym wypła ją kilkoma łykami. – Proponuję, żebyś przyszła w butach na obcasie i ładnej spódniczce. Może powinnaś się cofnąć i kupić naszyjnik, który ci pokazałam.

Problem z wieczorami przy drinku polega na tym, że następnego dnia nic się nie chce. Z bólem głowy sobie radzę, podobnie z suchością w ustach, skręcaniem w żołądku i spuchniętymi powiekami. Nawet mdłości mi nie przeszkadzają. Nie cierpię natomiast kiepskiego nastroju, który mi wtedy towarzyszy.

W domu zawsze jest coś do zrobienia, nie mam więc czasu, by rozczulać się nad sobą. Wypijam colę albo dwie, jem coś tłustego i ruszam do boju, czy mi się to podoba, czy nie. Tutaj miałam przed sobą cały dzień i żadnych planów, dlatego nie potrafiłam uciec przed tym stanem rozbicia. Oczywiście sama byłam sobie winna, ale od takich wymówek czułam się tylko gorzej.

Coco poszła, a ja wypłałam jeszcze jedną kawę, po czym wyszłam na ulicę z zamiarem odnalezienia drogi do hotelu. Uznałam, że wezmę ze dwie tabletki przeciwbólowe i położę się na chwilę w łóżku, a gdy się trochę prześpię, może jeszcze uda się uratować dzień.

Poranek był chłodny, nisko nad ziemią wisiały ciemne chmury. W każdej chwili mogło zacząć padać. Ucieszyłam się, gdy się okazało, że wcale nie mam przed sobą aż tak długiej drogi. Zrezygnowałam ze śledzenia mapy, kierując się po prostu na najbliższy przystanek

vaporetto. Stamtąd bez większego problemu odnalazłam trasę do hotelu. Stwierdziłam, że chyba zacznym się orientować w topografii Wenecji.

Zaraz po wejściu do pokoju wzięłam paracetamol. Postałam dziesięć minut pod prysznicem, a potem wysłałam SMS-y na dzień dobry do Edena i Katii, po czym rzuciłam się na łóżko.

Gdy zamknęłam powieki, przed oczami stanęły mi obrazy z poprzedniego wieczoru: dzikie i emocjonujące tango, pięknie zbudowane ciała i głośny puls muzyki.

Nie pamiętam, czy śniło mi się tango, ale to o nim pomyślałam zaraz po przebudzeniu. Nie czułam się jeszcze na siłach, żeby wstać z łóżka, leżałam więc jeszcze jakiś czas, co chwila przysypiając. W wyobraźni widziałam na suficie tancerzy, którzy lekko i swobodnie kręcili się wokół pęknięć i zakurzonego żyrandola.

W końcu z łóżka wyciągnęła mnie myśl o jedzeniu. Miałam ochotę na coś smażonego w głębokim tłuszczu, najlepiej w dużych ilościach. Pomyślałam też, że potem mogłabym skorzystać z rady Coco i udać się na zakupy. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz kupiłam sobie jakiś nowy ciuch. Chodziłam zwykle ubrana na czarno, rzadko zadawałam sobie trud dopełnienia stroju biżuterią lub apaszką. Przyszło mi na myśl, że być może w mojej walizce nie znalazłoby się nic, co kobieta taka jak Coco uznałaby za dostatecznie eleganckie.

Wciągnęłam na siebie elastyczne spodnie i włożyłam krótką koszulkę. Zawiązałam trampki i chwyciłam kurtkę. Na dworze było dość ponuro. Bruk lśnił od deszczu, a nad kanałami unosiła się mgła. Spodziewałam się, że z powodu wilgoci potańcówka na schodach prowadzących do kościoła Santa Maria della Salute tego wieczoru może się nie odbyć, mimo wszystko postanowiłam udać się tam.

Właśnie weszłam na Strada Nuova, gdy telefon poinformował mnie o nadejściu wiadomości. Od Piety. *Cześć, mam nadzieję, że dobrze się bawisz. Muszę z tobą porozmawiać. Kiedy mogę zadzwonić?*

U mnie wszystko w porządku. Właśnie idę coś zjeść. Możesz dzwonić, kiedy chcesz, odpisałam.

Świetnie. Zadzwonię po południu, przyszła odpowiedź.

Przeszło mi przez myśl, że może coś jest nie tak, uznałam jednak, że Pieta po prostu chce się dowiedzieć, co u mnie słychać. Może się

martwi, że czuję się samotna. Miała rację, bo gdy leżałam w łóżku, tęskniłam za Edenem i za uroczymi chwilami, gdy Katia postanowiła się do mnie przytulić. Brakowało mi rytmu normalnego życia i towarzyszącej mu pewności. Tutaj nie było pracy, nie było znajomych, nie było listy rzeczy do zrobienia. Brak czegokolwiek, co sprowadzałoby mnie na ziemię, wydawał się odrobinę niepokojący, lecz wreszcie zaczęłam rozsmakowywać się w przygodzie. Zamierzałam opowiedzieć Piecie o tym, że poprzedniego wieczoru świetnie się bawiłam – nie musiałam jej okłamywać, niemniej postanowiłam nie wspominać, że do hotelu wróciłam dopiero rano.

Na lunch zjadłam trzy rodzaje klopsików i talerz *bigoli in salsa*. Nie chciałam zamawiać makaronu, ale gdy zobaczyłam kelnera z pełnoziarnistym spaghetti oblepionym oliwą z oliwek i posypanym drobno siekaną smażoną cebulą oraz anchois, nie mogłam się powstrzymać. Nie był to lekki posiłek, gdy więc wytarłam talerz do sucha kawałkiem chleba, żołądek miałam stanowczo zbyt pełny, żeby kupować ubrania. W związku z tym postanowiłam pospacerować i popatrzeć na wystawy sklepów.

Zanim skończyłam jeść, mgła się przerzedziła. Gdzieś dało się nawet dostrzec pasmo błękitnego nieba. Postanowiłam za wszelką cenę unikać gwarnej, turystycznej Strada Nuova, ruszyłam więc w nieznanym kierunku i szybko zginęłam w labiryncie *calli*. W pewnym momencie wyszłam na szeroki plac, nad którym górował kościół. Poza tym znajdował się tam pomnik człowieka na koniu oraz kilka ulicznych kawiarni. Spojrzałam na mapę i ustaliłam, że trafiłam na Campo Santi Giovanni e Paolo, gdzie mieściła się księgarnia, którą Valentina oznaczyła jako obowiązkowy punkt zwiedzania miasta.

Już miałam wejść do środka, gdy zadzwonił telefon. Usiadłam przy stoliku w jednej z kawiarni i odebrałam.

– Cześć, Dolly! – powitała mnie entuzjastycznie siostra. – Jak ci się tam żyje?

– Świetnie, naprawdę świetnie. Siedzę właśnie w kawiarni przed niesamowitym starym kościołem. Zaraz zamówię kawę.

– Czyli wypoczywasz... A co jeszcze porabiasz?

– Może cię to zdziwi, ale tutaj mnóstwo ludzi tańczy tango.

Nawiązałam znajomość z kilkoma tancerzami.

Owszem, przesadzałam, ale tak mam.

– Tango? To chyba hiszpański taniec albo południowoamerykański, co? Dlaczego tańczy się go w Wenecji? – zapytała.

– Okazuje się, że tango tańczy się wszędzie, tyle że tego nie zauważamy. W Wenecji w ciepłe wieczory tańczy się na dworze, na placach. To niesamowite.

– Ależ ci zazdroszczę! A tutaj leje jak z cebra, a ja nie mam czasu na nic poza pracą.

– Pewnie nie miałaś okazji zajrzeć do Little Italy, co? – Restauracja musiała sobie poradzić beze mnie zaledwie przez kilka dni, ale i tak się niepokoiłam.

– Właśnie w tej sprawie dzwonię. – Entuzjazm w jej głosie jakby osłabł.

– Co się stało?

– Nic takiego, nie martw się. Chciałam ci tylko powiedzieć, że ojciec wrócił.

– Co to znaczy wrócił?

Zrobiło mi się nagle przykro. Przypomniałam sobie, jak dziwnie Frederico rozmawiał ze mną przez telefon i ten śmiech, który wydawał mi się znajomy. To musiał być mój ojciec, bo któżby inny...

– Chcesz powiedzieć, że wrócił do Little Italy? – naciskałam. – Przeczytał recenzję Guya Rochestera? Wrócił, żeby ratować sytuację czy coś w tym stylu?

– Spokojnie, Dolly! On nie ma zamiaru przejmować sterów. Chciał po prostu pomóc.

– Daj spokój. Pewnie już zmienił menu, co?

– Nie, chyba nie. Może dorzucił kilka nowych dań specjalnych, ale to chyba wszystko.

– Cholera jasna! Powinnam czym prędzej wracać!

– Nie, nie wracaj – powiedziała szybko moja siostra. – Kilka dni nie zrobi różnicy. Poza tym on się chyba dobrze bawi. Od lat nie był taki energiczny. Niech sobie poszefuje do końca twoich wakacji, a potem, jeśli zechcesz, spuścisz z niego trochę powietrza.

Wyobrażałam sobie ojca w mojej kuchni: jak głośno wytyka wszystkie wprowadzone przeze mnie zmiany, jak krytykuje mój personel. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby do mojego powrotu połowa z nich zdecydowała się rzucić pracę. Problem polegał na tym, że Little Italy to dzieło jego życia. Teoretycznie przekazał mi restaurację, ale tak naprawdę nigdy się z nią nie pożegnał. Teraz na nowo przeżywa stare czasy, chociaż Pieta zapewne słusznie zakłada, że stara się pomóc. Nie mogłabym mu powiedzieć, że jest tam niemile widziany. Sprawiałabym mu ogromną przykrość.

– Mama też wróciła? – zapytałam siostrę.

– Tak, zatrzymali się u mnie, bo swoje mieszkanie wynajęli. Eden i Katia przychodzą jutro wieczorem na kolację. To będzie dość dziwne, że wszyscy będziemy razem, ale bez ciebie.

– Zadzwoń – obiecałam.

– Mam nadzieję, że nie popsulam ci wakacji. – W głosie Piety pobrzmiwała obawa.

Rozejrzałam się po szerokim *campo*. Turyści płynęli równą stróżką od strony mostu do kościoła, kelnerzy zwinnie przemykali się między stolikami ulicznych kawiarni, a słońce przedzierało się przez chmury. W domu musiałabym teraz toczyć z ojcem milczącą wojnę o kontrolę nad Little Italy, tutaj więc na pewno było mi lepiej.

– Nie, nie ma sprawy. Dobrze, że mi powiedziałaś, co się dzieje. Gdybyś tylko mogła dopilnować, żeby nie przesadził. Wiesz, jaki on jest.

– Nie martw się. Rozmawiałam z Frederikiem. Wszyscy go pilnują. Gdy wrócisz, na pewno znowu się wycofa w cień.

– Być może...

– Tymczasem spróbuj dobrze się bawić, dobrze?

– Tak jest.

– Kończę już. Mam mnóstwo rzeczy do zrobienia. Kocham cię, Dolly!

– Jasne, ja też cię kocham.

Po zakończeniu rozmowy postanowiłam posiedzieć jeszcze chwilę w kawiarni. Wypiłam kawę i zjadłam kilka ciasteczek z cukrem, chociaż nie byłam głodna. Wpatrując się w przestrzeń przed sobą, rozmyślałam o całym chaosie, który przez lata wkradł się do mojego życia.

Kto zna mojego ojca, ten wie, że to człowiek jednocześnie skrajnie irytujący i niesamowicie urokliwy. Niektórzy twierdzą, że jesteśmy do siebie podobni i dlatego tak często się ścieramy. Uważam, że tak naprawdę wiele nas różni.

Ojciec jest pod pewnymi względami twardszy, pod innymi łagodniejszy niż ja. Robi dużo hałasu i często podnosi głos, ma wyrobione zdanie na każdy temat i – podobnie jak większość Włochów ze swojego pokolenia – przywiązuje dużą wagę do szacunku. Nic go tak nie irytuje jak jego brak, szczególnie gdy nie okazują mu go jego córki.

Zdarzyło mi się sprzeciwiać jego woli. Nie chciał, żebym tak szybko rezygnowała z nauki. Nie chciał, żebym wychodziła za Edena. W domu wybuchały karczemne awantury, ojciec głośno krzyczał, aż w końcu matka się wtrącała i wtedy spuszczał z tonu. Na szczęście ojciec potrafi zapomnieć urazy. Niestety tej cechy po nim nie odziedziczyłam.

Ma również większe serce niż ja. Wykazuje troskę o rzeczy, o których większość ludzi w ogóle nie myśli. Oczywiście nie jest święty, popełniał w życiu błędy i skrzywdził niektórych ludzi, ale jemu nie da się nie wybaczyć.

Tak więc teraz był w Little Italy i wypełniał przestrzeń swoim donośnym głosem i kategorycznymi opiniami. Wbrew przekonaniu wyrażonemu przez Pietę raczej nie należało się spodziewać, żeby miał w najbliższym czasie wracać do swoich dotychczasowych zajęć. Zapewne zacytuje mi fragment recenzji Guya Rochestera, wytknie mi pustki w kalendarzu rezerwacji i rzuci kilka nazwisk stałych klientów, którzy już do nas nie przychodzą. A wszystko to oczywiście zrobi tylko dlatego, że się o mnie troszczy... że chce dla nas jak najlepiej.

Nie powie mi, że nie poradziłam sobie z prowadzeniem jego restauracji, ale pewnie tak właśnie myśli. Najgorsze, że zabraknie mi argumentów, by odeprzeć te zarzuty – nie po tym, gdy krytyk kulinarny potwierdził jego opinię. Koniec z walką o wprowadzenie do menu nowych dań, koniec z oczekiwaniem, że ktoś wysłucha mojej opinii. Little Italy znowu będzie jego restauracją... ale może tak właśnie powinno być.

Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym większą czułam ulgę, że

mnie tam nie ma. Wiedziałam, że prędzej czy później będę musiała stawić czoło rzeczywistości – ale to będzie dopiero za jakiś czas. W najlepszym razie mogłam liczyć na to, że jeśli trochę się wstrzymam, jeśli dam ojcu szansę, by przez chwilę samodzielnie pokierował restauracją, to sam dojdzie do wniosku, że nie ma już sił pracować tak intensywnie jak kiedyś albo że mama zainterweniuje i każe mu zwolnić obroty. Niemniej nie wiązałam zbyt dużych nadziei z takim możliwym scenariuszem, skoro – jak twierdzi Pieta – ojciec bawi się dobrze.

Było już dobrze po południu, gdy udało mi się znaleźć księgarnię Acqua Alta. Prowizoryczny szyld i kilka stojaków z pocztówkami nie zapowiadały niczego specjalnego. Pachniało stęchlizną, wzdłuż wejścia stało kilka półek z nowymi książkami, a środek wypełniała stara gondola, z której wysypały się błyszczące okładki przewodników po Wenecji w różnych językach.

Im głębiej wchodziłam, tym bardziej niechlujne, a jednocześnie bardziej romantyczne wydawało się wnętrze sklepu. Krążąc po labiryncie małych pomieszczeń, napotkałam drewniane łódki, beczki i wanny, w których zalegały sfatygowane powieści. Obok literatury dotyczącej sztuk pięknych leżały na stercie stare gazety. W niektórych pomieszczeniach ledwie można było się ruszyć. Alejki prowadziły pośród chwiejących się stosów książek. Zakurzone świeczniki konkurowały o przestrzeń ze starymi maszynami do pisania, zza których wyzierały czarne koty. W pewnym momencie trafiłam na dziedziniec, na którym znajdowały się schody zbudowane z rozkładających się w milczeniu skórzanych woluminów. Na tyłach sklepu znajdowały się drzwi, które otwierały się na kanał. Mleczna zielona woda z pluskiem rozbijała się o stopnie.

Większość książek była po włosku i chociaż mówię w tym języku na tyle dobrze, że potrafię się porozumieć, z czytaniem idzie mi ciężko, więc nie miałam co kupić. Mimo to księgarnia zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Takie miejsce może istnieć chyba tylko w Wenecji.

To sklep, w którym aż chce się zgubić. Można się tam natknąć na rzeczy, o których się nie wiedziało, że warto je mieć, ale też na książki z ciekawą historią. Większość z nich ma sfatygowane okładki i pożółkłe strony. Pomarszczone grzbiety, pozaginane rogi, marginesy pełne

odręcznych notatek. Skąd się wzięły te wszystkie książki? Czy ktokolwiek rzeczywiście je kupuje? Nigdzie nie zauważyłam ekspedienta, nie wspominając o kasie.

W końcu znalazłam miejsce, gdzie można było dokonać zakupu. Znajdowało się w rogu, w pobliżu wejścia do sklepu. Ku mojemu zaskoczeniu za ladą stała dziewczyna, którą znałam. Ciemne włosy miała związane w gruby warkocz i przewieszane przez ramię. Spod gęstej grzywki spoglądały brązowe oczy.

– Valentina?

Jej wzrok sugerował, że mnie nie rozpoznała.

– Addolorata – próbowałam się przypomnieć. – Wczoraj wieczorem brałam udział w kulinarnej wycieczce.

– Ach, tak.

Nadal chyba mnie nie rozpoznawała.

– Zaznaczyła mi pani to miejsce na mapie, ale nie wspomniała pani, że tu pracuje.

– Warto tu zajrzeć, prawda? Chce pani coś kupić? Powieści po angielsku znajdzie pani tam. – Wskazała półkę przy drzwiach, na której stały nowe książki. – Gdyby miała pani ochotę przeczytać coś, co się rozgrywa tutaj, mamy kilka pozycji autorstwa Donny Leon. Mamy też oczywiście w ofercie przewodniki: z trasami wycieczek, restauracjami godnymi polecenia, streszczeniem historycznym, a nawet historiami o duchach. Wybór jest duży.

– Widziałam panią też wczoraj wieczorem, jak tańczyła pani z Angelem i tym drugim mężczyzną – powiedziałam.

– Czyli jednak skusiła się pani na milongę. – Najwyraźniej jednak mnie rozpoznała.

– Tak, to był bardzo udany wieczór. Byliście niesamowici.

Skinęła głową i wskazała ręką na półki z książkami po angielsku.

– Donna Leon powinna się pani spodobać. To kryminały, ale bezkrwawe.

Ostatecznie kupiłam notatnik w ładnej oprawie, dwie powieści i kilka pocztówek. Wszystko pachniało stęchlizną charakterystyczną dla tego sklepu. Przyjmując ode mnie gotówkę, Valentina okazała mi nieco więcej życzliwości niż chwilę wcześniej. Zdobyła się nawet na uśmiech.

– Może znów się zobaczymy dziś wieczorem – powiedziałam.
– Dziś wieczorem, a niby dlaczego? – Sprawiała wrażenie zaskoczonej.
– Nie idzie pani tańczyć do Santa Maria della Salute?
– Ach, tak. Środowe milongi... Nie, raczej mnie tam nie będzie.
Mam inne plany – wyjaśniła krótko, po czym zwróciła się do kolejnej klientki, również cudzoziemki, która przyniosła do kasy kilka książek i pocztówek.

W drodze powrotnej do hotelu musiałam przedzierać się przez kolejne fale turystów ciągnących w przeciwnym kierunku. Łatwo mogłam sobie wyobrazić, jak czują się weneccjanie, którzy tu mieszkają i usiłują normalnie żyć. Nic dziwnego, że w *vaporetto* chowają się za gazetami, a w *bacari* odwracają się do nas plecami. Trudno ich winić za to, że się na nas zamykają. Prawdopodobnie w żaden inny sposób nie mogliby sobie poradzić z taką inwazją.

Przyjazne nastawienie Coco należało więc tłumaczyć tym, że jest ekscentryczna, a może po prostu szalona. Zastanawiałam się, czy ma w zwyczaju zaczepiać turystów i udzielać im rad dotyczących makijażu, strojów czy fryzury. Gdyby takie uwagi padły z ust kogoś innego, można by je śmiało uznać za przejaw impertynencji, starsza pani miała jednak w sobie tyle uroku, że nie sposób było się na nią obrazić. Miałam nadzieję, że jeszcze ją spotkam. Pomyślałam też, że jeśli uda mi się znaleźć tamten mały sklep, to być może wykosztuję się na czerwony szklany naszyjnik, w którym jej zdaniem byłoby mi do twarzy.

Rozdział 6

Od przyjazdu do Wenecji czekałam na telefon od Edena, a tymczasem nasza komunikacja ograniczyła się do kilku zdawkowych SMS-ów. Jeszcze się nie zdarzyło, nawet wtedy, gdy nam się nie układało, żebyśmy nie rozmawiali ze sobą przez cały dzień. Pobiłam też swój życiowy rekord, jeśli chodzi o przerwę w kontakcie z córką. W drodze do hotelu zatrzymałam się więc w jednym z barów, zamówiłam aperol spritz i wybrałam numer do domu.

Usłyszałam sygnał wybierania numeru, potem kliknięcie i własny głos, który polecał dzwoniącemu pozostawić krótką wiadomość. Nie zdziwiło mnie to. Eden nie odbierał telefonu, jeśli akurat bolały go plecy, a do aparatu miał daleko. Rozłączyłam się więc i ponownie wybrałam domowy numer. Powtórzyłam to jeszcze kilkakrotnie, aż w końcu Eden podniósł słuchawkę.

– Dolly, co ty wyprawiasz? – spytał poirytowany.

– Wiedziałam, że jesteś w domu – wyjaśniłam.

– Tak, ale przecież wiesz, że tego nie znoszę. Nie mogłaś po prostu zostawić wiadomości jak normalny człowiek? Nie mogłaś poprosić, żebym do ciebie oddzwonił?

– Chciałam porozmawiać z tobą teraz – powiedziałam, przekonana o słuszności tego, co robię.

– Cóż takiego pilnego chcesz mi powiedzieć?

– Właściwie to nic – przyznałam. – Dzwonię, żeby się dowiedzieć, jak sobie radzicie z Katią.

– Pisałem do ciebie rano. Myślisz, że od tamtej pory coś się zmieniło?

– Nie, ale chciałam usłyszeć twój głos. Katii też. Wróciła już?

– Nie – padła krótka odpowiedź.

– Szkoda, że nie mogłaś pojechać ze mną na wakacje.

– Szkoda, że wielu rzeczy nie mogę robić.

Ostatnio nie miałam zbyt dużo współczucia dla Edena i jego problemów z plecami. Odkąd znajdowałam się wiele kilometrów od domu, przychodziło mi to łatwiej.

– Masz kiepski dzień? Nadal żadnej poprawy? Nawet odrobinę?

– Ciągłe mnie o to pytasz. Przecież nic się nie poprawi z dnia na dzień tylko dlatego, że bardzo byś tego chciała – powiedział szorstko.

– Eden, nie bądź taki... Dzwonię, bo się za tobą stęskniłam.

Pomyślałam, że może ty też się stęskniłeś.

Nic nie powiedział. Kelner właśnie przyniósł mi drinka, więc ściszyłam głos.

– Nie tęsknisz za mną?

W słuchawce słyszałam tylko jego oddech.

– Eden?

– O Boże, Dolly, przepraszam – powiedział z ogromnym smutkiem.

Głośno przełknęłam ślinę.

– Za co? Co zrobiłeś?

– Za to, że nie jestem taki, jak byś chciała.

Znowu ogarnął mnie szaleńczy strach, który czułam podczas naszej ostatniej kłótni.

– O czym ty mówisz? Przecież jesteś!

– Nie, nigdy nie byłem, nie tak naprawdę. Twój ojciec miał rację, nie powinniśmy brać ślubu.

– Jego do tego nie mieszajmy. Na pewno sobie poradzimy, prawda? Porozmawiamy, gdy wrócę.

– Dolly... – zaczął z niepewnością. – Skoro o tym mowa... Moim zdaniem po powrocie nie powinnaś przyjeżdżać do domu...

– Co takiego?

– Mieszkanie nad Little Italy stoi puste, prawda? Wiem, że macie tam magazyn i biuro, ale łóżko i cała reszta ciągle tam stoją?

– Chciałbyś, żebym tam zamieszkała? – Nie wierzyłam własnym uszom.

– Tak – powiedział krótko.

– A Katia?

– Zostanie ze mną, chociaż oczywiście będziesz mogła widywać

się z nią, kiedy tylko będziesz chciała.

– Widzę, że wszystko przemyślałaś... Już podjęłaś decyzję? –
W moim głosie pobrzmiwał gniew.

– O niczym innym właściwie nie myślę – oświadczył spokojnie Eden. – Chciałbym też, żebyś wiedziała, że podchodzę do tego bardzo poważnie.

Teraz to ja zamilkłam. Miałam mu tyle do powiedzenia, ale nie znajdowałam słów.

– Dolly?

– Co? – zapytałam oschle.

– Chciałbym, żebyś zdawała sobie sprawę, że to nie jest rozwiązanie tylko na jakiś czas – wyjaśnił łagodnie.

W tym momencie zakończyłam rozmowę. Wyłączyłam telefon i położyłam go obok koktajlu. Przez kilka minut wpatrywałam się i w jedno, i w drugie. Potem opróżniłam kieliszek i gestem poprosiłam kelnera o następny. Eden nie mógł mówić poważnie. Widocznie wybrałam zły moment. Plecy pewnie bardzo mu dokuczały i po prostu się na mnie wyżył. Tak sobie powtarzałam.

Gdy piłam drugiego spritza, narastał we mnie niepokój. A jeśli kogoś poznał? Wydawało mi się to mało prawdopodobne, zważywszy na stan jego pleców, ale nie można było tego wykluczyć. W żaden inny sposób nie potrafiłam wyjaśnić jego zachowania.

Od razu pożałowałam wyjazdu. Przecież mówiłam Piecie, że to zły pomysł. Namówiła mnie i proszę, jak to się skończyło. Teraz muszę wracać do domu i wszystko naprawić, zanim będzie za późno. Jakieś miejsce w samolocie na pewno się znajdzie, w ostateczności mogę jechać Eurostarem. Tak zamierzałam zrobić.

Ale tego nie zrobiłam. Siedziałam dalej przed pustym kieliszkiem, w którym zostały topniejące kostki lodu i pestka z oliwki. A gdy pojawiła się koło mnie kelnerka, skinieniem głowy dałam jej znać, że chętnie wypiję kolejnego drinka.

Najbardziej przerażało mnie to, że potrafiłam dokładnie wyobrazić sobie życie, które Eden dla mnie zaplanował. Oczami wyobraźni widziałam, jak przenoszę się do mieszkania nad restauracją, zabierając ze sobą tylko walizkę z ubraniami, jak pracuję coraz dłużej, coraz

bardziej oddalając się od córki, aż w końcu dochodzi do tego, że nie mamy sobie już nic do powiedzenia i dowiaduję się, że mój mąż spotyka się z inną kobietą.

Rozwody i separacje się zdarzają, i to bardzo często, niemniej wydawało mi się, że nas to nie dotyczy. Owszem, często się kłóciliśmy, było między nami sporo żalu i pretensji, czasami spaliśmy odwróteni do siebie plecami. Nasz związek niewątpliwie stracił pierwotny blask, jak to się zwykle dzieje po latach. Pewnie faktycznie ciężko ze mną wytrzymać, ale to, co się działo teraz... na pewno nie było moją winą. To wszystko przez kontuzję Edena. Gdyby kumple nie namówili go na ten głupi wyjazd snowboardowy, żylibyśmy teraz normalnie, nie byłoby idealnie, ale wystarczająco dobrze. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Zrezygnowałam z aperolu na rzecz wina, ale ono też nie pomagało. Mój świat nadal był boleśnie wyrazisty. Miałam pretensje do Edena, do ojca, a nawet do Piety. Jako moja rodzina powinni mnie przecież wspierać, nie zaś komplikować mi życie. Nie zasłużyłam na to wszystko.

Przed oczami zobaczyłam taką scenę: stoję z Edenem na stopniach kościoła Świętego Piotra w przepiękny jesienny dzień, a przyjaciele obsypują nas konfetti. Pamiętam uczucie ulgi, że wreszcie jesteśmy małżeństwem, że nasza przyszłość została już przesądzona. Tymczasem mój mąż postanowił zakończyć nasze małżeństwo. Uznał, że lepiej będzie mu się żyło beze mnie.

Pragnęłam tylko uciec od tego. Chciałam zasnąć na długo, zrobić sobie przerwę od samej siebie. Sącząc wino, próbowałam zebrać się w sobie, ale nic mi z tego nie wychodziło.

W barze pojawiały się nowe pary: starsze, młodsze, jedne w objęciach i z uśmiechem, inne poważniejsze – wszyscy jednak zdawali się prowadzić zupełnie normalne życie. Ja byłam sama i zapowiadało się, że odtąd tak to będzie wyglądać.

Zapłaciłam rachunek, wzięłam książki i ruszyłam w stronę hotelu. Nagle się zatrzymałam. O czym ja myślę? Przecież nie chcę godzinami leżeć w pokoju i wpatrywać się w sufit. W takich chwilach człowiek potrzebuje towarzystwa, przyjaciela pełnego współczucia lub po prostu kogoś, z kim mógłby spędzić czas. Dłużej bym nie wytrzymała z tą swoją samotnością. Nie byłam do niej stworzona. W końcu zaczęło to do

mnie docierać.

Problem polegał na tym, że wszyscy moi znajomi byli bardzo daleko, zapewne pochłonięci różnymi swoimi sprawami, w całej Wenecji zaś jakiegokolwiek zainteresowanie moją osobą wykazywała tylko dziwaczna starsza pani. Decyzja zapadła! Lepiej ona niż nikt.

Wsiadłam do *vaporetto*, które w ślimaczym tempie miało mnie przewieźć na przystanek Salute. Płynęło po Canale Grande zygzakiem, pośród pastelowych fasad pałaców i pod łukami mostków. Co chwila zatrzymywało się, by wypuścić i wpuścić na pokład pasażerów. Na Wenecję trzeba mieć odpowiedni nastrój, mnie chwilowo go brakowało. Chciałam jak najszybciej dotrzeć do Santa Maria della Salute i popatrzeć na tango w towarzystwie rzeszy innych ludzi. Liczyłam na to, że pośród tłumu dostrzegę przyjazną twarz.

Niebo powoli się przejaśniało, a chociaż wieczór nie należał do najcieplejszych, przed wejściem do kościoła kilka osób tańczyło już w najlepsze. Rozpoznałam wśród nich jedną parę z poprzedniego wieczoru, nigdzie natomiast nie mogłam wypatrzeć Coco. Miałam cichą nadzieję, że nie poczuła się zmęczona i pogoda jej nie zniechęciła, no i że partner jej nie zawiódł. Nigdy wcześniej nie czułam się taka samotna. Znalazłam miejsce, w którym mogłam usiąść, żeby się spokojnie przyglądać.

Tancerze wybrali bardzo romantyczne miejsce. Nad naszymi głowami wznosiły się barokowe łuki starego kościoła, w dole zaś pluskała woda. Gdy zapadł zmrok, gondole i taksówki wodne przeistoczyły się w świetliste punkciki. Ktoś podkręcił nieco muzykę.

Wtedy pojawiła się Coco. We włosy miała wpięte pióra, które unosiły się i opadały, gdy wspinała się ze swoim partnerem po schodach. Dziś towarzyszył jej inny mężczyzna. Miejsce Silvia zajął niższy i bardziej wytworny pan z wąsem, który wyglądał, jakby był powleczony woskiem, i z włosami, które czarną barwę musiały zawdzięczać farbie. Coco przypominała Cyganekę. Miała na sobie szeroką spódnicę i srebrne sandały. Pióra zamocowała we włosach spinkami z diamentami, usta zaś pociągnęła karmazynową szminką. Skinęła do mnie głową, ale nie zatrzymała się, żeby się przywitać. Domyśliłam się, że chce czym prędzej dotrzeć na górę i w ramionach partnera pomknąć po kamiennej

posadzce, że chce się znów popisywać zaskakującą jak na swój wiek zwinnością.

Dzisiaj tańczyła szybsze tango niż poprzedniego dnia, w jej ruchach było więcej życia i zalotności. Partner podtrzymywał ją z wielką starannością. Pomyślałam, że pewnie tańczą razem już od dawna.

Wstałam i przesunęłam się nieco bliżej. Dołączyłam do niewielkiej grupy gapiów kręcących się po schodach. W stojącym obok mnie siwowłosym mężczyźnie rozpoznałam Silvia.

– Pan dzisiaj nie tańczy? – zapytałam po włosku.

Odwrócił się i spojrzał na mnie tak, jakby mnie rozpoznał.

– Nie, dzisiaj nie, signora. Środa to dzień Marcella.

– Nie mógłby pan zatańczyć z kimś innym? – dociekałam.

– Tańczę z Coco. – Utkwił w niej wzrok i zdawał się bardzo uważnie ją obserwować. – Zawsze tańczę z Coco na Campo San Giacomo dell’Orio.

– A zimą albo gdy jest zimno i pada? – dopytywałam.

– Zawsze znajdzie się jakieś miejsce: *palazzo*, stary kościół, hotel. Jak pani widzi, dużo miejsca nam nie potrzeba. Wiele lat temu, gdy milongi nie były jeszcze tak popularne, zdarzało nam się z Coco tańczyć tango na mostach, jeśli akurat naszła nas na to ochota. Tańczyliśmy nawet na placu Świętego Marka. Byliśmy z tego znani. Oczywiście to było, zanim pojawił się Marcello. Wtedy byliśmy tylko ona i ja. – W jego głosie pobrzmiwał żal.

– Mówiła, że ma pan chore kolano – przypomniałam sobie.

– Tak, kolano, bark, biodro. Wszystko mnie boli. No ale czegoż można oczekiwać w moim wieku? Prawda jest taka, że choćbym bardzo chciał, to nie mógłbym już tańczyć co wieczór. I właśnie dlatego muszę się nią dzielić.

Silvio był rozżalony, ale mnie wydało się urocze, że dwóch starszych mężczyzn tak bardzo zabiega o uwagę Coco.

– Signora, czy pani tańczy? – zapytał.

– Ja? Ależ nie, nie potrafię. Proszę mi wierzyć, nie byłoby ze mnie pożytku.

Wyciągnął rękę w zapraszającym geście.

– Coco powiedziała, że jeśli pojawi się pani dziś wieczorem,

powiniennem pokazać pani kilka podstawowych kroków.

– To bardzo miłe z pana strony, ale ja naprawdę nie...

Spojrzałam na Coco. Tańczyła w milczeniu, lekko się uśmiechając. Byłam zaskoczona tym, że w ogóle o mnie pomyślała. Przecież byłam tylko jednym z wielu milionów turystów.

– Naprawdę tak powiedziała?

– Tak, oczywiście. Chyba panią lubi. To pani pomogła jej z zakupami, prawda? Może teraz ona chce pomóc pani.

Nadal się wahałam, ale Silvio postanowił nie czekać dłużej. Chwycił mnie za rękę i pociągnął w stronę tancerzy.

– No dobrze – zgodziłam się bez przekonania.

Starszy pan wziął mnie w ramiona i położył moją rękę na swoim ramieniu.

– To pani pierwszy raz, więc zaczniemy od podstawowych kroków – powiedział. – Niech pani po prostu idzie za mną.

Zgodnie z przewidywaniami radziłam sobie fatalnie, Silvio jednak zdawał się nic sobie z tego nie robić.

– Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem – liczył cierpliwie, przesuwając mnie po kamieniach. – Proszę słuchać muzyki, signora.

Napięłam wszystkie mięśnie i kurczowo trzymałam się starszego pana w obawie, że zaraz nadepnę mu na nogę i oboje wylądujemy na ziemi.

– Nie za bardzo mi wychodzi, prawda?

– Nie jest tak źle – zapewnił. – Proszę spróbować jeszcze raz.

Niech pani nie tańczy. Proszę po prostu iść.

Nie zauważyłam żadnej poprawy. Chodziliśmy w tę i z powrotem przed wejściem do bazyliki, a ja cały czas czułam się pokracznie. Nasza wersja tańca diametralnie różniła się od tego, co robili inni, a mimo to, gdy Coco w pewnym momencie przemknęła obok nas, usłyszałam od niej słowa zachęty.

– *Brava, signora, brava!* – zawołała.

Tak bardzo się koncentrowałam na tańcu, że nie byłam w stanie myśleć o niczym innym. Silvio prowadził mnie to w przód, to w tył, a ja przestałam zwracać uwagę na otoczenie, przestałam myśleć o chaosie

panującym w moim życiu i niemalże zupełnie zapomniałam o tym, że znajduję się w Wenecji. Nie istniało nic oprócz muzyki i moich nieporadnych kroków. Zupełnie niewykluczone, że po pewnym czasie moje kroki stały się mniej niezdarne, a i mocny chwyt mojej dłoni opartej na ramieniu Silvia nieco zelżał. Tak czy owak, poczułam ulgę, gdy stwierdził, że wystarczy.

– Jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy się czegoś napić? – zapytałam.

– Mam wodę mineralną. – Wskazał gestem torbę leżącą na schodach. – Chętnie się z panią podzielę.

– Dziękuję, ale miałam na myśli coś mocniejszego.

– Woda podziała na panią orzeźwiająco. Później, gdy już skończymy tańczyć, możemy wypić kieliszek prosecco albo dwa.

– To my jeszcze nie skończyliśmy?

– Ależ skąd. – Silvio zaprzeczył głową. – Zrobiliśmy tylko przerwę. Powinniśmy koniecznie jeszcze potańczyć, zanim wieczór się skończy.

Miałam trochę dosyć. Żałowałam, że tego powolnego procesu nauki nie da się pominąć, że nie mogę od razu zacząć tańczyć bez wysiłku jak inni ludzie.

– Chodzę tylko w tę i z powrotem – stwierdziłam. – To chyba nawet nie są kroki taneczne, prawda?

Silvio uśmiechnął się do mnie ze współczuciem.

– Tango nie jest łatwe, signora, ale akurat chodzenie stanowi jego bardzo ważny element. Od czegoś trzeba zacząć.

– A ile potrzeba czasu, żeby początkujący zaczął sobie dobrze radzić? – zastanawiałam się.

– Wszystko zależy od człowieka, od jego naturalnych uzdolnień i determinacji, przede wszystkim jednak od tego, jak bardzo mu zależy.

– A tamta para? – Wskazałam na dwoje ludzi, którzy tańczyli płynnie, ale nie wykonywali żadnych wyszukanych figur. – Ile potrzeba czasu, żeby tańczyć tak jak oni?

Silvio przyglądał im się chwilę.

– Do końca lata pewnie mogłaby się pani nauczyć... Gdyby brała pani lekcje, przychodziła na wszystkie milongi i dużo ćwiczyła.

- Nie mam całego lata. Muszę wracać do Londynu.
- Tam z pewnością znajdzie się ktoś, kto mógłby panią uczyć.

Milongi też się znajdują.

- Nigdy nie słyszałam, żeby gdzieś się odbywały.
- To nie znaczy, że się nie odbywają. – Silvio wyciągnął rękę. –

Jest pani gotowa? Idziemy tańczyć?

Żał mi było tego starszego człowieka, że musi się tak ze mną męczyć, zamiast tańczyć z partnerką, która zna się na rzeczy. Widziałam, że od czasu do czasu spogląda na Coco. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że chętnie by z nią zatańczył.

– Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem – odliczał z galanterią. – *Brava, signora, brava!*

Muzyka bardzo mi się podobała; była smutna, ale bezczelna, co dobrze oddawało mój nastrój. Żałowałam, że nie potrafię tańczyć do rytmu, ale taki już mój urok. W wyobraźni tańczyłam znakomicie, lecz moje ciało nie nadążało. Silvio mógł mnie zachęcać, ile chciał, nie wierzyłam, że byłabym w stanie zatańczyć ładnie tango nawet po dziesięciu letnich kursach, a cóż dopiero po jednym.

W końcu Coco podjęła za nas decyzję, że pora kończyć. Wyzwoliła się z objęć Marcella i uniosła rękę. Silvio natychmiast mnie puścił i ruszył w jej kierunku.

Przez chwilę dyskutowali nad tym, dokąd powinni się udać. Jasno dali mi do zrozumienia, że mam iść z nimi, zaproponowałam więc plac Świętego Marka. Pomyślałam, że można by posiedzieć w kawiarni i posłuchać jednej z orkiestr. Plac, mimo turystów, prezentuje się niezwykle urokliwie. Coco odrzuciła ten pomysł.

– Pójdziemy do Caffè Dodo – oświadczyła. – Gra tam dzisiaj zespół jazzowy. Może jeszcze zdążymy, zanim skończą występ.

– Popłyniemy *vaporetto* czy weźmiemy taksówkę wodną? – zapytałam.

– Marcello ma łódź – powiedziała Coco. – Wystarczy w niej miejsca dla nas wszystkich?

Pożałowałam Silvia jeszcze bardziej, gdy zobaczyłam, jaką łodzią przyплыł Marcello. Była piękna, długa i elegancko wykonana drewnem. Miała białe winylowe siedzenia i nawet niewielki baldachim,

pod którym można było schronić się przed deszczem. Stała zacumowana na kanale w pobliżu Santa Maria della Salute. Zdecydowanie wyróżniała się spośród motorówek, które tam stały.

Marcello skakał wokół Coco. Pomógł jej wejść na pokład, a gdy usiadła, objął ją ramieniem.

– Wygodnie? – zapytał.

– Tak, dziękuję ci, kochanie. – Uśmiechnęła się do niego. – Bardzo wygodnie.

Rzuciłam Silviowi współczujące spojrzenie, ale miał niewzruszoną minę. Gdy Marcello przesunął się w stronę steru, usiadł obok Coco i zaczął jej szeptać coś do ucha. Skinęła głową i uśmiechnęła się, żeby nie powiedzieć, że zachichotała jak dziewczyneczka. Teraz zrobiło mi się żal Marcella.

Ruszyliśmy Canale Grande. Na wodzie ciągle panował tłok. Motorówki i gondole przeciskały się we wszystkie strony. Być może obowiązywały tu zasady ruchu jak na drodze, na moje oko jednak wszyscy płynęli jak popadło. Marcello chyba szybciej niż inni, mącąc przy tym wodę. Przypuszczałam, że się popisuje.

– Obowiązuje tu ograniczenie prędkości? – zapytałam, obawiając się o los mniejszych łodzi, których w ogóle nie byłoby widać, gdyby nie miały świateł nawigacyjnych.

Coco postanowiła mnie uspokoić.

– Nie martw się, *cara*, mój Marcello jest naprawdę świetnym sternikiem. Zna kanał jak nikt inny. Kiedyś obsługiwał taksówkę wodną. Pływał nią wiele lat. Teraz już nie świadczy usług dla pasażerów, wozi tylko przyjaciół i zawsze o nas dba.

Marcello, wyraźnie zadowolony z siebie, przytaknął skinieniem głowy. Stał przy sterze, jedną ręką trzymając koło, drugą zaś gładząc długie pasma włosów rozwiewane przez wiatr. Ani na chwilę nie zwolnił, więc sunęliśmy już pod mostem Rialto. Gdy minęliśmy Ca' d'Oro, przyhamował trochę i wprowadził łódź do węższego kanału. Było tam spokojniej i ciemniej. Przestrzeń wypełniał jedynie szum silnika i plusk wody rozbijającej się o stare kamienne budowle.

Siedząc w łodzi, która sunęła kanałem, pomyślałam, że to czyste szaleństwo. Znalazłam się w Wenecji w towarzystwie trojga ludzi,

których dopiero co poznałam, a na dodatek nie mam pojęcia, dokąd mnie zabierają. Przyszło mi do głowy, że oto wróciła dawna Addolorata, która rzucała się w wir zdarzeń bez zastanowienia, jedynie z myślą o dobrej zabawie. Dawna ja raczej nie zdecydowałaby się spędzać czasu w towarzystwie siedemdziesięciolatków (coś mi mówiło, że Silvio może być nawet po osiemdziesiątce), ale ta myśl i tak podniosła mnie na duchu. Może jeszcze coś ze mnie będzie.

Gdy skręciliśmy w kolejny ciemny kanał, zaczęłam się zastanawiać, gdzie my, u licha, jesteśmy. Wydawało mi się, że do mojego hotelu jest stąd niedaleko, powątpiewałam jednak, czy uda mi się tam wrócić przed nastaniem poranka. Nie zastanawiałam się nad tym, co wydarzy się tej nocy. Dlaczego miałabym się wykazywać rozsądkiem? Robiłam tak wiele lat i co mi z tego przyszło?

W końcu dotarliśmy do ulicy, przy której znajdowało się kilka barów i restauracji, ciągle jeszcze otwartych i gwarnych. Marcello zacumował łódź przed Caffè Dodo, z której zgodnie z obietnicą Coco dobiegała muzyka. Jeden mężczyzna grał na kontrabasie, dwóch zaś na gitarach. Wokół nich kilka osób siedziało na taboretach, a inne przysłuchiwały się, stojąc na nabrzeżu.

Zaczęłam się zbierać do opuszczenia łodzi, ale nagle stwierdziłam, że pozostali się do tego nie kwapią. Marcello tylko zagwizdał na kelnera i uniósł cztery palce.

– Prosecco – zawołał.

– Podadzą nam drinki do łodzi? – zapytałam Coco.

– Tak, oczywiście. *Cicchetti* także, jeśli jesteś głodna.

Uświadomiłam sobie, że zapomniałam zjeść kolację. To do mnie niepodobne pominąć posiłek. Stres w połączeniu z popołudniowym piciem skutecznie wyparły z mojej głowy myśli o jedzeniu. Ale teraz miałam ochotę coś przekąsić.

– Tak, owszem. Chętnie bym się skusiła na *cicchetti*.

– Zapewne jesteś głodna po tangu – zauważyła Coco. – Sporo się namęczyłaś, ale tak to już jest za pierwszym razem. Gdy przyjdiesz na milongę w niedzielę, będziesz już wiedziała, jak zacząć, i pójdzie znacznie łatwiej.

– Nie będę mogła przyjść. W niedzielę wracam do domu –

powiedziałam. – Tak naprawdę to powinnam wracać wcześniej.

– Jaka szkoda, że nie zostajesz w Wenecji dłużej. Jesteś tu sama, a nie ze swoim... – Coco spojrzała na palec, na którym powinnam mieć obrączkę. – Nie z partnerem?

Mam obrączkę, Eden też. Ale ponieważ oboje pracujemy rękami, raczej ich nie nosimy. Leżą w górnej szufladzie w moim stoliku nocnym. Zawsze powtarzałam, że obrączka nie zagwarantuje nam wierności, jeśli sami tego nie zrobimy. Teraz nagle przyszło mi do głowy, że może źle myślałam.

– Tak, jestem sama – potwierdziłam. – Mój mąż został w Londynie z naszą córką.

Coco uniosła brwi, lecz nie zapytała o nic więcej.

– Gdybym miała tu spędzić jeszcze kilka dni, to jakie atrakcje byś polecała? Warto odwiedzić Murano?

Wzruszyła ramionami.

– Jeśli lubisz szkło – odparła.

– Burano?

– Jeśli lubisz koronki i budynki w jaskrawych kolorach.

– Lido?

– Naprawdę masz ochotę przedzierać się przez morze w taki upał?

– A co ty byś zrobiła?

– Na twoim miejscu poszłabym na zakupy.

– Na zakupy? – powtórzyłam.

Bacznie przyglądała się mojemu ubraniu. Miałam na sobie praktyczne elastyczne džinsy i płaskie buty, do tego workowatą dłuższą koszulkę. Mina Coco wyrażała całkowitą dezaprobatę.

– Jesteś młoda i ładna – powiedziała. – Możesz nosić absolutnie wszystko. Wytłumacz mi zatem, dlaczego wybierasz takie brzydkie, przygnębiające ubrania? Co myślałaś, ubierając się dzisiaj rano? Co myślałaś, kupując te rzeczy? Nie powinnaś nosić czegoś takiego.

– To wygodne ciuchy – tłumaczyłam się, nieco urażona.

– Nie wątpię.

– Dużo czasu spędzam na stojąco, dużo się krzątam. Nie mogę chodzić na obcasach i w krótkich spódniczkach – próbowałam się bronić.

– Nie zdarzają się w twoim życiu okazje, w których warto zadbać o wygląd?

– Mam kilka ładnych rzeczy, ale ich nie przywiozłam.

– Nie? A dlaczego?

– No bo...

Nie potrafiłam odpowiedzieć na to pytanie, tym bardziej że tak naprawdę nie miałam w szafie nic naprawdę fajnego. W pewnym momencie przestałam dbać o stroje. Musiałam przyznać Coco rację: moje ubrania były przygnębiające.

– Wybierałam się na zakupy dzisiaj rano, ale ostatecznie nic z tego nie wyszło – powiedziałam.

– A dokąd się wybierałaś?

– Do sklepów w okolicach placu Świętego Marka.

– Tam jest bardzo drogo. – Coco zrobiła zniesmaczoną minę. – Nie widzę sensu wydawania dużych pieniędzy na ubrania, które można kupić w każdym innym dużym mieście.

Do rozmowy włączył się Silvio.

– Może zabierzesz panią jutro na zakupy? Przecież dobrze się orientujesz, gdzie warto coś kupić.

Coco skromnie skinęła głową, wprawiając w lekkie drżenie pióra upięte we włosach.

– Myślę, że mogłabym jej pomóc. Nie mam żadnych planów na jutrzejszy poranek.

Zapewne powinnam była powiedzieć, że ja mam plany, że nie mogę dłużej zostać w Wenecji, że muszę wracać do rodziny, że muszę uporządkować swoje życie. Ale siedząc w motorówce Marcella, przy winie i muzyce jazzowej, znajdowałam się w bańce szczęścia. Nie potrafiłam znaleźć ani jednego argumentu, który przemawiałby za tym, żeby ją przebić i opuścić.

Powiedziałam sobie w duchu, że kilka dni więcej w Wenecji niczego nie zmieni między mną a Edenem. Nawet jeśli wrócę dopiero w niedzielę, ruiny mojego życia nadal będą na mnie czekać. Wtedy się nimi zajmę. Na razie odsunęłam od siebie wszelkie postanowienia o wcześniejszym powrocie do domu. Zdecydowałam, że następnego dnia idę na zakupy.

Rozdział 7

Znajomi zawsze obwiniają mnie o to, że mają kaca. Nie rozumiem dlaczego, ponieważ nikogo nie zmuszam do picia. Jeśli otwieram butelkę i proponuję odrobinę, to po prostu chcę być dobrym gospodarzem. Nigdy nie nalegam. Mimo to następnego dnia rano zaczynam odbierać SMS-y z pretensjami. Moi goście mają do mnie pretensje o ciasta, które zjedli, i litry coli, które pochłonęli. Zrzucają na mnie winę za nieprzespaną noc i konieczność zażycia paracetamolu. „Znowu mi to zrobiłaś, Dolly”, narzekają. „Jesteś zabójczą mieszanką wybuchową”.

Tymczasem starsi weneccjanie nie potrzebowali zachęty, by pić. Siedzieliśmy w łodzi Marcella, racząc się musującym trunkiem, jeszcze długo po tym, gdy zespół przestał grać. Moi towarzysze zaledwie skubnęli *cicchetti*. Wcale się więc nie zdziwiłam, gdy następnego dnia na umówionym śniadaniu Coco zaprezentowała mi inne oblicze niż dotychczas.

Byłam bardzo ciekawa, jakim strojem mnie zaskoczy. Jaskrawością swoich ubrań potrafiła rozświetlić każdy dzień. Tego ranka najwyraźniej poskromiła się aż do granic surowości. Miała na sobie wąskie spodnie i buty za kostkę, a do tego koszulę zapiętą pod szyję i długi sweter. Wszystko czarne. Oprócz stanowczo za dużych okularów, które zasłaniały jej pół twarzy, nie włożyła żadnych dodatków. Jedyнным przejawem dbałości o szyk była ciemnofioletowa szminka, chociaż w znacznej mierze pozostała na krawędzi filiżanki, z której Coco piła kawę.

– Kiepsko się czujesz? – zapytałam ze współczuciem, siadając obok niej przy długim kontuarze w kawiarni.

– Ależ skąd! – odparła oburzona. – Wypiliśmy przecież tylko kilka kieliszków i nie siedzieliśmy szczególnie długo. Gdy odstawiliśmy cię na miejsce, Marcello od razu zabrał mnie do domu. Spałam jak dziecko.

Zapamiętałam poprzedni wieczór zgoła inaczej, nie chciałam jednak się z nią spierać, powiedziałam więc tylko:

– Świetnie się bawiłam. Dziękuję za zaproszenie.

– Bardzo proszę – odparła z właściwym sobie wdziękiem. – Silvio ucieszył się, że miał okazję uczyć cię tańczyć. Chwalił cię.

– Nie wydaje mi się, żebym była dobrym uczniem, ale sprawiło mi to przyjemność.

Zamówiłam cappuccino i dwie brioski. Byłam głodna, poza tym czułam się zupełnie nieźle. Po wieczorze zakrapianym musującym alkoholem zazwyczaj budziłam się w środku nocy z sercem walącym jak młot, tym razem – mimo dużej ilości prosecco – spałam dość dobrze. Snu z powiek nie spędzały mi żadne myśli, które teoretycznie powinny mnie niepokoić.

– Czyli dziś idziemy na zakupy? – powiedziałam. – Nadal masz na to ochotę?

– Tak, oczywiście, że tak.

– Dokąd się wybieramy? – Spodziewałam się wędrówki po butikach ukrytych w zakamarkach miasta, do których nikt poza mieszkańcami Wenecji nie miałby szansy trafić.

– Zaczniemy od Strada Nuova – oznajmiła Coco.

– Naprawdę? Wydawało mi się, że tam są głównie sklepy dla turystów.

– Bynajmniej. Nie raz udało mi się kupić coś pięknego, ceny też bywają atrakcyjne. Niedawno widziałam na wystawie jednego ze sklepów niebieską letnią sukienkę, którą powinnaś przymierzyć.

– Dobrze, zdaję się na ciebie – powiedziałam. – Zwłaszcza jeśli ceny będą przyzwoite.

Bawiłam się świetnie podczas tych naszych wspólnych zakupów. Najpierw Coco oznajmiała nasze przybycie żywym okrzykiem: „Salve!”, i nierzadko witała się z właścicielem serdecznym pocałunkiem w oba policzki. Większość sklepikarzy cieszyła się na jej widok, mimo że Coco zdejmowała z wieszaków masę ubrań, przewracała sterty koszulek i zmuszała ich do niezłej bieganiny, bo ciągle trzeba jej było coś przynosić i pokazywać.

– Tak, tak, ta niebieska sukienka z wystawy. I ten zielony jedwabny top. I ten ładny biały, bawełniany z haftem. Wszystkie przymierzy – powiedziała ekspedientce w sklepie na Strada Nuova,

w którym wieszaki stały tak blisko siebie, że nigdy bym tam nie znalazła nic ciekawego. Coco miała oko do kolorów i fasonów, w ogóle do ładnych rzeczy. Potrafiła dojrzeć skarby, na które ja w ogóle nie zwróciłabym uwagi.

Gdybym tylko jej pozwoliła, weszłaby chyba za mną do malutkiej przebieralni (najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, ile miejsca zajmują moje biodra). Ostatecznie zadowolona się czekaniem za kotarą i co jakiś czas wsuwała rękę, podając mi kolejną rzecz do przymierzenia.

– Włóż to i wyjdź na środek, żebyś mogła zobaczyć – mówiła rozkazującym tonem.

Niebieska letnia sukienka została odrzucona, chociaż mnie się podobała. Moja towarzyszka przez moment rozważała natomiast zakup dwóch topów. Chwyciła materiał między kciuk a palec wskazujący, żeby dobrze go poczuć.

– Tak, są nawet ładne, ale przecież dopiero zaczynamy zakupy. Może gdzie indziej znajdziemy coś lepszego. Nie wiem... Może gdyby były tańsze.

Jak się okazało, ulubione słowo Coco brzmiało *sconti*. Absolutnie nie chciała kupować niczego, na co nie dostała zniżki, a przy tym uprawiała dość wyrafinowaną formę targowania się.

– Może byśmy to wzięły, gdybyśmy mogły liczyć na dziesięć euro rabatu. Albo dorzucimy dziesięć euro, a pani nam dołoży do zakupów tę sukienkę. To byłby najlepszy pomysł.

Sprzedawczyni, Azjatka w średnim wieku, potrząsnęła głową z wyraźnym żalem.

– Dziesięć euro? Nie, to za mało.

Coco ujęła w dłoń rąbek sukienki.

– Materiał jest taki cienki, że można by przez niego pluć.

– Niech będzie piętnaście euro – zaproponowała sprzedawczyni.

– Dziesięć – upierała się Coco. – Zapłacimy gotówką.

– Nie mogę.

Coco nie zamierzała się poddawać.

– Przecież ta sukienka wisi w oknie od tygodni. Znajdzie się na nią inny chętny?

Sprzedawczyni wyrzuciła ręce w powietrze i ostatecznie uległa.

– No dobrze, proszę pani – powiedziała, obniżając głos, mimo że poza nami nikogo w sklepie nie było. – Tylko proszę nikomu nie mówić. To jest cena tylko dla pani.

– Ależ dziękuję, kochana. Nie musi pani pakować. Wrzucę te rzeczy do torby – powiedziała radośnie Coco.

Gdy wyszłyśmy na ulicę, Coco nie kryła zadowolenia.

– Musisz pamiętać, Addolorato, że każde euro możesz wydać tylko raz. Pięć euro zaoszczędzone tutaj to pięć euro, które możesz przeznaczyć na coś innego, co chciałabyś mieć.

Byłam pełna podziwu dla jej filozofii. Pomyślałam o zestawieniu transakcji na karcie kredytowej, której nigdy nie udawało mi się spłacić, a także o zadłużeniu, które podczas mojego pobytu w Wenecji cały czas tylko rosło. Oczywiście nie mogło mnie to powstrzymać przed robieniem zakupów. Nie zamierzałam się tym przejmować.

Coco zabrała mnie do sklepu, który znajdował się w pobliżu targu rybnego Rialto. Był bardziej ekskluzywny. Tym razem chwilę się zastanawiała, zanim weszła do środka. Zajrzała najpierw przez witrynę, w której wyeksponowano jedwabne tuniki.

– Czy jest tam... taka blondynka? Cholera, jest! – Odwróciła się do mnie i powiedziała ostrzegawczym tonem: – Ta ekspedientka jest bardzo twarda. Będziemy miały szczęście, jeśli da nam dobre *sconto*.

Po czym otworzyła drzwi i, jak to ona, wkroczyła do sklepu.

– Salve, kochana! – zawołała, całując szybko oschłą sprzedawczynię w oba policzki. – Niesamowicie ciekawe rzeczy macie na wystawie. Mam na myśli te tuniki.

– A tak, są teraz bardzo modne – odparła kobieta. – Chce pani którąś przymierzyć?

– Nie, raczej nie – powiedziała bezceremonialnie Coco. – Bardziej interesuje mnie, co macie na wyprzedaży.

– Ofertę wyprzedażową znajdzie pani tam pod ścianą. Ceny są już ustalone, jak zwykle – zastrzegła sprzedawczyni. – Nic taniej nie sprzedam.

Coco nie poszła jednak we wskazanym kierunku.

– Chętnie obejrzymy lniane spodnie – oznajmiła. – Najlepiej białe. W rozmiarze mojej przyjaciółki, nie moim.

– Mam coś, co mogłoby się paniom spodobać, ale nie na wyprzedazy. Proszę chwilę poczekać, poszukam.

– Nie mogę nosić białych spodni – syknęłam do Coco, gdy ekspedientka zniknęła na zapleczu.

– Świetnie pasowałyby do tego, co właśnie kupiłaś – przekonywała Coco.

– Będę wyglądać grubo i zaraz je czymś poplamie. Poza tym w Londynie do niczego mi się nie przydadzą.

– Miałaś kiedyś białe spodnie?

– Nie – przyznałam.

– No to skąd wiesz, że by się nie przydały? – zapytała cierpliwie Coco.

Za spodnie zapłaciłam więcej niż za trzy rzeczy kupione wcześniej. Na twarzy Coco malował się wyraz bóleści, gdy podawałam sprzedawczyni kartę kredytową, twierdziła jednak, że to bardzo dobry zakup.

– Niedługo będziesz się zastanawiać, jak w ogóle mogłaś bez nich żyć – zarzekała się.

– Być może – przytaknęłam, ale tylko po to, żeby sprawić jej przyjemność.

Następnie poszliśmy do sklepu z bielizną, gdzie nabyliśmy beżowy stanik i majtki do białych spodni. Potem Coco przeciągnęła mnie po wąskich uliczkach i namówiła na wzorzyste ciuchy w stylu Pucciego i jaskrawe szaliki, na buty na koturnach, krótkie zalotne spódniczki, nowe okulary przeciwsłoneczne, kilka szklanych naszyjników i naręcze bransoletek.

Nigdy nie lubiłam robić zakupów (z wyjątkiem spożywczych), a mimo to grzecznie podążałam za Coco. Wydawałam pieniądze, których nie miałam, na rzeczy, których tak naprawdę nie potrzebowałam – i czerpałam z tego dużą radość. Czułam się, jakbym kupowała ubrania dla alternatywnej wersji siebie, dla bajkowej Addoloraty, która prowadzi życie równie kolorowe, co te nowe stroje.

Coco wydawała pieniądze bardziej powściągliwie. Ograniczyła się do koszuli w duże geometryczne wzory i jaskrawożółtego kapelusza przeciwsłonecznego z szerokim rondem. O obie rzeczy targowała się

z taką zapalczywością, że aż zaczęłam się zastanawiać, czy nie brakuje jej pieniędzy.

– Pozwól, że ja za to zapłacę – powiedziałam w sklepie, w którym znalazła kapelusz. – W ramach podziękowania za pomoc.

– Nie ma mowy – stwierdziła stanowczo.

– To może chociaż pozwolisz zaprosić się na lunch?

– Na lunch chętnie. Znam doskonałe miejsce.

Zabrała mnie do trattorii, w której rzekomo chętnie jadaliby gondolierzy. Rzeczywiście, w środku siedziało wielu mężczyzn w koszulkach w paski. Wszyscy jedli z dużym apetytem. Żadnego menu nie zauważyłam. Ledwie usiadłyśmy, na stoliku pojawił się koszyk z chlebem, woda i karafka czerwonego wina, a po chwili dwie miski, w której pływały makaron *casareccia*, ciecierzycyca i małże.

– *Buon appetito* – powiedziała Coco, podnosząc łyżkę.

– Pycha – odparłam, gdy tylko spróbowałam. Połączenie smaków odpowiadało mi: solidność ciecierzycy świetnie współgrała ze słonawą słodczą małżów. Ponadto danie poprawiało nastrój.

– Miałam kiedyś chłopaka, który to dla mnie gotował – wyznała Coco. – Przepadałam za tym.

– Czy ten makaron jest równie smaczny w porównaniu z tamtym?
– Byłam ciekawa.

– To było już tak dawno temu, że nie pamiętam. Mogę tylko powiedzieć, że ten tutaj zawsze mi smakuje.

Na drugie danie dostałyśmy sporą porcję ryb, a do tego zieloną fasolkę szparagową i kapary. Coco musiała być bardzo głodna, bo zjadła duży kawałek ryby, kilka mniejszych sztuk i garść krewetek, a potem skórka od chleba wytarła resztki tłuszczu z talerza.

– To najbardziej lubię – powiedziała.

Zrobiłam to samo.

Lunch zakończyłyśmy espresso i małą porcją *gelato* o smaku miodu. Gondolierzy powoli wracali do pracy, tak więc bar pustoszał.

– Mam dziś wieczorem randkę – zwierzyła mi się Coco, wsypując do kawy kopiałą łyżeczkę cukru. – Ale nie mogę włożyć tej nowej koszuli, bo nie jest wystarczająco elegancka.

– Dokąd się wybierasz?

- Do opery.
- Z Marcellem czy z Silviem?
- Ani z jednym, ani z drugim. Ich takie rzeczy nie interesują. Idę z innym mężczyzną, nie znasz go. A ty? Jakie masz plany na dziś wieczór?
- Jeszcze nie wiem.
- To może pójdziesz z nami? – zaproponowała. – Mój znajomy może załatwić ci bilet.
- Przecież idziesz na randkę. Nie chciałabym się wpraszać.
- Roberto nie będzie miał nic przeciwko temu. Poza tym, kochana, kupiłaś tyle ślicznych nowych rzeczy. Gdzieś musisz się w nich pokazać.
- Dziękuję, ale naprawdę nie skorzystam. – Nie chciałam przysysać się do starszej pani jak pijawka.
- Nie lubisz opery?
- Nigdy nie byłam w operze. W ogóle się na tym nie znam.
- Z operą jest tak jak z tangiem... Moim zdaniem ominęło cię w życiu coś dobrego.
- Być może – przytaknęłam.
- Oczywiście nigdy nie jest za późno, żeby nadrobić te zaległości.
- Może kiedyś... ale teraz moje życie jest naprawdę za bardzo skomplikowane, a poza tym...
- Życie zawsze jest skomplikowane – zauważyła Coco. – Zawsze znajdzie się jakiś powód, żeby czegoś nie robić.
- No tak, ale ja mam poważne powody. Tak naprawdę już mnie tu nie powinno być. Dzisiaj rano powinnam polecieć do domu.
- Potem, gdy kelnerzy sprząтали stoliki wokół nas, w końcu o wszystkim jej opowiedziałam: o moim rozpadającym się małżeństwie, o bankrutującej firmie, a nawet o poczuciu miłości towarzyszącym mi od dawna. Mówiłam, a ona słuchała bez słowa, aż wreszcie powiedziała:
 - Nie lubię udzielać rad. Z doświadczenia wiem, że ludzie często nie chcą słyszeć tego, co mam im do powiedzenia. Ale tobie chyba przydałaby się moja rada.
- Przytaknęłam głową.
- Owszem, nawet na pewno.
- Moim zdaniem powinnaś się zastanowić, co tobie daje szczęście.

Nikommu innemu, tylko tobie.

Spoglądałam na nią tępo.

– Może to brzmi egoistycznie, ale tym właśnie kieruję się w życiu. Każdego ranka budzę się i zastanawiam się, jak mogę dzisiaj dać sobie szczęście. Zdziwiłabyś się, jak rzadko można dostać szczęście od innych.

– Myślę, że wcale bym się nie zdziwiła.

– Ludzie myślą głównie o tym, co muszą robić. Nie zastanawiają się nad tym, co tak naprawdę chcą robić. Mnie uszczęśliwia tango, a także seks. Poza tym chętnie przyglądam się sztuce, słucham muzyki i noszę piękne ubrania. Staram się oddawać swoim pasjom tak często, jak to możliwe. Staram się, żeby szczęście odgrywało największą rolę w moim życiu.

Sięgnęła przez stół po moją dłoń i mocno ją ścisnęła.

– To jak, pójdziesz do opery?

– Tak – postanowiłam.

– Wspaniale. Włóż sukienkę z wzorem Pucciego. Już ja zadbam o to, żebyśmy razem dobrze wyglądały.

Rozdział 8

Okazało się, że do rzeczy, które dają jej szczęście, Coco zaliczała również popołudniową drzemkę. Udała się więc do domu, a ja zaniiosłam swoje nowe ubrania do hotelu, żeby spokojnie się w nich obejrzeć. Wkładając kolejne nowe rzeczy i przeglądając się w niewielkim łazienkowym lustrze, znowu doświadczyłam uczucia, które towarzyszyło mi podczas zakupów – że staję się innym człowiekiem. Dzięki kolorowym koszulkom i sukienkom stara, nudna Dolly nabierała kolorytu. Wyglądałam dzięki nim jak ktoś, kto ma ochotę dobrze się bawić.

Sprawdzając różne kombinacje i rzucając kolejne ciuchy na łóżko, rozmyślałam o tym, co Coco mówiła o szczęściu. Właściwie nie powiedziała niczego zaskakującego. Wszyscy przecież zasługujemy na szczęście, tymczasem jakże wiele moich dni i tygodni upływa w aurze szarości i przygnębienia. Jak często zastanawiam się nad tym, czy czuję się szczęśliwa?

Nagle stwierdziłam, że dotychczas marnowałam życie. Pozwalałam, by wypełniały je takie emocje jak frustracja, poczucie winy, gniew, troski i żale... A zupełnie zapominałam o radości.

Właśnie wtedy postanowiłam, że zrobię listę, tak jak w wypadku miliona innych rzeczy, o których muszę pamiętać. Tym razem nie chodziło jednak o zakupy w supermarkecie czy rachunki do zapłacenia ani nawet o listę osób, do których muszę wysłać mejle. Postanowiłam wypisać dziesięć rzeczy, które dają mi szczęście. Niby prosta sprawa...

Zdecydowanie łatwiej było mi stwierdzić, co nie powinno się znaleźć na takiej liście. Źródłem szczęścia niemal wszystkich ludzi są: rodzina, przyjaciele, czas wolny od pracy, niespodziewane prezenty, słoneczne dni... Ja chciałam stworzyć listę bardziej osobistą, opracować własny przepis na szczęście. Zastanawiałam się, od czego zacząć. Moją pasją zawsze było jedzenie, ostatnio jednak mniej mnie interesowało. Cóż zatem mogłam umieścić na liście?

Szukałam czegoś w głowie, a kartka w notatniku cały czas pozostawała pusta. Nie potrafiłam wymyślić nic, co na pewno poprawia mi nastrój. No, może poza winem. Tak, wino mogłoby się znaleźć na tej liście, chociaż Coco pewnie by uznała, że coś takiego się nie liczy. Ona wspomniała o tangu, sztuce i muzyce, o rzeczach, dzięki którym nawiązuje kontakt ze światem i które ją wzbogacają duchowo. Rozwalenie się na kanapie z butelką chardonnay i przeskakiwanie przez cały wieczór po kanałach w żaden sposób nie może się z tym równać. Poza tym gdybym miała być ze sobą naprawdę szczerą, to musiałabym przyznać, że picie wprawiało mnie raczej w otępienie, niż zapewniało szczęśliwy nastrój.

Porzuciłam próbę stworzenia listy i opuściłam hotel. Była już godzina, żeby napić się drinka; przesiadywanie w brzydkim pokoju nie wyszłoby mi na dobre. Wzięłam więc jedną z powieści, które kupiłam poprzedniego dnia. Postanowiłam, że znajdę zacieniony kawiarniany stolik i spróbuję poczytać.

Aperol spritz bardzo mi smakował, miał orzeźwiający słodko-kwaśny smak. W lekturę natomiast nie potrafiłam się wciągnąć. Wracałam myślami do pustej strony notatnika. Uważałam, że powinnam coś na niej napisać, choćby kilka punktów. Pusta strona przedstawia sobą przykry widok.

Powtarzałam w duchu, że Coco ma łatwiej. Jest na emeryturze, może więc swobodnie dysponować swoim czasem. Ja mam rodzinę i firmę, nie jestem panią swojego czasu.

Postanowiłam przestać udawać, że uda mi się coś przeczytać. Skupiłam się na obserwowaniu ludzi. Siedziałam w barze przy małym *campo* ze studnią pośrodku. Naprzeciwko znajdował się sklep z czekoladą. Jego drzwi ciągle się otwierały i zamykały. Tylko niektórzy spośród wchodzących i wychodzących klientów wyglądali na turystów, resztę stanowili miejscowi. Mijając się w drzwiach, wymieniali pozdrowienia, po czym ruszali dalej z zakupami w dłoni. Małe torebki kryły w środku słodycze, kąski szczęścia, które miały im umilić resztę dnia. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie umieścić czekolady na mojej liście, doszłam jednak do wniosku, że się nie nadaje, tak jak wino.

Usłyszałam kościelny dzwon i doliczyłam do siedmiu. Eden i Katia

zapewne dotarli już do mojej siostry, a ja przecież obiecałam, że zadzwonię. Odnalezienie telefonu zajęło mi dłuższą chwilę, potem gestem zamówiłam kolejnego drinka i gdy tylko szkło stuknęło o blat mojego stolika, wybrałam numer do Piety.

Wysłuchując się w sygnał, który rozległ się w telefonie, rozmyślałam o jej domu: o kuchni pełnej rzadko używanych pastelowych naczyń Le Creuset, o salonie wykończonym tkaninami z Designers Guild, o krytej werandzie oświetlonej pachnącymi świecami kołyszącymi się w latarenkach. Cała moja rodzina właśnie się spotyka w tym domu, prawdopodobnie w kuchni. Są tam wszyscy oprócz mnie.

– Tak? – odpowiedział mi zdecydowany, energiczny głos z mocnym akcentem. Odebrał mój ojciec Beppi.

– Tato, cześć, to ja.

– Addolorata, *cara*! Spodziewaliśmy się twojego telefonu. Miło cię słyszeć. Powiedz, jak Wenecja? Dalej tonie?

Upiłam duży łyk drinka, po cichu licząc na to, że ojciec nie usłyszy brzęczenia kostek lodu w szkle.

– Podobno, chociaż, moim zdaniem, wygląda zupełnie nieźle.

– To świetnie, świetnie. – Był chyba rozkojarzony. – Eden już jest, ale zanim oddam mu słuchawkę, chciałbym z tobą chwilę porozmawiać. Poczekaj. – Usłyszałam odgłos zamykanych drzwi. – Od razu lepiej. Twoja siostra już ci chyba wspominała, że pomagam trochę w Little Italy. Nie martw się, nie zamierzam przejmować sterów. W żadnym razie! To nadal twoja restauracja, *cara*. Tyle że jesteś na wakacjach, a sprawy trochę się skomplikowały... A poza tym twoja matka i ja już dawno wybieraliśmy się do domu. W sumie więc chyba wyszło bardzo dobrze.

– No tak – wymamrotałam. Postanowiłam nic więcej nie mówić.

– Do tego ten facet z gazety, ten recenzent. Jak on się nazywa?

– Guy Rochester – powiedziałam beznamiętnie.

– Nie martw się, mam pewien plan. Napisałem do niego, że koniecznie musi nas znowu odwiedzić i jeszcze coś zjeść. Poinformowałem go, że wróciłem i że jedzenie jest tak dobre jak dawniej, a nawet lepsze, i że mogę mu to udowodnić.

Uniosłam kieliszek i upiłam kilka sporych łyków, tym razem nie

przejmując się, że szczęk lodu mnie zdradzi.

– Addolorato, jesteś tam jeszcze? – zapytał podniesionym głosem ojciec. – Słyszałaś, co powiedziałem?

– Tak, słyszałam – odparłam tępo.

– To dobrze, dobrze. W takim razie dam ci Edena. – Ojciec nadal krzyczał, chociaż nie było żadnych zakłóceń na linii. – Nie, zaraz, on mówi, że powinnaś porozmawiać z Katią. To daję ci Katię, *cara*. Baw się dobrze na wakacjach. Do zobaczenia wkrótce.

– Mamo? – odezwała się dość niepewnie moja córka. Cieszyłam się, że ją słyszę.

– Cześć, malutka. Wszystko u ciebie w porządku?

– *Nonno* Beppi gotuje *pasta e fagioli*. Jestem potwornie głodna, a on nie chce mi dać chleba z miodem, bo mówi, że potem nie zjem kolacji – poskarżyła się.

– On tak zawsze mówi, już zapomniałaś? Powiedz tacie na ucho, że chcesz kawałek chleba. Zjesz w ogrodzie.

– Dobrze, mamo. No to pa.

– Poczekaj, nie odchodź jeszcze. Stęskniłam się za tobą. Jak było na przyjęciu urodzinowym u Saffron? Dobrze się bawiłaś?

– Tak.

– Był tort?

– Tak.

– A jaki?

– Bananowo-czekoladowy.

– Co jeszcze słyhać? Byliście już na szkolnej wycieczce?

– Nie.

– A kiedy jedziecie?

– Jutro.

– Cieszysz się?

– Tak.

– A co najbardziej cię cieszy?

– Nie wiem.

Z Katią nigdy nie rozmawiało się dobrze przez telefon, ale tym razem było wyjątkowo fatalnie. Stwierdziłam, że ma kiepski humor, bo jest głodna, więc nie będę jej trzymać przy telefonie.

– No dobrze, kochanie. Bądź grzeczna. Widzimy się niedługo.
Kocham cię.

– Jasne. Cześć, mamó.

Zamiast przekazać słuchawkę Piecie albo Edenowi, moja córka po prostu się rozłączyła. Na pewno przesadzałam, ale poczułam się tak, jakby mnie splawiła. Siedząc samotnie wiele kilometrów od domu, zaczęłam się nagle obawiać, że coś ją zdenerwowało. Może wyczuwała napięcie panujące w naszych rodzinnych relacjach? Może Eden już jej powiedział, co się dzieje? Chyba nie zrobiłby czegoś takiego? Przecież wiedział, że wracam w niedzielę, za kilka dni. Powtarzałam sobie, że na pewno zamierzał poczekać na mnie z tą rozmową, że Katia była po prostu rozkojarzona, że wołała się bawić z kuzynami albo z dziadkami, że nic się nie zmieniło i że nigdy nic się nie zmieni. Zamówiłam jeszcze jednego drinka i dalej pocieszałam samą siebie.

Gdyby nie Coco, zostałamby w tej kawiarni i zupełnie zatraciłabym się w koktajlach. Na szczęście byłyśmy umówione, a jej przyjaciel miał kupić dla mnie bilet do opery. Okazała mi tyle życzliwości, że nie mogłam jej zawieść. Poza tym bardzo dobrze się czułam podczas naszych wspólnych zakupów i z przyjemnością myślałam o kolejnym spotkaniu. Opróżniłam więc kieliszek, uregulowałam rachunek i poszłam się przygotować na wieczór.

Zgodnie z poleceniem Coco włożyłam nowo kupioną sukienkę w stylu Pucciego. Włosy związałam nieco bezładnie na czubku głowy, oczy ukryłam w czarnych kreskach i pomalowałam usta. Miałam nadzieję, że to wystarczy. W ostatniej chwili złapałam jeszcze kilka bransoletek i popędziłam na spotkanie z Coco. Zastanawiałam się, w co ona będzie ubrana. Miałam nadzieję, że zobaczę jakiś wyjątkowy strój operowy, coś naprawdę powalającego i efektownego.

Miałam do przejścia zaledwie dziesięć minut drogi. Coco zaznaczyła mi kółkiem na mapie salę koncertową, żebym na pewno trafiła. Budynek stał na rogu w pobliżu mostu Rialto. Miał wąski front zdobiony kolumnami i łukowate okna. Z dachu spoglądały na nas figury aniołów. Na stopniach tłoczyli się już ludzie, pośród nich Coco. Owszem, wyglądała powalająco. Jej strój był tak niezwykły, że potrzebowałam chwili, żeby ochłonąć. Spódnica zdobiona różowymi

falbankami spływała jej do kostek, na górze zaś miała bluzkę z cekinami w kolorze czereśniowym, z bufiastymi rękawami. Całości dopełniał wpięty we włosy stroik z wielkimi materiałowymi makami, które z pewnością zasłonią widok temu, kto usiądzie w rzędzie za nią.

Zauważyła mnie i zaczęła machać.

– Kochana! – zawołała.

– Witaj, Coco! Wyglądasz... obłędnie.

– Dziękuję, moja droga. Byłam w nastroju na róż. Ty też wyglądasz uroczo.

– Twój przyjaciel już się pojawił? – zapytałam.

– Roberto jest w środku, odbiera bilety. Dzisiejsze przedstawienie nosi tytuł *Barok i opera*. Nie widziałam go jeszcze, ale na pewno mi się spodoba.

Roberto okazał się wysokim, szczupłym mężczyzną. Miał na sobie pelerynę i białe rękawiczki. Teatralnym gestem podał mi bilet.

– Jestem zaszczycony – powiedział.

Coco zachichotała.

– Roberto bardzo się cieszy na myśl, że będzie mógł spędzić wieczór w towarzystwie dwóch kobiet. Jest nieprzyzwoicie próżnym mężczyzną, prawda?

Roberto tylko się uśmiechnął.

– Może troszeczkę próżnym – potwierdził.

– Wybaczam mu jednak, ponieważ jest bardzo *simpatico*.

On uklonił jej się lekko, ona zaś pochyliła głowę, jak gdyby z nim flirtując. Niewątpliwie była między nimi chemia. Od razu pomyślałam o Silviu. Cieszyłam się, że ten biedny człowiek nie musi na to patrzeć.

– Może wejdziemy do środka? – zaproponował Roberto.

Ujął rękę Coco i przelożył ją sobie przez ramię, po czym we troje ustawiliśmy się w kolejce, która wiła się przez foyer, a potem w górę po schodach. Tylko my byliśmy tak elegancko ubrani, nasze krzykliwe stroje nie mogły więc pozostać niezauważone. Ludzie przyglądali nam się z uśmiechem.

Zajęliśmy miejsca w ostatnim rzędzie, żeby stroik na głowie Coco nikomu nie przeszkadzał. Sala była duża, ale niezbyt wytworna. Scena znajdowała się nisko, nie było ani kurtyny, ani żadnej scenografii. Freski

na suficie dawno zdążyły wyblaknąć. Spodziewałam się czegoś zupełnie innego. Zwróciłam się do Roberta, który siedział między nami:

– Myślałam, że opera to większe widowisko.

– To bardziej recital niż przedstawienie operowe – wyjaśnił. – Ale będzie orkiestra, a aktorzy wystąpią w strojach z epoki, więc będzie się to ładnie prezentować. Mam nadzieję, że nie będziesz rozczarowana.

– Nie, na pewno nie – odparłam grzecznie, chociaż oczekiwałam imponującego widowiska, a nie czegoś tak mało spektakularnego, żeby nie powiedzieć nędznego.

Orkiestra zajęła miejsca i przystąpiła do strojenia instrumentów. Na widowni rozległy się oklaski, ponieważ w drzwiach przy ścianie obok nas pojawili się pierwsi śpiewacy. Artyści przeszli wzdłuż rzędów w kierunku sceny. Gdy brawa ucichły, zaczęli śpiewać.

Rozpoznałam arię. To była jedna z tych chwytliwych melodii, które pojawiają się na wszystkich płytach z muzyką operową dla laików. Głosy brzmiały przyjemnie, ale nie mogłam się skupić na przedstawieniu. Cały czas wracałam myślami do mojej rodziny, która siedziała teraz przy stole u Piety. Co oni robią? Co mówią? O czym decydują bez mojego udziału?

Gdybym rano wsiadła do samolotu, mogłabym teraz być z nimi. Tymczasem postanowiłam zostać w Wenecji i iść na zakupy. To do mnie niepodobne uciekać przed rzeczywistością. Z jednej strony sama siebie zaskoczyłam tą decyzją, z drugiej jednak poczułam ulgę, że nie muszę się użerać z moim ojcem i Edenem. Tak naprawdę im dłużej myślałam o nich obu, tym mniejszą miałam ochotę wracać do domu choćby godzinę wcześniej, niż musiałam. Potrzebowałam czasu tylko dla siebie, chwili odpoczynku od tego szaleństwa. Powiedziałam sobie, że powinnam maksymalnie wykorzystać pobyt w Wenecji.

Gdy aria się skończyła, śpiewacy rozpoczęli kolejną. Roberto i Coco słuchali urzeczeni. Ona miała zamknięte oczy i usta rozsunięte w uśmiechu, on zaś bezgłośnie szeptał słowa. Ja musiałam się powstrzymać, żeby nie przebierać palcami. Zastanawiałam się, czy przewidziano przerwę i czy jest tu bar, w którym serwowano by drinki. Zapomniałam o to zapytać.

Kątem oka dostrzegłam spóźnialskiego widza, który próbował

niepostrzeżenie wślizgnąć się do sali: młoda kobieta bardzo powoli otworzyła drzwi. Miała na sobie spodnie dresowe i top na ramiączkach. Pomimo słabego oświetlenia dostrzegłam na jej ramieniu tatuaż przedstawiający stokrotki. Rozpoznałam ją, gdy szła na palcach w kierunku końca sali – po grubym czarnym warkoczu i ciężkiej grzywce. Valentina. Wprost nie mogłam w to uwierzyć. Ta dziewczyna pojawiała się absolutnie wszędzie.

Prześlizgnęła się przez drzwi, którymi weszli artyści. Po chwili już jej nie było. Śpiewacy na scenie rozpoczęli kolejny duet, słuchałam ich jednak tylko połowicznie. Cóż, u licha, robiła tu Valentina? Niemożliwe, żeby i tutaj pracowała.

Duet skończył i śpiewacy zeszli ze sceny. Po chwili drzwi dla artystów ponownie się otworzyły, a na progu pojawiła się kobieta, która mimo ukrycia ciemnych włosów pod peruką w stylu osiemnastowiecznym wyglądała znajomo.

– Coco – syknęłam. – Patrz, to jest ta dziewczyna. Valentina. Ta z wieczorku tanecznego.

Starsza kobieta nawet się nie odwróciła.

– Najwyraźniej i tu się spóźniła – wymamrotała.

Orkiestra zagrała kilka pierwszych dźwięków i Valentina wyszła na scenę.

– Nie wiedziałam, że jest śpiewaczką.

Roberto mnie uciszył.

– Najpierw będzie Mozart – wyszeptał. – *Porgi Amor*, piękna rzecz... Posłuchaj.

Valentina miała piękny głos. W niczym nie przypominał skrzeczących sopranów, które kojarzyły się z odgłosami wydawanymi przez chorego kota. Śpiewała zdecydowanie i słodko, wypełniając salę przejmującym lamentem. Ta pieśń bardzo pasowała do mojego nastroju, zamknęłam więc oczy i pozwoliłam jej się ponieść.

– Tak, piękna – odpowiedziałam cicho, gdy skończyła.

Publiczność zaczęła klaskać, a wtedy Roberto nachylił się do mnie i powiedział mi na ucho:

– To córka chrestna Coco. Ma wielki talent, ale też skomplikowane życie.

– Naprawdę? – Ta informacja mnie zaskoczyła.

Valentina wyglądała bardzo ładnie i sprawiała wrażenie szczęśliwej. Gdy zbierała oklaski, drzwi na scenę ponownie się otworzyły i pojawił się mężczyzna. Zaśpiewali w duecie urokliwą pieśń miłosną, po czym Valentina zeszła ze sceny, a śpiewak pozostał i wykonał solo jeszcze kilka numerów.

– Ona nie będzie już śpiewać? – zapytałam szeptem Roberta.

– Będzie – odpowiedział równie cicho. – Ona i ten tenor wystąpią razem na zakończenie.

Nie zdziwiło mnie, że Valentinie przypadł w udziale numer finałowy. Rozpoznałam ten utwór, należał do kanonu popularnych dzieł operowych. Pierwszą część zaśpiewał tenor, potem ona do niego dołączyła. Całość zakończył poruszający, wpadający w ucho hymn. Wyszło naprawdę świetnie. Publiczność zgotowała śpiewakom w pełni zasłużoną owację na stojąco.

Ja także biłam mocno w dłonie, wykrzykując głośno: „Bravo!”. Coco pozostała na swoim miejscu, grzecznie klaszcząc. Z jej twarzy nie potrafiłam nic wyczytać.

Po wyjściu z teatru zaproponowałam drinka. Nie chciałam, żeby ten wieczór się kończył. Nie chciałam zostawać sama. Coco początkowo odmówiła, wymawiając się zmęczeniem, ostatecznie Roberto ją namówił.

– Nie możesz jeszcze iść do domu – nalegał. – Pozwól Wenecji, żeby mogła cię jeszcze podziwiać, *cara*. Jesteś wspaniała.

Gdy uśmiechnęła się do niego, jej twarz pokryła się kolązem zmarszczek.

– Roberto, jesteś dla mnie taki dobry. Ale tylko jeden drink, potem muszę odpocząć. To był długi dzień.

Udaliśmy się razem do mostu Rialto, a potem, za opuszczonym targiem, minęliśmy kilka barów, z których dobiegały odgłosy muzyki, następnie przeszliśmy przez drzwi osadzone w nierównym kamiennym murze. Za nimi znajdowało się wyłożone boazerią pomieszczenie z barem wzdłuż jednej ze ścian. Dwóch starszych mężczyzn, którzy przy nim stali, powitało Roberta, zwracając się do niego po imieniu.

– A to moja droga Coco i jej nowa przyjaciółka Addolorata –

przedstawił im nas wytwornie.

Zamówiliśmy drinki i *cicchetti*, chociaż najlepsze jedzenie podobno już się skończyło. Jeden ze starszych weneccjan nalegał, że zapłaci rachunek, zostaliśmy więc z nim przy barze i gawędziliśmy.

Moi towarzysze wdali się w dyskusję, której tematem były wypadek gondolowy na Canale Grande, jakiś skandal polityczny oraz statek wycieczkowy, który przybił do wybrzeża wyspy Giudecca, a którego połowa pasażerów i załogi cierpiała podobno na gripę żołądkową. Rozmowa dotyczyła spraw lokalnych i co chwila przewijały się w niej mało zrozumiałe dla mnie weneckie słowa. Mimo że nie byłam w stanie dodać nic od siebie, z przyjemnością się przysłuchiwałam. Właśnie tego pragnęłam – uczestniczyć w tym życiu, a nie być tylko jednym z niewidocznych turystów. Stało się to możliwe dzięki Coco.

Rzeczywiście tego wieczoru wyglądała na zmęczoną. Roberto znalazł jakiś stółek, na którym mogła przysiąść. Chyba była mu za to wdzięczna. Prosecco przywróciło jej odrobinę życia, nadal jednak sprawiała wrażenie bardziej wyciszonej niż zwykle.

– Valentina ma wspaniały głos – powiedziałam. – Roberto mówi, że to twoja chrześcica.

– Tak – przytaknęła Coco.

– Zdziwiłam się, gdy ją zobaczyłam. Pracuje w wielu miejscach. Jest przewodniczką, śpiewa w operze, sprzedaje książki w Acqua Alta.

– Tam też teraz pracuje? – Coco mocno zacisnęła usta.

– Uważasz, że to źle?

Spojrzała w dół na swój kieliszek, a potem ponownie na mnie.

– Ona się zarzyna i to zupełnie bez powodu. Tyle że ona nie chce mnie słuchać. Jak już ci wspominałam, niektórzy ludzie nie chcą słuchać moich rad.

– Roberto powiedział, że ma talent, ale też skomplikowane życie.

– Tak powiedział? – Upiła mały łyk drinka. – Ma zupełnie inne problemy niż ty. A ty zastanowiłaś się nad tym, co ci wcześniej powiedziałam?

Żałowałam, że Coco postanowiła sprowadzić rozmowę na mój temat. Wolałabym rozmawiać o cudzym pokręconym życiu.

– Tak, ale nadal nie wiem, co powinnam zrobić.

Potałam twarz dłońmi, rozsmarowując niebieski cień po zagłębieniach w skórze.

– Rób to, co daje ci szczęście.

– A jeśli nie potrafię stwierdzić, co to takiego?

Coco wzruszyła ramionami.

– No to w takim razie chyba faktycznie masz problem.

Odstawiła kieliszek na bar, odwróciła się do mnie plecami i delikatnie dotknęła ramienia Roberta.

– Tak, moja kochana? – Pocałował ją w czoło.

– Zabierz mnie do domu.

– Oczywiście, oczywiście. – Wyraźnie troszczył się o nią. – Masz siłę iść czy weźmiemy taksówkę wodną? Nie zmarzniesz?

Coco pożegnała się i ujęła Roberta pod ramię. Wspierała się na nim, gdy wychodzili. W drzwiach przystanęła jeszcze na chwilę i odwróciła się do mnie.

– Chciałam ci już wcześniej powiedzieć, że mieszkanie nad moim stoi wolne. Można je wynająć, ale na krótko, tylko na lato. Jest znacznie ładniejsze niż hotel, w którym mieszkasz.

Nie wiedziałam, dlaczego mi to powiedziała. Nawet jeśli pozostanę przy swoim pierwotnym planie, który zakłada powrót do domu w niedzielę, to przecież spędzę w Wenecji jeszcze tylko kilka dni. Przez ten czas wytrzymam w hotelu. Coco była ekscentryczna, o czym należało pamiętać; połowa rzeczy, które mówiła i robiła, nie znajdowała racjonalnego uzasadnienia. Rozważania o mieszkaniu postanowiłam również zaliczyć do jej dziwactw... W każdym razie na początku.

Rozdział 9

Coco zasiała ziarno. Oczywiście zrobiła to z rozmysłem, z czego w pierwszym momencie nie zdawałam sobie sprawy. A ponieważ się upiłam, na jakiś czas zupełnie o tym zapomniałam.

Gdy Coco i Roberto wyszli, dwóch starszych mężczyzn dotrzymało mi towarzystwa przy kilku kolejnych kieliszkach. W końcu sam szef zamknął drzwi i postanowił do nas dołączyć, wystawiając na bar butelkę czy dwie najlepszych weneckich trunków do degustacji. Każdy z trzech mężczyzn snuł opowieść o dorastaniu w Wenecji w czasach, gdy po kanale Giudecca nie rozbijały się jeszcze wielkie statki wycieczkowe, turystów przyjeżdżało do Wenecji mniej, za to byli bogatsi, a wody wokół Lido bardziej zachęcały do kąpieli. Mówili, że teraz wszystko schodzi na psy i nic nie można na to poradzić. Chyba dobrze im się narzekało, a przy tym dobrze piło, w związku z czym świetnie się tak bawiliśmy wiele godzin.

Nie wiem, o której stamtąd wyszłam, ale ulice były prawie całkowicie puste. Wenecja tonęła w ciszy i mroku. Znad Canale Grande powiewał chłodny wiatr, trzęsłam się więc z zimna w cienkiej sukience. Szybkim krokiem szłam przez most Rialto, starając się nie zataczać. Kilkoma ostatnimi kieliszkami przekroczyłam chyba granicę między upojeniem a zalaniem się.

Na całe szczęście udało mi się bezpiecznie wrócić do hotelu, gdzie rzuciłam się na łóżko, nie zmywając nawet makijażu. Kilka godzin później obudziło mnie palące pragnienie. Musiałam wstać, żeby napić się wody. Potem przewracałam się w łóżku z boku na bok, aż w końcu przez szczeliny w okiennicach do środka zaczęło się przedzierać światło poranka. Właśnie miałam ponownie zasnąć, gdy zadzwonił telefon.

- Tak? – wybełkotałam.
- Hej, to ja – powiedziała Pieta. – Obudziłam cię?
- Ee, poczekaj chwilę. – Namacałam szklankę i wypiłam jej zawartość do ostatniej kropli. – Co jest?

– Rozmawiałam wczoraj wieczorem z Edenem. Powiedział mi o tym, że wy... No wiesz...

– Co dokładnie ci powiedział?

– Że się rozstajecie. – W jej ustach zabrzmiało to dość dziwnie. – Dolly, nie mogę uwierzyć.

Zdażyłam się już obudzić i nieźle wkurzyć.

– Ja też nie mogę uwierzyć, do jasnej cholery. Rozmawialiśmy na ten temat tylko raz i niczego nie postanowiliśmy. Katii też już powiedział?

– Nie wiem... Chyba nie.

Nawet gdybym nie miała kaca, i tak zrobiłoby mi się w tym momencie niedobrze.

– A tacie?

– Eden prosił, żeby nic im nie mówić, ani tacie, ani mamie.

– Cholera! W co on ze mną pogrywa?!

Pieta przez chwilę się wahała.

– Sprawiał wrażenie naprawdę zasmuconego.

Targnęły mną mdłości, postanowiłam więc na wszelki wypadek przenieść się do łazienki i usiąść przy toalecie. Gdy tylko wstałam, zakręciło mi się w głowie.

– Co jeszcze ci powiedział?

– Tylko tyle, że nosił się z tym od pewnego czasu i twój wyjazd stał się okazją, żeby się nad tym wszystkim poważnie zastanowił.

– I?

– Doszedł do wniosku, że nie ma sensu, żebyście dalej byli razem, skoro żadne z was nie jest szczęśliwe – dokończyła cichym i smutnym głosem.

Oparłam głowę o ścianę dzielącą pokój od łazienki.

– No dobrze. – Westchnęłam. – Dzięki, że mi to wszystko powiedziałaś.

Pieta powtarzała raz po raz moje imię, ale się rozłączyłam. Wyłączyłam dzwonek w telefonie i położyłam się na chłodnych kafelkach. Chciałam odzyskać jasność myślenia. Musiałam tak chyba trochę poleżeć, bo zasnęłam, a gdy się obudziłam, bolała mnie szyja i doskwierało mi przejmujące zimno.

Od razu pomyślałam o mieszkaniu do wynajęcia, o którym wspominała Coco. Czyżby sugerowała, że powinnam zostać w Wenecji na całe lato? Ciężko podniosłam się z podłogi, spojrzałam w lustro i chlusnęłam wodą w swoją zmaltretowaną twarz. Może właśnie o to jej chodzi.

Wgramoliłam się z powrotem pod kołdrę i zaczęłam fantazjować, że mieszkam w Wenecji i co rano z koszykiem przewieszonym przez ramię kupuję na rynku Rialto świeże produkty, że pływam *traghetto* przez Canale Grande i zatrzymuję się każdego ranka w tej samej kawiarni na cappuccino i brioszkę, że przemierzam dobrze mi znane wąskie *calli*. Wyobrażałam sobie wieczory, podczas których tańczę tango, aż w końcu kroki przestają stanowić dla mnie tajemnicę; późne poranki i leniwe popołudnia; nagle kłęby mgły i słoneczne niebo; siebie z bransoletkami na ręce, w kolorowych spódnicach i ładnych bluzkach. To była naprawdę przyjemna wizja.

Wstałam dopiero wtedy, gdy nabrałam przekonania, że dam radę coś zjeść. W pokoju panował chaos. Sukienkę w stylu Pucciego rzuciłam na podłogę, leżała więc teraz skotłowana razem z butami, stanikiem i majtkami. Przeszłam po tym wszystkim, żeby pośród pozostałych nowych rzeczy znaleźć coś, co mogłabym na siebie włożyć. Białe lniane spodnie? Dlaczego nie? Do nich dobrałam haftowaną bluzkę i dżinsową kurtkę, na wypadek gdyby nadal było chłodno.

Wzięłam długi prysznic i trochę się umalowałam. Zamiast ograniczać się do kropelki koloryzującego kremu nawilżającego, postanowiłam nadać twarzy świeżości za pomocą różu i szminki. Oczy nadal miałam szkliste od kaca i podkrążone, ale po tych wszystkich zabiegach czułam się i wyglądałam znacznie lepiej.

Po wyjściu na ulicę założyłam okulary przeciwsłoneczne, żeby się ochronić przed blaskiem dnia. Nie chciało mi się chodzić daleko, dlatego zatrzymałam się w najbliższym punkcie dla turystów. Zamówiłam pizzę z prosciutto i dwie cole do popicia.

Pizza nie była zbyt dobra, musiałam ją doprawić solą, oliwą i rukolą, żeby nabrała smaku. Mimo to zjadłam całą, łącznie z brzegiem. Moja wątroba nie poradziłaby sobie z kawą, zapłaciłam więc i zaczęłam się zastanawiać, co zrobić z resztą dnia. Cokolwiek miało się wydarzyć,

nie wyobrażałam sobie, że weszłabym na pokład samolotu. Bardziej prawdopodobny wydawał mi się niedzielny lot.

Nie miałam zamiaru iść do Coco, a mimo to nogi poniosły mnie właśnie w tym kierunku. Nie korzystałam z mapy, po prostu szłam przed siebie. Rozpoznałam bar, w którym pierwszego popołudnia piłam drinka, a także schody, po których przeciągałam w górę i w dół torbę z zakupami. To była ładna część Wenecji, pełna mostków przecinających wąskie kanały, skrzynek z kwiatami i prania suszącego się na wietrze. Raz czy dwa skręcałam nie tam, gdzie należało, ale podobały mi się miejsca, do których trafiłam, a poza tym koniec końców i tak znalazłam się na dobrze mi znanym *fondamenta*. To tutaj mieszkała Coco. Być może nie rozpoznałabym jej budynku, gdyby nie zamocowany do ściany napis: „Mieszkanie do wynajęcia”.

Najwyraźniej Coco pochłaniały prace domowe, bo gdy pośród ujadania psów otworzyła mi drzwi, policzki miała czerwone, a włosy schowane pod żółtą chustką.

– Addolorata. – W jej głosie dało się słyszeć zadowolenie. – A więc przyszedł obejrzeć mieszkanie?

– Tak, przyszłam – odparłam ku własnemu zaskoczeniu.

– Dobrze, dobrze. Mam klucz. Wejdz na chwilę, zaraz go poszukam.

Moją uwagę zwróciły przede wszystkim jasne obrazy, które przysłańały niemal każdy wolny centymetr ścian. Meble były raczej zdezelowane, ale na każdym kroku dało się zauważyć troskę o przestrzeń: tu rzucony dywan, tam udrapowany szal albo przewieszona koraliki. W ten sposób powstawała radosna, choć nieco zagracona całość stanowiąca dom kobiety, która miała za sobą długie życie i zachowała z niego wiele pamiątek.

– Już mam. – Coco wróciła z kluczami. Zauważyłam, że przy okazji upudrowała też twarz i nałożyła szminkę. – Piętro wyżej, zaraz przy schodach. Rozejrzyj się, a jak skończysz, przynieś klucze z powrotem.

W porównaniu z mieszkaniem Coco to do wynajęcia sprawiało wrażenie pustego i skromnego. Nie było w nim dużo mebli: w salonie fotel, mający już dawno za sobą lata świetności, poza tym wysokie

podwójne łóżko z rzeźbionym drewnianym zagłówkiem i niewielki stół jadalny. Aneks kuchenny został urządzony przy jednej ze ścian, łazienka zaś wydzielona z sypialni; nie robiły szczególnego wrażenia. Wyjątkowy charakter nadawały pomieszczeniu wysoki sufit i szklane drzwi z zamkniętymi okiennicami, prowadzące na balkon, który wychodził na kanał. Balkon był niewielki, mógł pomieścić najwyżej dwa krzesła i kilka doniczek z geranium, a poza tym budynki naprzeciwko znajdowały się w tak niedużej odległości, że mogłam spokojnie zajrzeć ludziom w okna. Stałam tam przez chwilę, wdychając jedwabisty zapach sadzawki unoszący się znad wody. Wyobrażałam sobie, jak urządzam tu tymczasowy dom: ustawiam na stole wazon z kwiatami albo miskę owoców, kładę książki przy łóżku i kupuję ładną pościel, gotuję prosty posiłek i zapraszam Coco. Tak, to była przyjemna wizja.

– I co o tym myślisz? – zapytała Coco, gdy wróciłam, by oddać jej klucz.

– Masz rację, mieszkanie jest znacznie ładniejsze niż mój hotel. Szkoda, że nie zatrzymałam się tu podczas pobytu w Wenecji.

– Właścicielem jest mój stary przyjaciel. Mogę z nim porozmawiać, na pewno zaoferuje ci korzystne warunki najmu.

– Dziękuję, ale to nie ma sensu. Zostaję jeszcze przecież dwa dni.

– Po co się tak spieszysz do domu, skoro jesteś tam nieszczęśliwa? Zostań jeszcze trochę w Wenecji – zaproponowała.

– Nie mogę.

– Dlaczego nie?

– Mam rodzinę, pracę. Czekają na mnie. Mam obowiązki.

– Ach, obowiązki. – Coco wywróciła oczami.

– Cóż, taka jest prawda. – Przyjęłam postawę obronną. – Nie mogę myśleć wyłącznie o przyjemnościach.

Starsza pani chyba nie rozumiała, że nie każdy może skupiać się w życiu na sobie tak jak ona, że czasem inne rzeczy są ważniejsze.

– Chętnie spędziłabym tu całe lato – przyznałam. – Ale okazało się, że nawet te wakacje były błędem. Nie powinnam w ogóle wyjeżdżać.

– A jednak postanowiłaś obejrzeć to mieszkanie. Dlaczego?

– Puściłam wodze fantazji, ale to absurdalne. Niepotrzebnie zwracałam ci głowę, przepraszam.

– Nie ma nic złego w fantazjowaniu – powiedziała Coco. – A czasu mam wystarczająco dużo. Właśnie miałam sobie zrobić kawę i wypić ją w ogrodzie. Może chcesz mi towarzyszyć?

Ogród Coco okazał się pięknym skrawkiem zieleni ukrytym wśród murów porośniętych pnącymi i splatającymi się ze sobą roślinami. Lśniące liście bluszczu mieszały się z kwitnącymi gałązkami glicynii, oleander konkurował o miejsce z palmami, a gałązki lawendy wyrastały zarówno z rozpadających się kamiennych urn, jak i z potłuczonych doniczek. W rogu, pod starym figowcem stał stolik, który Coco nakryła serwetą tak samo żółtą jak chustka na jej głowie. Postawiła na nim dzbanek z kawą, talerzyk z ciasteczkami z polenty i karafkę chłodnej wody. Do tego przyniosła serwetki, jaskrawe filiżanki do espresso i kolorowe szklanki.

– Lubię, gdy stół jest ładnie nakryty – powiedziała, siadając.

Psy ułożyły się na ziemi u jej nóg, a ona nachyliła się, żeby je pogłaskać.

– Moje kochane – zwróciła się do nich czule. – Lubią tu ze mną wychodzić.

Gryzłam maślane ciasteczko i sączyłam kawę. Głaskałam też jedwabistą sierść na głowie psa, który siedział najbliżej mnie, i napawałam się widokiem ogrodu.

– Piękne miejsce. Od dawna tu mieszkasz?

– Tak, od wielu lat. Już nigdy go nie opuszczę. Tu są pochowane moje kochane psy, które już odeszły. Codziennie odwiedzam ich małe mogiły.

– Smutne – odparłam, nie bardzo wiedząc, co innego mogłabym powiedzieć.

– Tak, człowieka zawsze ogarnia smutek, gdy traci przyjaciela. – Uśmiechnęła się do mnie szeroko. – To i tak lepsze, niż w ogóle nie mieć przyjaciół.

Przyszło mi do głowy, że powinnam jej podziękować.

– Coco, jesteś dla mnie taka dobra... – zaczęłam.

– Daje mi to szczęście – weszła mi w słowo. – Inaczej bym tego nie robiła. W przeciwieństwie do ciebie nie wierzę w altruizm.

Zaśmiałam się.

– Nikt by mnie nie nazwał altruistką, jestem o tym przekonana.
Coco mówiła dalej, jakby nie usłyszała mojej uwagi.

– Moim zdaniem altruizm jest przereklamowany. Altruści idą przez życie, przedkładając cudze potrzeby nad własne, a potem oczekują podziękowania. Chcą, żeby inni się nimi zachwycali. A tak się niemal nigdy nie dzieje, więc z czasem oni się frustrują i gorzknieją. Altruści są, moim zdaniem, nie do zniesienia.

– Naprawdę nie jestem altruistką – zarzekałam się.

– Skoro tak twierdzisz – wymamrotała Coco.

W ogrodzie panował spokój. Chłodny wiatr poruszał delikatnie kwiaty glicynii, ciszę zakłócał tylko śpiew ptaków. Wyobrażałam sobie, jak Coco spędza tu długie i upalne letnie popołudnia, żeby zabić czas i sprawić sobie przyjemność. Trochę jej zazdrościłam. Starość to pewnie bóle stawów i zmarszczki, ale też wolność i ulga, którą człowiek czuje, gdy wreszcie może się wyrzec celów i ambicji, gdy może mniej pragnąć i wreszcie przestać do czegoś dążyć. Wydawało mi się, że na tym etapie życia łatwiej jest być szczęśliwym.

– Kiedyś wrócę do Wenecji, gdy będę miała więcej czasu – powiedziałam. – Kiedyś, gdy uda mi się poukładać swoje życie.

– A jeśli ten dzień nigdy nie nadejdzie?

Spojrzałam na nią. Nadal była w kolorowej chustce na głowie, teraz trzymała na kolanach psa. Siedziała w kręgu światła wiosennego słońca, którego złote promienie muskały jej twarz. Mogłam dokładnie obserwować smugi pudru, który nałożyła w pośpiechu, żeby zamaskować zmarszczki przeszywające jej twarz jak blizny.

– Na pewno nadejdzie – upierałam się. – Jeśli tylko będę bardzo chcieć.

– Ach, tak, rozumiem... W takim razie zapewne nie usłyszałaś trzaśnięcia drzwi?

Nie wiedziałam, o co jej chodzi.

– Słucham? Co chcesz przez to powiedzieć? Jakiego trzaśnięcia drzwi?

Z wyrazu twarzy Coco wyczytałam, że chyba jest jej mnie trochę żal.

– Jeszcze jesteś na to za młoda – wyjaśniła. – Wkrótce jednak

zacziesz sobie uświadamiać, jak wiele drzwi się przed tobą zamyka, iloma ścieżkami już nigdy w życiu nie pójdiesz, ilu dzieci i ilu kochanków nie będziesz mieć, ilu miejsc nigdy nie odwiedzisz.

– Mówisz o żalu? – dopytywałam.

– Nie do końca. Próbuję ci powiedzieć, że jeśli czujesz się nieszczęśliwa, to powinnaś coś z tym zrobić tu i teraz. Nie czekaj na żadne kiedyś. Uwierz mi, to byłby błąd.

– Mówisz tak, jakbyś sama tego doświadczyła.

Coco wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok. Nawet jeśli jej rady zrodziły się z osobistych przeżyć, w żadnym razie nie zamierzała mi się z nich zwierzać. Odstawiła psa na ziemię i zaczęła ustawiać filiżanki i szklanki na tacy.

– Dziękuję za kawę – powiedziałam, pomagając jej zanieść wszystko do kuchni. – Dziękuję też, że mi pokazałaś to mieszkanie.

– Nie zastanawiaj się zbyt długo – przestrzegła mnie. – To bardzo atrakcyjne mieszkanie. Ktoś się na nie skusi.

W drodze powrotnej do hotelu zatrzymałam się przy stoisku z gazetami i kupiłam kilka angielskich tytułów. Potem zafundowałam sobie *gelato* i usiadłam na ławce, żeby je zjeść.

Zaczęłam przeglądać prasę i w jednej z gazet trafiłam na artykuł o charakterze poradnikowym. Napisała go kobieta, która zajmowała się coachingiem życiowym. Skupiła się na kwestii zarządzania swoim czasem. Opracowała wykres, na którym podzieliła godziny każdego dnia na spanie, pracę, aktywność fizyczną, zajmowanie się domem i dziećmi, podtrzymywanie relacji z innymi i tak dalej. Najmniejszy wycinek koła został opisany jako „czas tylko i wyłącznie dla siebie”. Na wykresie zostało na to zaledwie piętnaście minut, a zdaniem autorki i tak mało kto może sobie na tyle pozwolić. Ta myśl wprawiła mnie w przygnębienie. Kwadrans? Tak niewiele?

Zdaję sobie sprawę, że niektórzy ludzie mają w życiu poważniejsze problemy. Głodują, chorują albo żyją w kraju ogarniętym wojną. Oni by powiedzieli, że ja nie mam na co narzekać. Czy jednak naprawdę człowiek ma prawo oczekiwać od życia tylko kwadransa dla siebie? Czy to powinno go zaliczać do grona szczęśliwców? Dobrze wiedziałam, co by na ten temat powiedziała Coco.

Potem przypomniałam sobie, że cały dzień miałam wyciszony telefon. Pewnie co chwila się odzywał, wibrując w mojej torebce. Wyciągnęłam go i spojrzałam na ekran. Cztery nieodebrane połączenia od Piety, do tego dwie wiadomości głosowe. Od Edena nic. Poczułam się jeszcze bardziej przygnębiona.

Odsłuchiłam wiadomości, które zostawiła moja siostra, a potem je wykasowałam. Miała mi do przekazania dokładnie to, co spodziewałam się usłyszeć: że się martwi, że powinnam zadzwonić, że musimy porozmawiać. Pieta jest dobrym człowiekiem. Zawsze postępuje, jak należy. Ja jestem zupełnie inna: za dużo jem i piję, w moim domu panuje chaos, chodzę spać z niezmytym makijażem, sięgam po papierosy, mimo że rzuciłam palenie, i pozwalam dziecku żywić się śmieciowym jedzeniem. Nigdy nie byłam idealna, ale też nigdy mi na tym nie zależało.

Wybrałam numer do Piety.

– Eden ma rację. Żadne z nas nie jest szczęśliwe – powiedziałam, gdy odebrała.

– Rozumiem – zaczęła powoli. – Tylko czy to znaczy, że macie od razu podejmować pochopne decyzje? Przecież nawet nie próbowaliście choćby terapii.

– Nie zamierzam podejmować żadnych pochopnych decyzji – zapewniłam ją.

– To dobrze, bo moim zdaniem, po prostu macie trudniejszy okres. Z powodu jego chorych pleców, kłopotów w pracy i w ogóle. – W jej głosie pobrzmiwała ulga.

– Zastanawiam się, czy nie zostać w Wenecji na całe lato. – Gdy tylko wypowiedziałam te słowa, od razu stało się dla mnie jasne, że chcę to zrobić.

– Co...?

– Nie, nie zwariowałam. Po prostu tak jak Eden potrzebuję czasu, żeby wszystko przemyśleć. Kilka rzeczy tu sobie uświadomiłam.

– Na przykład?

Próbowałam wyjaśnić Piecie kwestię szczęścia, ale zupełnie mnie nie zrozumiała. Uznała, że sobie folguję.

– Właśnie w tym rzecz – powiedziałam. – W tym wszystkim

chodzi właśnie o mnie.

– A co z Little Italy?

– Przecież ojciec trzyma rękę na pulsie.

– No tak – zgodziła się Pieta. – Chyba rzeczywiście świetnie się bawi, więc jeśli potrzebujesz dłuższych wakacji, to może faktycznie powinnaś je sobie zrobić.

Przeglądałam się turystom, którzy przemierzali chodniki z przewodnikami i mapami w dłoni, wszyscy zamierzali odwiedzić Pałac Dożów albo popłynąć gondolą.

– To nie będą wakacje – stwierdziłam stanowczo. – Jeśli mam tu zostać, musi to być coś więcej.

– Nie miej wyrzutów, że zrobisz sobie trochę wolnego... – zaczęła Pieta.

– Wiesz, co tak naprawdę daje ci szczęście? – weszłam jej w słowo. – Tylko nie mów o tych wszystkich oczywistych rzeczach, które ludzie zawsze wymieniają. Nie chodzi o rodzinę i przyjaciół. Chodzi o coś, co tobie daje szczęście.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam – przyznała.

– No właśnie. Ja też nie. Dlatego tym się tutaj zajmę. Będę się nad tym zastanawiać.

– A co potem?

– Jeszcze nie wiem – powiedziałam. – Na razie będzie lato i mam nadzieję, że gdy się skończy, będę wiedzieć coś więcej.

Rozdział 10

To zadziwiające, jak trudno uwolnić się na kilka miesięcy od swojego życia. Wszyscy starali się odwieść mnie od tego pomysłu, podając kolejne powody, dla których powinnam wrócić do domu. Niektóre były w pełni uzasadnione, lecz podjęłam już decyzję i nie zamierzałam jej zmieniać. Wystarczyłoby, żebyśmy zwiększyli trochę zadłużenie hipoteczne, zatrudnili nowego szefa kuchni i przeorganizowali kilka spraw. Nie oczekiwałam rzeczy niemożliwej.

Najmniej zaskoczony wydawał się Eden. Powiedział, że to „typowe dla mnie” i „egoistyczne”, ale nie rozwodził się nad moim zamiarem dłuższego pobytu w Wenecji. Rozmawialiśmy zdawkowo, zwykle o Katii, niemniej między wierszami wspomniał, że moja siostra i jej mąż zatrudnili go do opracowania projektu zagospodarowania nowego budynku, który wynajęli, i zarządzania remontem.

– Czeka mnie pracowite lato – stwierdził.

– Tak, mnie też – odparłam.

Roześmiał się i życzył mi powodzenia w realizacji moich planów.

Po tej rozmowie ogarnął mnie smutek. A także poczucie winy. Porzucałam swoje dziecko na całe lato. Eden miał rację, że to egoistyczne z mojej strony. Ale przecież mogliśmy rozmawiać przez telefon i przez Skype’a, pisać do siebie mejle. Miałam nadzieję, że po zakończeniu roku szkolnego Katia mnie odwiedzi. Samą siebie przekonałam do tego pomysłu bez większego problemu. Na moje postanowienie ogromny wpływ wywarła przede wszystkim Coco.

Wieczorem tego dnia, gdy podjęłam ostateczną decyzję, poszłam do niej, żeby jej o tym powiedzieć. Zapukałam do drzwi, ale odpowiedziało mi tylko szczekanie psów, musiałam więc poczekać do następnego dnia.

Odnalazłam ją wczesnym rankiem w kawiarni, do której chętnie chodziła na kawę.

– Zdecydowałam się, zostaję – powiedziałam, gdy tylko do niej

podeszłam.

– O, Addolorata, dzień dobry.

– Tak, tak, dzień dobry – przytaknęłam niecierpliwie. – Czy mogłabyś porozmawiać z właścicielem mieszkania? Chętnie bym je wzięła.

Uśmiechnęła się.

– Oczywiście, ale może najpierw wypijesz ze mną kawę?

– Nie jesteś zaskoczona.

– Nie – przyznała. – Ale cieszę się, że się co do ciebie nie pomyliłam. Cappuccino, *si*? I brioszkę? W takim razie pora przejść do spraw organizacyjnych.

Uznałam, że musiała się nieźle targować, bo koszt najmu okazał się bardzo atrakcyjny. Poza tym Coco pożyczyła mi wszystko, czego potrzebowałam, żeby od razu wprowadzić się do nowego mieszkania – pościel, ręczniki, kilka garnków i patelni, talerze nie od kompletu i stare sztuce.

Nie posiadałam się z radości, że mogę spakować walizkę i wymeldować się z hotelu. Coco przekazała mi klucze do mieszkania, więc mogłam sama wejść do środka. Usiadłam na chwilę na balkonie z notatnikiem na kolanach. Strona, na której miała się znaleźć moja lista rzeczy potrzebnych do szczęścia, cały czas pozostawała pusta, teraz jednak miałam całe lato, żeby ją wypełnić.

Czułam się jednocześnie z wielu powodów rozradowana i trochę zaniepokojona obawami. Co będzie, jeśli lato się skończy, a do tego czasu nic się nie zmieni? Co będzie, jeśli źródłem szczęścia okaże się coś, z czym sobie nie radzę, na przykład tango?

– Nie spiesz się. Nie staraj się za bardzo – doradzała mi Coco. – Szczęście przyjdzie do ciebie samo. Musisz je tylko zauważyć.

Spojrzałam w dół na spokojne wody kanału. W tej części Wenecji gondole pojawiały się rzadziej, bo turyści raczej nie zapuszczali się tak daleko od głównych atrakcji. Nie byłam już turystką i mogłam zacząć organizować sobie tu dom.

W pierwszej kolejności postanowiłam wypełnić lodówkę i szafki jedzeniem. Uznałam, że ugotowanie posiłku pomoże mi się tu poczuć u siebie. Rytmiczne siekanie cebuli, która będzie skwierczeć na

rozgrzanej patelni, a potem wzbogaci sos pomidorowy o charakterystyczny aromat – potrzebowałam tego, co dobrze znałam.

Przed wyprawą na rynek Rialto zatrzymałam się jeszcze przed drzwiami Coco.

– Masz już plany na dzisiejszy wieczór? Może chciałabyś przyjść do mnie na kolację?

– Mam randkę – powiedziała.

– Znowu? A z kim tym razem?

– Z moim drogim Silviem. Obiecałam mu, że potem strzelimy sobie *ombra*.

Ombra to było jedno z niewielu weneckich słów, których nie rozumiałam. Miejscowi używają go na określenie małego kieliszka wina, które pije się na stojąco przy barze, czasami zagryzając *cicchetti*.

– To gdy już sobie strzelicie *ombra*, przyjdźcie do mnie coś zjeść – zaproponowałam. – Zrobię makaron, a potem może jeszcze rybę.

– Silvio na pewno się ucieszy. Już dawno przestał liczyć na to, że kiedykolwiek coś dla niego ugotuję.

Przeprawiłam się przez Canale Grande *traghetto*, tym razem uiszczając opłatę według stawki dla mieszkańców, a nie tę turystyczną. Wcześniej nad wodą unosiła się mgła, ale słońce już się z nią rozprawiło, przywracając niebu przejrzystość i błękitną barwę. Poczułam nagły przypływ czystego zachwyty. To było to! Moje weneckie marzenie się spełniło. Zaczynałam naprawdę nim żyć.

Na rynku warzywnym zdołałam się powściągnąć, ale gdy minęłam łuk wyznaczający początek targu rybnego, kupiłam kraby z laguny, sporą ilość słodkich, jędrnych krewetek zwanych *canoce*, podłużne małże, ośmiorniczki, małe rybki i srebrnoskóre labraksy, nie zastanawiając się, czy zdołamy to wszystko zjeść. Pakunki z jedzeniem trafiły do torby na kółkach, którą pożyczyłam od Coco, obok produktów ze sklepów znajdujących się w pobliżu targu, takich jak sery, oliwa z oliwek, makaron i czosnkowe salami *sopressa*. W końcu okazało się, że zmieszczą się w niej już tylko kupione w ostatniej chwili poziomki, małe fioletowe karczochy i pęczki świeżych ziół.

Moje myśli krążyły wyłącznie wokół jedzenia. W głowie łączyłam ze sobą poszczególne składniki i fantazjowałam na temat kombinacji

smaków, jak to robiłam, odkąd ojciec zaczął uczyć mnie gotować.

Nie zdążyłam zaplanować potraw ze wszystkich produktów, które kupiłam, bo zrobiłam się bardzo głodna. Kawalek pizzy na pewno nie zaspokoiłby mojego głodu. Miałam ochotę na danie przyrządzone z dużą starannością, bogate w zaskakujące i inspirujące smaki – na posiłek z prawdziwego zdarzenia, który je się powoli i zapamiętuje na długo.

Podczas wycieczki z Valentiną odwiedziliśmy kilka barów w pobliżu rynku Rialto, w których serwowano całkiem przyzwoite *cicchetti*. Najbardziej przypadła mi do gustu osteria Angela i przypomniałam sobie słowa Valentyny, że każdego dnia robią tam inne risotto. Miałam nadzieję, że się na nie załapię.

Bar znajdował się zaledwie kilka kroków od stoisk z rybami. W środku był tłok. Udało mi się znaleźć wolny stółek na końcu długiego wspólnego stołu, zaparkowałam więc torbę z zakupami i zamówiłam risotto. *Cicchetti* wystawione w gablotce wyglądały zachęcająco, nie były to zwykłe klopsiki czy crostini, dlatego, czekając na główne danie, raczyłam się przegrzebkim w muszli z dodatkiem nasion fenkułu i małą tartą z pastą dorszową, z dodatkiem selera naciowego i szczyptą imbiru. Od tej przekąski zrobiłam się jeszcze bardziej głodna. Nagle uświadomiłam sobie, że odkąd przyjechałam do Wenecji, nie jadłam porządnego posiłku, tylko cały czas żyłam na przekąskach. Teraz miałam zamiar nadrobić te zaległości.

Żadne danie nie budzi mojego pożądanego tak bardzo jak risotto. Kocham jego kremową konsystencję i marszczącą się powierzchnię, gdy zamiesza się je drewnianą łyżką. Lubię dorzucać do niego garście startego parmezanu i kolejne porcje solonego masła. Czerpię przyjemność z jedzenia tej potrawy i z uczucia sytości, jakie po sobie pozostawia.

To risotto miało konsystencję zupy i smak słonej wody i cytryn, wzbogacony natką pietruszki i kruchymi małżami, które trzeba było wyjąć ze skorupki. Aby to wszystko poczuć, na chwilę zamknęłam oczy.

Gdy je otworzyłam, zobaczyłam wychodzącego z kuchni Angela. Pochłaniało go sprzątanie talerzy i powitania ze stałymi klientami. Zatrzymywał się, by z jednym wymienić dowcip, od drugiego odebrać komplement. Niewykluczone, że w ogóle nie zwróciłby na mnie uwagi,

gdybym go nie zatrzymała.

– Cześć, to jest naprawdę smaczne. Czego dodałeś do bulionu? – zapytałam.

– Gotuję go na babkach – powiedział. – Znasz te ryby?

Zaprzeciłam ruchem głowy.

– Babka to mała ryba, żyje tu w lagunie. Jej mięso nie nadaje się do jedzenia, ale risotto dobrze wydobywa smak ryby. Cieszę się, że ci to odpowiada.

– Jestem Dolly – przypomniałam mu. – Poznaliśmy się niedawno podczas wieczoru tanecznego. Byłam na placu, żeby patrzeć, jak tańczysz tango.

– A tak, to ty przysnęłaś na ławce i na niej zostałam. Dobrze, że nic ci się nie stało. Coco powiedziała, że się tobą zajmie.

– Zajęła się. Od tamtej pory cały czas się mną zajmuje. Gotuję dla niej dzisiaj kolację w ramach podziękowania. Właśnie wynajęłam mieszkanie w jej budynku.

– Ach, znam to miejsce. Sam tam jakiś czas mieszkałem kilka lat temu.

– Tak? – Byłam zaskoczona.

– Coco jest moją ciotką – wyjaśnił Angelo. – Najstarszą siostrą mojej matki.

– Naprawdę? Zaczynam odnosić wrażenie, że relacje rodzinne łączą ją z każdym, kogo tu poznaję.

Angelo się roześmiał.

– Całe życie mieszka w Wenecji. Większość mieszkańców ją zna, nawet jeśli nie są z nią spokrewnieni.

Widziałam, że chce iść dalej, by zamienić kilka słów z innym klientem i zebrać kolejne wytarte do sucha pieczywem talerze, ale zatrzymałam go jeszcze na chwilę.

– Może też przyszedłbyś na kolację? – zapytałam pod wpływem impulsu. – Spodziewam się jeszcze jednego znajomego Coco, ale kupiłam na rynku tyle różnych rzeczy, że jedzenia nie zabraknie.

– Dziś wieczorem? – Wydawał się zaskoczony.

– Tak, jeśli masz czas. Kolacja odbędzie się w bardzo swobodnej atmosferze, bo w mieszkaniu mam warunki w zasadzie kempingowe.

Nie mogę też obiecać, że uda mi się zrobić coś równie smacznego jak to risotto.

Angelo uraczył mnie kolejnym uśmiechem.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie proponuje się posiłku szefowi kuchni?

Skinęłam potakująco głową.

– Ja właśnie proponuję.

– A co zamierzasz ugotować?

Przedstawiłam mu listę składników, które kupiłam, i dań, które rozważałam. Podczas gdy ja mówiłam, Angelo kiwał głową. Dał mi kilka sugestii i powiedział, gdzie w pobliżu znajduje się sklep z przyprawami, do którego powinnam zajrzeć.

– Czy to znaczy, że przyjdiesz? – Liczyłam na to, że przyjmie zaproszenie.

– Z przyjemnością.

Ucieszyłam się, że Angelo dołączy do nas podczas kolacji. Lubiłam towarzystwo Coco, ale uznałam, że jeśli mam spędzić w Wenecji całe lato, to powinnam poznać też swoich rówieśników. Poza tym byłam ciekawa, co Angelo powie o przyrządzonym przeze mnie jedzeniu. Od publikacji recenzji Guya Rochestera brakowało mi pewności siebie. Pozytywna opinia weneckiego szefa kuchni na temat ryb z jego laguny mogła mi trochę poprawić humor.

Angelo był bardzo przystojny, ale pragnę podkreślić, że nie próbowałam z nim flirtować. Bynajmniej nie dlatego go zaprosiłam. Zależało mi przede wszystkim na tym, żeby poznać kolejnego weneccjanina. To wszystko, naprawdę.

Popłynęłam *traghetto* na drugą stronę Canale Grande, a potem ruszyłam w stronę mojego nowego tymczasowego domu, ciągnąc za sobą torbę z zakupami. Od czasu do czasu odpowiadałam na pozdrowienie „Salve” innym kobietom, które również szły z zakupami. Wiele z nich, tak jak ja, szykowało się do gotowania obiadu dla swoich bliskich i znajomych.

W mieszkaniu czekała na mnie Coco. Najwyraźniej miała drugi klucz, bo weszła do środka i z pomocą jakiegoś mężczyzny, którego nie znałam, wieszła na ścianie obraz.

– To Pegeen – powiedziała. – Dzięki niemu zrobi się tu przyjemniej.

– Czy to jest Pegeen? – zapytałam, wskazując na mężczyznę.

Coco zmarszczyła brwi.

– Nie, oczywiście, że nie. To Lorenzo. Jest dobrym człowiekiem i dlatego zgodził się przyjść i mi pomóc.

– A kto to jest Pegeen?

– Pegeen była moją przyjaciółką. Biedactwo już od dawna nie żyje.

Wpatrywałam się w obraz, który mógłby równie dobrze wyjść spod ręki dziecka. Płótno pokrywały duże stokrotki, pośród których plamami nakreślona została postać nagich blondynek z pasiastymi parasolami przeciwsłonecznymi.

– To jedna z jej wcześniejszych prac. Obraz ma pewnie jakąś wartość, ale za nic bym go nie sprzedała, bo dostałam go w prezencie.

– Czy to ktoś sławny? Powinnam ją znać? – zapytałam.

– Była córką Peggy Guggenheim. Byłaś w galerii. Widziałam cię tam. Możliwe jednak, że nie miałaś okazji oglądać jej obrazów, bo zajmują osobne pomieszczenie.

– Masz na myśli Kolekcję Peggy Guggenheim? – Ciągle nie do końca to do mnie docierało. – Znałyście się?

– Nie z Peggy. Oczywiście miałam okazję ją poznać, ale nie byłam tak ważną osobistością, żebym jej zapadła w pamięć. Znałam natomiast jej córkę. – Coco przeniosła wzrok z obrazu na mnie. – Co o nim myślisz?

– Jasny i radosny. – Na tyle tylko potrafiłam się zdobyć.

– Nie, on tylko usiłuje być radosny. Zupełnie jak ty. Właśnie dlatego pomyślałam, że będzie tu pasować.

– Dziękuję, to bardzo miłe z twojej strony – powiedziałam. Dopiero po chwili przypomniałam sobie o dobrych manierach. – Czy napijecie się z Lorenzem kawy? Mogę zrobić.

Spojrzałyśmy obie na Lorenza, ale on potrząsnął głową.

– Musi już iść – stwierdziła Coco. – Zdaje się, że żona na niego czeka.

Lorenzo był przystojnym starszym panem. Pożegnał się z Coco pocałunkiem w usta, a przy tym jedną ręką objął ją w talii, drugą zaś

złapał za pośladek. Pocałunek trwał tak długo, że właściwie powinnam była chyba odwrócić wzrok.

– No cóż – westchnęła Coco, gdy Lorenzo poszedł. – To była nieoczekiwana wizyta.

Była ubrana w długi szlafrok w pastelowych odcieniach błękitu i zieleni. Policzki miała zaróżowione, a makijaż rozmazany.

– Bardzo miło z jego strony, że zgodził się mi pomóc i przynieść tu ten obraz. Chciałam ci zrobić niespodziankę, ale sama nie dałabym rady. Lorenzo jest bardzo silny – dodała. – Podnosi ciężary.

– Długo go znasz? – zapytałam.

– Tak, długo – odparła jakby od niechcienia. Od razu wiedziałam, że nic więcej z niej nie wyciągnę.

Pomogła mi rozpakować zakupy, dziwiąc się przy tym na głos mojej ekstrawagancji i rozwodząc nad tym, jak to nigdy nie zdołamy tego wszystkiego przejeść. Chyba się ucieszyła, gdy jej powiedziałam, że zaprosiłam Angela, żeby nam w tym pomógł.

– Chłopak ma talent! – powiedziała. – Tyle że, tak jak Valentina, za dużo pracuje. Chyba wszyscy młodzi tak mają.

Coco zeszła do siebie, żeby kontynuować drzemkę przerwana przez Lorenza, a ja zabrałam się do przygotowywania jedzenia. Wiele osób uważa gotowanie za zajęcie odprężające, a nawet za coś w rodzaju medytacji. W moim wypadku wygląda to zupełnie inaczej. Gdy testuję nową potrawę, zawsze jestem spięta i martwię się, że nie wyjdzie mi tak, jak sobie wyobrażam. Pieta twierdzi, że wystarczy jej rzut oka na moje ramiona, by rozpoznać u mnie ten nastrój. W miarę gotowania idzie mi coraz szybciej. Błyskawicznie siekam cebulę, przewracam produkty na patelni, pilnuję skwierczącego tłuszczu. Poziom adrenaliny rośnie, a ja się świetnie bawię.

Gdy jednak potrawa trafia w końcu na talerz, przeżywam chwile zwątpienia. Czy na pewno dałam z siebie wszystko? Czy poszczególne składniki zostały w pełni wykorzystane? Nie odziedziczyłam po ojcu niezachwianej pewności, że każde stworzone przeze mnie danie to arcydzieło.

W Wenecji musiałam trochę się powściągnąć. Miałam do dyspozycji tylko kilka pożyczonych garnków i patelni. Nóż był tępy

i miał obłuzowaną rączkę, deska do krojenia okazała się żałośnie mała, a palniki kuchenki gazowej wymagały ciągłej uwagi.

Zacząłam od ragù rybaka, które doprawiłam cynamonem, *peperoncino* i goździkami. Zostawiłam całość, żeby powoli dusiła się na kuchence, od czasu do czasu podlewałam białym winem – i próbowałam, cały czas próbowałam. Zamierzałam dorzucić krewetki, ośmiorniczki i drobne rybki, ale dopiero wtedy, gdy wszyscy usiądą do stołu. Planowałam podać tę potrawę z dodatkiem cieniutkiego spaghetti.

Do krabów przygotowałam lekki sos. Miałam zamiar usmażyć je w głębokim tłuszczu razem z małżami. Labraksy postanowiłam nafaszerować ziołami i posypać grubą solą, a karczochy pokroić w cieniutkie plasterki i podać na surowo z odrobiną oliwy z oliwek. Pierwszy raz przyrządzałam posiłek w stylu weneckim. Opierałam się przy tym na nie do końca dobrze zapamiętanych przepisach i radach Angela, liczyłam jednak, że to wystarczy.

Musiałam się jeszcze sama przygotować do kolacji. Pomyślałam o Coco i o rozczarowaniu, które pojawiłoby się na jej twarzy, gdybym wystąpiła w ubraniu obsypanym mąką i bez makijażu, i ostatecznie włożyłam jasny top i spódnicę, w których jeszcze nie miałam okazji się pokazać. Miałam nadzieję, że nie poplamie się ragù i olejem. Postanowiłam trochę posprzątać, strzepnąć poduszki, które pożyczyła mi Coco, i wypolerować kieliszki do wina, również przyniesione z jej mieszkania.

Jako pierwszy pojawił się Angelo. Przyniósł kwiaty i wazon, żebym miała je do czego włożyć, po czym skierował kroki prosto do kuchni. Podnosił pokrywki, wąchał zawartość i próbował każdego dania. Dodał odrobinę wina do sosu, który moim zdaniem wyszedł idealnie.

– Potrafisz gotować – stwierdził z wyraźnym zadowoleniem w głosie. – To jest całkiem niezłe.

Nalałam nam obojgu wina, po czym usiedliśmy na balkonie i zaczęliśmy rozmawiać o jego osterii. Opowiedział, jak zaczynał zupełnie bez pieniędzy, jak pożyczył je od przyjaciół i rodziny, jak kupował tanio meble nie od kompletu z różnych lokali zamykających swoją działalność, jak zaciągał coraz to nowe pożyczki, nie mając pewności, czy kiedykolwiek uda mu się je spłacić.

– Coco mi pomogła – oznajmił. – Powiedziała, że mogę tu zostać, dopóki nie wyjdę na prostą. Nie wzięła ode mnie ani grosza.

– A właścicielowi to nie przeszkadzało?

– Jakiemu właścicielowi? To mieszkanie należy do niej.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

– Naprawdę?

– Nie wiedziałaś?

– Wielu rzeczy o niej nie wiem – przyznałam.

– Moja ciotka bardzo sobie ceni prywatność. Pewnie też nie wiem o niej połowy rzeczy, które warto by wiedzieć.

– Spotyka się z mężczyznami – wyznałam mu. – Jest ich naprawdę wielu.

– O tym akurat wiem – zaśmiał się. – Moja matka oburza się na to, ale zawsze tak było.

– Coco i ci wszyscy mężczyźni... Oni są tylko przyjaciółmi, co? – postanowiłam zapytać, chociaż przeczuwałam, że nie mam racji.

Angelo znowu się uśmiechnął.

– Jest, jaka jest – powiedział. – Nie ma co liczyć na to, że się zmieni tylko dlatego, że przybyło jej lat.

Coco spóźniła się o pół godziny, za co serdecznie mnie przeproszała.

– Straciliśmy poczucie czasu.

– No i na jednym *ombra* się nie skończyło – wyznał Silvio; miał w ręce dwie butelki wina.

Moi goście okazali mi dużo uznania, a i apetyty mieli wilcze. Nawet Coco zjadła bardzo dużo, zwłaszcza jak na kogoś tak drobnej postury. Miała na sobie czarną sukienkę ledwo sięgającą do kolan, a na szyi kilka sznurów lśniących pereł.

– Wyglądają elegancko, prawda? – odparła, gdy się nimi zachwycalam.

Silvio położył ramię na oparciu jej krzesła. Od czasu do czasu głaskał ją palcami po ramieniu. Obserwowałam ich przez chwilę, a potem wymieniłam spojrzenie z Anżelem. Na pewno są więcej niż tylko przyjaciółmi, chciałam mu powiedzieć. Teraz to nie ulega wątpliwości.

Zjedliśmy po kolei wszystkie dania, cały wieczór spędzając przy stole. Wszyscy chwalili moją kuchnię, w zachwytach rozplýwał się zwłaszcza Silvio.

– Podobno zostajesz w Wenecji. To świetna wiadomość – oświadczył. – Będziemy mogli dobrze zjeść, a ty będziesz miała okazję kontynuować naukę tanga.

Nie byłam pewna, czy mam ochotę na kolejny wieczór dreptania w tył i w przód do rytmu odliczanego przez Silvia, ale nie chciałam być niegrzeczna.

– Tak... być może.

– Przecież dobrze się bawiłaś podczas naszej lekcji przed Santa Maria della Salute, prawda? – zapytał.

Roześmiałam się.

– To chyba za dużo powiedziane, ale doceniam twoje starania. Być może tango nie jest dla mnie.

– Tango jest dla każdego – upierał się Silvio.

– Nieprawda – wszedł mu w słowo Angelo. – Tylko określony typ kobiet może tańczyć tango. Żeby je tańczyć, trzeba mieć szacunek do siebie i być uważnym, mieć poczucie równowagi i dobrą koordynację ruchów, dla przede wszystkim kobieta musi się wykazać gotowością do podążania za mężczyzną. W przeciwnym razie powinna spróbować swoich sił w innym tańcu.

– A ja nie wiem, czy zostałam stworzona do podążania za mężczyzną – powiedziałam.

– Jesteś feministką? – dociekał.

– Nie o to chodzi. Ciągle deptałam Silviowi po nogach. Nie potrafiłam przewidzieć, czy on się przesunie w bok, czy zrobi krok do tyłu. Przyglądałam się uważnie innym tancerzom, ale za nic nie potrafiłam tego rozgryźć. Chyba rzeczywiście powinnam spróbować czegoś innego.

– Tango to rodzaj rozmowy – wyjaśnił Angelo. – Tyle że w tym wypadku komunikacja odbywa się z użyciem dłoni i mięśni. Moim zdaniem trudno nauczyć się tańczyć podczas milongi. Lepiej zaczynać w mniej publicznym miejscu. Gdybym to ja miał cię uczyć, zaproponowałbym ci lekcje w swoim domu. Najpierw pokazałbym ci,

jak przenosić ciężar ciała, bo właśnie w ten sposób odnajduje się rytm.

Silvio skinął potakująco głową.

– Masz rację, że od tego należało zacząć. Tak długo tańczę z Coco, że już zapomniałem, jak to jest, kiedy się dopiero zaczyna.

Angelo wydawał się przekonany, że gdybym brała prywatne lekcje i dostatecznie dużo ćwiczyła, do końca lata mogłabym się nauczyć tańczyć. Mówił o tangu z pasją, którą potrafił zarazić innych.

– To forma czystego szczęścia, przypomina stan odurzenia – powiedział, a potem zaproponował mi kilka lekcji.

Ku mojemu zaskoczeniu Coco zaczęła nas zniechęcać.

– Addolorato, będziesz musiała poświęcić na to za dużo czasu. Niepotrzebnie oderwiesz się od zasadniczego powodu twojego pobytu w Wenecji. Angelo, masz już dosyć zajęć. Nie potrzebujesz kolejnych zobowiązań.

Angelo spojrzał na mnie.

– Myślę, że Dolly i ja będziemy się przy tym dobrze bawić.

– Jedno lato nie wystarczy, żebyś nauczył ją dobrze tańczyć – upierała się Coco. – Nikt nie nauczyłby się dobrze tańczyć w tak krótkim czasie.

– Nie zgadzam się. Moim zdaniem można osiągnąć zadowalający poziom. Pod moim okiem mogłaby się nauczyć tyle, żeby umieć z kimś zatańczyć... A może nawet więcej.

– Przemawia przez ciebie próżność – irytowała się Coco. – Arogant z ciebie, Angelo.

Te słowa krytyki najwyraźniej tylko go rozbawiły.

– Pewność siebie to nie to samo, co arogancja – powiedział. – Zupełnie nie to samo.

– Ciągle mi to powtarzasz – stwierdziła Coco – ale mnie to nie przekonuje.

– W takim razie jestem gotów podjąć wyzwanie – oznajmił.

– Przecież nie rzuciłam ci żadnego wyzwania – zaprotestowała.

– Ależ rzuciłaś! Powiedziałaś, że nie dam rady czegoś zrobić. A ja wierzę, że mi się uda, i jestem gotów ci to udowodnić.

Coco upierała się przy swoim zdaniu, wykazując się przy tym niemałą determinacją, lecz Angelo nie zamierzał się wycofać. Tak

przekonująco opowiadał o czystym szczęściu, że postanowiłam spróbować. Ostatecznie stanęło na tym, że zszedł na dół po stary odtwarzacz i kilka płyt CD z muzyką do tanga.

– Zaczniemy dziś wieczorem – oświadczył.

Przez chwilę szukał odpowiedniego utworu, czegoś nie za szybkiego, ale też nie za wolnego. Ja w tym czasie wlałam w siebie jeszcze jeden kieliszek wina na odwagę. Potem stanęliśmy naprzeciwko siebie na środku pokoju. Silvio i Coco bacznie nam się przyglądali.

Najpierw Angelo pokazał mi, jak przenosić ciężar ciała z nogi na nogę. Wydało mi się to proste. Potem podszedł do mnie bliżej, ujął moje ręce i położył je sobie na ramionach.

– Teraz będziemy chodzić – powiedział. – Spróbuj podążać za mną.

Pchnął mnie w tył, najpierw delikatnie, a potem na tyle mocno, że napięłam ręce, by mu się oprzeć. Od czasu do czasu wydawał mi jakieś polecenie.

– Wydłuż krok. Nie pochylaj się do przodu, ale też nie odginaj pleców. Postaraj się wyczuwać dłońmi kierunek, który nadaje moje ciało. Słuchaj muzyki.

Chodzenie w tył trwało całą wieczność; czasami ćwiczyliśmy przenoszenie ciężaru ciała.

– Sylwetkę ma dobrą – zakrzyknął Angelo do Coco.

– Nie najgorszą – brzmiała odpowiedź.

Raz czy dwa Angelo mnie zaskoczył, bo nagle się zatrzymał bądź zmienił kierunek. Traciłam wtedy równowagę albo wyrzucałam nogi do tyłu.

– Nie idź beze mnie – żartował wtedy Angelo.

– To nie takie proste – narzekałam. – Kiepsko mi idzie z podążaniem za tobą.

– No to się do mnie przysuń – polecił. – Będzie ci łatwiej wyczuć, w którą stronę zamierzam iść.

Objął mnie ramieniem i przyciągnął do siebie bardzo blisko. Nasze ciała stykały się; moje dłonie spoczywały na jego łopatkach. Sytuacja była bardzo intymna, bo Angelo trzymał mnie w objęciach, co tak mnie zaskoczyło, że aż zeszywniałam.

– Rozluźnij się, Dolly. Na pewno ci to odpowiada? W każdej chwili możemy przestać, jeśli chcesz.

Wyczuwałam wyraźnie pizmowe ciepło jego skóry i zapach wina w oddechu.

– Na pewno, wszystko w porządku – powiedziałam na wpół szeptem, nie do końca przekonana, czy rzeczywiście mi to odpowiada.

– Zamknij oczy tak jak wtedy, gdy jadłaś moje risotto – zaproponował. – Nie próbuj tańczyć. Po prostu bądź tu ze mną, zaufaj mi.

Zrobiłam to, o co prosił, i po chwili znów przesuwaliliśmy się razem po pokoju. Czułam się zupełnie inaczej, niż kiedy tańczyłam z Silviem. W przeciwieństwie bowiem do słabowitego Silvia Angelo był silnym mężczyzną w kwiecie wieku. Prowadził z większą siłą, więc gdy zamknęłam oczy, czułam się tak, jakbym nie musiała robić zupełnie nic, tylko za nim podążać.

– Dobrze, dobrze – mruczał raz po raz. – Lepiej.

Nie wahałabym się stwierdzić, że dla mnie było to coś więcej niż taniec. Nasze twarze niemal się dotykały, czuliśmy pod palcami ciepło swoich ciał, trzymaliśmy się mocno w objęciach. Ciało Angela formułowało prośbę, na którą moje zaczynało odpowiadać. Było to niemal naturalne, fizyczne doświadczenie. Gdyby nie muzyka i widownia, niczym by się to nie różniło od gry wstępnej.

Zaczynałam rozumieć, dlaczego tango tak fascynuje ludzi.

Lista szczęścia Addoloraty

Przyjęcia. Uwielbiam hałaśliwe kolacje w towarzystwie przyjaciół, chaotyczne spotkania rodzinne, improwizowane święta. Lubię przebywać w dużym gronie ludzi, którzy świetnie się bawią i prezentują z najlepszej strony. Lubię, gdy robi się głośno i wszyscy zaczynają mówić jednocześnie, usiłując przekrzyczeć muzykę. Lubię przyjmować gości, lubię też bywać w gościach, pod warunkiem, że wychodzę ostatnia. W moim życiu jest ostatnio za mało imprez.

Rozdział 11

Obudziłam się późno. Powitała mnie sterta brudnych naczyń, zlew pełen skorupki po krewetkach i rybich głów, rząd pustych butelek po winie... Powitała mnie jednak również świadomość, że urządziłam świetne przyjęcie, co zawsze poprawia mi humor.

Zmywając naczynia, wspominałam nieco niepokojącą lekcję tanga.

Wrzuciłam odpadki po rybach do worka na śmieci i mocno go zawiązałam. Wyrzuciłam butelki i wytarłam blaty. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek tak dokładnie sprzątała. Ale mieszkanie należało do Coco, więc utrzymywanie w nim typowego dla mnie chaosu wydawało mi się niestosowne. Poza tym ciągle rozpieierała mnie przyprawiająca o dreszcze, niespożyta energia, dla której nie potrafiłam znaleźć ujścia. Podniosłam porozrzucane ubrania i powiesiłam je na wieszakach. Zamiotłam podłogi i balkon, wyczyściłam nawet toaletę.

Sprzątanie ma to do siebie, że absorbuje tylko niewielką część mózgu, ta większa może więc swobodnie zajmować się myślami, które krążą po głowie. W mojej kotłowało się ich całe mnóstwo. Myślałam przede wszystkim o Angelu i kolejnych lekcjach tańca. Wyobrażałam sobie, jak jesteśmy sami w jego mieszkaniu, jak zamykam oczy, a on bierze mnie w objęcia. Oczyma duszy widziałam nasz taniec, a w tej wizji poruszałam się jak Valentina. Potrafiłam nawet poczuć emocje, które mogłyby mi towarzyszyć: zdumiewającą wolność, odrobinę dzikości i wyuzdania. Uznałam, że dobrze byłoby doświadczyć czegoś takiego choćby w tańcu.

Z jakiegoś powodu Coco odnosiła się do pomysłu Angela bez entuzjazmu. Gdy po zakończeniu lekcji otworzyłam oczy, na jej twarzy malowało się napięcie. Silvio mnie pochwalił, ona nie. Właściwie prawie się nie odzywała.

Moje myśli przeskoczyły z tanga na Coco, która była dla mnie wielką zagadką. W minionym tygodniu spędziłyśmy razem dużo czasu, rozmawiałyśmy o różnych sprawach, a mimo to nie znałam wielu

szczegółów z jej życia – i to bynajmniej nie dlatego, że nie wykazywałam zainteresowania. Coco z dużą wprawą uchylała się od odpowiedzi i sprowadzała rozmowę z powrotem na mój temat. Miała rzadką wśród ludzi umiejętność słuchania.

Nie wiedziałam zatem, czy kiedykolwiek miała męża albo dzieci, skąd bierze pieniądze na mieszkanie i co ją łączy z tymi wszystkimi mężczyznami, którzy tłumnie przewijają się przez jej życie.

Jedynym konkretem, z jakim się zdradziła, było nazwisko Peggy Guggenheim. Tak jakby dawała do zrozumienia, że ma za sobą barwną przeszłość w doborowym gronie. O amerykańskiej dziedzicze wiedziałam niewiele, właściwie jedynie to, że zamieszkiwała wspaniały pałac nad Canale Grande, w którym teraz mieściła się jej kolekcja plamiastych obrazów. Ale to wystarczało, by przypuszczać, że była interesującą postacią. I Coco coś z nią łączyło.

Żałowałam, że nie poświęciłam tej galerii więcej uwagi, lecz wystawa zupełnie do mnie nie przemówiła. Czułam się przez tę sztukę wykluczona, miałam wrażenie, że została stworzona dla ludzi z większą oglądą, którzy lepiej potrafią zrozumieć jej przekaz. Spojrzałam na obraz, który Coco powiesiła mi na ścianie. Uwiecznione na nim kobiety miały nienaturalnie wydłużone ciała, piersi jak jajka sadzone i twarze zupełnie pozbawione wyrazu. Równie dobrze mogłoby go namalować dziecko.

Nie planowałam ponownego obejrzenia Kolekcji Peggy Guggenheim, skoro jednak znajdowała się tam cała sala z obrazami autorstwa przyjaciółki Coco, którą z jakiegoś powodu przegapiłam, to być może należało wrócić i zobaczyć, czy nie wiszą wśród nich dzieła lepsze od tego w moim weneckim mieszkanku.

Szłam do galerii, wdychając świeżą woń wiosny, i na sposób wenecki zatrzymałam się w jednym miejscu na szybką kawę, a w innym na przekąskę. Taki model spędzania niedzielnego poranka bardzo mi odpowiadał. Oprócz biletu kupiłam również przewodnik, po czym zaczęłam spacerować po dawnym domu Peggy Guggenheim w poszukiwaniu rzeczy, które wcześniej nie wzbudziły mojego zainteresowania.

Zauważyłam między innymi oprawione w ramki fotografie, które

wisiały tu i ówdzie na ścianach. Niektóre przedstawiały dziedziczkę w tym samym pomieszczeniu, w którym teraz się znajdowałam, w otoczeniu tych samych mebli, które nadal tu stały. Po przyjrzeniu im się bliżej zauważyłam pewne wspólne cechy Peggy Guggenheim i Coco: takie same małe psy, podobne szalone okulary. Przypomniałam sobie jednak, że Coco przyjaźniła się nie z Peggy, lecz z jej córką Pegeen. W końcu znalazłam salę pełną jasnych obrazów jej autorstwa.

Wszystkie były podobne do tego, który został powieszony u mnie w mieszkaniu: dużo kwiatów, sceny znad morza i z parków, kobiety o długich kończynach, jasne kolory. Nagromadzone na niewielkiej przestrzeni robiły oszałamiające wrażenie. Dość długo chodziłam od jednego do drugiego, co chwila się zatrzymując, by przyjrzeć się im uważniej. Na koniec zapoznałam się z treścią tabliczki, która w dużym skrócie przybliżała życie Pegeen. Można było odnieść wrażenie, że chodziło o kolejną biedną bogatą dziewczynkę, która nie potrafiła nawiązać relacji z ludźmi, popadła w depresję i wcześniej rozstała się ze światem. O Coco nie było ani słowa, dowiedziałam się jedynie, że Pegeen mieszkała w Wenecji w latach pięćdziesiątych.

W kawiarence działającej na terenie galerii znalazłam kolejne zdjęcia, których nie zauważyłam podczas poprzedniej wizyty. Na ich podstawie można było sobie wyobrazić, jak wyglądało ówczesne życie, a w każdym razie świat ludzi zamożnych. Wszystko utrzymane było w stylu charakterystycznym dla cyganerii, zarówno stroje Peggy Guggenheim i jej dom, jak również łodzie, którymi przemieszczała się po Canale Grande. Coco podobno poruszała się na obrzeżach tego świata, jeśli oczywiście mówiła prawdę.

Usiadłam w zacisznym ogrodzie urządzonym przy *palazzo* i przeczytałam przewodnik od deski do deski. Dowiedziałam się z niego dużo o sztuce, o samej rodzinie zaś prawie nic. Pegeen została w nim przedstawiona tylko na jednym zdjęciu – w towarzystwie kobiety, w której bez cienia wątpliwości rozpoznałam młodą Coco. Moja przyjaciółka miała długie ciemne włosy, a także odrobinę więcej ciała niż obecnie. Z uśmiechem na twarzy trzymała w dłoni kieliszek, lekko odchylając głowę; widywałam ją w takiej pozie.

Pocierałam zdjęcie palcami, jakbym w ten sposób miała ożywić tę

scenę. Jednej z tych kobiet nie było już na świecie, druga zestarzała się i posiwiiała. Nie zmieniało to faktu, że razem przedstawiały uroczy widok. Pegeen miała prostą sukienkę, kreację Coco zdobiły natomiast lśniące szkiełka. Fotograf zapewne uchwycił je podczas przyjęcia, gdy akurat opowiadały sobie jakiś żarcik. Sprawiały wrażenie, że zdają sobie sprawę z jego obecności, lecz żadna z nich nie spoglądała prosto w aparat. To Coco wyróżniała się na tym zdjęciu, była niewątpliwie ładniejsza od swojej przyjaciółki.

– Kim ty jesteś? – wyszeptałam do zdjęcia.

Zrobiło się już popołudnie, postanowiłam więc wrócić do domu i trochę odpocząć przed pójściem na milongę. Angelo co prawda twierdził, że to nie najlepsze warunki do nauki tanga, ale przecież mogłam popatrzeć i być może podchwycić kilka nowych kroków.

W drodze powrotnej zatrzymywałam się to tu, to tam, żeby zrobić zdjęcia drobiazgów, które przykuły moją uwagę: glicynii spływającej kaskadą po ścianie koloru ochry, posągu Madonny z Dzieciątkiem, ogromnych ilości ciasteczek w celofanowych opakowaniach, wystawionych w witrynie jednego ze sklepów, kobiety w czerwonym słomkowym kapeluszu, siedzącej na schodach kościoła z pięknym wilczarzem irlandzkim u boku.

Pies zrobił na mnie takie wrażenie, że aż się zatrzymałam z zamiarem uwiecznienia go na jeszcze jednej fotografii, tymczasem kobieta podniosła głowę i spojrzała na mój aparat.

– Żadnych zdjęć – powiedziała głośno po włosku. – Proszę mnie zostawić w spokoju, na litość boską.

W tym momencie ją poznałam.

– Valentina?

– To znowu ty? – zapytała, krzywiąc się. – Dlaczego mi robisz zdjęcia?

– Świetnie wyglądałaś, tak tu siedząc – odparłam, nieco zażenowana. – Jak postać ze zdjęcia w magazynie modowym. No i masz pięknego psa.

– To jest Boris. – Spojrzała ponuro na zwierzę. – Nie rozumiem, dlaczego irlandzki pies dostał rosyjskie imię. Tak jak nie rozumiem, po co trzymać takiego psa w takim mieście. To bez sensu. Ale tak jest ze

wszystkim, co robi moja matka.

– Mogę go pogłaskać? – zapytałam, podchodząc nieco bliżej.

Podawała mi smycz.

– Możesz go sobie nawet wziąć.

– Nie mówisz poważnie! – Zmierziłam psu sierść na łbie.

– Nie, nie mówię – przyznała. – Moja matka go uwielbia. Chociaż oczywiście nie wyprowadza go na spacer, bo ten obowiązek akurat spada na mnie, jakbym miała za mało na głowie.

Boris siedział na tylnych łapach i nadstawiał się do głaskania. Zawsze lubiłam duże psy, ale ponieważ mieszkałam w Londynie i dużo pracowałam, nigdy się nie zdecydowałam wziąć jakiegoś do domu.

– Będę go za ciebie wyprowadzać, jeśli chcesz – zaproponowałam pod wpływem impulsu. – Zostaję tu na całe lato. Może mi towarzyszyć podczas przechadzek po mieście.

Valentina spojrzała na mnie z powątpiewaniem.

– No nie wiem... Moja matka cię nie zna. A ona bywa naprawdę trudna...

– Naprawdę nie ma problemu. Powiedz jej, że proponowałam.

– Może gdyby cię poznała...

– Powiedz, że znam Coco. Mieszkam teraz u niej.

– W mieszkaniu na górze? – zapytała ostro Valentina.

– Tak, wynajęłam je.

– No proszę. A ja prosiłam, ale nie pozwoliła mi w nim zamieszkać.

– To krótkoterminowa sprawa – dodałam szybko, żeby przypadkiem jej się nie narazić.

– Nie martw się, to nie twoja wina. Coco mnie nie akceptuje, w każdym razie już nie...

– Za to ja się czasem zastanawiam, dlaczego mnie akceptuje – powiedziałam.

Valentina się roześmiała.

– Mogę ci to wyjaśnić: bo jej przytakujesz. Robisz wszystko, co ci każe.

Po chwili zastanowienia nad wydarzeniami ostatnich dni doszłam do wniosku, że faktycznie postępowałam zgodnie z jej sugestiami – co

do zakupów, opery, tanga...

– Może masz rację – przyznałam. – Rzeczywiście chyba pozwałam jej sobą kierować.

– Oczywiście, że mam rację. Ona i moja matka przyjaźnią się od wielu lat. Znam Coco od urodzenia.

– To może mi opowiesz jej historię? – poprosiłam. – Ona prawie nie mówi o przeszłości.

– Nawet gdyby mówiła, to od niej usłyszałybyś jedno, a od mojej matki coś zupełnie innego, przy czym obie byłyby przekonane, że mówią prawdę.

Wyciągnęłam do Valentiny rękę ze smyczą, ale potrząsnęła głową.

– Jeśli masz ochotę go za mnie wyprowadzać, to chyba powinnaś poznać *Mammę*. Mieszka na Strada Nuova. Chodź ze mną.

Valentina знаła najprostszą drogę do celu. Prowadziła ona *calli* tak wąskimi, że niemal przeciskałyśmy się między ścianami budynków. Szła żwawym krokiem, a ja i Boris staraliśmy się za nią nadążyć. Czasem zostawałam kilka kroków z tyłu, co utrudniało rozmowę. Mimo to cały czas zadawałam pytania.

– Czy Coco miała kiedyś męża?

Valentina się zaśmiała.

– Raczej o tym nie wspomina.

– A ma dzieci?

– Nikt nic na ten temat nie wie.

– Czym się zajmowała? Miała jakąś pracę?

Valentina aż się zatrzymała.

– Pracę? Coco? Nie, nie sędzę.

– To skąd w takim razie bierze pieniądze na mieszkanie w tak pięknym miejscu?

Valentina uniosła brwi.

– Jak to skąd? Od mężczyzn! Skąd by indziej?

Wywnioskowałam, że Coco była utrzymanką, kochanką.

– Zapytaj ją o to, gdy wypije kilka kieliszków prosecco – odpowiedziała mi Valentina, gdy znowu ją dogoniłam. – Zapytaj ją o najlepsze lata jej życia.

Gdy Valentina powiedziała, że jej matka mieszka na Strada Nuova,

wyobraziłam sobie malutkie mieszkanie nad jednym ze sklepów. Przechodziłam tamtędy wielokrotnie, ale akurat tego *palazzo* nigdy nie zauważyłam. Kryło się za stoiskami z napojami, wśród tłumów ludzi macających wiszące na stojakach podróbki torebek znanych marek. Być może dlatego nie zwróciłam uwagi na ogrodzenie z kutego żelaza, za którym znajdował się trawnik i kamienne schody wiodące w górę do imponującego budynku.

W pierwszej chwili wydał mi się wytworny. Nasze kroki niosły się echem po wysokich korytarzach, którymi prowadziła mnie Valentina. Wyrosły przed nami kolejne schody, po których Boris wspiał się energicznie, a my za nim. Mijałyśmy zakurzone świeczniki, stare krzesła pozbawione siedziska, na wpół oberwane drzwi, wyblakłe freski i spękane ściany. Bez wątplenia czasy świetności pałacu dawno minęły.

– *Mamma!* – zawołała Valentina. – Gdzie jesteś?

Minęłyśmy salon zupełnie pozbawiony mebli.

– *Mamma!* – krzyknęła ponownie Valentina.

– Może wyszła – zasugerowałam.

– Ona nigdy nie wychodzi.

W końcu ją znalazłyśmy. Siedziała przy oknie wychodzącym na ulicę. Sprawiała wrażenie starszej niż Coco, ale mogło to mieć związek z faktem, że była ubrana całkowicie na czarno – a poza tym była zgarbiona i uniosła się z krzesła z wyraźnym trudem.

– Kto to jest – zapytała zaniepokojona. – Znam ją?

Valentina rzuciła mi spojrzenie, z którego wyczytałam, że zapomniała mojego imienia.

– Jestem Addolorata, znajoma Coco – powiedziałam do starszej pani, wyciągając rękę. – Miło mi panią poznać.

Spojrzała na mnie, ale dłoni mi nie podała.

– Ach, tak.

– *Mamma*, przedstaw się, jak należy – upomniała ją Valentina.

– Jestem hrabina Leonarda di Malipiero – obwieściła władczo.

Valentina pokręciła głową w wyrazie dezaprobaty.

– Możesz mówić do niej Nanda – powiedziała do mnie.

– Nie, nie może – odcięła się starsza pani.

– *Mamma*, proszę...

– Może zwracać się do mnie „hrabino”, jeśli w ogóle musi. Nie jest Włoszką, prawda? Mówi po włosku, ale z wyraźnym akcentem.

– *Mamma*, ona będzie wyprowadzać Borisa.

– Nie możemy jej zapłacić.

– Nie chce pieniędzy – zapewniła ją Valentina.

– Dobrze, dobrze. – Starsza pani wróciła do swojego krzesła i usiadła. – Zabierz ją do kuchni. Zobacz, czy kucharka ma coś do jedzenia, żeby jej dać.

– Dobrze – powiedziała Valentina, tym razem łagodniejszym tonem.

Nie miałam wątpliwości, że w kuchni już dawno nie było żadnej kucharki. Rzędy miedzianych naczyń zwisających z uchwytów na ścianach pokrywała gruba warstwa kurzu. Valentina naląła wody z dzbanka, który wyjęła z lodówki, po czym wskazała mi miejsce przy porysowanym marmurowym stole.

– Czy twoja matka ma... jak by to powiedzieć... kłopoty z pamięcią? – Szukałam odpowiednich słów.

– Pytasz, czy ma demencję? Być może. Nie wiem, bo nie chce iść do lekarza. – Valentina sprawiała wrażenie udręczonej. – Często zastanawiam się, czy przypadkiem z nami nie pogrywa. Czy po prostu woli wierzyć, że życie dalej wygląda tak jak kiedyś. Ten tytuł szlachecki, służba, dobre maniery i zaszczyty... A potem nagle mówi coś, z czego jasno wynika, że doskonale orientuje się w sytuacji.

– Wydaje mi się, że często tak bywa. Że wspomnienia pojawiają się i odchodzą.

– Wiem, dużo o tym czytałam... Przejrzałam tysiące stron internetowych. Problem polega na tym, że moja matka nie do końca pasuje do tych opisów. Pozostała władcza, a tak się nieszczęśliwie składa, że poza mną nie ma już nikogo, kim mogłaby rządzić.

– Musi ci być z tym ciężko – powiedziałam.

– Jest – przytaknęła. – Bardzo byś mi pomogła, wyprowadzając Borisa. Miałabym dzięki temu trochę czasu, żeby odpocząć i spotkać się z przyjaciółmi. To dobry pies. Nie będzie ci sprawiał kłopotu.

Obiecałam, że przyjdę następnego ranka i zabiorę psa na spacer. Cieszyłam się, że znalazłam coś, co nada mojemu życiu rytm. Boris

mógłby mi towarzyszyć podczas zakupów na rynku Rialto. Planowałam, że będziemy razem szukać parków i zielonych przestrzeni, a także zacienionych stolików, przy których można by wypić kawę. Posiadanie psa miało mnie skłonić do spojrzenia na Wenecję z innej perspektywy. Pies miał sprawić, że będę się czuć tu na swoim miejscu.

– Pozdrów ode mnie Coco – powiedziała Valentina, odprowadzając mnie do drzwi. – Powiedz jej, żeby przyszła w najbliższym czasie odwiedzić mamę. Koniecznie jej to przekaż.

– Nie zobaczymy się dzisiaj wieczorem podczas milongi? – zapytałam.

– Być może przyjdę po pracy, jeśli nie będę zmęczona. – Valentina zmarszczyła brwi. – Ale ponieważ ostatnio ciągle jestem zmęczona, więc wątpię.

W drodze do domu myślałam o hrabinie i jej podupadłym *palazzo*. Szkoda, że tak wspaniały stary budynek tak niszczeje. Gdzie się podziały wszystkie meble? Nie było tam ani obrazów na ścianach, ani dywanów na podłogach, ani zasłon w oknach. Nie widziałam półek z książkami. Poza kilkoma krzesłami, które na pierwszy rzut oka wyglądały na niewygodne, nie było tam prawie nic. To musiało być dziwne mieszkać w pustych pokojach tylko we dwie. Skoro jednak starsza pani traciła władzę nad własnym umysłem, Valentina pewnie nie miała wyboru. Zaczynałam też rozumieć, dlaczego dziewczyna zachowuje się tak nieżyczliwie.

Zatrzymałam się piętro niżej i cichutko, żeby przypadkiem nie obudzić Coco, zapukałam do jej drzwi. Nie zareagowała, więc udałam się do swojego łóżka, żeby też chwilę odpocząć.

Popołudniowa drzemka ma w sobie coś bardzo dekadentckiego. Człowiek odgradza się okiennicami od światła słonecznego i nurkuje w pościeli, mimo że do końca dnia pozostało jeszcze mnóstwo czasu. Kiedy jestem zmęczona, zasypiam w kilka minut, ale tamtego popołudnia nie przyszło mi to łatwo. Przed oczami przemykały mi obrazy różnych miejsc i nowo poznanych ludzi, a w głowie kołatało mi się mnóstwo myśli. Przypomnieli mi się też moja córka i mój mąż, którzy zostali w domu i jakoś żyli beze mnie. Chyba dlatego, że właśnie miałam okazję zobaczyć, jak Valentina poświęca się dla matki, nagle

poczułam się straszną egoistką. Dużo uwagi poświęciłam swojemu szczęściu, a co z innymi?

Nie zamierzałam obarczać się winą, chociaż zdawałam sobie sprawę, że postąpiłam skandalicznie. Większość kobiet, które znałam, nigdy by się na coś takiego nie zdecydowała. Były oddane swoim rodzinom i zawsze stawiały siebie na dalszym planie. Godziły się na życie na pełnych obrotach i na różne wyrzeczenia. Sama długo stosowałam tę strategię, ale wszyscy czuli się przez to nieszczęśliwi – ja, Eden, Katia pewnie też. Musiał istnieć jakiś sposób, by to zmienić, byśmy wszyscy mieli lepsze samopoczucie i mogli czerpać z życia więcej radości. Myślałam o tym intensywnie, przewracając się w łóżku z boku na bok, ale nie przyszło mi do głowy żadne rozwiązanie.

Niestety nie skorzystałam z uroków tej popołudniowej drzemki. Zrezygnowałam z prób zaśnięcia, owinęłam się kocem i poszłam usiąść na balkon. Robiło się coraz cieplej, późna wiosna przechodziła powoli we wczesne lato. Tutaj miałam przed sobą perspektywę słonecznych dni i niewyczerpanych możliwości, w domu zaś czekały na mnie tylko problemy. Nawet jeśli miałam wyrzuty sumienia, nie zamierzałam wracać. Jeszcze nie teraz.

Usłyszałam, że otwierają się okiennice na dole.

- Coco, to ty? – zawołałam, wychylając się przez balustradę.
- *Si, cara* – jej głos popłynął w górę.
- Wpadniesz do mnie na późny lunch? Mam trochę sera i sałatę.
- Znieś jedzenie do ogrodu. Popołudnie jest tak piękne, że możemy zrobić sobie piknik.

Zeszłam do ogrodu z talerzem, na którym leżał ser Asiago, pieprzne *sopressa*, chrupiący chleb i oliwki. Coco zdążyła już ładnie nakryć stolik. Oprócz starej porcelany nie od kompletu stał na nim kryształowy wazon ze świeżymi kwiatami. Usiadłyśmy obok siebie, ja w kocu, z włosami upiętymi wysoko, ona w szlafroku, ciągle jeszcze rozespana. Nalałam nam do kieliszków chłodnej gazowanej wody, do której dla smaku dodałam po kropelce gorzkiego likieru. Coco sączyła napój, jednocześnie karmiąc pieski plasterkami salami.

- Poszłam dziś rano do galerii Peggy Guggenheim, żeby obejrzyć obrazy twojej przyjaciółki Pegeen – powiedziałam.

– No proszę... – odparła.

– Kupiłam też przewodnik i znalazłam w nim twoje zdjęcie.

Byłyście razem na jakimś przyjęciu.

– Byłyśmy razem na wielu przyjęciach.

– Miałaś na sobie sukienkę z naszytymi świecącymi szkiełkami.

– Białą? – Nagle Coco wykazała większe zainteresowanie. – Taką z głębokim dekoltem?

– Tak.

– Jedna z moich ulubionych. Ciekawe, co się z nią stało.

– Pamiętasz to przyjęcie?

Ściągnęła brwi.

– Włożyłam ją kiedyś na bardzo kameralne przyjęcie w Gritti Palace. Pegeen mogła tam być, ale niewykluczone, że była wtedy w Paryżu... albo w Londynie. Nie wiem.

– Jak ją poznałaś?

– Przez znajomego.

– Mężczyznę?

Utkwiła wzrok w niezbyt odległym punkcie w przestrzeni, częściowo przenosząc się do krainy wspomnień.

– Chyba mu się wydawało, że zdołam jej pomóc. Próbowałam, ale ona potrzebowała czegoś więcej.

– Czy to znaczy, że nie potrafiła przezwyciężyć smutku?

– Życie może być smutne, jeśli człowiek się na to godzi. – Coco przeniosła wzrok na mnie. Chwyciła w palce kostkę sera, przełamała ją na pół i podała kawałki psom. Liczyłam na to, że powie coś więcej, ale zapadła zupełna cisza.

– Poznałam dzisiaj inną twoją przyjaciółkę – powiedziałam. – Matkę Valentiny.

Coco wydawała się zaskoczona.

– Biedna Nanda, jak się miewa? Gdy ostatnio się widziałyśmy, sprawiała wrażenie bardzo zmęczonej.

– Nie czuje się najlepiej. Valentina prosiła, żebyś ją jak najszybciej odwiedziła.

Coco tylko westchnęła.

– Czy ona też chodziła na przyjęcia z tobą i Pegeen? – zapytałam.

Coco zaprzeczyła głową.

– Nie, Nanda należała do innego świata.

– Pochodziła z bogatej rodziny? – dociekałam. – Jest prawdziwą hrabiną?

– Tytuł znaczy dziś niewiele, ale tak, pochodzi z arystokratycznego rodu. Tyle że mało zamożnego, pieniędzy nie mieli już od dawna.

Pieniądze miał jej mąż.

– Czym się zajmował?

– Produkcją szkła.

– Ach, tak, Valentina wspominała, że jej rodzina prowadzi na Murano muzeum szkła. Dobrze pamiętam?

Coco skinęła głową. Znowu wpatrywała się w przestrzeń.

Odezwała się dopiero po kilku chwilach:

– Nie mam ochoty jej odwiedzać. Wszystko mnie przygnębia: zrujnowany pałac, jej beznadziejny stan, chaos panujący w ich życiu.

Dlatego tam nie zaglądam.

– Valentina sądzi, że jej nie akceptujesz.

– Tak ci powiedziała? – Coco sprawiała wrażenie zaniepokojonej.

– Wiem, że powinnam tam pójść, ale nigdy nie zdarza mi się obudzić z przeświadczeniem, że właśnie mam na to ochotę.

– Zaproponowałam, że będę wyprowadzać ich psa – powiedziałam.

– Zaczynam jutro rano. Mogłabyś pójść ze mną i posiedzieć chwilę z hrabiną, gdy ja będę spacerować... O ile oczywiście znajdzie się dla ciebie coś do siedzenia. Swoją drogą, gdzie się podziały ich meble?

– Pewnie zostały sprzedane, jak wszystko, co miało jakąkolwiek wartość.

– Brakuje im pieniędzy?

– Nawet jeśli teraz nie, to wkrótce zacnie.

Coco zamknęła oczy, jakby pogrążyła się w myślach.

– Biedna Valentina – powiedziała. – Nic dziwnego, że tak dużo pracuje. – Po czym otworzyła oczy i oświadczyła: – Pójdę tam. Jutro jeszcze nie, ale niedługo, naprawdę niedługo. Tylko mi obiecaj, że potem zrobimy coś, co poprawi mi humor. Może zafundujemy sobie koktajle na tarasie Gritti Palace, co ty na to? Wystroimy się i będziemy obserwować bogatych Amerykanów. Może wtedy przypomnę sobie tamto przyjęcie...

i co zrobiłam z sukienką.

Większość ludzi chętnie opowiada o sobie i plotkuje o swoich znajomych, tymczasem Coco była rozczarowująco dyskretna. Mogłam liczyć jedynie na strzępki informacji, niewątpliwie fascynujące, ale zbyt skąpe, by nakreślić na ich podstawie jakąkolwiek historię.

Zastanawiałam się, jak wydobyć od niej nieco więcej. Może koktajle na tarasie Gritti Palace rozwiążą jej język i skłonią do opowiedzenia o dawnych przyjęciach. Może wtedy Coco wspomni swoje najlepsze lata.

Lista szczęścia Addoloraty

Popołudniowe drzemki (naprawdę udane). Pozwalają zapomnieć o wszystkich nudnych rzeczach, którymi trzeba się zająć. Zamykam oczy i przenoszę się do krainy snu, choćby tylko na dwadzieścia minut. Potem budzę się w cichym domu i wypijam filiżankę herbaty. Czysta rozkosz.

Rozdział 12

Niedzielną wieczorną milongę odbywała się na tarasie starego *palazzo*, w którym teraz był pensjonat. Mimo że przyszedliśmy na miejsce stosunkowo wcześnie, Silvio już czekał. Powitał mnie jak swoją przyjaciółkę markowanym pocałunkiem w policzek i obsypał komplementami.

– Wspaniały wieczór... I to jedzenie! Rzadko mam okazję jeść domowy posiłek. Wspominałem go cały dzień.

– Dla mnie to była czysta przyjemność – wymamrotałam. – Musimy to w najbliższym czasie powtórzyć.

Silvio rozpamiętywał posiłek, ale ja się nie mogłam skupić. Zastanawiałam się, czy gdzieś pod osłoną loggii po drugiej stronie tarasu nie kryje się Angelo. Dużo myślałam o naszej improwizowanej lekcji tańca, usiłując ustalić, co właściwie wtedy czułam. Tango miało w sobie intymność oraz siłę i jednocześnie delikatność. Było dla mnie czymś niepokojącym, fascynującym i nowym.

Nie miałam zbyt dużego doświadczenia w relacjach damsko-męskich. Eden był moją pierwszą poważną miłością. Oczywiście jako nastolatka bywałam zakochana, ale nigdy wcześniej nie spałam z żadnym mężczyzną. Nie przeszkadzało mi to. Przyglądałam się z boku, jak moje przyjaciółki zmieniają kochanków, ale nie czułam z tego powodu zazdrości ani też nie kusiło mnie, żeby iść w ich ślady, bo przecież należałam do Edena. Tylko że on postanowił to zmienić. Oczywiście byłam na niego zła i czułam się skrzywdzona, przede wszystkim jednak doskwierała mi samotność. Kim będę bez niego?

Tango sprawiało, że przynajmniej na krótko mogłam o tym zapomnieć. Może dlatego, że wymagało ode mnie koncentracji, ale chyba chodziło o coś więcej. Pewnie o więź, o wysiłek odbierania dłońmi sygnałów od partnera, o całkowite zjednoczenie się z drugą osobą, o przyjemność z wzajemnego kontaktu. Jeśli Angelo mówił poważnie, proponując mi lekcje, to ja zamierzałam na poważnie

rozważyć tę ofertę, nie bacząc na zniechęcające słowa Coco.

Rozglądałam się wokół i dostrzegłam kilka znajomych twarzy, ale nie było wśród nich Angela. Pojawił się Marcello, przyjaciel Coco. Dwie pary, które pamiętałam z pierwszej milongi na *campo*, rozpoczęły taniec i po chwili dołączyły do nich kolejne. Stałam na uboczu. Przyglądałam się i czekałam.

Już dawno nie czułam dreszczyku wyczekiwania na spotkanie z mężczyzną. Edena poznałam przez moją przyjaciółkę Rosie. Remontował jej nowe mieszkanie, a ja wynajdywałam najróżniejsze powody, żeby tam do niej regularnie zaglądać. Chciałam być na bieżąco z postępem prac i świętować z nią każdy kolejny etap remontu. Czasem pojawiałam się po prostu po to, żeby dotrzymać jej towarzystwa.

Rosie oczywiście szybko mnie przejrzała. Natomiast Eden się nie zorientował. W roboczych dżinsowych ogrodniczkach, wymachując dredami na głowie i narzędziami przypiętymi u pasa, był taki uroczy, taki seksowny! Upłynęło dużo czasu, zanim w ogóle mnie zauważył. Dawno rozprawił się ze ścianami, wyremontował zniszczone okiennice i nadał mieszkaniu zupełnie przyzwoity wygląd... ale mną ciągle się nie zainteresował.

Remont powoli zbliżał się ku końcowi, więc wpadłam w panikę i zaprosiłam go na drinka. Odtąd już zawsze wyglądało to tak, że ja wychodziłam z inicjatywą, a on chętnie się godził. Ciągle towarzyszyło mi więc poczucie wyczekiwania. Czekałam na niego w barach, we foyer teatrów i kin, przy wejściach do metra. Wypatrywałam go pośród tłumu. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy przestałam to robić, ale wiedziałam, że teraz zdarzało mi się raczej przystanąć przed wejściem do naszego domu i z niechęcią pomyśleć o tym, co zastanę w środku. Czasami nie odbierałam telefonu, gdy do mnie dzwonił.

Słuchając tanga, można dojść do wniosku, że ta muzyka świetnie odzwierciedla nasz nastrój. Jeśli chce się w niej usłyszeć coś ponurego, to się usłyszy, jeśli ma się w niej znaleźć coś ujmującego, to się znajdzie, ale równie dobrze może się wydawać inspirująca lub optymistyczna. Tamtego wieczoru w ogóle nie wydawała mi się piękna. Przypominała mi o upływie czasu, denerwowała mnie, dręczyła. Gdy obserwowałam tańczących i czekałam na Angela, nie czułam absolutnie nic poza

smutkiem.

Było już prawie ciemno, więc na stolikach ustawionych wokół parkietu zapłonęły świece. Cofnęłam się do cienia w głąb loggii i wtedy zobaczyłam, jak Coco tonie w objęciach Marcella. Ich tango miało w sobie coś z zabawy. On ją obracał, a ona się śmiała. Sprawiali wrażenie odprężonych.

Przyglądałam się, jak ciało Coco reaguje na muzykę. Tak tańczyć, niemal beztrudnie, jakby się nie musiało myśleć o każdym kolejnym kroku! Mieć taką sylwetkę i tak wyrobiony zmysł równowagi, taką kontrolę nad ciałem, a przy tym tyle namiętności w ruchach! Moim zdaniem o to właśnie chodzi w tangu. Bardzo chciałam też tak umieć.

W tym momencie poczułam na ramieniu delikatny dotyk.

– Dolly – powiedział cicho Angelo.

– Hej! – Odwróciłam się do niego. – Długo tu jesteś?

– Nie.

W loggii panował zdecydowanie zbyt duży mrok, żebym mogła dostrzec wyraz jego twarzy.

– Wszystko w porządku? – zapytałam.

– Tak, ale dziś wieczorem nie chcę zaprzętać sobie głowy tym miejscem. Wieje nudą. Co niedzielę ta sama muzyka, ci sami ludzie. Chodźmy gdzie indziej.

– Teraz?

– Tak, teraz. Tylko ty i ja.

– Dobrze, tylko się pożegnaj z Coco.

– Nie. – Chwycił mnie za rękę. – Nie przeszkadzaj jej. Po prostu chodź za mną. Jej będzie wszystko jedno, jest zajęta tańcem.

– Ale...

– Chodź!

Pociągnął mnie za sobą przez krainę cienia, odciągając od tancerzy i muzyki. Wyszliśmy z *palazzo*. Nawet przez zatłoczone *calli* szedł szybkim krokiem. Nie odwracał się i nic do mnie nie mówił, tylko trzymał mnie za rękę i ciągnął za sobą.

Po chwili prawie biegnęliśmy, lawirując między turystami. Pokonywaliśmy kolejne mostki, mijaliśmy sklepy, kościoły i punkty, w których można było kupić kawałki pizzy.

– Angelo, dokąd idziemy? – zapytałam, ale nie odpowiedział.

Szybko przeprowadził mnie pod kolejną loggią, a potem wyszliśmy prosto na rozległy plac Świętego Marka. Panował tam tłok i zgiełk, bo liczne kawiarniane orkiestry rywalizowały o uwagę klientów.

– Angelo, zatrzymaj się! – Brakowało mi tchu. – Dokąd mnie prowadzisz?

Gdy się odwrócił, dostrzegłam na jego twarzy surowy wyraz.

– Dolly, musisz nauczyć się podążać za mną. Inaczej niczego razem nie osiągniemy.

Wpatrywałam się w niego niepewnie, aż w końcu się uśmiechnął.

– Idziemy do Caffè Florian. Zespół mojego przyjaciela gra tam tango i będziemy tańczyć.

– Ależ, Angelo, nie mogę. Nie przed tymi wszystkimi ludźmi. Przecież jeszcze nic nie umiem.

– W takim razie ja będę tańczyć dla ciebie. *Vieni, vieni*, nie chcę, żebyśmy przegapili ich występ.

Scena, na której grał zespół, znajdowała się między wysokimi filarami pośród białych zasłon. Tylko połowa stolików była zajęta, ale z tyłu zgromadził się tłum ludzi, którzy postanowili posłuchać za darmo. Od razu rozpoznałam te dźwięki, wznoszące się tony smyczków i zawodzenie klarnetu, a do tego zupełnie wyjątkowe brzmienie instrumentu zwanego bandoneonem, nieco przypominającego akordeon. Przyjechałam do Wenecji zaledwie tydzień temu, ale te dźwięki zdążyły stać się muzycznym tłem mojego tutejszego życia.

– Gotowa? – Angelo chwycił mnie w objęcia.

– Nie – zaprotestowałam.

– Przecież wiesz, co masz robić!

– Dać się prowadzić – powiedziałam. – Po prostu dać się prowadzić.

Angelo się roześmiał.

– Widzisz, jest nadzieja.

Wziął mnie w ramiona i przycisnął policzek do mojej twarzy, zmuszając mnie kilkakrotnie do przeniesienia ciężaru z nogi na nogę. Chodziło o to, żebym się rozluźniła. Potem nakazał mi położyć sobie jedną rękę na ramieniu, drugą zaś mocno przycisnąć do jego dłoni.

Pierwsze wspólne kroki zrobiliśmy jeszcze na skraju półokręgu stolików. Angelo sprawiał wrażenie, jakby gapie w ogóle go nie obchodzili. Wiedział, że tłum się rozstąpi, by nas przepuścić. Na scenie ktoś śpiewał po hiszpańsku, ja jednak miałam wrażenie, że Angelo skupia całą uwagę na mnie. To mnie onieśmiało, ale też fascynowało.

W tym momencie zupełnie się zapomniałam. Przestałam być Addoloratą szefową kuchni, matką, specjalistką od rozwiązywania cudzych problemów i sprzątania cudzych bałaganów. Nie byłam niczyją siostrą, niczym dzieckiem, niczyją żoną. Po prostu znajdowałam się na placu zalanym światłem. Podążałam za Angelem. Nasze ciała się dotykały i to było wspaniałe.

Mogłoby się wydawać, że plac Świętego Marka to jedno z tych miejsc w Wenecji, gdzie ruch nigdy nie zamiera. Zapewniam, że to nieprawda. W miarę upływu czasu tłum się przerzedza, a kawiarnie pustoszeją. Turyści wracają do hoteli, żeby dać odpocząć stopom strudzonym po całym dniu deptania po *calli*. Znikają też uliczni sprzedawcy. Muzyka milknie, a właściciele lokali chowają krzesła i stoliki. To oczywiście nie oznacza, że trzeba przestać tańczyć – nic w tym nie przeszkodzi, jeśli tylko nastrój dopisuje i partner nie zacznie się uskarżać na zmęczenie.

Noc nie była ciepła, ale nasze ciała grzały się własnym ciepłem. Sami dla siebie tworzyliśmy muzykę, tak jak swego czasu Silvio i Coco. Tańcząc, minęliśmy dzwonnice i Pałac Dożów, aż w końcu dotarliśmy do Canale Grande. Miałam poranione stopy i obolałe ramiona. Tańczyliśmy, mimo że inni mieszkańcy miasta spali i nikt na nas nie patrzył. Przestaliśmy dopiero wtedy, gdy Angelo uznał, że już wystarczy.

Ujął moją twarz w swoje dłonie.

– Dobrze – powiedział. – Dużo lepiej. Wydaje mi się, że masz talent.

Opuściłam powieki i oparłam swoje czoło o jego.

– Dziękuję.

Przez chwilę tak staliśmy, oddychając jednym rytmem. W końcu Angelo rozluźnił ramiona i odsunął się ode mnie.

– Dzisiaj zależało mi na tym, żebyś poczuła, czym może być tango.

Dlatego przyprowadziłem cię tutaj. Teraz powiedz, czy jesteś zainteresowana nauką.

Skrzyżowałam ramiona na piersiach. Nie miałam najmniejszych wątpliwości.

– Tak.

– To będzie ciężka praca, momentami frustrująca, pewnie też wymagająca – przestrzegął. – Musisz być tego pewna.

– Jestem pewna.

– Dobrze. W takim razie przyjdź do mnie jutro wieczorem.

Podał mi adres i przyłożył dłoń do czoła w geście salutowania.

– A więc do zobaczenia, *buona notte*.

Stałam samotnie w ciemności, nieco zaskoczona. Spodziewałam się, że Angelo odprowadzi mnie do domu, ale on odwrócił się i odszedł. Tym razem nie oczekiwał, że za nim pójdę.

W końcu udało mi się złapać taksówkę wodną, która miała zabrać mnie do domu. Łódź przemierzała ciemne wody Canale Grande, mijając odbijające się w jej toni pałace i gondole, które zacumowane i przykryte rytmicznie obijały się o nabrzeże.

Byłam zmęczona, lecz nie chciało mi się spać. Po powrocie do mieszkania usiadłam na balkonie owinięta kilkoma kocami i wsłuchiwałam się w ciszę. Co chwila to przysypiałam, to się wybudzałam, aż w końcu dobiegł mnie cichy śpiew ptaków. Poszłam zrobić sobie kawę, po czym wróciłam na balkon i ponownie opatuliłam się kocami, żeby mi było cieplej.

Powierzchnię kanału mąciły kropelki lekkiego deszczu, nad wodą unosiła się poranna mgła. Gdybym zbyt pochopnie nie obiecała wyprowadzać na spacer psa hrabiny, pewnie wskoczyłabym do łóżka z książką i nie wstawała przez cały dzień.

Dopiłam jednak kawę i postanowiłam stawić czoło nieprzewidywalnej temperaturze wody pod prysznicem. Włożyłam dzinsy i płaskie buty, a włosy ukryłam pod czapką. Na ramiona narzuciłam dzinsową kurtkę i ruszyłam schodami w dół. Z mieszkania Coco nie dochodziły żadne oznaki życia, postanowiłam więc nie budzić jej tylko po to, żeby się przywitać. Zakładałam, że nie będzie mi miała za złe wczorajszego zniknięcia z milongi bez pożegnania.

Zatrzymałam się jeszcze po drodze, żeby pokrzepić się kawą i brioszką. Zanim dotarłam do *palazzo*, mżawka przerodziła się w regularny deszcz. Wbiegłam po schodach i zapukałam do drzwi. Valentina otworzyła mi dopiero po chwili.

– Nie byłam pewna, czy przyjdiesz – powitała mnie, spoglądając na ponure niebo.

– Nie wiem, jak Boris, ale ja się deszczu nie boję – powiedziałam.

Valentina przyniosła mi smycz i stary ręcznik, którym miałam wytrzeć psa po spacerze. Dała mi też klucz, żebym mogła sobie otworzyć drzwi.

– Idę do pracy w księgarni Acqua Alta. Gdybyś tamtędy przechodziła, to wpadnij na chwilę.

– Nie wiem jeszcze, dokąd pójdę. Pierwszego dnia raczej nie wybiorę się tak daleko.

Pies machał długim ogonem i spoglądał raz na Valentinę, raz na mnie, jakby rozumiał treść naszej rozmowy.

– Najważniejsze, żeby Boris w ogóle wyszedł na spacer – orzekła Valentina.

Po wyjściu obejrzałam się za siebie i zobaczyłam, że hrabina – a właściwie cień widoczny za szybkami w ołowianych ramkach – przygląda się nam z okna na piętrze. Nie bardzo potrafiłam sobie wyobrazić, że ta kobieta i Coco się przyjaźniły. Wydawały się skrajnie różne.

Boris najwyraźniej obrał sobie konkretny cel, bo pociągnął mnie Strada Nuova. Postanowiłam po prostu iść tam, dokąd będzie mnie prowadził. Kiedy kurtka zaczęła nasiąkać deszczem, pozazdrościłam turystom paskudnych plastikowych pelerynek. Już miałam zawracać, gdy Boris szarpnął smycz i nagle zmienił kierunek, teraz podążaliśmy wzdłuż jednego z kanałów, a potem wąskim przejściem do ukrytego pośród pałaców parku.

Zajmował zaskakująco dużą przestrzeń. Pośród drzew i przystrzyżonych krzewów stały drewniane ławki, był tam też mały plac zabaw dla dzieci. Psy najróżniejszych rozmiarów i ras uganiały się za piłkami, które właściciele rzucali im na pasie mokrej trawy. Odpięłam Borisa, zakładając, że do mnie wróci, gdy go zawołam. Pobiegnął do

towarzyszy. Kilka osób powitało go po imieniu i pogłaskało po dużej siwej głowie, a do mnie wykrzyknęło *buongiorno*. Pewnie się zastanawiali, gdzie jest Valentina.

Stałam pod drzewem i patrzyłam, jak Boris wynajduje ułamaną gałąź i bawi się nią z labradorem. Chwilę później porzucił patyk i zaczął biegać radośnie w kółko z grupą innych psów. W końcu przyszedł i usiadł zdyszany u moich stóp. Domyśliłam się, że ma dość i chce wracać do domu.

Ruszyliśmy z powrotem do *palazzo* po śliskich od deszczu kamiennych płytach, którymi była wyłożona Strada Nuova, mijając turystów ciągle jeszcze spacerujących w plastikowych pelerynkach. Nic nie wskazywało na to, że pogoda się poprawi, i Boris szedł z ogonem mocno podwiniętym pod siebie. Pomyślałam, że być może jutro pójdziemy gdzieś dalej, jeśli będzie sucho, teraz jednak należało schować się przed deszczem.

Hrabina cały czas czekała przy oknie. Gdy zobaczyła, że idę w stronę frontowych drzwi szybkim krokiem, odsunęła się nieco w głąb. Przekręciłam klucz i wykrzyknęłam grzecznościowe *buongiorno*, ale mi nie odpowiedziała. Jednak gdy wycierałam ociekającego wodą psa, usłyszałam z góry głos:

– Signora, jest pani całkiem przemoczona. Proszę tu wejść i przyprowadzić mojego Borisa.

Wolałabym pójść do domu i zdjąć z siebie wilgotne džinsy, lecz nie chciałam, żeby hrabina uznała mnie za nieuprzejmą, wspięłam się więc na górę po schodach i przemierzyłam kolejne puste pokoje i korytarze, aż w końcu ją znalazłam.

Znów była ubrana od stóp do głów na czarno, miała jednak naszyjnik. Na długim srebrnym łańcuchu zwisał imponujący kawał ręcznie dmuchanego barwionego szkła.

– Ach, ten deszcz, ten paskudny deszcz – narzekała. – Proszę zdjąć kurtkę i przyjść się ogrzać.

W murach starego *palazzo* wiało chłodem. Nie wydawało mi się, że w tych wnętrzach znajdzie się choć jedno ciepłe miejsce, mimo to uśmiechnęłam się i podziękowałam.

– Zapropo nowałabym pani herbatę, ale nie wiem, gdzie się

podziwała służba – powiedziała z irytacją w głosie hrabina.

Spojrzałam w jej mętne, szare oczy i uznałam, że jest zaniepokojona.

– Ja mogę zrobić herbatę – powiedziałam. – Wiem, gdzie jest kuchnia.

– Jak miło z pani strony – wymamrotała. – Wypijemy ją w moim saloniku. Tam jest moim zdaniem przytulniej.

Odprowadziłam ją wzrokiem po schodach. Boris podążył w ślad za nią, a ja udałam się do kuchni, gdzie musiałam otworzyć sporo szafek pełnych starych naczyń, żeby znaleźć imbryk, filiżanki i tacę, na której mogłabym je zanieść. Ponieważ nie było czajnika, zagotowałam wodę w garnku. Herbata znajdowała się w szafce nad zlewem, mleko stało w lodówce. Udało mi się nawet wytropić paczkę *biscotti*.

Weszłam z tym wszystkim na górę i musiałam zajrzeć do każdego z przestronnych wnętrz, aż w końcu trafiłam do mniejszego pomieszczenia, w którym w słabym świetle zwykłych lamp stały krzesła z wysokimi oparciami.

– Hrabino?

– Tak, tu jestem. Proszę postawić herbatę na stole. O tak. Należy pani?

Piła łąpczywie, a gdy podsunęłam jej talerzyk z ciasteczkami, wzięła od razu kilka sztuk.

– Nikt mi dzisiaj nie podał śniadania. – W jej głosie pobrzmiwała nuta rezygnacji. – Oczekuje się ode mnie, że będę je robić sama.

Gdy po raz pierwszy zobaczyłam tę kobietę, pomyślałam, że ktoś mógłby ją spokojnie wziąć za babkę Valentyny. Teraz zdałam sobie sprawę, że było to tylko złudne wrażenie wywołane tym, jak się ubierała i poruszała. Jej ciało przypominało pień, kostki miała spuchnięte, a włosy drutowate, ale na twarzy nie dostrzegłam zmarszczek, a skóra wyglądała na jędrną. Hrabina była na pewno młodsza od Coco.

– Życzy pani sobie jeszcze herbaty? – zapytałam, a ona chętnie podsunęła mi filiżankę.

– Dobrą herbatę pani parzy. No ale w końcu jest pani Angielką, prawda? Tak powiedziała moja córka. Powiedziała, że pani zna Coco.

– Mieszkam w jej mieszkaniu – odparłam.

Hrabina skinęła głową.

– Tak, tak słyszałam. Czy ona nadal ma piękny ogród? A dzieła sztuki? Ciągle wiszą u niej na ścianach? Jak dawno u niej nie byłam... Lata całe!

– Coco wybiera się do pani. Ma zamiar przyjść któregoś poranka.

– Zawsze tak mówi, ale nigdy nie przychodzi – odparła rzeczowo hrabina. – Podczas ostatniego spotkania pokłóciłyśmy się, więc pewnie dlatego.

– Nic mi o tym nie mówiła...

– Coco uważa, że wszystko wie najlepiej. Niecierpliwi się, a wtedy się kłócimy. – Szare oczy otworzyły się szeroko i spojrzały prosto na mnie. – To bardzo niesprawiedliwe z jej strony. Nigdy jej nie oceniałam jak inni, więc nie wiem, dlaczego teraz ona ocenia mnie.

– Trudno mi cokolwiek powiedzieć. – Liczyłam, że może uda mi się dowiedzieć czegoś więcej.

Hrabina utkwiała wzrok w swojej pustej filiżance.

– Jestem bardzo głodna – poskarżyła się. – Może pójdzie pani na dół i zapyta, jak długo jeszcze będę musiała czekać na lunch? Proszę im powiedzieć, że w ogóle nie jestem z nich zadowolona.

– Dobrze. – Ostrożnie wyjęłam jej filiżankę z dłoni i odstawiłam ją na tacę. – Zobaczę, co uda mi się załatwić.

Znalazłam trochę jedzenia: w lodówce jajka, pancettę i parmezan, a w szafce makaron i oliwę. Było tego w sam raz na *spaghetti alla carbonara*. Odkurzyłam kilka patelni i zabrałam się do pracy.

Już na pierwszy rzut oka było widać, że w tej kuchni przyrządzano kiedyś wielkie uczyty. Została wyposażona w całą masę różnych kieliszków, przeróżne półmiski i naczynia oraz w baterię rondli i brytfann. Swego czasu krzątało się tu zapewne sporo ludzi i panowała nie lada wrzawa, teraz jednak kuchnia sprawiała wrażenie opuszczonego miejsca, tak więc moje danie powstało w ciszy.

Tak czy owak, hrabina była mi wdzięczna za posiłek. Nachyliła głowę nad talerzem ze spaghetti i jadła je łapczywie.

– Bardzo dobre. Idealnie *al dente*, i pancetta jest chrupiąca. Mamy nową kucharkę?

– Tak, chyba tak.

– Nikt mi nic nie mówił – powiedziała rozżalona.

– Wspominała pani o Coco... – przypomniałam.

– Tak, a co mówiłam?

– Że ludzie ją oceniali.

– Oj, nie było jej wtedy lekko. Biedna Coco. Ale przecież nie mogła oczekiwać niczego innego.

– A co takiego zrobiła?

Hrabina nawinęła spaghetti na widelec i westchnęła.

– Biedna Coco – powtórzyła.

Nic więcej nie powiedziała, dokończyła jeść w milczeniu. Talerz, na którym zostały już tylko resztki, podała Borisowi, który wylizał go do czysta. Następnie pies położył głowę na jej kolanie, żeby go pogłaskała. Hrabina czule się do niego uśmiechnęła. Chyba zapomniała o mojej obecności, bo gdy podniosła wzrok, sprawiała wrażenie zaskoczonej, widząc mnie w fotelu naprzeciwko siebie.

– A, to pani – powiedziała, jakby odzyskując kontakt z rzeczywistością. – Przed wyjściem proszę powiedzieć kucharce, że lunch mi bardzo smakował. Proszę jej powiedzieć... Proszę jej powiedzieć... Bo to jest kobieta, tak?

Skinęłam potakująco głową.

– Proszę jej powiedzieć, że chciałabym z nią omówić jadłospis na ten tydzień. Uważam, że to należy ustalić.

– Oczywiście – odparłam, chociaż nie wiedziałam, co mam w związku z tym zrobić.

– A pani przyjdzie jutro wyprowadzić Borisa, tak? To dobrze, dobrze. Całe szczęście, że moja córka w końcu zorganizowała kogoś do pomocy. Ostatnio było nam bardzo ciężko.

Gdy wychodziłam z *palazzo*, padało już tylko trochę, ale przez Strada Nuova przelewała się kolejna potężna fala turystów zawiniętych w plastikowe pelerynki. Moje dzinsy były ciągle wilgotne, musiałam więc iść do domu, żeby się przebrać. Na każdym kroku zauważałam psy: całą masę małych i włochatych, kilka długonogich i sadzących susy; rasowe i kundelki. Chodziły po uliczkach, siedziały dumnie na rufach łodzi, maszerowały mostami albo spoglądały w dół przez balustrady tarasowych ogrodów. Wcześniej zupełnie nie zwracałam na nie uwagi.

Teraz, z powodu Borisa, nagle zaczęły rzucać mi się w oczy. Uśmiechałam się na ich widok. Były mieszkańcami Wenecji tak jak ludzie. Mogły tu swobodnie biegać bez obaw, że potrąci je rozpędzony samochód.

W dzieciństwie przed każdym Bożym Narodzeniem dopraszałam się o psa, ale rodzice konsekwentnie mi odmawiali. Mieszkaliśmy w Londynie, w szeregowcu w Clerkenwell. Cały malutki przydomowy ogródek ojciec zaanektował na grządki z warzywami. Nie było tam miejsca na psa. Nie miałyby się gdzie wyszaleć, nie miałyby kto po nim sprzątać. Matka proponowała mi mniejsze zwierzątka, choćby myszoscoczka, złote rybki albo kota, lecz twardo obstawałam przy swoim. Skoro nie mogłam mieć psa, to nie chciałam innego pupila.

Mogłam sobie sprawić psa, gdy wyprowadziłam się z domu i zamieszkałam z Edenem, ale Londyn to miasto, w którym raczej się nie widuje psów wylegujących się na progach czy zwiniętych w kłębek pod kawiarnianym stolikiem. Poza tym miałam dużo na głowie i zupełnie o tym zapomniałam. Pies pozostał w krainie mojego dzieciństwa wraz z różowymi sukienkami księżniczki i kolorowymi pisakami, z cukierkami z sorbetem cytrynowym i kreskówkami Disneya. Być może kupiłabym psa Katii, tyle że ona nigdy o niego nie poprosiła. Żółwie wodne i myszy w zupełności ją zadowalały. Poza mną nikt nie chciał mieć psa, musiałam więc zrezygnować z tego marzenia.

Teraz mijałam szorstkowłose jack russell terriery z pędzelkami wokół pyska, elegancko przystrzyżone miniaturowe pudle, białe psy w czarne kropki i mniejsze zwierzątka ze spłaszczonymi mordkami. Na widok każdego z nich odczuwałam przyływ miłości, solidny zastrzyk optymizmu i ckliwy zachwyt.

Lista szczęścia Addoloraty

Psy, najlepiej duże jak Boris: dogi niemieckie, nowofundlandy. Chociaż małe psiaki z zawadiackimi mordkami, spaniele podobne do kapci, a nawet te najmniejsze, które nosi się w torebce... wszystkie mnie uszczęśliwiają. Pod warunkiem że nie ujadają. Ujadania nie znoszę.

Rozdział 13

Coco dała mi odczuć swoje niezadowolenie. Powinnam się spodziewać takiej reakcji, gdy poprzedniej nocy zniknęłam z milongi w towarzystwie Angela. Teraz to ona zamierzała sprawić mi przykrość.

Początkowo ignorowała moje pukanie do drzwi. Ponieważ jednak nie dawałam za wygraną i mniej więcej co kwadrans schodziłam na dół, żeby spróbować ponownie, w końcu się ugięła i wpuściła mnie do środka, ale postanowiła chyba ukarać mnie zdawkowością. Na wszystkie moje pytania odpowiadała monosylabami. Jak się dzisiaj czuje? Okej. Czy dobrze się wczoraj wieczorem bawiła? Tak. Co ma dzisiaj w planach? Nic. Miałam wrażenie, że rozmawiam ze swoją córką, gdy jest nadąsana.

Kiedy Katia zachowuje się w ten sposób, wszelkie próby poprawienia jej humoru są z góry skazane na niepowodzenie. Można jedynie spróbować czymś ją zająć. Coco miała już swoje lata, ale podejrzewałam, że i w jej wypadku ta metoda może się sprawdzić. Przyglądałam się jej, usiłując odgadnąć, co mogłoby pomóc tej starszej pani zapomnieć o złym humorze.

Dzisiaj znów ubrała się stylowo, tym razem włożyła sukienkę w kolorze ciemnego błękitu przetykanego srebrem. Stopy ukryła w haftowanych jedwabnych kapciach, których wcześniej nie widziałam. Zaczęłam się zastanawiać, ile jeszcze par butów i różnych nietypowych strojów kryje się w zakamarkach tego niewielkiego mieszkanka.

– Coco – powiedziałam, doznając olśnienia – może pokazałabyś mi swoją garderobę?

– Co takiego?

– Chętnie bym obejrzała twoje ubrania. Zawsze podziwiam twój dobór strojów. To mogłby być fajny sposób na przeczekanie deszczowego popołudnia.

– Cóż, właściwie nie wiem... – Wyjrzała przez mokrą od deszczu szybę w przestrzeń wypełnioną miękkim szarym światłem. – Dla ciebie

pewnie byłoby to interesujące. Musisz wiedzieć, że każdy z moich strojów ma swoją historię. Niektóre mam od bardzo dawna.

– Nadal wszystkie na ciebie pasują?

– Tak, oczywiście. Zawsze dbałam o figurę.

– Czyli każdą z tych rzeczy mogłabyś ciągle jeszcze włożyć? –

Trochę jej zazdrościłam.

– Każdą – odrzekła z wyraźną dumą. – Teraz jestem chyba nawet szczuplejsza niż w młodości.

– Też chciałabym móc tak o sobie powiedzieć.

– Jesteś kucharką. W twoim wypadku to trudniejsze – rzekła wyrozumiale. – Dla mnie ubrania są ważniejsze niż jedzenie. Decyduje o przebiegu mojego dnia. Mój nastrój zależy od tego, jak długą sukienkę wybiorę, na jaką kolorystykę czy styl się zdecyduję. Ma to dla mnie zasadnicze znaczenie.

– Naprawdę? A jak to wygląda w praktyce?

– Na przykład w spodniach czuję się skuteczna. W różowej sukience jestem kobietą, a jedwabie dodają mi wdzięku. Jasne kolory wprawiają mnie w wyjątkowo dobry nastrój, a gdy wkładam coś czerwonego, czuję się tak, jakby mój wiek zupełnie się nie liczył. W czerwieni nadal przyciągam wzrok. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Udało się. Coco zapomniała o złym nastroju. Nie potrafiłam się nie uśmiechnąć.

– Wydaje ci się to zabawne? – zapytała.

– Nie, to wspaniałe – przyznałam. – Nie zdawałam sobie sprawy, że ubranie może mieć aż taką siłę oddziaływania.

– Tyle że musi być odpowiednie. Chodź, pokażę ci.

Garderoba Coco zajmowała cały pokój. Stojące pod ścianą pojedyncze łóżko, na którym zapewne spała, sąsiadowało bezpośrednio z licznymi stojakami z sukniami wiszącymi jedna przy drugiej, z półkami wypełnionymi po brzegi kapeluszami, torebkami i szalikami, z rzędami butów i licznymi pudełkami z biżuterią.

– Jesteś jak moja siostra Pieta – wykrzyknęłam. – Ona też cały pokój wypełniła ubraniami, tyle że ona nie ma takich rzeczy.

– To nie są rzeczy, to są skarby – poprawiła mnie Coco. – Zbieram je od wielu lat. Jeśli coś pokocham, nigdy tego nie wyrzucam. Właśnie

dlatego nie rozumiem, co się stało z sukienką ze zdjęcia z Pegeen. Gdzieś tu musi być.

Zacząła przeszukiwać wieszaki z sukniami, w większości zatęchłymi i przykurzonymi. Najwyraźniej dawno nie miała ich na sobie. Można było odnieść wrażenie, że młoda Coco lubowała się we wszystkim, co świeżące, w szczególności zaś w cekinach i błyszczących ozdobach. W jej garderobie znalazły się też suknie zdobione piórami i aksamitne peleryny, szykowne czarne kreacje, żabociki i falbanky oraz jedwabie w krzykliwych kolorach.

– A to? – Wskazałam na wieczorowy żakiet wyszywany cekinami w kolorze miedzi. – Też ma swoją historię?

– Ależ tak. Dostałam go w prezencie od mężczyzny, który dużo dla mnie znaczył. Zabierał mnie na drinki do Harry's Bar i do opery La Fenice. – Coco dotknęła żakietu i się uśmiechnęła. – Pewnego wieczoru, gdy miałam go na sobie, oświadczył mi się. Oczywiście go nie przyjął.

Z tyłu stojaka wydobyła białą sukienkę z szerokim haftowanym kołnierzem.

– O, ta jest z czasów Pegeen. Ładna, prawda? Nosiłam ją z wąskim paskiem w talii. Taka była wtedy moda.

– Na jakie okazje ją wkładałaś? Na przyjęcia?

– Nie, nadawała się raczej na lunch w hotelu albo letni piknik w ogrodach Sant'Elena. Gdyby jakiś młody mężczyzna zaproponował mi przejażdżkę gondolą, pewnie też mogłabym ją włożyć. Kiedyś Pegeen zaprosiła mnie na popołudniową herbatę do domu swojej matki i ta sukienka świetnie się nadawała na taką okazję.

Coco przyłożyła sukienkę do mnie.

– Ładnie byś w niej wyglądała.

– Gdyby na mnie pasowała.

– Na pewno będzie pasowała. Przecież ci mówiłam, że miałam wtedy trochę okrągłejsze kształty. Powinnaś ją pożyczyć.

Nie bardzo mi się ten pomysł podobał.

– A jeśli ją poplamie?

– Przetrwała tyle lat! Weź ją. Daj jej nowe życie. Wyglądaj w niej pięknie i niczym się nie przejmuj.

– No dobrze, przymierzę – zgodziłam się.

– Nie trzeba, uwierz mi, że będzie na ciebie idealnie pasować.

Zapewne znajdzie się jeszcze kilka innych rzeczy z tamtego okresu, które mogłabym ci pożyczyć.

Zaczęła przeglądać zawartość wieszaków. Wyciągała długie suknie bez rękawów i garnitury z marynarkami rozkloszowanymi u dołu.

– Nie, to zupełnie nie to – mamrotała. – Ale to mogłoby być. Albo to.

– Miałaś mi opowiedzieć historie, a nie wynajdywać ubrania – przypomniałam.

– Mogę robić jedno i drugie. – Coco przeglądała teraz inny stojak. Przesuwała ubranie za ubranie, aż w końcu zatrzymała się przy wytwornej sukience w delikatnym brzoskwiniowym kolorze, wykończonej subtelną koronką. – Byłam w niej na ślubie Nandy.

– Śliczna.

– To okres po znajomości z Pegeen. Ślub był piękny, a Nanda tryskała szczęściem. Lorenzo Viadro miał dość pieniędzy, żeby zapewnić jej życie, jakiego pragnęła. Dzięki niemu mogła zostać prawdziwą hrabiną. – Coco przesuwała dłonią wzdłuż półek, żeby sięgnąć po kapelusz z szerokim rondem. – Miałam go na głowie do tej sukienki. Jest takie zdjęcie, na którym stoję z nowożeńcami na schodach kościoła. Zaczekaj, zaraz je przyniosę.

Wróciła po chwili z albumem w skórzanej oprawie, bardzo tradycyjnym, z szeleszczącymi bibułkami między poszczególnymi stronami z fotografiami.

– Tu jesteśmy. – Wskazała Coco. – Ja, Lorenzo i Nanda.

Wyglądamy, jakbyśmy mieli cały świat u swoich stóp.

Popatrzyłam na zdjęcie. Gdyby nie znane mi szare oczy, nigdy w życiu nie skojarzyłabym, że ta anielska twarz należała do hrabiny. Kobieta trzyma na wysokości talii bukiet białych kwiatów, a jej biały koronkowy welon powiewa na wietrze. Na uśmiechniętej twarzy widnieją dołeczki. Obok stoi pan młody, nieco starszy od niej mężczyzna o ciemnych oczach i subtelnym prostym nosie, który odziedziczyła po nim córka Valentina.

Najdokładniej przyjrzałam się jednak Coco. Na tym ślubnym

zdjęciu nie była już najmłodsza, ale jej uroda jakby wysubtelniała. Rondo kapelusza przysłaniało jedną brew. Włosy miała przycięte do ramion, a oczy podkreślone czarnym cieniem do powiek. Stała po drugiej stronie Lorenza, jakby na wprost do niego zwrócona, z uśmiechem na twarzy.

– Sprawiasz wrażenie zadowolonej z siebie – stwierdziłam.

– Byłam swatką. Przedstawiłam ich sobie i zadbałam o to, żeby mieli okazje do spotkań. To dzięki mnie wzięli ślub. – Coco wygładziła śliską bibułkę i zamknęła album.

– Mieli tylko jedno dziecko?

– Nie, oprócz córki urodziło im się dwóch synów.

– Lorenzo umarł?

– Lorenzo... Tak, już go nie ma z nami. – Ponownie otworzyła album i zaczęła wpatrywać się w to samo zdjęcie. – Oczywiście zanim ją poznał, był moim kochankiem. To on mi się oświadczył tamtego wieczoru, gdy miałam na sobie żakiet z cekinami. Lorenzo szukał żony, a mojej przyjaciółce Nandzie na niczym nie zależało tak bardzo, jak na tym, żeby znaleźć bogatego męża. No to ich ze sobą poznałam.

Wydawali się idealnie do siebie pasować.

– Czyli go jej oddałaś? – Byłam trochę zszokowana.

– Można tak powiedzieć.

– Dlaczego nie chciałaś za niego wyjść?

Znowu zamknęła album, tym razem mniej starannie.

– Ja już miałam męża.

Coco trochę się speszyła, bo chyba powiedziała więcej, niż zamierzała zdradzić. Zebrała ubrania, której je zdaniem miały być dla mnie odpowiednie, i zaczęła nalegać, bym je czym prędzej przymierzyła.

– Weź je na górę i zostaw te, które będziesz chciała nosić latem.

W Wenecji bywa potwornie gorąco. Przyda ci się coś lżejszego na upalne dni.

Próbowałam jej podziękować, ale Coco – z naręczem ubrań przed sobą – niemal wypchnęła mnie z pokoju, a potem z mieszkania.

– Jeszcze chwila, bo potrzebuję adresu Angela – zaprotestowałam.

– Powiedział mi wczoraj, gdzie mieszka, ale oczywiście zapomniałam.

Zmrużyła oczy.

– Po co ci jego adres?
– Obiecał mi kolejne lekcje tanga. Chcę się nauczyć tańczyć, a nie tylko potykać.
– Na to potrzeba dużo czasu – przestrzegła mnie.
– Zdaję sobie z tego sprawę, Angelo też tak powiedział. Ma mnie uczyć wieczorami, gdy będzie miał wolne.
– Rozumiem.
– Nie podoba ci się to?
Coco westchnęła.

– Wyboru partnera powinno się dokonywać bardzo ostrożnie. Tango jest tańcem, który otwiera. Zmusza do tego, żeby dać partnerowi część siebie. Na pewno chcesz, żeby coś takiego połączyło cię z Angelem?

– Przecież chodzi tylko o kilka lekcji – upierałam się.
– W takim razie równie dobrze mógłby cię uczyć ktoś inny.
– No tak, ale tylko Angelo mi to zaproponował. Myślę, że będziemy się dobrze bawić.

Coco z rezygnacją wzruszyła ramionami i przekazała mi naręczę ubrań razem z wieszakami.

– Mieszka w Santa Croce, niedaleko Campo San Giacomo dell’Orto. Poczekaj chwilę, to ci zapiszę adres.

Ubrania były dopasowane w talii i ładnie się układały na biodrach. Można było odnieść wrażenie, że zostały uszyte specjalnie dla mnie. Zgodnie z zapewnieniami Coco większość na mnie pasowała. Na niektórych pozostał jeszcze staromodny pudrowy zapach, więc gdy je przymierzałam, przed oczami stawały mi niemal żywe obrazy idyllicznych pikników i herbatek, popołudniowe przejażdżki gondolą i duża grupa kawalerów zabiegających o względy Coco. Za którego z nich wyszła za męża? Co się stało z tym mężczyzną? Jej powściągliwość tylko podsycala moją ciekawość.

W starych ubraniach Coco czułam się trochę tak, jakbym się pod nią podszywała. Sama nigdy nie wybrałabym dla siebie nic w takim stylu ani w takich kolorach, a gdy stawałam przed małym kwadratowym lustrem w łazience, zupełnie nie poznawałam w nim siebie. Tak czy owak, dobrze się przy tym bawiłam. Znów mogłam się poczuć jak mała

dziewczynka, która przebiera się w kreacje matki. Na koniec przymierzylam turkusową sukienkę uszytą ze zwiewnego materiału. Była może zbyt elegancka jak na lekcję tańca, ale czułam się w niej tak dobrze, że postanowiłam w niej zostać.

Przed wyjściem postanowiłam się dowiedzieć, co słyhać u Edena i Katii. Ponieważ w domu nikt nie podniósł słuchawki, wybrałam numer komórkowy Edena, ale również bezskutecznie. Następna na mojej liście była Pieta. Zadzwoiłam do jej studia. Sezon ślubny zbliżał się wielkimi krokami, więc należało się spodziewać, że jeszcze stamtąd nie wyszła, bo wykańcza suknie.

– Cześć, Dolly! – Głos mojej siostry zabrzmiał wyraźnie, jakby była blisko. – Czy mam do ciebie oddzwonić? Zapłacisz za tę rozmowę jak za zboże.

– Nie, nie ma sprawy. Wiem, że masz mnóstwo spraw do załatwienia, więc nie będę ci zawracać głowy. Chciałam się tylko dowiedzieć, jak sobie radzicie.

– Wszyscy mają się dobrze – zapewniła Pieta.

– Na pewno? Jesteś jedyną osobą, która może mi powiedzieć prawdę.

– No dobrze, prawda wygląda tak, że ojciec za dużo pracuje w restauracji, a mama chodzi z tego powodu rozdrażniona.

– Przecież on nie musi siedzieć tam cały czas – powiedziałam poirytowana. – Poradzą sobie bez niego.

– Wiem, ale spróbuj mu to powiedzieć. On nikogo nie słyha. Na szczęście mama nie narzeka na brak towarzystwa, bo Katia spędza z nią dużo czasu. Często razem wychodzą.

– To miłe – skwitowałam, trochę tracąc rezon. Oczywiście ucieszyłam się na wieść o tym, że relacje mojej córki z jej babcią układają się dobrze, ale nagle dopadły mnie wyrzuty sumienia, że mnie tam nie ma, a mówiąc szczerze, poczułam też ukłucie zazdrości. To ja powinnam zabierać Katię do różnych miejsc, to ja powinnam spędzać z nią czas. Tylko że gdybym była teraz w domu, na pewno nie znalazłabym dla niej ani chwili. Ta myśl tylko nasiliła moje poczucie winy.

– Powiedziałabym, że obie dobrze się bawią – stwierdziła Pieta. –

A ty? Jak sobie radzisz?

– Dobrze – odparłam.

– Tylko tyle? Dobrze? Nic więcej od ciebie nie wyciągnę?

Nie mówiłam jej wcześniej o nocnych tańcach na placu Świętego Marka. Nie opowiedziałam, jak hrabina w swoich urojeniach zaliczyła mnie w poczet służby opustoszałego pałacu. Nie wspomniałam o śpiewaczce operowej i przewodniczącej w jednej osobie, czyli Valentinie. Wszystko to przynależało do tutejszego świata. Nie były to tajemnice, ale nie miałam ochoty, żeby się tym wszystkim dzielić.

– Wiesz, co mi się ostatnio przydarzyło? – Wiedziałam, że Pietę to zainteresuje. – Starsza pani, która mieszka na dole, pożyczyła mi niesamowite stroje sprzed pół wieku. Ma je od lat pięćdziesiątych. Są wśród nich rzeczy, jakich nigdy wcześniej nie widziałam.

– Naprawdę? Na przykład jakie? – zapytała zainteresowana. Pieta ma fioła na punkcie ubrań. Moda zawsze fascynowała ją tak jak mnie kuchnia.

Opisałam jej sukienkę z haftowanym kołnierzem, a potem zaczęłam opowiadać o strojach, które wisiały na wieszakach w mieszkaniu Coco. Moja siostra słuchała, od czasu do czasu cicho wzdychając.

– O rany! To brzmi niesamowicie. Szkoda, że mnie tam nie ma. Wszystko fotografuj. I wysyłaj mi zdjęcia mejlem.

– Jeśli tylko pozwoli mi tam znowu zajrzeć.

– Ależ ci zazdroścę. Może mogłabym do ciebie przyjechać na kilka nocy? – Chyba faktycznie miała na to ochotę. – Pewnie udałoby mi się wygospodarować trochę wolnego.

Ku własnemu zaskoczeniu pomyślałam, że absolutnie bym tego nie chciała. Bardzo kocham moją siostrę, ale powoli zaczynałam traktować Wenecję jak swoje terytorium i nie potrafiłam sobie wyobrazić, że ona tu przyjeżdża i doświadcza tego, co ja.

– Kogo ja chcę oszukać, przecież mam nawał pracy – stwierdziła ostatecznie Pieta. – Przepraszam cię, Dolly, ale nie dam rady.

Od razu mi ulżyło, chociaż nie powinno.

– Nie szkodzi, rozumiem.

– Wiesz co, muszę już kończyć – powiedziała Pieta. – Za chwilę

przychodzi klientka. Porozmawiamy wkrótce, dobrze? Zadzwoń do ciebie może jutro.

Z mapą w dłoni i karteczką z adresem Angela wsiadłam do *vaporetto*, które miało mnie zabrać do San Stae. Potem pomaszerowałam w kierunku przestronnego *campo*, na którym zaledwie tydzień temu po raz pierwszy w życiu widziałam tango tańczone na żywo.

Ktoś mógłby powiedzieć, że podjęłam niebezpieczną grę i powinnam wziąć sobie do serca słowa przestrogi Coco. Tyle że nie byłam już przecież młodą trzpiotką, która w jednej chwili traci głowę, bo jakiś mężczyzna okazał jej odrobinę uwagi. Potrafiłam nad sobą zapanować i wydawało mi się, że wiem, czego oczekuję od Angela. Chodziło mi o niewinny flirt, który pozwoliłby zapomnieć o dręczących mnie od lat troskach i poczuciu winy. O kilka lekcji tańca, o kilka miłych wieczorów. O odrobinę dobrej zabawy, na litość boską.

Bar w jednym z narożników *campo* zrobił na mnie dobre wrażenie, postanowiłam więc zatrzymać się tam na kieliszek prosecco i kilka *cicchetti*, by trochę się posilić. Deszcz w końcu przestał padać i mogłam usiąść na zewnątrz, podziwiać starą bazylikę. To miejsce miało w sobie coś swojskiego. Starsi panowie przesiadywali na ławeczkach pod drzewami, żeby wypalić kilka papierosów, a przechodnie mijali się z życzliwym skinieniem głowy albo pozdrowieniem *buona sera*. Gdybym nie zastała Angela w domu, bo zapomniał, że obiecał mnie uczyć tańczyć, zamierzałam tu wrócić – wypić jeszcze trochę prosecco i w miłej atmosferze spędzić resztę wieczoru.

Mieszkanie Angela znajdowało się w starym magazynie, dziesięć minut drogi od placu. Brał właśnie prysznic, bo otworzył mi drzwi owinięty w pasie ręcznikiem, z nagim torsem.

– Mam dzisiaj wolne – wyjaśnił jakby lekko zawstydzony. – Na ogół większość wolnego dnia po prostu przesypiam.

– Ja też, jeśli nadarzy się po temu okazja – powiedziałam. Próbowałam nie przyglądać mu się zbyt ostentacyjnie.

Nalał mi kieliszek białego wina i poszedł się ubrać, miałam więc chwilę, żeby się rozejrzeć. Wzdłuż wysokiego stropu szły belki, okna były malutkie. Jedna ze ścian dość dużego głównego pomieszczenia została wykończona lustrem, pod drugą stała stara skórzana sofa. Spora

połąć pustej podłogi pośrodku aż zachęcała do tańca. Na podstawie wystroju tego mieszkania trudno było cokolwiek powiedzieć o jego właścicielu. Było minimalistycznie. Przy sofie dostrzegłam stosik zmaltretowanych książek w miękkich oprawach, same powieści włoskich autorów, o których nigdy nie słyszałam. Na jednej ze ścian w trzech rzędach wisiały czarno-białe zdjęcia przedstawiające Angela w tańcu. Na niektórych miał na sobie garnitur, a loki powiewały mu swobodnie. Na innych występował w bardziej codziennym stroju, w ciemnych dżinsach i luźnej koszuli. Wśród partnerek rozpoznałam Valentine. Pojawiała się na zdjęciach częściej niż inne kobiety. Zdawali się występować przed publicznością, mieli bardzo poważny wyraz twarzy.

– Ach, stare zdjęcia – powiedział Angelo, gdy wrócił. – Ciągle sobie powtarzam, że pora je zdjąć i powiesić na ich miejscu jakieś obrazy.

– Po co? Wyglądają naprawdę dobrze.

Skrzywił się.

– To są obrazki z przeszłości. Chyba nie powinienem trzymać ich w miejscu, w którym muszę na nie patrzeć codziennie. Wydaje mi się, że lepiej żyć dniem dzisiejszym.

– A to były niedobre czasy?

– Były, ale się skończyły. – Nie dosłyszałam w jego głosie sentymentu.

– Nadal przecież tańczysz – stwierdziłam.

– Ale teraz tylko dla przyjemności. Nie występuję. – Podszedł do mnie. – Byliśmy dobrzy, Valentina i ja. Marzyliśmy o wyjeździe do Buenos Aires i wzięciu udziału w mistrzostwach świata. Nie mam wątpliwości, że dalibyśmy radę.

– Dlaczego nie pojechaliście?

– Valentina nie mogła. Stwierdziła, że rodzina jest dla niej ważniejsza.

– Ona ma wielki talent, prawda? – Trudno było jej nie zazdrościć.

– Świetnie tańczy, ma piękny głos.

– Tylko co ona robi z tym talentem?

– Bardzo ciężko pracuje. Chyba w trzech różnych miejscach –

powiedziałam.

– W czterech – odparł. – Podobno teraz śpiewa też na gondolach. Valentina ciągle pracuje i po części na tym polegał nasz problem.

– Tak bardzo potrzebuje pieniędzy?

– Zarabia, żeby utrzymać rodzinę – wyjaśnił.

– Masz na myśli matkę i *palazzo*?

– Nie, pomaga bratu Giacomo. O ile wiem, są jakieś problemy z muzeum szkła na Murano. Giacomo narobił długów i teraz Valentina pomaga mu je spłacać. Najlepiej by zrobili, gdyby po prostu sprzedali muzeum i w ten sposób uwolnili się od obciążeń, ale nie chcą o tym słyszeć.

– Dlaczego? – dociekałam.

– Bo to część rodzinnej historii. Valentina uważa, że ona i Giacomo są strażnikami tego miejsca i muszą je zachować dla następnego pokolenia... Nawet jeśli z tego powodu nie pojedzie do Buenos Aires i będzie śpiewać dla turystów zamiast na scenie Arena di Verona.

– Twoim zdaniem jest aż tak dobra?

Angelo wzruszył ramionami.

– Może i jest, ale nikt nigdy się o tym nie dowie.

– Czyli ty też nie pojechałeś do Buenos Aires i zająłeś się kuchnią? Nie odpowiedział.

– Powinienem je zdjąć – powtórzył, wpatrując się w zdjęcia. – No ale nie teraz, bo dzisiaj wieczorem zamierzam ci udzielić prawdziwej lekcji tanga. Zajmiemy się zupełnymi podstawami.

Zakładałam, że lekcja potrwa mniej więcej godzinę, a potem pójdziemy do baru, w którym piłam prosecco. Okazało się jednak, że Angelo faktycznie miał zamiar dużo ode mnie wymagać. Skazałam się więc na naukę chodzenia w jego objęciach. Z przestrzeni między sofą a lustrzaną ścianą udało mi się wydostać dopiero dobrze po północy. Zanim to się stało, kilka razy o mało co nie rozplakałam się z frustracji, tak mi było ciężko.

– Nie, nie, jeszcze raz. – Angelo nakazywał mi wielokrotnie powtarzać te same ruchy. – Zapomnij, że miałaś tańczyć. Po prostu idź normalnie. Musisz to opanować, zanim będziemy mogli zrobić coś

więcej.

– Na placu Świętego Marka wydawało mi się to łatwiejsze – oponowałam.

– Dlatego że wyrzuciłaś z głowy wszystkie myśli i całkowicie zdałaś się na mnie – powiedział. – To czasem bardzo pomaga, ale techniki też trzeba się nauczyć.

– To jest za trudne – upierałam się. – Nic z tego nie będzie.

– Postawę masz w porządku, zaczynasz czuć muzykę – zachęcał mnie. – To dobry początek. Nie możesz od siebie od razu za dużo wymagać. Wielu rzeczy mogę cię nauczyć, ale żebyś mogła się stać partnerką, z którą mógłbym czerpać z tanga to, czego naprawdę oczekuję, musiałyby upłynąć wiele lat.

Wyzwoliłam się z jego objęć.

– Mam tylko jedno lato.

Lista szczęścia Addoloraty

Kieliszek schłodzonego prosecco, najlepiej zaserwowany na dworze, przy stoliku z ładnym widokiem. Jeden, może dwa... Wczesnym wieczorem, zanim zajdzie słońce. Podany z małą przekąską, z oliwkami albo odrobiną słonych pistacji. Kulturalny drink w spokojnej atmosferze na zakończenie dnia pracy. Może być w miłym towarzystwie, ale też w samotności.

Rozdział 14

Z czasem wypracowałam sobie przyjemny schemat dnia. Zaczynałam od śniadania, które jadłam zawsze w małej kawiarence za rogiem. Właściciel szybko się nauczył, jak mam na imię, jaką kawę lubię i która brioszka najbardziej mi smakuje. Jeśli akurat dołączała do mnie Coco, siadałyśmy przy stoliku na zewnątrz, z trzema pieskami przywiązanymi smyczami do krzeseł, a on podawał nam cappuccino na srebrnej tacy wyłożonej koronkową serwetką.

Po śniadaniu na ogół szłam do *palazzo*. Zwykle nie zastawałam już Valentiny, więc otwierałam sobie drzwi kluczem, który od niej dostałam. Robiłam herbatę i zanosila ją hrabinie do saloniku. Potem przychodziła pora na zwiedzanie Wenecji z Borisem przy mojej nodze. W pogodne dni pokonywaliśmy podczas spacerów bardzo duże odległości. Z czasem poznałam różne *calli* i kanały na tyle dobrze, że mogłam się poruszać bez mapy i rzadko już się gubiłam.

W drodze powrotnej robiłam zakupy w supermarkecie albo na straganach targu Rialto, a potem gotowałam lunch dla hrabiny. Staralam się przyrządzać dla niej weneckie potrawy, takie jak sardynki z pietruszką i parmezanem smażone na złoto, kalmary we własnym czarnym atramencie z dodatkiem dużej porcji białego wina czy solony dorsz pieczony w mleku.

Popołudnia były porą odpoczynku. Jeśli nie padało, wychodziłam z książką do ogrodu Coco albo siadałam na swoim balkonie. Wczesnym wieczorem wykonywałam kilka telefonów. Na ogół rozmawiałam z córką i z Pietą, z Edenem natomiast unikaliśmy się. Jeśli odebrał, zwykle szybko przekazywał aparat Katii.

Później, jeśli bylam umówiona na lekcję tanga, szłam do Angela, zwykle po drodze zatrzymywałam się w narożnym barze na dwa kieliszki prosecco. Tam też zaczęli mnie rozpoznawać. Byłam zaskoczona, że szybko przestałam być dla obsługi jedną z wielu przypadkowych twarzy.

Dni mijały, a temperatura rosła; wiosna przeszła stopniowo w pełnię lata. Od czasu do czasu dopisywałam coś do mojej listy szczęścia, zasadniczo jednak byłam zbyt zaabsorbowana swoim nowym życiem, żeby o niej myśleć.

Pewnego razu po lekcji u Angela nagle poczułam, że chyba wreszcie zrobiłam jakiś postęp, i wtedy zapisałam na niej słowo „tango”. Kolejna lekcja przyniosła jednak wielkie rozczarowanie – znowu szło mi źle zamiast coraz lepiej – więc zaraz po powrocie do domu je wykreśliłam.

Zdarzało mi się myśleć, że powinnam dać sobie z tym spokój. Problem polegał bowiem na tym, że gdy tylko opanowałam jakiś jeden element, Angelo wprowadzał nową sekwencję kroków i znowu miałam pod górkę. *Cunita, salida, ocho...* dzięki tym wdzięcznym nazwom taniec nabierał dodatkowego uroku. Niektóre wieczory upływały nam pod znakiem zniecierpliwienia: mojego – gdy nie mogłam zrozumieć, co Angelo próbuje mi powiedzieć, jego – gdy jemu się wydawało, że się nie staram. Czasami atmosfera była lżejsza i śmialiśmy się z moich błędów.

Żadna z tych lekcji nie trwała tak długo jak pierwsza. Zwykle po kilku godzinach szliśmy do narożnego baru albo przyrządzaliśmy wspólnie prostą kolację w kuchni Angela. Przynosił do domu kilka prostych składników ze swojej osterii, na przykład cienkie plastry wędzonego tuńczyka, krem z rzodkiewki, główkę czerwonej cykorii albo trochę małych ryb czy krabów. Ponieważ gotował całymi dniami, chętnie przekazywał mi pałeczkę. Być może już się domyślił, czym się zajmuję zawodowo – niemniej ja mu nie powiedziałam, a on nie pytał.

O wielu różnych sprawach nie rozmawialiśmy, choćby o moim londyńskim życiu, o moim mężu i dziecku, o moich dotychczasowych doświadczeniach. Angelo nie należał do mężczyzn, którzy bez przerwy zadają pytania. Chyba wolał siedzieć w ciszy. Mnie to nie przeszkadzało. Podczas wspólnych posiłków często rozmyślałam o lekcji, którą właśnie ukończyliśmy, i próbowałam poukładać sobie najważniejsze rzeczy w głowie, żeby następnym razem już nie musiała do nich wracać.

Zaproponowałam, że zapłacę mu za kurs tańca, ale roześmiał się i kategorycznie odmówił.

– Nie robię tego dla pieniędzy.

– To w takim razie po co?

– Dla własnej satysfakcji. Chyba po to, żeby udowodnić Coco, że się myli. – Grzebał widelcem w risocie, by wyjąć ze środka szparagi i spróbować je najpierw z osobna.

Muszę przyznać, że jego maniera spożywania posiłków działała mi trochę na nerwy. Traktował jedzenie śmiertelnie poważnie. Miał w zwyczaju rozkładać danie na czynniki pierwsze i przeżuwać każdy kęs powoli. Zawsze zostawiał coś na talerzu. Wolałam sposób jedzenia hrabiny, która zdawała się z wielkim apetytem pochłaniać wszystko, co dla niej ugotowałam. Posiłek zajmował ją całkowicie i nie obchodziło jej, że kropla bulionu spadnie z nitki makaronu na bluzkę. Nie widziała ujmy w tym, że palcem wybiera z talerza wyjątkowo smaczny sos.

– W tym roku w Wenecji odbywa się festiwal tanga, zaraz po Festa del Redentore – powiedział Angelo, odstawiając na bok niedojedzone danie.

– Zamierzasz kupić bilety? – zapytałam.

– Nie, dostałem propozycję występu i ją rozważam. Tylko że musiałbym znaleźć partnerkę. Valentina oczywiście się nie zgodziła. Zastanawiam się, czy nie poprosić ciebie.

– Chyba oszalałeś. Przecież nie będę gotowa, żeby wystąpić przed publicznością.

– Nie oczekuję, że będziesz tańczyć jak zawodowcy. Chciałbym po prostu udowodnić Coco i wszystkim pozostałym, że wcale nie trzeba się uczyć długo, żeby czerpać z tanga radość.

– Nie wezmę udziału w tej imprezie – stwierdziłam stanowczo. – A ty przypadkiem nie zrezygnowałeś z występów?

– Nie, nie zrezygnowałem.

– Tak powiedziałaś.

– To musiałaś mnie źle zrozumieć. Powiedziałem jedno, a ty usłyszałaś co innego, jak podczas naszych lekcji. Jeśli mielibyśmy razem występować, musiałabyś się bardziej postarać.

– Nie będziemy razem występować.

Angelo wzruszył ramionami.

– Jeszcze zmienisz zdanie.

Coco robiła trudności. Obiecała odwiedzić hrabinę, ale za każdym

razem, gdy proponowałam jej termin wizyty, wynajdowała wymówkę. A to była zmęczona, a to musiała oddać brudne rzeczy do prania, a to obiecała Silviowi, że spotka się z nim na *ombra* w jakimś barze. Zaczynałam odnosić wrażenie, że nigdy się nie wybierze do *palazzo*. Nie miałoby to większego znaczenia, gdyby nie fakt, że hrabina ciągle o nią wypytywała.

– Jak się miewa Coco? Jeśli będzie się pani z nią widzieć, proszę jej powiedzieć, że tęsknię za moją starą przyjaciółką – powtarzała niemal zawsze, gdy z nią rozmawiałam.

Rozstały się skłócone, a ponieważ obie miały już swoje lata, nie mogłam przestać myśleć o tym, że byłoby to smutne, gdyby jedna z nich umarła, zanim ponownie uda im się spotkać. Tak mnie to trapiło, że postanowiłam raz jeszcze spróbować przekonać Coco.

– Czy nie miałyśmy w planie wybrać się na wykwinny koktajl na tarasie Gritti Palace? – przypominałam jej pewnego ranka przy śniadaniu.

– Racja, miałyśmy. – Przechyliła głowę i uśmiechnęła się. – To chodźmy dzisiaj.

– A w co się ubierzemy?

Coco zastanawiała się przez chwilę.

– Pijąc koktajl po południu w Gritti, powinniśmy mieć na sobie coś drogiego, ale też nic takiego, co wyglądałoby zbyt ostentacyjnie. Wystarczy ładna sukienka wizytowa i do tego jakaś ozdoba.

– Chyba jest już na tyle ciepło, że mogę włożyć białą sukienkę z szerokim haftowanym kołnierzem, którą mi pożyczyłaś.

– Tak, idealnie się nadaje – zgodziła się Coco.

– W takim razie musimy się przygotować.

– Ależ, kochanie, mamy jeszcze dużo czasu. Nawet ja nie pijam koktajli o tak wczesnej godzinie.

– Najpierw musimy odwiedzić hrabinę. Gritti Palace miał być dla ciebie nagrodą za tę wizytę, pamiętasz? Sama to wymyśliłaś.

– Ja? – Przez chwilę Coco wyglądała, jakby się dąsała. – Chyba mnie wrobiłaś, co?

– Gdzież bym śmiała! – oświadczyłam ze śmiechem.

– Ale nie zabierzemy Nandy na koktajl do Gritti?

– Nie, oczywiście, że nie. Pójdziemy tylko we dwie.

– I nie będziesz mnie zmuszać, żebym przesiedziała w tym przygnębiającym pałacu cały dzień?

– Zjemy lunch i pójdziemy sobie.

Coco ciężko westchnęła.

– *Va bene*, wygrałaś. Ale tylko ten jeden raz i potem już nie chcę słyszeć o kolejnych wizytach!

Szykowała się całe wieki, przymierzając co i rusz inną kreację, aż w końcu zdecydowała się na sukienkę wizytową w kolorze soczystej jagody. Do tego włożyła jaskraworóżowy turban i przypięła dużą broszkę, która, jak zapewniła, miała z przodu prawdziwy diament.

Ja zdecydowałam się na białą sukienkę. Coco wzięła jeszcze kaszmirowe szale w żywych odcieniach pomarańcza i różu, na wypadek gdyby zerwał się wiatr wtedy, kiedy akurat będziemy siedzieć na tarasie.

Idąc do *palazzo*, rozmawialiśmy wyłącznie o koktajlach, porównując ich zalety.

– Czasami musisz się porządnie napić i w takich wypadkach bellini zupełnie się nie sprawdzi – powiedziała. – Wówczas trzeba postawić na negroni albo ewentualnie na cardinale z porządną porcją ginu. Takie drinki powinno się pić przed kolacją jako *aperitivo*, ale w moim wieku można sobie pozwolić na złamanie tej zasady.

– Jeśli przyrządzę coś dobrego na lunch dla ciebie i hrabiny, to powinnaś mieć tak pełny żołądek, że gin szybko się wchłonie.

– Przestań ją tak nazywać. – W głosie Coco pobrzmiwało zniecierpliwienie. – Ma na imię Nanda.

– Tak kazała mi się do siebie zwracać – wyjaśniłam, a po chwili naszła mnie pewna myśl. – Coco, jak długo się nie widziałyście?

– Rok, może dwa lata. – Nie potrafiła odpowiedzieć precyzyjnie. – Na pewno nie dłużej, chociaż czas płynie tak szybko, że ktoś to może dokładnie wiedzieć.

– Możesz odnieść wrażenie, że się zmieniła – ostrzegłam ją.

– W jakim sensie?

– Jest trochę dezorientowana. Na przykład czasami wydaje się jej, że ciągle ma służbę, i wtedy zachowuje się jak wielka pani.

Coco cmoknęła i pokiwała głową z dezaprobatą. Byłam niemal

pewna, że za ciemnymi szklami okularów przeciwsłonecznych wywróciła oczami.

– Nie bądź dla niej surowa – powiedziałam. – Ona chyba naprawdę nic na to nie może poradzić.

Boris czekał przy drzwiach i zaraz po naszym przyjściu rozpoczął swój taniec z podskokami. Zaniepokojona Coco chwyciła na ręce wszystkie swoje trzy pieski i mocno przytuliła je do wątlej klatki piersiowej.

– Ależ, wielki potworze, siad! – powiedziała, cofając się nieznacznie. – Nic z tego nie będzie. On skrzywdzi moje maleństwa. Muszę stąd iść.

– Jest nieszkodliwy, po prostu się cieszy – wyjaśniłam. – Poczekaj chwilę, zaprowadzę go do kuchni.

Boris był niepokojony. Gdy zamykałam mu przed nosem kuchenne drzwi, podkulił mocno ogon i wyglądał, jakby go ktoś zbił.

– Daj mi chwilę – powiedziałam do niego. – Zorganizuję tylko wszystko dla starszych pań i przyjdę cię zabrać na spacer.

Trochę się obawiałam, że Coco może skorzystać z okazji i się ulotnić, ale czekała na mnie. Krążyła przy drzwiach, kurczowo ściskając swoje pieski.

– Dlaczego, u licha, Nanda trzyma w domu takie wielkie zwierzę? – dopytywała gniewnie. – Kompletnie jej odbiło?

– Nie wiem, może czuje się dzięki temu bezpiecznie. Poza tym ona tego uroczego zwierzaka naprawdę kocha.

– Skoro tak twierdzisz. – Coco zrobiła niepewny krok przed siebie. – Na pewno dobrze go zamknęłaś? Nie ucieknie?

Szłyśmy przez kolejne pomieszczenia. Coco była wyraźnie zaskoczona stanem pałacu, pustymi salami, pajęczynami i grubymi warstwami kurzu.

– To wygląda tak, jakby nikt tu nie mieszkał – wyszeptała.

– Gdy byłaś tu po raz ostatni, nie było aż tak źle?

– Nie. – Nadal mówiła przyciszonym głosem. – Może mieli jeszcze wtedy gosposię. Pamiętam, że nie było już dzieł sztuki, ale w tym pokoju stał stół jadalny i krzesła. No i były kwiaty. Nanda zawsze uwielbiała kwiaty. Szkoda, że o tym nie pomyślałam, bobym jej przyniosła.

– Ona chyba nie opuszcza salonu na górze. Tam są meble.

Coco skinęła potakująco głową.

– Pewnie masz na myśli pokój, który kiedyś zajmował Lorenzo.

Lata temu miał tam gabinet. Biedna Nanda.

– Na co umarł jej mąż? – zapytałam.

Coco zniżyła głos do ledwo słyszalnego szeptu.

– Zabił się.

– Och! – Byłam zszokowana. – Biedna Nanda. I biedna Valentina.

Spotkanie dwóch kobiet było bardzo wzruszające. Uściskały się, Nanda uroniła kilka łez. Przez chwilę żadna z nich nie potrafiła znaleźć słów.

– Moja stara przyjaciółko, stara przyjaciółko – powtarzała Nanda. – W końcu przyszłaś.

– Oczywiście, że przyszłam. – Coco mówiła drżącym głosem.

– Już myślałam, że o mnie zapomniałaś.

– Ależ skąd. Jakże bym mogła!

– Moja droga, stara przyjaciółko – powtórzyła ze smutkiem Nanda.

Coco wzięła ją za rękę i zaprowadziła do krzesła.

– Dobrze, kochanie. To my sobie usiądziemy, a Addolorata zrobi nam kawę. Potem porozmawiamy i powiemy sobie wszystko tak jak kiedyś.

– Herbatę – poprawiła ją Nanda. – Ona zawsze robi mi herbatę. Musisz wiedzieć, że jest Angielką, chociaż z gotowaniem włoskich potraw radzi sobie naprawdę świetnie.

Rzuciłam jej badawcze spojrzenie. Dotychczas nie wyprowadzałam jej z błędu, gdy zachowywała się tak, jakby nadal miała w kuchni służbę. Zastanawiałam się, od kiedy wie, że to ja dla niej gotuję.

– Herbata też może być – powiedziała Coco. – Addolorata obiecała, że później zrobi nam coś na lunch. To też będzie bardzo miłe, bo będziemy mogli spędzić razem cały poranek.

– Jeszcze do mnie kiedyś przyjdiesz, prawda? – zapytała z niepokojem Nanda.

– Przecież jeszcze nie wychodzę, kochanie. Dopiero przyszłam – powiedziała Coco.

– Tak, wiem. – Teraz Nanda sprawiała wrażenie poirytowanej. –

Ale gdy już pójdziesz, to nie znikniesz na tak długo jak poprzednio?
Tym razem bym tego nie zniosła.

Na twarzy Coco pojawił się popłoch.

– Tak mi przykro, moja droga przyjaciółko. Nie miałam zamiaru porzucać cię na tak długo.

– Lorenzo zawsze powtarzał, że jesteś kapryśna – odparła Nanda. – Że odsuwasz się od ludzi i szybko o nich zapominasz. Ale nigdy nie myślałam, że mogłabyś tak postąpić wobec mnie.

Po tych słowach Coco zamilkła zupełnie. Przeniosła wzrok z Nandy na mnie. W powietrzu pojawiło się napięcie, a pokój nagle stał się za mały dla nas trzech.

– Dobrze – powiedziałam żwawo. – To może pójde po herbatę i zabiorę Borisa na spacer.

– Bardzo by to było miło z twojej strony – wymamrotała Coco, a hrabina skinęła głową w geście podziękowania.

Nie spieszyłam się z przygotowaniem herbaty, a gdy wróciłam na górę, obie panie były pochłonięte rozmową. Na mój widok na chwilę przerwały.

– Nalewanie zostawiam tobie – powiedziałam Coco. – Boris nie może się doczekać spaceru.

– Jak długo cię nie będzie?

– Wyjdę z nim na krótko – obiecałam – a w drodze powrotnej zrobię zakupy na lunch.

Poszliśmy z Borisem do jego ulubionego miejsca, czyli do parku, do którego zaciągnął mnie za pierwszym razem. Bywaliśmy tam dość często, więc inni stali bywalcy zaczęli się do mnie odnosić z życzliwością, a nawet nawiązywali rozmowę. Poznałam imiona ich psów, dowiedziałam się, w jakim są wieku i co lubią jeść. Ot, takie mało istotne szczegóły. Czasami spotykałam tych ludzi w innych miejscach, na przykład podczas zakupów albo na przystanku *vaporetto*. Witaliśmy się wtedy skinieniem głowy i krótkim „Salve”. Lubiłam tych moich przypadkowych znajomych, dzięki nim byłam coraz mocniej związana z Wenecją. Z tego samego powodu zatrzymywałam się na drinka zawsze w tym samym *bacaro* i chodziłam do tych samych kawiarni i restauracji. Uśmiech, powitanie i zdawkowa rozmowa każdego dnia były jak

przyprawy dodane do potrawy we właściwych proporcjach. Sprawiały, że czułam się częścią tego miasta.

Tamtego ranka Boris miał dość liczne towarzystwo, zostałam więc dłużej, niż zamierzałam, i gawędziłam z innymi właścicielami psów. Gdy tak stałam i patrzyłam na niego, zastanawiałam się, czy Katia poszłaby z nami na spacer. Ciągle miałam nadzieję, że przyjedzie do mnie w wakacje. Cieszyłam się na tę myśl. Zaczęłam nawet planować, co mogłybyśmy razem robić – dokąd poszłybyśmy na *gelato*, dokąd popłynęłybyśmy w rejs statkiem, na jakie wycieczki byśmy się zapisały, gdzie mogłabym ją zaprosić na porządny lunch i co ładnego byśmy sobie kupiły. Ponieważ byłam coraz bardziej odprężona i miałam dużo wolnego czasu, który mogłabym jej poświęcić, nie miałam wątpliwości, że dobrze byśmy się bawiły.

Boris węszył właśnie w krzakach, szukając piłeczki tenisowej. Mieliśmy jeszcze przed sobą powrót na Strada Nuova, bo wypatrzyłam tam sklep ze świeżym makaronem. Zamierzałam przyrządzić *bigoli in salsa*, tradycyjne weneckie danie, którego kilkakrotnie próbowałam w restauracjach. Było bardzo proste: garść spaghetti w sosie z wolno smażonej cebuli i anchois z dodatkiem odrobiny octu z białego wina. Takie danie dość długo leży potem na żołądku, ale jest tak smaczne, że trudno mu się oprzeć. Słone anchois rozplývają się w słodkim sosie cebulowym, a grube i mięsiste nitki *bigoli* są obficie polane oliwą z oliwek i posypane drobno siekaną pietruszką. Niby nic, a jest to coś doskonałego.

Musiałam się jeszcze zatrzymać po *bigoli*, chociaż było dość późno. Potrzebowałam też kilku innych składników, choćby sera i sałaty, które mogłabym podać po głównym daniu. Musiałam też kupić ciasteczka maślane, które świetnie nadają się do zanurzania w słodkim winie. W końcu objuczona zakupami stanęłam na progu *palazzo*. Wchodziłam do środka z pewnym niepokojem. Miałam nadzieję, że starsze panie nie pokłóciły się o jakąś drobnostkę sprzed lat.

Zamknęłam Borisa w kuchni i poszłam do nich zajrzeć. W saloniku nie było nikogo. Cała herbata została wypita, ustawiłam więc puste filiżanki i spodki z powrotem na tacy, żeby je wynieść. Gdy schodziłam na dół, wołałam:

– Coco! Hrabino! Gdzie jesteście?

Ponieważ nikt mi nie odpowiedział, wyruszyłam na poszukiwania. Zajęły mi dłuższą chwilę, bo pałac był ogromny. Przy okazji odkryłam kolejne puste pokoje, jeden z wyblakłym freskiem na ścianach, w innych wisiały zakurzone żyrandole. Do sypialń zaglądałam z poczuciem pewnego dyskomfortu. U Valentyny panował bałagan, wszędzie po podłodze wałały się buty, a toaletka była zastawiona kosmetykami. Na środku pokoju Nandy znajdowało się wysokie podwójne łóżko, nad którym wisiał krucyfiks. Dostrzegłam tam również zupełnie zwyczajną lampę z kloszem z frędzelkami i masywną szafę z ciemnego drewna, z drzwiami pokrytymi rzeźbionymi ozdobnymi zawijasami. Oba pokoje były puste, a ponieważ zrobiło mi się głupio, że wchodzę z butami w czyjeś prywatne życie, zeszłam z powrotem na dół.

Przyspieszyłam nieco kroku, gdy usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi i szczekanie Borisa.

– Coco? – wykrzyknęłam ponownie.

– Kochanie, wróciłyśmy!

Obie były w świetnym nastroju. Hrabina przebrała się w bluzkę koloru łagodnej zieleni, który ujmował jej lat. Wchodziła po schodach kilka kroków przed Coco i uśmiechnęła się na mój widok.

– Zgłodniałyśmy – wyjaśniała – więc poszłyśmy do Alla Vedova na małą przekąskę. Tylko klopsiki i jedno *ombra*, może dwa. Nie martw się, nie straciłyśmy apetytu na lunch.

– Opadałyśmy z sił – dodała Coco. – Poza tym Nanda dawno nie była w Alla Vedova. A kiedyś było to jej ulubione miejsce.

– Miałam zamiar ugotować makaron – powiedziałam. – *Bigoli in salsa*.

– O, to też było kiedyś moje ulubione danie. – Hrabina ponownie się uśmiechnęła.

Sprawiła wrażenie odmienionej. Przestała zachowywać się wyniośle i udawać, że ma służbę, nie sprawiała już też wrażenia przerażonej. Byłam zdezorientowana.

Obie panie zeszły do kuchni, żeby dotrzymać mi towarzystwa. Coco zrobiła małe zamieszanie wokół swoich psów, ale zmęczony po spacerze Boris jedynie je obwąchał, po czym zwinął się w kłębek na

podłódze pod stołem u stóp Nandy. Przyrządzałam lunch i przysłuchiwałam się rozmowie kobiet. Dotyczyła głównie ludzi, o których nigdy nie słyszałam, więc co chwila się wyłączałam. Gdy padło imię Valentyny, zaczęłam słuchać uważniej.

– Ona i Giacomo mają plan – wyjaśniała Nanda. – Gdy dług zostanie częściowo spłacony, wszystkim będzie łatwiej.

– Tylko że teraz ona rezygnuje ze zbyt wielu rzeczy – upierała się Coco.

– To jej wybór, nikt jej do tego nie zmusza.

– Twoja córka ma talent, który się marnuje.

Nanda wyrzuciła ręce w powietrze.

– Proszę cię, przestań. W tej kwestii nigdy się nie zgodzimy, a ja nie chcę się już kłócić.

Coco wahała się chwilę.

– Nie jest mi łatwo stać biernie z boku i patrzeć na to wszystko bez słowa. Przecież jest proste rozwiązanie.

– Wcale nie jest proste – odparła poirytowana Nanda. – Dla nikogo z nas. Valentina i Giacomo przywiązują dużą wagę do tego, kim jesteśmy.

– Kim kiedyś byliście – poprawiła ją łagodnie Coco.

Woda na makaron zagotowała się, a powietrze w kuchni wypełniło się zapachem powoli smażącej się cebuli. Oczami wyobraźni widziałam, jak cały lunch diabli biorą, zanim skończę go przyrządzać.

– Czy mogłabym prosić o nakrycie do stołu? – przerwałam im. – Coco, sztucce są w tamtej szufladzie. Nando, może pani pomieszać cebulę? Chyba zaczyna przywierać.

Ku mojemu zaskoczeniu obie kobiety wypełniły polecenia. Coco znalazła poźółkłe lniane serwetki, które dołożyła do nakrycia, i udała się do ogrodu po coś do wazonu. Gdy nalałam na patelnię trochę octu, żeby cebula dalej się nie przyrumieniała, Nanda wymieszała sos drewnianą łyżką.

– Coco to dobra kobieta, ale bywa trudna – wymamrotała. Nie wiedziałam, czy mówi do mnie, czy głośno myśli.

Bigoli in salsa wyszło dobre, ale nie tak pyszne jak to, które jadłam tydzień wcześniej w jednej z okolicznych osterii. Być może dodałam za

dużo anchois albo za mało oliwy. Postanowiłam zapytać o radę Angela. Pomyślałam, że któregoś wieczoru po lekcji tanga mogłabym ugotować dla niego to danie.

Gdy wychodziłyśmy, Nanda sprawiała wrażenie zmęczonej. Dla niej był to zapewne bardzo intensywny dzień. Mimo to uśmiechała się i uściskała mnie prawie tak mocno, jak wycalowała Coco.

– Wpadnijcie jutro – zawołała, gdy schodziłyśmy frontowymi schodami.

– Jutro nie przyjdę, ale wkrótce tak, obiecuję – odpowiedział jej wesoły szcziot Coco.

Gdy tylko drzwi frontowe zamknęły się za nami, odniosłam wrażenie, że nagle opadła z sił. Szłyśmy Strada Nuova, a ona była tak rozkojarzona, że w ogóle nie zauważyła tego, iż pieski oploty smycze wokół niej.

– Dobrze się czujesz? – zapytałam i zatrzymałam się, żeby je rozplątać.

– Niezupełnie – przyznała. – Prawdę powiedziawszy, jestem roztrzęsiona. Pałac jest w fatalnym stanie i tylko Bóg jeden wie, kiedy biedna Nanda ostatnio go opuszczała. Musiałam ją zmusić do wyjścia do Alla Vedova, a szła tak powoli, że pokonanie drogi zajęło nam całe wieki. Bardzo się zestarzała.

– Dzisiaj czuła się wyraźnie lepiej. Nie wierzyłam własnym oczom.

– Boże drogi, naprawdę? – Coco aż zadrżała. – Ja taka nie będę, nawet gdy przyjdzie mi się zmierzyć ze śmiercią. Nie dopuszczę do tego.

– Potrzebujesz napić się koktajlu – powiedziałam. – Weźmy wodną taksówkę. Ja zapłacę.

– Oczywiście, że zapłacisz – stwierdziła. – Za drinki też.

Motorówka pruła przez Canale Grande, dowożąc nas pod sam taras Gritti Palace. Przed nami pojawił się mężczyzna w uniformie i już myślałam, że zabroni nam wstępu z powodu psów, ale Coco uniosła głowę wysoko i uśmiechnęła się z wdziękiem, po czym pomaszerowała po pomoście, jakby była u siebie w domu. Mężczyzna najwyraźniej stwierdził, że nie ma sensu się z nią kłócić, i odsunął się na bok.

Wskazano nam stolik i już po chwili mogłyśmy studiować menu oraz widoki. Roztaczała się przed nami panorama Canale Grande

w pełnej krasie. Z tarasu można było podziwiać gondolowe floty podążające niespiesznie śladami zatłoczonych *vaporetto*, pałace z malowanymi fasadami i gotyckimi łukami w oknach, a także kopuły Santa Maria della Salute. Równie duże wrażenie robiły ceny koktajli. Doszłam jednak do wniosku, że przecież chodzi właśnie o to, by zafundować sobie odrobinę luksusu, i że to tylko drobny przejaw ekstrawagancji.

Zamówiłam swój ulubiony aperol spritz, a Coco poprosiła o negroni. Kelnerzy o surowych twarzach przynieśli drinki na srebrnych tacach i ustawili je na kwadratowych krochmalonych serwetkach wraz z miseczką zawierającą oliwki, orzechy i chrupiące przekąski. Mogłyśmy się tym wszystkim cieszyć dowolnie długo. Niby wszystko było idealnie, ale...

Rozejrzałam się po ludziach wokół. Siedzący przy stoliku obok mężczyzna w musztardowej koszulce polo palił grube cygaro; jego kosztownie ubrana żona i córki tonęły w morzu toreb z zakupami w najbardziej luksusowych sklepach. Nieco dalej para w średnim wieku, oboje w turystycznych szortach, pałaszowała kanapki. Przy innych stolikach siedzieli biznesmeni w garniturze z neseserem przy nodze, kobieta wyglądająca na znudzoną, mająca czoło mocno poprawione botoksem i grupa niemieckich turystów. Nikt nie podniósł wzroku, nikt nie spojrzał mi w oczy – a już na pewno nikt się nie uśmiechnął. Byliśmy sobie obcy i to nam odpowiadało. Wszyscy wpadliśmy tu tylko na chwilę.

Gritti Palace robił imponujące wrażenie, ale na pewno nie mógłby być moim ulubionym miejscem. Wolałam lokalne *bacaro*, w którym przy barze o tej samej porze wystawali zawsze ci sami starsi panowie; bar, do którego chodziłam z Angelem na prosecco; i małe knajpki, w których kilka razy w tygodniu zatrzymywałam się na kawę. Życzliwość tych miejsc miała dla mnie większe znaczenie niż przepych tego hotelu. Podobało mi się panujące w nich poczucie oddziaływania na życie innych ludzi, wspólnoty, przynależności do okolicy. To mi dawało szczęście.

Wyjęłam z torby notes.

Lista szczęścia Addoloraty

Dobre sąsiedztwo – znane miejsca i twarze, zwykłe spotkania i powitania, świadomość bycia częścią jakiegoś zakątka świata. Poczucie przynależności.

Rozdział 15

Coco wpatrywała się w roztaczającą się przed nami panoramę, pogrążona w myślach. Nawet nie zauważyła, że zapisuję coś w notesie. Przypuszczam, że rozpamiętywała przeszłość, być może czasy, kiedy ona i Nanda były młodsze, a Lorenzo jeszcze żył.

Pozostawiłam ją na chwilę z tymi wspomnieniami i obserwowałam przepływające gondole. W niektórych płynęli śpiewacy, wypatrywałam więc Valentyny, ale bez skutku. Prawdopodobnie akurat pochłaniało ją inne zajęcie, które wykonywała z nadzieją na zarobek. Wszystko wskazywało na to, że jej rodzina znajduje się w dużych tarapatach.

– Coco, jak to się stało, że rodzina hrabiny tak się zadłużyła? – zapytałam. – Czy to była wina Lorenza?

Coco oderwała wzrok od widoku i przez chwilę patrzyła na mnie tępo. Potem podniosła kieliszek do ust i upiła łyk drinka.

– Lorenzo twierdził, że jestem kapryśna – powiedziała z żalem w głosie – ale sam też nie był ideałem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Potrząsnęła głową.

– Lorenzo Viadro był wspaniałym artystą. Jeśli interesujesz się sztuką, powinnaś pojechać do ich muzeum na Murano i obejrzeć jego prace. Pokazywano je na wystawach na całym świecie, wielokrotnie nagradzano. Moim zdaniem dzisiaj już nie ma nikogo, kto mógłby się z nim równać.

– Czyli odnosił sukcesy.

– Artystyczne, owszem. Tyle że nie był dobrym biznesmenem. Zdarzało mu się ryzykować i ponosić potem przykre konsekwencje. Otworzył na przykład sklep w Londynie, na którym dużo stracił. Prowadzenie muzeum również pochłaniało spore koszty. Do tego dochodziły wymagania Nandy co do określonego stylu życia. W tamtych czasach przez pałac ciągle przewijały się tłumy, odbywały się tam liczne przyjęcia. Było też dużo służby, która zajmowała się gotowaniem

i sprzątaniami. Mieli człowieka do obsługi łodzi i kierowcę. Za to wszystko płacił Lorenzo.

– Dlatego się zabił? To wszystko go przerosło i nie potrafił sobie z tym poradzić?

– Po części pewnie tak. – Coco utkwiała wzrok w przepływającej gondoli. – Poza tym sklep okazał się spektakularną klapą, a żaden mężczyzna nie radzi sobie dobrze z takim upokorzeniem. Lorenzo często miewał spadki nastroju i w końcu pod wpływem takich emocji odebrał sobie życie. Wielka strata.

– I rodzina została z długami?

– Z pieniędzmi było krucho, ale długów nie mieli, jeszcze nie wtedy. Problemy pojawiły się po śmierci Lorenza. Pamiętasz, mówiłam ci, że miał dwóch synów? Giacomą i starszego Teodora. Teodoro Viadro nie budził mojej sympatii nawet jako mały chłopiec. Podkradał różne rzeczy i je chował. Miewał też napady szału, podczas których próbował zrobić krzywdę każdemu, kto znajdował się w pobliżu, nawet matce, chociaż ona go uwielbiała. Jako dziecko był okropny i potem się nie zmienił. Tak więc prawdziwe problemy zaczęły się wtedy, gdy dwaj synowie odziedziczyli muzeum szkła, które w założeniu mieli prowadzić wspólnie.

– A co z Valentiną? – zapytałam.

– Zgodnie z tradycją to mężczyźni dziedziczą rodzinny biznes. Zapewne planowali przekazać jej jakieś pieniądze po uporządkowaniu spraw. Oczywiście tego nie zrobili. Nie z winy Giacomą. Może i nie odziedziczył po ojcu talentu, ale jest bardzo pracowity. Wszystko się popsuło przez Teodora, który żył jak playboy. Imprezy, alkohol, narkotyki i co tam jeszcze. Pożyczał, żeby mieć na to wszystko pieniądze. Tyle że nie pożyczał z banku, ale od pewnych ludzi z południa...

– Od przestępców?

Coco skinęła potakująco głową i gestem zamówiła kolejne koktajle.

– Gdy zaciągnie się taki dług, trzeba go koniecznie spłacić. Teodoro nie był w stanie, więc Nanda musiała sprzedać obrazy i cenne meble. Długi okazały się jednak większe, niż przypuszczała, a odsetki

zaczęły rosnać. Wtedy Teodoro miał wypadek. Wsiadł pijany za stery łodzi i płynął za szybko. Moim zdaniem żadna strata, ale Nanda była zdruzgotana.

– Zginął?

Coco znów skinęła głową.

– Teraz spłacają jego długi. Wszystko zostało obciążone hipoteką: muzeum, pałac. Giacomo ma dodatkowe kłopoty, ponieważ na Murano sprzedaje się też chińskie szkło jako oryginalne i nikt nie chce zapłacić tyle, ile on oczekuje. Przez to wszystko Valentinę wiele w życiu omija.

– To dlatego nie pojechała z Angelem do Buenos Aires – domyślałam się.

– Zrezygnowała z wielu różnych rzeczy. Próbowałam im tłumaczyć, że wszystkie ich problemy można łatwo rozwiązać, że powinni sprzedać *palazzo*, a być może także muzeum Viadrów i odlewnię, ale Nanda nie chce o tym słyszeć.

Sączyłam spritza, przegryzając orzeszkami.

– Dlatego się pokłóciłyście?

– Tak. – Coco przerwała na chwilę i wpatrywała się w statki przecinające Canale Grande. W turbanie, ogromnych okularach przeciwsłonecznych i z pieskami na kolanach wyglądała jak Peggy Guggenheim na portretach, które miałam okazję oglądać. – Moja biedna stara przyjaciółka nie potrafi rozstać się z przeszłością.

– Przecież ty też zachowałeś wiele rzeczy z dawnych czasów, ubrania, obrazy Pegeen – zwróciłam jej uwagę.

– Tak, ale ja potrafiłam rozpoznać moment, w którym należało pewne rzeczy w życiu zmienić. Z niektórymi potrafiłam się rozstać, mimo że je kochałam.

– Na przykład z jakimi? – zaciekawiałam się.

Mina Coco mówiła dobitnie, że się zagalopowałam: kąciki jej ust opadły, w oczach pojawiło się nieufne spojrzenie. Odwróciła wzrok, żeby na mnie nie patrzeć. Nie powiedziała ani słowa.

Szybko zmieniałam temat.

– Chciałabym odwiedzić muzeum szkła Viadrów. Może pojechałabyś ze mną?

– Nie, raczej nie – odpowiedziała, cały czas nie odrywając wzroku

od wody.

– Mogłybyśmy zrobić sobie całodniową wycieczkę – próbowałam ją namówić. – Zjadłybyśmy lunch w jakimś przyjemnym miejscu.

– Nie chcę wracać na Murano. – Coco westchnęła. – Wystarczy, że będę musiała ponownie odwiedzić Nandę. Już ty o to zadbałaś.

Następnego ranka po raz pierwszy od dawna zobaczyłam Valentinę. Czekwała na mnie, gdy przyszedłam po psa. Była bez makijażu, z burzą luźnych loków wokół twarzy. Sprawiała wrażenie zmęczonej, co mnie oczywiście nie zdziwiło.

– Chciałabym ci podziękować – usłyszałam. – Mama powiedziała, że gotujesz jej lunch. To bardzo miło z twojej strony, ale nie musisz tego robić. Ona sobie doskonale poradzi sama.

– Nie ma problemu, ja też muszę coś jeść – zauważyłam.

– Powiedziała mi też, że wczoraj przyszła Coco.

– Zgadza się.

Valentina skinęła głową.

– To dobrze. Prędzej czy później znowu się pokłócą, zawsze tak jest, ale nawet przez jakiś czas przyda jej się towarzystwo.

Przypięłam smycz do obroży Borisa i już miałam wychodzić, gdy Valentina mnie zatrzymała.

– Czy mogę cię poprosić o jeszcze jedną przysługę? Czy mogłabyś poprowadzić dziś wieczorem moją wycieczkę kulinarną? Taką, w której brałaś udział.

– Miałabym wystąpić w roli przewodnika? A dlaczego?

– Grupa turystów poprosiła, żeby przejażdżkę gondolą umiłała im serenada w wykonaniu kobiety śpiewaczki, a nikogo takiego poza mną nie mają. Tyle że koliduje to z wycieczką po knajpkach. Mogę liczyć na bardzo dobry napiwek, więc nie chciałabym z tego rezygnować, a nie bardzo wiem, kogo innego mogłabym poprosić.

Nie bardzo mi się podobał ten pomysł.

– Minęło już kilka tygodni od tamtej wycieczki, za dobrze jej nie pamiętam. Skąd będę wiedziała, dokąd iść i co powiedzieć?

– To żaden problem. Wszystko masz napisane w pakiecie informacyjnym. To jest naprawdę proste. Właściciele *bacari* będą wiedzieli, co podać, no i pomogą ci, gdybyś się pogubiła. Zastanów się

nad tym, proszę.

Nie bardzo mogłam odmówić, zwłaszcza że nie miałam nic innego w planach.

– No dobrze, ale tylko ten jeden raz.

Valentina się uśmiechnęła.

– Bardzo ci dziękuję. Obiecuję, że ci się odwdzięczę.

Podawała mi plastikową teczkę z niezbędnymi informacjami i pokazała mapkę, na której były zaznaczone *bacari*.

– Jak widzisz, wszystkie znajdują się blisko siebie. Najpierw idziesz do Angela, a potem masz tylko kilka minut drogi do następnych. Nie da się w tym pogubić.

– A jeśli uczestnicy zaczną mnie wypytywać o wenecką kuchnię?

– Mama mówi, że gotujesz dla niej po wenecku. Na pewno bez problemu odpowiesz na pytania.

Denerwowałam się na myśl, że wieczorem miałam wystąpić w roli przewodnika, więc podczas gdy Boris węszył swobodnie po parku, ja siedziałam na ławce i zapoznawałam się z zawartością teczki. Potem zabrałam go na spacer uliczkami w okolicach targu Rialto, żeby zlokalizować poszczególne *bacari*.

Małe bary trudno znaleźć, zanim otworzą drzwi dla klientów. Z chwilą zamknięcia okiennic i zwinięcia markiz właściwie znikają z oczu, potrzebowałam więc dłuższej chwili, żeby dokładnie ustalić, dokąd powinnam iść i jaką drogą najlepiej będzie tam dotrzeć.

W drodze powrotnej do *palazzo* zatrzymałam się na targu po świeży groszek do *risi e bisi* dla hrabiny. Odniosłam wrażenie, że ta prosta do przyrządzenia potrawa należała do jej ulubionych. Wystarczyło ugotować bulion na strączkach, a potem zanurzyć w nim ryż. Do ryżu dodawało się groszek i szczyptę cukru, a na koniec odrobinę masła, pietruszki i parmezanu. Danie ma orzeźwiający smak i jest raczej lekkie.

Zjadłyśmy razem lunch w jej salonie, trzymając naczynia na kolanach. Byłyśmy zbyt pochłonięte posiłkiem, żeby mówić. Zresztą rozmowy z Nandą zawsze przebiegały dość dziwnie. Kilkakrotnie próbowałam ją wypytać o Coco, ale nigdy niczego się nie dowiedziałam. Nanda potrafiła tak odpowiadać na moje pytania, żeby mi tak naprawdę nic konkretnego nie powiedzieć.

- Co się stało z mężem Coco? – dociekałam na przykład.
- Kiedyś wsmarował jej dżem we włosy. Czyż to nie okropne? – brzmiała odpowiedź.

Nie potrafiłam stwierdzić, czy hrabina celowo unika moich pytań. Bywały dni, gdy na pewno udawała zdezorientowaną, jakby w ten sposób uciekała od rzeczywistości. Czasami jednak nie wiedziałam, jak ocenić jej zachowanie. Tamtego popołudnia jadła ryż z groszkiem z wyraźnym zadowoleniem i sprawiała wrażenia pogodnej.

– To danie jest częścią weneckiej historii – powiedziała, nabierając łyżką ostatni kęs. – Dożowie spożywali je w Dzień Świętego Marka. W misce musiało być tyle samo ziarenek groszku, co ziarenek ryżu. Ja wolę, gdy jest więcej bulionu.

– Przekażę kucharce – powiedziałam, a wtedy Nanda się roześmiała.

– Jaka szkoda, że Coco z nami nie ma – stwierdziła. – Uwielbia *risi e bisì* tak jak ja. Robiłaś je dla niej?

– Jeszcze nie, i tak miałam szczęście, że udało mi się dzisiaj kupić na targu groszek. Sezon już się chyba skończył.

– No to coś ominęło Coco...

– Lato obfituje w różne inne smaki. Są wspaniałe pomidory, bakłażany, świeża kukurydza, zioła. Na pewno uda mi się ugotować dla was niejeden pyszny lunch. Obiecuję!

– Myślisz, że ona jeszcze przyjdzie? – W głosie Nandy pobrzmiwała nadzieja.

– Przecież obiecała.

– Tak, ale w wypadku Coco taka obietnica nic nie znaczy. – Nanda zmarszczyła brwi.

– Nie znam jej zbyt długo – przypomniałam jej. – Nie rozumiem jej tak dobrze jak pani.

Uniosła na mnie wzrok.

– Nikt jej nie rozumie tak jak ja – powiedziała spokojnie.

Reszta popołudnia upłynęła mi na wkuwaniu informacji do przekazania podczas wycieczki. Staralam się zapamiętać jak najwięcej. Potem przeżyłam mały kryzys, bo nie wiedziałam, w co się ubrać. Normalnie włożyłabym džinsy, specjalnie się nad tym nie zastanawiając,

ale najwyraźniej zaczynałam odczuwać wpływ Coco, bo zanim ostatecznie zdecydowałam się na niebieską sukienkę kupioną podczas naszych pierwszych wspólnych zakupów, przymierzyłam kilka różnych strojów. Jako dodatek wybrałam naszyjnik ze szkła z Murano, zapewne autentycznego, zważywszy na cenę.

Aby zapanować nad nerwami, wypaliłam szybko papierosa na balkonie. Po cichu liczyłam, że Coco ma zamknięte okno i nie wyczuje dymu. Nie podobało jej się, że palę. Jasno dała mi to do zrozumienia, gdy mnie kiedyś nakryła z papierosem w swoim ogrodzie. Musiałam wysłuchać długiego wykładu o zgubnym wpływie palenia na mój wygląd, a przecież paliłam tylko wtedy, gdy się denerwowałam. Tamtego dnia byłam po trudnej rozmowie z Edenem, który poinformował mnie przez telefon, że nie zgadza się, by Katia przyjechała do mnie w czasie wakacji. Kłóciliśmy się, aż w końcu dotarło do mnie, że i tak do niczego nie dojdziemy, i po prostu się rozłączyłam. Wypiłam kieliszek wina, żeby się uspokoić, i postanowiłam spróbować raz jeszcze za dzień lub dwa. Miałam nadzieję, że Pieta z nim porozmawia albo mój ojciec. Eden zachowywał się nieracjonalnie, to było do niego zupełnie niepodobne. Zakładałam, że ktoś mu przemówi do rozsądku.

Na miejsce zbiórki na Campo della Maddalena wyruszyłam dość wcześnie. Na wycieczkę zapisał się komplet uczestników i kilkoro już czekało na mnie na schodach. Rozpoznałam w nich siebie z mojego pierwszego tygodnia w Wenecji. Sprawiali wrażenie lekko oszołomionych miastem i jego zatłoczonymi *calli*, gnietli w dłoniach mało czytelne dla nich mapy i cały czas myśleli o tym, żeby nie przegapić jakiejś atrakcji.

Gdy się przedstawiłam, od razu zostałam zasypana pytaniami. Jaką wycieczkę polecam, jeśli chodzi o zwiedzanie Pałacu Dożów? Dokąd najlepiej popłynąć na przejażdżkę gondolą? Czy da się obejrzeć Murano i Burano jednego dnia?

Wzięłam głęboki oddech.

– Pozwólcie, że o atrakcjach turystycznych opowiedzą wam inni. Ja chciałabym wam pokazać prawdziwą Wenecję, widzianą z perspektywy jej mieszkańców. Miejsca, w których weneccjanie jadają i piją.

Moi słuchacze się uspokoiли. Potem przypomniałam sobie, że podczas mojej wycieczki Valentina poleciła nam schować mapy, więc również to zasugerowałam. Gdy już wszyscy się zjawili, poprowadziłam grupę na przystanek *traghetto*, po drodze opowiadając o zwyczajach towarzyskich mieszkańców Wenecji.

Staralam się mówić tak, jakbym sama była częścią tego miasta. W pewnym sensie tak się wtedy czułam. Rytm tutejszego życia bardzo mi odpowiadał. Wydawał mi się właściwym sposobem, w jaki człowiek powinien żyć.

– Zaglądają do *bacaro*, gdzie czasem spotkają znajomego i stoją z nim przy barze z *ombra* w jednej ręce i *cicchetto* w drugiej – wyjaśniłam. – To krótki przerywnik w ciągu dnia, epizod towarzyski przed powrotem do domu lub pracy.

– Brzmi uroczo – powiedziała z zazdrością w głosie pewna Amerykanka. – Ma pani wielkie szczęście, że pani tu mieszka.

– Owszem – zgodziłam się. – Wielkie szczęście.

Pierwszy przystanek zrobiliśmy w osterii Angela. Okiennice były szczelnie zasłonięte, a drzwi zamknięte, ale otworzyły się, gdy tylko zapukałam.

– *Buona sera*, Dolly. – Angelo ucałował mnie w oba policzki. – W końcu znalazłaś pracę.

– Tylko na dziś wieczór – powiedziałam, po czym ciszej dodałam: – Będziesz musiał mi pomóc.

Angelo powitał grupę i zaprosił gości do zajęcia miejsca przy barze, po czym przystąpił do napełniania kieliszków winem. Opowiadał o jedzeniu i o tym, jak co rano rozpoczyna pracę w osterii od wycieczki na targ, gdzie szuka inspiracji pośród owoców morza dostępnych danego dnia w promocji; o eksperymentowaniu z tradycją i tworzeniu czegoś nowego na podstawie dawnych zwyczajów.

Podał nam to samo, co jedliśmy, gdy do niego przyszłam jako turystka: brioszkę z wędzonym tuńczykiem z dodatkiem musztardowego kremu z karczochów oraz *crostini* z pastą z solonego dorsza. Tym razem jednak więcej mówił. O tym, jakie owoce morza występują na błotnistym dnie laguny i w wodach zalewających bagniste tereny, o nagładach i okoniach, o czerwonych barwenach i szarych łobanach,

o wydobywaniu mięczaków ze skorupki. Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby z taką pasją opowiadał o jedzeniu; jego wywód urzekł mnie więc nie mniej niż innych.

Tego wieczoru nie mieliśmy w planach lekcji tanga, ale gdy moja grupa zaczęła zeskakiwać z wysokich krzeseł i zbierać swoje torby i kapelusze, Angelo podszedł do mnie i zapytał, czy zobaczymy się później.

– Będę w All'Arco, za rogiem. Przyjdź, gdy skończysz. Będzie tam ktoś, kogo chciałbym ci przedstawić. Ktoś, z kim jestem zaprzyjaźniony.

– Pewnie, chętnie – powiedziałam, zastanawiając się, kóż to może być.

W drodze do kolejnego *bacaro* usłyszałam, jak dwie uczestniczki wycieczki rozmawiały o Angelu. Jedna z nich uznała, że jest atrakcyjny. Druga miała odmienne zdanie.

– Jest w nim arogancja charakterystyczna dla kucharzy – powiedziała. – Wszystkim im się wydaje, że dostali dar od Boga.

Miałam ochotę jej powiedzieć, że nie ma racji, bo najlepsi szefowie kuchni to prawdziwi artyści, którzy zajmują się nie tylko smakiem, ale dbają też o kolorystykę, formę i fakturę jedzenia. Tworzenie dania wymaga wyobraźni i cierpliwości, jak również pychy i często wręcz obsesyjnego zaangażowania. Właśnie takim szefem pragnie być każdy kucharz, tak to postrzegałam, zanim straciłam pewność siebie i pozwoliłam na to, żeby stery restauracji ponownie przejął mój ojciec. Jednakże nie odezwałam się. Skupiłam się na tym, by przypomnieć sobie, jakie informacje powinnam przekazać o kolejnym *bacaro*.

Powiedziałabym, że wycieczka się udała. Wszyscy pozytywnie ocenili to, co mieli okazję zjeść. Jedna z kobiet nie lubiła ryb, ale nie mogła narzekać na brak innych dań. Kilku wielbicieli wina zamówiło dodatkowe porcje, a potem zostało dłużej w ostatnim z odwiedzanych przez nas *bacari*. Tuż przed rozstaniem z grupą zaznaczyłam na mapach turystów, podobnie jak kiedyś Valentina na mojej, miejsca godne polecenia. Zapropnowałam wizytę w barze w Cannaregio, w którym można zacumować łodzią i w swobodnej atmosferze popijać spritza, księgarnię Acqua Alta oraz najlepsze knajpki, gdzie można zjeść tani lunch i dobrą kolację.

Uczestnicy mojej wycieczki sprawiali wrażenie bardzo miłych ludzi, a mimo to poczułam ulgę, gdy już mogłam sobie pójść. Zmęczona udałam się do All'Arco na spotkanie z Angelem. Miałam zamiar wypić drinka, a potem wrócić do domu i położyć się do łóżka z książką w ręce.

W barze jak zwykle było tłoczno. Najpierw wydawało mi się, że widzę Angela w grupce osób stojących na chodniku, ale gdy podeszłam bliżej, stwierdziłam, że co prawda otacza go kilka kobiet, ale tak naprawdę jest z jedną. Ta kobieta była, jak powiedziałyby moja siostra Pieta, „ogarnięta”. Włosy miała gładko zaczesane, figurę szczupłą, ubrania drogie. Śmiała się z czegoś, co powiedział jej Angelo, przez chwilę więc wahałam się, czy powinnam im przerywać.

– Hej, Dolly! Udało ci się dotrzeć. – Angelo gestem przywołał mnie do siebie. – Przyniosę ci drinka. Spritz, zgadłem?

Sytuacja zrobiła się dziwna, bo on się odwrócił, żeby precyzyjnie się do baru, a ja zostałam z jego przyjaciółką.

– Wychodzi na to, że sama będę musiała się przedstawić. – Wyciągnęła do mnie rękę. – Marie-Ann Billens.

– Addolorata Martinelli. Miło mi cię poznać.

– Świetnie, to formalności mamy już za sobą – uśmiechnęła się. – Mówiłam Angelowi, że chciałabym cię poznać. Obie jesteśmy z innego kraju, a mieszkamy w Wenecji. Chyba przyznasz mi rację, że tutaj ciężko nawiązuje się znajomości.

Mówiła z dziwnym akcentem, którego nie potrafiłam przyporządkować. Republika Południowej Afryki? Australia?

– Skąd jesteś? – zapytałam.

– Pochodzę z Nowej Zelandii, ale już całe lata tam nie mieszkam. Zajmuję się hotelarstwem, więc często się przeprowadzam. Ma to oczywiście plusy, ale i taką wadę, że ledwie się człowiek gdzieś zdomowi, znowu się musi przeprowadzać.

Zanim Angelo zdążył wrócić z moim drinkiem, dowiedziałam się o Marie-Ann całkiem sporo. Od kilku lat była kierownikiem w Molino Stucky Hilton. Mieszkała na wyspie Giudecca, na której panował znacznie większy spokój niż w innych częściach Wenecji. Nie tańczyła tanga.

– Nie czuję go – powiedziała. – Nigdy nie tańczyłam. Ale

słyszałam, że Angelo cię uczy. Jak wam idzie?

– No wiesz... Miewamy lepsze i gorsze dni.

Angelo zdobył już dla mnie drinka, ale po drodze ktoś go zaczepił, więc zatrzymał się, żeby chwilę porozmawiać.

– Powiedz mi, co poza lekcjami tańca was łączy? – zapytała jakby od niechcienia Marie-Ann.

Zaskoczyło mnie to.

– Słucham?

– Ty i Angelo. O co w tym chodzi?

– O nic nie chodzi.

– Naprawdę? – Chyba mi nie uwierzyła.

Właśnie w tym momencie Angelo do nas dołączył, dlatego zanim udało nam się podjąć rozmowę, nastąpiła chwila niezręcznej ciszy. Marie-Ann zapytała o mój naszyjnik i w ten sposób przeszliśmy do wymiany informacji o robieniu zakupów w Wenecji.

Po wypiciu drinka miałam zamiar iść do domu, ale Marie-Ann przyniosła kolejnego, tak więc zostałam, żeby go wypić. Potem Angelo zasugerował, że moglibyśmy pójść na Campo San Giacomo dell'Orto na milongę. Po raz kolejny próbowałam się pożegnać. Odkąd rozpoczęliśmy lekcje, starałam się nie tańczyć w miejscach publicznych. Wcześniej w mojej głowie zrodziła się szalona myśl, że gdy już czegoś się nauczę, to pokażę się światu, żeby wszystkich zadziwić. Im dłużej jednak się uczyłam, tym bardziej uświadamiałam sobie, jak niewiele umiem, tak więc ostatecznie do niczego takiego nie doszło.

– Chodź – namawiał mnie Angelo. – Jeśli mamy tego lata występować, to powinnaś ćwiczyć przy każdej nadarzającej się okazji.

– Będziecie razem występować podczas pokazów? – zwróciła się do mnie Marie-Ann.

– Na to wychodzi – odpowiedziałam oschle. – Angelo ciągle mi to powtarza.

– W takim razie będę musiała kupić bilet.

– Chodź z nami, to popatrzysz za darmo – zaproponował Angelo.

– Nie, powinnam już wracać do domu. Muszę odpisać na kilka mejli, a jutro czeka mnie ważny dzień w pracy.

Angelo swobodnym gestem otoczył mnie ramieniem.

– Okej, zadzwonię do ciebie niedługo – powiedział Marie-Ann.

Wyraz jej twarzy zmienił się, w oczach pojawił się chłód, usta się ścisnęły. Zmusiła się jednak do uśmiechu.

– No dobra, praca nie zajac, nie ucieknie! Idę z wami – oświadczyła.

Na dźwięk muzyki do tanga ogarnęło mnie uczucie przyjemności. Znałam tę melodię, ćwiczyliśmy do niej. W dobrym nastroju, który zawdzięczałam częściowo winu, zrobiłam kilka kroków z wyimaginowanym partnerem. Angelo uczynił to samo, a potem wziął mnie za rękę i, zapominając o Marie-Ann, pociągnął do tańca.

Na miejscu byli już Coco i Silvio. Przerwali na chwilę, żeby na nas popatrzeć. Serce zabiło mi mocniej, ale gdy znalazłam się w objęciach Angela, cały mój niepokój minął. Zamknęłam oczy i pozwoliłam się prowadzić po *campo*. Kroki wykonywałam wprawnie, być może nawet z pewnym wdziękiem. Dobrze się czułam w swoim ciele, podążałam za Angelem, lecz jednocześnie byłam pewna siebie. Przetańczyliśmy trzy wolne utwory. Kiedy wybrzmiał ostatni, zatrzymaliśmy się.

– Dałbym teraz szansę komuś innemu – powiedział Angelo.

– A wydawało mi się, że dobrze sobie radzę.

– Bo radzisz sobie dobrze, ale dzisiaj brakuje mężczyzn i te wszystkie kobiety czekają na partnerów. – Wskazał gestem na dziewczęta w ładnych sukienkach i butach na wysokim obcasie. – Jeszcze później zatańczymy, dobrze?

– Pewnie – odpowiedziałam, usiłując ukryć rozczarowanie.

Marie-Ann czekała pod drzewami w pobliżu miejsca, w którym ją zostawiliśmy. Ręce miała założone na piersi, nie uśmiechała się już. Oddaliłam się od Angela i podeszłam do niej.

– Masz ochotę na drinka? – zapytałam. – W tamtym barze mają znakomity wybór prosecco.

Przytaknęła głową.

– Jasne, możemy iść, jeśli chcesz.

Znalazłam stolik w miejscu, z którego mogliśmy przyglądać się tancerzom, ale Marie-Ann wolała usiąść tyłem do placu. Oparła łokcie na stole, a na dłoniach podbródek.

– Możemy wrócić do naszej przerwanej rozmowy? – odezwała się.

– Wydaje mi się, że Angelo spotyka się z kimś. Chciałabym tylko wiedzieć, czy z tobą.

Oparłam się na krzesło.

– To wy jesteście razem?

– Od roku z przerwami.

Byłam zaskoczona, bo Angelo nigdy nie wspominał, że ma dziewczynę. Ale on w ogóle niewiele o sobie mówił.

– Skąd twoje podejrzenia, że jest ktoś inny? – zapytałam.

Marie-Ann przygryzła wypielęgnowany paznokieć kciuka, jakby nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Mając doświadczenia z różnymi mężczyznami, kobieta uczy się rozpoznawać pewne sygnały – powiedziała w końcu. – Angelo przechodzi od zapału do chłodu. Czasem spędzamy razem każdą wolną chwilę, a potem nagle potrafi przez tydzień do mnie nie dzwonić. Ostatnio dużo mówi o tobie, dlatego poprosiłam, żeby mi ciebie przedstawił. Chciałam się dowiedzieć, czy między wami coś jest.

– Mam rodzinę w Anglii – wyjaśniłam. – Zapewniam cię, że Angelo i ja tylko razem tańczymy.

Marie-Ann znowu skubała zębami paznokieć.

– W takim razie kto?

– A pytałaś go?

Roześmiała się oschle.

– Mężczyźni nie lubią, gdy się naciska. Z doświadczenia wiem, że to ich skłania do ucieczki.

Między drzewami dostrzegłam sylwetkę Angela, który tańczył z dziewczyną w krótkiej czarnej sukience. Potrafiłam zrozumieć, że ciężko być z nim komuś, kto nie ma do niego całkowitego zaufania.

Marie-Ann nachyliła się ku mnie.

– Chodzi o to, że mam już prawie trzydzieści dwa lata i jeśli chcę mieć dzieci, to muszę się z tym śpieszyć. Mam możliwość przeniesienia się z powrotem do Hiltona w Auckland, ale zanim podejmę decyzję, chciałabym wiedzieć, czy mój związek z Angelem ma jakąkolwiek przyszłość.

– Jeśli cię zdradza, to może lepiej z tym skończyć – zasugerowałam.

– Tylko że nie wiem tego na pewno. To świetny facet. Jest mądry, atrakcyjny, odniósł w życiu sukces. Szaleństwem byłoby zrezygnować z kogoś takiego, jeśli nasz związek ma jakieś szanse.

– A wolisz mieszkać tutaj czy w Nowej Zelandii?

– Jeśli wrócę do domu, mogę liczyć na awans.

– No tak, ale gdzie będziesz naprawdę szczęśliwa? – dopytywałam.

– Szczęśliwa? – Moje pytanie zbiło ją z tropu. – Nie wiem. To zależy od wielu czynników.

– Jakich czynników?

Marie-Ann chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Od relacji, przyjaciół, mieszkania... Nie potrafię tego jednoznacznie określić. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

W tym momencie postanowiłam powiedzieć jej o mojej liście szczęścia. Zainteresowała się tym, ale potem się roześmiała, gdy usłyszała, że dotychczas udało mi się wpisać na nią zaledwie pięć punktów.

– Nie chcę zapisywać byle czego – wyjaśniłam. – Dużo się nad tym zastanawiam. Muszę być naprawdę pewna, że coś chcę do tej listy dodać.

Marie-Ann odwróciła krzesło bokiem, żeby mieć widok na tancerzy.

– Ja też mam swoją listę – powiedziała, wpatrując się w Angela. – Listę rzeczy, na których mi zależy, takich jak rodzina, dom z ogrodem, może nawet wakacje gdzieś na plaży. Mam cele zawodowe i finansowe. To chyba to samo.

– To samo, co lista szczęścia? Raczej nie.

– Dlaczego nie?

– Bo to, że chcesz tych różnych rzeczy, wcale nie oznacza, że dadzą ci one szczęście.

Angelo skończył tańczyć i chyba nas szukał. Spojrzał w kierunku baru, uśmiechnął się i ruszył w naszą stronę.

– Jest ktoś, z kim może go coś łączyć – powiedziałam szybko. – To kobieta imieniem Valentina. Kiedyś była jego partnerką do tańca.

– Chyba wiem, o kim mówisz. Jest na zdjęciach, które wiszą u niego na ścianie.

Skinęłam potakująco głową. Angelo właśnie chwycił dodatkowe krzesło, żeby dosiąść się do naszego stolika, gdy Marie-Ann dotknęła mojej ręki.

– Dziękuję – rzekła cicho.

Angelo i ja tańczyliśmy jeszcze trochę tego wieczoru. Zrobiło się późno i większość tancerzy rozeszła się do domów. *Campo* zdawało się należeć tylko do nas, rozluźniłam się więc w jego objęciach i zamknęłam oczy. Po całym dniu spędzonym w kuchni jego włosy pachniały smażonym masłem, gorącymi bulionami i lekko karmelizowaną cebulą. Skórę miał wilgotną i ciepłą. Musiał być zmęczony, bo poruszał się mniej precyzyjnie i energicznie niż zwykle. Po raz pierwszy tak naprawdę poruszaliśmy się jednocześnie, nasze ciała naprawdę się złączyły, nasze tango stało się autentyczne. To było coś magicznego. Zrobiło mi się żal Marie-Ann – bo ona nigdy nie pozna tego mężczyzny w pełni, jeśli nie uda jej się dotknąć tej części jego osoby.

Lista szczęścia Addoloraty

Tango – muzyka, nastrój, emocje. Czysta przyjemność, jaką daje ten taniec, bliskość partnera, a przede wszystkim poczucie pełnej harmonii z drugim człowiekiem.

Rozdział 16

Coco nie zmieniła zdania co do wyprawy na Murano, tak więc następnego dnia po szybkim spacerze z Borisem wsiadłam sama do *vaporetto*. Gdy odbiliśmy od brzegu, poczułam przyjemny powiew wiatru znad laguny. Nastąpiło prawdziwe lato. Turyści porozbierali się do szortów i koszulek z krótkimi rękawami, a miejscowi chodzili w lnianych zwiewnych strojach. Coco powiedziała, że należy się spodziewać jeszcze większego skoku temperatury. Przestrzegając, że mogą nadejść i takie dni, gdy za nic nie dam się wyciągnąć z cienia w jej ogrodzie. Zaraz dodała jednak, że i tak woli taką pogodę niż niekończącą się szarugę zimy i chłodne mgły unoszące się nad ziemią całymi dniami; że upały są lepsze niż *acqua alta* albo zimny deszcz.

To wszystko miało mnie ominąć. Miałam wyjechać z Wenecji z końcem lata. Spoglądałam na zieloną wyspę Sant'Elena i usiłowałam o tym nie myśleć. Od tego momentu dzieliło mnie jeszcze wiele tygodni, w trakcie których mogło się jeszcze wiele wydarzyć. Na przykład Festa del Redentore, o którym wszyscy dużo mówili, czyli leniwe dni spędzone na opalaniu i kąpielach na Lido, występy taneczne, w których wcale nie obiecywałam wziąć udziału. Poza tym musiałam dopisać jeszcze kilka punktów do mojej listy szczęścia.

Gdy zaczynałam ją tworzyć, nie zdawałam sobie sprawy, jak dużym wyzwaniem okaże się zapełnienie jej. Zdecydowanie łatwiej byłoby mi wymienić, co nie daje mi szczęścia: sport, plotki o gwiazdach, torebki od znanych projektantów, włączony głośno telewizor, ćwiczenia na siłowni, maseczki na twarz czy modna bielizna; oto kilka rzeczy, które przychodzą mi do głowy w pierwszej kolejności. Pewnie gdybym się nad tym głębiej zastanowiła, to mogłabym zapisać wiele stron. I to mnie smuciło, bo nie chciałam skupiać się na tym, co negatywne.

Na Murano czekał mężczyzna, który zapraszał wysiadających pasażerów na darmową wystawę w hucie szkła. Część ludzi poszła za nim, ale ja spojrzałam na mapę i stwierdziłam, że droga do muzeum

Viadrów prowadzi w przeciwnym kierunku. Postanowiłam trzymać się swojego planu.

Wyspa jest niewielka, bez trudu więc odnalazłam drogę do *palazzo*, w którym mieści się muzeum. Kupiłam bilet i weszłam po schodach, mijając po drodze półki zastawione wazami, figurkami i miskami. Raz po raz przystawałam, żeby przeczytać opis. Kolory i kształty robiły niesamowite wrażenie, ale chyba nie chciałabym mieć czegoś tak idealnego, a zarazem tak kruchego.

Przy każdej witrynie wisiały czarno-białe zdjęcia przedstawiające mężczyzn z rodu Viadrów, wężaczy o surowych obliczach, oraz kolejne informacje o ich historii. Można było odnieść wrażenie, że wszyscy mężczyźni z rodu byli nierozzerwalnie związani z rodzinnym interesem i albo wyrabiali szkło, albo zajmowali się jego sprzedażą, jeśli brakowało im talentów artystycznych.

Dzielnicy Lorenza została poświęcona odrębna sala. Moim zdaniem miały one największą wartość artystyczną: świetliste wazy w kolorze ametystowej zieleni, kieliszki z surowym, dymnym wykończeniem, szkło z pozoru surowe i nieobrobione, kształty nawiązujące do krzywizn kobiecego ciała. W tym pomieszczeniu spędziłam najwięcej czasu. Podziwiałam poszczególne eksponaty i próbowałam wyobrazić sobie mężczyznę, który je stworzył.

– Przepraszam, czy to pani ma na imię Addolorata? – usłyszałam męski głos.

– Tak. – Uniosłam głowę, nieco zaskoczona. Stał przede mną krępy mężczyzna o ziemistej cerze i grubych brwiach. Coś mi mówiło, że obserwował mnie od dłuższej chwili.

– Jestem Giacomo Viadro. Matka poprosiła, żebym tu przyszedł i odszukał panią.

– Naprawdę? – Tego się nie spodziewałam. – Skąd wiedziała, że tu będę?

– Pewnie Coco jej o tym wspomniała. Panie się przyjaźnią, prawda?

– Tak.

– Mama mówi, że jest pani dla niej bardzo dobra. Prosiła, żebym panią oprowadził.

Giacomo sprawiał wrażenie równie ponure jak wąsaci mężczyźni na starych fotografiach rodzinnych, dlatego wizja jego towarzystwa niespecjalnie mnie ucieszyła.

– To bardzo miło z pana strony – powiedziałam – ale na pewno ma pan mnóstwo spraw na głowie, a ja, tak prawdę mówiąc, zdążyłam się już rozejrzeć.

– Żaden problem. A może ma pani ochotę obejrzyć kilka moich prac? Są na wystawie na dole w sklepie i w odlewni.

– Bardzo chętnie – zgodziłam się, bo nie wypadało mi zachować się inaczej.

– No to zapraszam.

Poprowadził mnie przez galerie, które już wcześniej minęłam. Po drodze pokazywał ręcznie wykonane świeczniki projektowane dla dożów i szklaną sowę zrobioną na Biennale w Wenecji, a także miski z bąbelkowego szkła lub emaliowane złotem.

– Od piętnastego wieku sekrety wyrobu szkła są w naszej rodzinie przekazywane z ojca na syna – powiedział z wyraźną dumą. – Każde pokolenie dodaje coś od siebie, opracowując nowe techniki i nowe możliwości.

Zeszłam za nim na dół po schodach i dalej przez drzwi otwierające się na ogród. Odlewnia znajdowała się w budynku, który mieścił się po drugiej stronie pożółkłego trawnika. Zaraz obok wejścia wygradzono liną teren ekspozycyjny i ustawiono gablotę z wisiorami podobnymi do tego, który często nosiła Nanda.

– To pan wykonuje tę biżuterię? Jest wspaniała!

Giacomo uśmiechnął się, a wtedy jego twarz zmieniła wyraz – stała się młodsza i łagodniejsza.

– Produkuje tu różne rzeczy, jak chociażby żyrandole, wazony czy bibeloty. Wszystko, co się sprzedaje. Ale największą przyjemność sprawia mi tworzenie biżuterii. Każda jest niepowtarzalna i gdy potem widzę swoje dzieło na szyi kobiety, jak szkło ogrzewa się od jej skóry, to mam poczucie, że stworzyłem coś więcej niż zwykłą ozdobę, że stworzyłem coś żywego.

– Coco mówi, że na Murano sprzedaje się mnóstwo podróbek sprowadzanych z Chin. Pan to odczuwa?

– Tanie koraliki, szklane zwierzątka i mnóstwo innej masowo produkowanej tandety. To nie to samo. – Giacomo mówił rzeczowym tonem. – Ludzie zawsze będą kupować autentyczne wyroby artystyczne ze szkła.

Zaprosił mnie na kawę do małej kawiarni działającej przy sklepie. Siedząc przy stoliku, mogliśmy podziwiać kolejne naszyjniki jego autorstwa podświetlone w długiej gablocie tak, by nadać im blasku.

Giacomo sam przyniósł kawę i postawił ją przede mną wraz z talerzykiem, na którym leżały rodzynkowe herbatniki *zaleti*, świeżo wyjęte z pieca i jeszcze ciepłe.

– Niech mi pani powie, Addolorato – usiadł naprzeciwko mnie – co pani robi w Wenecji. Przyjechała pani na wakacje?

– Nie, to bardziej urlop regeneracyjny. Zawodowo zajmuję się gotowaniem i potrzebowałam na chwilę oderwać się od pracy. – To było najprostsze wyjaśnienie, jakie mi przyszło do głowy.

– Smakuje pani wenecka kuchnia? – zapytał Giacomo.

– Tak, oczywiście. – Przegryzłam jeden z żółtych herbatników i stwierdziłam, że w środku oprócz rodzynek są jeszcze orzeszki pinii. – Mm, pyszne!

– Pieczemy je na miejscu. Często dodajemy do nich na przykład figi albo migdały. Te ciasteczka to część weneckiej historii. Jeśli pani chce, mogę poprosić kucharkę, żeby dała pani przepis. W końcu przyjechała tu pani szukać inspiracji, prawda?

– W pewnym sensie tak.

– To musi być naprawdę świetna sprawa tak podróżować i mieć czas na refleksję. Może pewnego dnia i mnie się to uda. – W jego głosie pobrzmiwał smutek. – Na razie muszę się zająć prowadzeniem firmy i wychowywaniem trójki małych dzieci. Z Murano wyjeżdżam właściwie tylko wtedy, gdy mam spotkanie biznesowe albo żeby odwiedzić mamę. Prawdę mówiąc, to ostatnie udaje mi się stanowczo zbyt rzadko. Ale zdaje się, że pani widuje ją często. Jak ona się miewa?

Nie wiedziałam, co powinnam mu odpowiedzieć.

– Znam ją bardzo krótko, ale wydaje się czuć zupełnie dobrze.

Ostatnio Coco namówiła ją do wyjścia z domu. Poszły do Alla Vedova.

– Coco potrafi narzucić mamie swoją wolę. Zawsze tak było.

– Czy Coco jest także pana matką chrzestną, czy tylko Valentiny?
– zapytałam.

Giacomo posłał mi zdziwione spojrzenie.

– Coco naszą matką chrzestną? – Roześmiał się oschle. – Nie sądzę.

– Nie pamiętam, kto mi to powiedział. – Usiłowałam sobie przypomnieć, od kogo to wiem.

– Ktokolwiek to był, mylił się. Moja matka zawsze była lojalną przyjaciółką Coco, ale nawet ona nie powierzyłaby jej duchowego rozwoju swoich dzieci. – Znowu się roześmiał. – Na pewno nie Coco!

– Dlaczego nie? – zapytałam, sięgając po kolejne *zaleto*.

– Co właściwie pani o niej wie?

– Prawdę mówiąc, niewiele. Dowiedziałam się, że miała kiedyś męża i że pana ojciec się z nią przyjaźnił.

– Byli kochankami – powiedział krótko.

– No tak.

Przetarł oczy jakby ze zmęczenia.

– Doniosę nam kawy. Nie wiem wszystkiego o Coco, ale trochę mogę pani opowiedzieć.

Giacomo wrócił z kolejnym talerzykiem ciastek. Tym razem były to *fugasse*, słodkie drożdżowe wypieki ze skórką cytrynową, posypywane cukrem. Poczęstowałam się i czekałam na opowieść.

– Gdzie by tu zacząć... – Rozsiadł się ponownie na krześle. – Łączy je długa historia.

– Kiedy się poznały?

– Były bardzo młode. Coco była córką niani mojej matki. Mama była jedynaczką, więc Coco i jej siostry przychodziły od czasu do czasu do *palazzo*, żeby dotrzymać jej towarzystwa. Oficjalna wersja głosi, że Coco nie widziała świata poza moją matką, podejrzewam jednak, że tak naprawdę po prostu wolała nasz dom niż swój. Wywodziła się ze skromnej rodziny. Jej ojciec pracował na jednej z naszych barek dostawczych.

– Czyli zaprzyjaźniły się w dzieciństwie.

– Były nierozłączne. Przypuszczam, że w okresie dorastania Coco właściwie mieszkała w *palazzo*, bo widać ją na wielu rodzinnych

zdjęciach z tamtych lat. Imprezy urodzinowe, rodzinne wypadki na Lido, wszędzie jest. Moi dziadkowie zapewne później tego żalowali. Niewykluczone, że rodzice Coco również.

– Dlaczego?

– Bo ona chciała tego, co miała mama. Bynajmniej nie twierdę, że coś ukradła mojej rodzinie, w każdym razie nic mi o tym nie wiadomo. Tyle że pragnęła żyć tak samo jak oni. – Giacomo chwilę się wahał. – Proszę mi powiedzieć, czy Coco nadal jest piękna?

– Tak, myślę, że zawsze będzie piękna.

– Mój brat Teodoro przez pewien czas był w niej zakochany. Powiedział mi, że widział ją kiedyś nago. Podejrzewam, że kłamał, ale kto wie... – Giacomo zmarszczył brwi i popatrzył na zegarek. – Przepraszam panią, Addolorato, ale muszę iść dopilnować dostawy, a potem mam spotkanie, którego nie mogę odwołać. Oczywiście niech pani zostanie tu tak długo, jak pani zechce. Niech się pani częstuje ciasteczkami. No i zapraszam na pokaz wyrobu szkła, jeśli znajdzie pani czas.

Wstał i zaczął się odwracać, ale w połowie ruchu jakby zmienił zdanie, spojrzął znów na mnie i powiedział:

– Wie pani, nawet dziś zachowanie Coco wywołałoby skandal, a wtedy ludzie byli bardziej tradycyjni... Wtedy wszystko było inne.

Zanim wsiadłam do *vaporetto*, które zabrało mnie z powrotem do domu, pospacerowałam wzdłuż kanałów na Murano. We wszystkich sklepach, które mijałam, można było kupić wyroby ze szkła, na wielu wystawach widziałam takie same naszyjniki z koralików. Nie wypatrzyłam za to niczego, co przypominałoby naszyjniki Giacoma.

Gdy tak szłam, usiłowałam wypełnić luki, które Giacomo pozostawił w swojej opowieści. A zatem Coco zazdrościła Nandzie i chciała prowadzić takie życie jak ona. W tym celu zrobiła coś skandalicznego. Ale co? I dlaczego wszyscy tak uparcie milczą na ten temat?

Vaporetto zabrało mnie do domu inną trasą, przez szeroki kanał Cannaregio. Wsiadłam na dworcu kolejowym, a stamtąd zrobiłam sobie długi spacer Strada Nuova. Gdy mijałam *palazzo*, brama była zamknięta, ale dostrzegłam Nandę. Siedziała na ławce z Borisem u stóp,

wygrzewając się w promieniach późnopołudniowego słońca.

– *Buona sera*, hrabino! – zawołałam.

Uniosła głowę.

– Och, powiedziałałam synowi, że wybierasz się na Murano.

Czyżbym źle zrozumiała?

– Dobrze, byłam na Murano i miałam okazję poznać Giacoma.

Dziękuję, że go pani poprosiła, żeby mnie oprowadził.

– Jemu to na pewno też sprawiło przyjemność. – Przytaknęła uprzejmie głową. – Tak naprawdę to chciałabym cię prosić o małą przysługę. Wejdź na chwilę.

Pchnęłam bramę i podeszłam do hrabiny. Nie zaproponowała, żebym usiadła, więc stałam.

– Zastanawiałam się nad tym cały dzień i w końcu wpadłam na pewien pomysł – zaczęła.

– Przepraszam, ale nad czym się pani zastanawiała?

– Nad urodzinami mojej córki Valentyny, oczywiście. Zamierzam urządzić dla niej przyjęcie, nieduże, w niedzielny wieczór, gdy akurat nie będzie śpiewać w operze. Przyjedzie mój syn z rodziną i oczywiście moja droga Coco, może też jeden czy dwóch starych przyjaciół, jeśli zdołam do nich dotrzeć. Porozmawiaj, proszę, z kuchnią, żeby przygotowali coś wyjątkowego, jakieś koktajle i elegancką kolację. Zrobisz to dla mnie? Ty sobie z nimi radzisz zdecydowanie lepiej niż ja.

Zdaje się, że w ten sposób prosiła mnie, żebym coś dla nich ugotowała.

– Tak, mogę z nimi porozmawiać – zgodziłam się, podziwiając jej tupet. – Proszę mnie tylko uprzedzić, kiedy ma się odbyć przyjęcie i ilu gości należy się spodziewać.

– Wyśmienicie. W kwestii menu zdam się na ciebie. –

Uśmiechnęła się życzliwie. – Jak miło będzie urządzić przyjęcie!

Zaraz po powrocie do domu zapukałam do Coco, ale ona tylko lekko uchyliła drzwi. Przez szparę zdążyłam zobaczyć białą maseczkę gęsto rozsmarowaną po całej jej twarzy z wyjątkiem otworów na oczy. Ciemne tęczęwki spoglądały na mnie; Coco przypominała starą sowę.

– Nie teraz, Addolorato. Przyjdź za pół godziny.

– Chciałam zapytać, czy wiesz o przyjęciu.

– O jakim przyjęciu? – Otworzyła szerzej drzwi. – Jestem gdzieś zaproszona?

Gdy jej powiedziałam, roześmiała się.

– Czyli usiądziemy sobie w kółku na podłodze w jednym z pustych pokoi, jakbyśmy byli dziećmi? Trzeba coś zrobić, bo inaczej wyjdzie z tego katastrofa.

– Jakież krzesła na pewno się znajdą. To będzie rodzinna impreza.

– Nie, nie, inni też muszą przyjść – powiedziała stanowczo Coco. – Dawno minęły czasy, kiedy można było liczyć na to, że ktoś z rodziny Viadrów godnie podejmie gości. Zrobię listę. Przyjdź później, tak jak ci mówiłam.

– Tylko nie planuj zbyt dużej liczby gości – próbowałam ją powstrzymać. – Ich na to nie stać.

Drzwi zatrzasnęły się przed moim nosem, zanim zdążyłam dokończyć zdanie.

Gdy ponownie zeszłam na dół, po maseczce nie było już śladu. Coco zdążyła upudrować twarz i pomalować usta. Zastałam ją w kuchni. Siedziała przy stole i z zapalem kreśliła długą listę.

– Wyślemy pisemne zaproszenia – oświadczyła. – Co do menu, musisz sama zdecydować, ale to powinno być coś lekkiego. Jakież małe przekąski, które dałoby się zjeść na stojąco lub ewentualnie po przycupnięciu na pięknym szezlongu.

– Przecież tam nie ma żadnych pięknych szezlongów – zwróciłam jej uwagę.

– Zostaw to mnie. Mam przyjaciela, który może dostarczyć kilka rzeczy. Urządzimy jeden z większych pokoi, żeby znowu dobrze się prezentował.

– Czy ty nie przesadzasz? To tylko skromna impreza urodzinowa.

– To nie powód, żeby nie zorganizować jej, jak należy.

– Ale kto za to wszystko zapłaci?

– Tym będziemy się martwić później. Najpierw puśćmy wodze fantazji.

– Coco, pamiętaj, że oni mają długi.

– Przecież to można wszystko zrobić tanim kosztem. Jeszcze się zdziwisz.

Była ożywiona, wyobrażając sobie, że goście tańczą w ogrodzie pośród oświetlonych drzew, obmyślając kolację dla tych, którzy zostaną dłużej. Przeglądając listę gości, zastanawiałam się, ile z uwzględnionych na niej osób to raczej znajomi Coco niż Valentyny.

– Kiedyś byłam z Pegeen na świetnym przyjęciu, na które zamówiono bardzo interesującego magika – wyszeptała Coco. – No i oczywiście my, weneccjanie, lubujemy się w kostiumach, maskach i konfetti, chociaż takie rzeczy należy chyba zarezerwować na większe okazje. Ale chyba trzeba zrezygnować ze sztuczek cyrkowych i atmosfery karnawału, jak sądzisz?

– Czy nie należałoby porozmawiać o tym z Nandą i Valentiną, zanim to wszystko zaczniemy organizować? – zapytałam z powątpiewaniem.

– Ależ nie, im się to na pewno spodoba. – Coco sprawiała wrażenie przekonanej, że ma rację. – Będą zachwycone.

Następnego ranka, gdy spotkałyśmy się na śniadaniu, Coco nadal nie mogła przestać mówić o przyjęciu. Wpadła na pomysł, żeby sprowadzić muzyków grających tango. Twierdziła, że jej znajomi chętnie zagrają za darmo, więc nie muszę sobie zaprzętać głowy kosztami. Miała też kilka uwag na temat jedzenia, zaczęła bowiem wspominać różne przekąski, jakich miała okazję skosztować podczas licznych imprez, na których bywała. Wszystko to budziło moje poważne zastrzeżenia, ale Coco nie dało się już chyba zatrzymać.

Podczas gdy ona rozprawiała o urodzinach, ja zjadłam brioszkę ze słodkim sosem i wypiałam cappuccino, po czym zamówiłam kolejne. Kawa jak zwykle świetnie prezentowała się na srebrnej tacy wyłożonej tradycyjną koronkową serwetką, a ja napawałam się tym przyjemnym widokiem.

W Wenecji urzekło mnie między innymi to, że nie widywało się na ulicach ludzi z kartonowymi kubkami z kawą na wynos. We Włoszech na kawę trzeba się zatrzymać, choćby tylko po to, żeby zażyć krótkiej chwili przyjemności. To coś bardzo codziennego, co mimo wszystko się celebruje.

Porcelanowa filiżanka na tacy przykrytej serwetką – z pozoru rzecz tak zwyczajna, że dotąd nie umieściłam jej na swojej liście szczęścia.

Dopiero tego ranka, gdy Coco snuła plany dotyczące koktajli i imprezowego menu, zrozumiałam, że muszę to nadrobić, ponieważ drobne przyjemności są niezwykle ważne. Skoro coś daje mi prawdziwe szczęście, powinnam to odnotować.

Lista szczęścia Addoloraty

Dobra kawa, odpowiednio podana. Nie przepalona i gorzka, ale mocna i aromatyczna. Serwowana na tyle uroczyście, by ta chwila była wyjątkowa.

Rozdział 17

Ponieważ lubię przyjęcia, w kolejnych dniach podzielałam ekscytację Coco. Rozprawiałyśmy o przewodze kolorowych latarek nad jednobarwnymi lampkami do oświetlania drzew. Z entuzjazmem myślałam o degustacji koktajli. U Nandy przeglądałam pudła ze starymi zdjęciami, żeby przygotować z nich kolaż i powiesić go na ścianie.

Valentina od dziecka miała taką samą fryzurę: grubą grzywkę i płaski warkocz spuszczone na jedno ramię. Sądząc ze zdjęć, jako mała dziewczynka była pucułowata, dopiero gdy weszła w wiek nastoletni, wyciągnęła się w górę, jej twarz zrobiła się szczuplejsza, a na ramieniu pojawił się tatuaż ze stokrotką. Znalazłam fotografie z występów, podczas których śpiewała i tańczyła. Oprócz tanga najwyraźniej tańczyła w balecie i stepowała. Na niektórych zdjęciach była z psami, na innych wznosiła kieliszek z szampanem podczas przyjęć. Oglądałam ujęcia wykonane w gronie rodzinnym i w szkole, na kilku Valentinie towarzyszyła Coco, na innych u jej boku pojawił się Angelo. Na wszystkich sprawiała wrażenie ładnej kobiety z dobrego domu. Na jej twarzy nie było nawet śladu zmęczenia, które teraz tak często na niej gościło.

Przeglądanie zdjęć zajęło mi mnóstwo czasu, bo każde z nich kojarzyło się z jakimś wspomnieniem, którym Nanda chciała się ze mną podzielić, a każda taka rozmowa przywoływała kolejne obrazy z przeszłości. Starsze panie tak się powtarzały, że już mnie to nużyło, więc przy każdej nadarzającej się okazji uciekałam od nich i wraz z Borisem szwendałam się pośród ogrodów i parków Wenecji, zatrzymując się w księgarni Acqua Alta, żeby się przywitać z Valentiną, albo w osterii Angela, żeby odebrać jakąś gotową przekąskę na lunch.

Do domu często wracałyśmy z Coco dopiero późnym popołudniem. Zwykle do tego czasu ona zdążyła wymyślić co najmniej dwa nazwiska, które należało dodać do listy gości, więc musiałam ją stale upominać, że sytuacja zaczyna nam się wymykać spod kontroli.

– Ależ, kochanie, musimy sobie zapewnić doborowe towarzystwo – upierała się. – Valentina potrafiła się kiedyś dobrze bawić, tyle że ostatnio jest bardzo zmęczona. Za to Giacomo zawsze był mało porywający.

Nie rozumiałam, co miała przeciwko Giacomowi. Na mnie zrobił całkiem dobre wrażenie.

– Chyba zbyt surowo go osądzasz – sprzeciwiałam się.

– Przecież on jest nudny. Nie oszukujmy się! W całym swoim życiu nigdy nic ciekawego nie zrobił.

– A te wszystkie naszyjniki? Są przepiękne! Na Murano nie znalazłam nic, co mogłoby się z nimi równać.

– Jakie naszyjniki? – zapytała.

– No wiesz, takie jak ten niebieski, który często nosi Nanda.

– Przecież to dzieło Lorenza. Byłam przy tym, gdy jej go dał.

– Na pewno?

Coco przytaknęła głową.

– Tak, oczywiście. Ja też taki mam.

– Giacomo pokazywał mi je i opowiadał o nich tak, jakby sam je projektował – powiedziałam. – W ofercie swojego sklepu w muzeum szkła ma ich mnóstwo.

Twarz Coco przybrała łagodniejszy wyraz.

– To znaczy, że kopiuje dzieła ojca. Biedny chłopak. Jest taki jak Nanda.

Zatrzymałyśmy się w *bacaro* na kilka klopsików i jedno czy dwa *ombra*, zawartość kieliszków opróżniłyśmy na stojąco przy barze.

W każdym razie ja stałam, bo Coco czym prędzej przyniesiono wysoki stołek. Nikomu nie przeszkadzało, że trzy małe pieski krzątały się u jej stóp i zjadały z podłogi wszystko, co jej spadło.

– Giacomo już jako chłopiec był bardzo podobny do matki – kontynuowała Coco, popijając wino. – Nanda była słodkim dzieckiem, ale nigdy nie grzeszyła wyobraźnią. Ten element ja wносиłam do naszej przyjaźni.

– Słyszałam, że w młodości byliście nierozłączne.

– Tak, jakiś czas. Gdy dorosłam, nie miałam już ochoty codziennie bawić się z nią w chowanego w pałacu. Od tamtej pory każda z nas

wiodła swoje życie. Tak naprawdę miałyśmy ze sobą niewiele wspólnego.

– Ale pozostałyście sobie bliskie?

– Zdarzały się okresy, gdy pochłaniały mnie inne sprawy i prawie się nie widywałyśmy. Nanda jednak prędzej czy później zawsze potrafiła mnie odnaleźć. Byłam dla niej jak siostra, której nigdy nie miała. Trzymała się mnie niemal kurczowo.

Coco zajrzała do stojącej na barze gablotki z jedzeniem. Przywołała kelnera i zamówiła *sarde en saor*, czyli tradycyjną zimną przekąskę ze smażonych sardynek podanych z drobno krojoną cebulą marynowaną w occie i posypanych orzeszkami pinii oraz rodzynkami.

– Ciągle obiecuję Nandzie, że jej zrobię *sarde en saor* – powiedziałam, próbując słodko-słonego dania z talerzyka Coco.

Skinęła głową.

– Będzie jej smakować. To jedno ze starych dań, część weneckiej historii. Jedzenie *sarde en saor* jest dla niej kolejną okazją do tego, żeby znowu przeżywać przeszłość. Biedna Nanda. No ale przecież nie mogę oczekiwać, że się zmieni, nawet gdyby tego chciała.

Tamtego wieczoru Coco miała randkę. Wybierała się z jakimś mężczyzną na wystawę sztuki, a potem na kolację. Narzekała na brak energii, ale gdy zaproponowałam, żeby odwołała spotkanie i odpoczęła, popatrzyła na mnie jak na wariatkę.

– Po co miałabym odpoczywać? – zdziwiła się. – Nie ma w tym nic zabawnego.

Ja też się umówiłam, tyle że z Marie-Ann, dziewczyną Angela. Miałyśmy się spotkać na szybkiego drinka u niej w hotelu. Spodziewałam się, że będzie mnie znowu wypytywać o Angela, chociaż teoretycznie nie dlatego do mnie zadzwoniła.

– Bardzo miło mi się z tobą rozmawiało. – W jej głosie pobrzmiwał entuzjazm. – To była sympatyczna odmiana móc chwilę porozmawiać po angielsku. Powinnyśmy się spotkać niedługo i znowu pogawędzić.

Wsiadłam do łodzi, która miała mnie zabrać na Giudeccę. Nigdy wcześniej nie byłam na tej wąskiej wyspie, którą od reszty Wenecji dzielił głęboki kanał użytkowany przez statki wycieczkowe. Przy okazji

chciałam się rozejrzeć po okolicy, dlatego zamiast udać się bezpośrednio do hotelu, popłynęłam *vaporetto* na przystanek Zitelle, żeby pospacerować wśród przybrzeżnych barów i restauracji.

Panował tam większy spokój niż w innych częściach miasta. Mogłam się przechadzać bez obawy, że zaraz wpadnę na kogoś, kto właśnie się zatrzymał, by zrobić zdjęcie albo obejrzeć coś na wystawie sklepowej. Spacerowałam w powiewach chłodnego wiatru, podziwiając lagunę. Byłam zadowolona, że tu przyjechałam. Każdego dnia zdarzały się chwile, kiedy zapominałam o stresie i smutku, które przywiozłam ze sobą do Wenecji. Byłam za nie wdzięczna losowi. Wiele kobiet nie radzi sobie z tymi emocjami, ale nie ma możliwości oderwania się od codziennego życia. Gdyby nie pomoc mojej siostry, mnie również nie byłoby łatwo. Tymczasem mogłam się cieszyć tym na wpeł pożyczonym, nowym życiem. Urządziłam tu sobie dom, znalazłam przyjaciół.

A gdybym nie wróciła do starego życia? Takie pytanie pojawiało się w mojej głowie wtedy, gdy Wenecja oszałamiała mnie swoim pięknem i gdy nagle do mnie docierało, że nie chciałabym się teraz znajdować w żadnym innym miejscu. Co by było, gdybym tu zamieszkała na stałe?

To nie było niemożliwe. W mojej głowie powstała nawet lista kroków, które musiałabym w tym celu podjąć. Musiałabym poprosić Coco, żeby pozwoliła mi zostać dłużej w swoim mieszkaniu, znaleźć pracę w jakiejś osterii, kuchni albo przy obsłudze stolików, no i zasięgnąć porady prawnej co do regularnych kontaktów z córką. Tata mógłby dalej prowadzić Little Italy albo ją sprzedać, było mi to obojętne. Eden mógł zostać w naszym mieszkaniu w Londynie do czasu, aż postanowi się gdzieś przeprowadzić. Jedno życie by się skończyło, drugie zaczęło. Prosta sprawa!

Hotel Molino Stucky Hilton mieścił się w dawnym młynie. Budynek ze starej czerwonej cegły góruje nad kanałem na cyplu wyspy Giudecca. W środku nie różni się od innych międzynarodowych hoteli, w których miałam okazję być: pluszowe fotele, palmy w doniczkach i pianista brzdękający na fortepianie, a do tego tłum ludzi z identyfikatorami z logo konferencji.

Umówiłam się z Marie-Ann w barze w holu. Zjawiłam się na miejscu przed nią, zamówiłam drinka i usiadłam. Mieszając oliwką w spritzu, przypomiłam sobie nasze pierwsze spotkanie i jej rozważania o oczekiwaniach wobec życia. Chciała mieć rodzinę, dom z ogródkiem, karierę... Ja to wszystko miałam i właśnie się zastanawiałam, czy tego nie porzucić.

– Dolly, przepraszam za spóźnienie. – W luźnej beżowej sukience Marie-Ann wyglądała szykownie i zarazem profesjonalnie. Prostota stroju podkreślała jej urodę.

– Nie ma sprawy – powiedziałam.

– Zawsze się znajdzie jeszcze jeden mejl do wysłania albo ktoś, kto chce o coś zapytać. – Chyba ją to wszystko męczyło. – Napiłabym się spritzu. Chcesz jeszcze jednego?

– Pewnie, czemu nie.

Przez chwilę prowadziłyśmy niezobowiązującą pogawędkę o pogodzie, o jej planach wakacyjnych i o ofercie gastronomicznej Giudekki. Gdy pojawiły się drinki, Marie-Ann zaczęła mnie wypytywać o Angela.

– Widziałaś się z nim ostatnio?

– Spotykamy się zwykle na lekcjach tańca, kilka razy wyskoczyliśmy do jego osterii.

Bawiła się szklanką, delikatnie obijając kostki lodu o jej ścianki.

– Jak myślisz, czy on ma jakiś powód, żeby się ze mną nie kontaktować?

– A nie kontaktuje się?

– Nie. – Na jej pięknej twarzy pojawił się grymas. – Kilka razy przysłał SMS, zadzwonił na chwilę. Nawet raz się umówiliśmy, ale w ostatniej chwili odwołał spotkanie. Zastanawiam się, czy spotyka się z tą dziewczyną, Valentiną.

– Nic mi o tym nie wspominał, ale też nie znamy się tak dobrze, żeby mi się zwierzał.

– Ale chodzisz do niego do domu, prawda? Zauważyłaś coś, co by sugerowało, że ona tam bywa?

Pokiwałam przecząco głową, a przy tym poczułam się nielojalna.

– Nie, nie wydaje mi się.

– A czy następnym razem mogłabyś się dobrze rozejrzeć?
– Wysyłasz mnie na przeszpiegi?
– Nie, nie proszę cię, żebyś zaglądała do szafek czy szuflad. Raczej o to, żebyś miała oczy szeroko otwarte.

Zastanawiałam się, czy Marie-Ann jest zakochana w Angelu, czy pojawił się w jej życiu akurat wtedy, gdy zaczęła myśleć, że warto się ustatkować.

– Naprawdę powinnaś z nim porozmawiać – zasugerowałam.
– Porozmawiam – obiecała. – Ale nie chcę rywalizować z kobietą, z którą łączy go wspólna przeszłość. Wiesz, jak to jest z weneccjanami. Trzymają się razem.

Coś w tym było, też zwróciłam na to uwagę. Być może należało upatrywać w tym reakcji na zalew turystów, ale rzeczywiście mieszkańcy miasta tworzyli swojego rodzaju zamknięty krąg. Tak naprawdę zaliczali się do niego tylko ci, którzy się tu urodzili.

– Jak poznałaś Angela? – zapytałam.
– W barze w okolicach Rialto. Przyszedł na drinka z kilkoma znajomymi. Zaczęliśmy rozmawiać i dałam mu swój numer. Zadzwoił dopiero po tygodniu, gdy straciłam już wszelką nadzieję. Zaskoczył mnie, bo poszliśmy na bardzo romantyczną randkę. Zabrał mnie na cały dzień na łódź, zorganizował pyszny piknik z chłodnym prosecco... Byłam zauroczona.

– Zazdroszczę ci – przyznałam. – Gdybym miała ochotę na romantyczną randkę, to pewnie sama musiałabym ją sobie zorganizować. Mój mąż zupełnie nie czuje tego klimatu.

Marie-Ann uśmiechnęła się ze zrozumieniem.
– Tak jak inni mężczyźni, z którymi do tej pory się spotykałam. Przy Angelu poczułam się wyjątkowa. Potem ta początkowa fascynacja minęła i nagle uświadomiłam sobie, że nigdy nie poznałam ani jego rodziny, ani najbliższych przyjaciół. Spędzaliśmy czas raczej u mnie niż u niego. Zaczęłam się zastanawiać, czy w jego życiu nie ma innej kobiety.

Zapewne Marie-Ann potrzebowała zwierzyć się komuś, bo wylała na mnie całą rzekę swoich smutków. Im więcej mówiła, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że jej związek z Angelem nie ma

przyszłości. Tylko jak miałam jej to powiedzieć?

– Jeśli przyjmę ofertę pracy i wrócę do Nowej Zelandii, będę musiała szukać od nowa. Czekają mnie internetowe randki i swatanie przez przyjaciół. – Marie-Ann aż się wzdrygnęła. – Nie wiem, jak to zniosę.

– Może się to okazać fascynujące – pocieszałam ją, lecz nagle uświadomiłam sobie, że jeśli rozstanę się z Edenem, może mnie czekać to samo.

– Raczej nie. – Dalej nerwowo bawiła się szklanką. – Jestem ci wdzięczna, że mnie wysłuchałaś. To mi naprawdę pomogło.

– Może spróbuję porozmawiać z Valentiną albo z moją przyjaciółką Coco – zaproponowałam pod wpływem impulsu. – Chociaż nie obiecuję, że czegoś się dowiem. Obie są dość zamknięte w sobie.

– Jak wszyscy weneccjanie, nie wydaje ci się? To jedna z kilku rzeczy, które mnie tu irytują. – Zaraz potem Marie-Ann wymieniła jeszcze inne, takie jak gęste mgły w porze zimowej, przytłaczające ciemne tunele i alejki, tłok i ścisk w *vaporetto* i wysokie ceny niemal wszystkich towarów. – Sporo niedogodności trzeba znosić dla pięknych widoków. Jeśli tu zostaniesz, na pewno też to stwierdzisz.

– Zastanawiam się, jak długo chciałabym tu zostać – przyznałam. – Wenecja może się okazać jednym z punktów na mojej liście szczęścia.

– A tak, zapomniałam o tym. A co jeszcze na niej teraz masz?

Nie bardzo chciałam odpowiadać na to pytanie, bo listę traktowałam jako coś bardzo osobistego. Niemniej Marie-Ann tak bardzo otworzyła się przede mną, że mogłaby mieć mi za złe, gdybym się nie odwzajemniła. Wyrecytowałam jej więc to, co zdążyłam dotychczas wynotować. Nie zrobiło to na niej specjalnego wrażenia.

– Przyjęcia, drzemki, psy, prosecco, kawa, tango i dobre sąsiedztwo... Czy coś konkretnego z tego wynika? Wychodzi na to, że szczęście sprowadza się do tego, żeby korzystać z życia. – Przez chwilę świdrowała mnie spojrzeniem. – Sądzisz, że ta lista naprawdę odmieni twoje życie?

– Jeszcze nie wiem.

– Koncepcję psychologiczną świetnie rozumiem: że trzeba się skupiać na rzeczach pozytywnych, a nie negatywnych. Szczęście

powinno stać się nawykiem. Należy doceniać drobne przyjemności. Bla, bla, bla. Zdarzyło mi się przeczytać kilka poradników.

- Nie wzięłam tego z poradnika – próbowałam się bronić.
- To co cię w takim razie do tego skłoniło?
- Chciałam być szczęśliwa, i tyle. Myślisz, że to strata czasu?
- Tak jak ty myślisz, że ja marnuję czas z Angelem.

Dziwne, ale to jedno zdanie przełamało lody między nami.

Roześmiałyśmy się, zamówiłyśmy kolejne drinki i przez mniej więcej godzinę rozmawiałyśmy jak prawdziwe przyjaciółki. W normalnych okolicznościach pewnie nie bardzo by mi odpowiadało towarzystwo kogoś takiego jak Marie-Ann. Moje znajome to kobiety dość wybuchowe, które nie pilnują się tak bardzo i lubią dobrze się zabawić. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, żeby ona miała wypić za dużo wina i zrobić coś głupiego. Nie przypuszczałam, że chciałyby się wybrać na knajping po Soho albo przyjść na kolację do mojej pogrążonej w chaosie kuchni. Z kimś takim raczej nie miałam szans śmiać się do łez ani krzyczeć tak głośno, żeby ludzie zaczęli nam zwracać uwagę. Nie spodziewałam się, by mogła mnie czymkolwiek zaskoczyć, a mimo to zaczynałam ją lubić.

Nagle przyszedł mi do głowy znakomity pomysł.

- Powinnaś przyjść na przyjęcie urodzinowe Valentyny.
- Nie mogę, przecież nigdy jej nie poznałam.
- Nie jako gość, jako pracownik obsługi.

Wyjaśniłam, jak doszło do tego, że zostałam zaangażowana w to przedsięwzięcie, i jak wprost proporcjonalnie do entuzjazmu Coco wydłuża się lista gości.

– Będziemy potrzebować kogoś, kto by nalewał drinki i rozdawał jedzenie. Sama sobie z tym nie poradzę.

Marie-Ann nie była przekonana.

– A jak taki wieczór spędzony na kelnerowaniu miałaby mi pomóc?

– Wśród zaproszonych gości jest Angelo. Będiesz miała okazję obserwować, jak się zachowuje w towarzystwie Valentyny, i na tej podstawie stwierdzić, czy jest coś między nimi.

– No nie wiem. – Była wyraźnie strapiona. – A czy nie wyda mu się to dziwne, że ja tam będę?

– Powiem mu, że poprosiłam cię o pomoc... Co zresztą będzie prawdą.

– Nadal nie jestem przekonana, czy powinnam się stawiać w takiej sytuacji. Pomyślę o tym, dobrze?

Na jej miejscu skorzystałabym z takiej okazji bez zastanowienia.

– Decyzja należy do ciebie – powiedziałam. – Ale uprzedzam, że nie zamierzam węszyć w mieszkaniu Angela. Sama możesz się zabawić w szpiega.

Coco knuła własną intrygę, o czym przekonałam się kolejnego ranka, gdy Angelo dołączył do nas podczas wyjścia na kawę i brioszkę. Była niedziela, więc osteria nie przyjmowała gości, a on miał zamiar spędzić ten dzień, odpoczywając na Lido. Coco zażądała jednak, żeby najpierw się z nami spotkał. Najwyraźniej w końcu do niej dotarło, że same nie poradzimy sobie z organizacją tak dużego przyjęcia.

– To będzie coś spektakularnego – powiedziała mu. – To będzie wydarzenie, o którym ludzie będą później długo rozmawiać i które Valentina na zawsze zapamięta. Tylko że...

– Tylko że co?

– Trochę się martwię, bo Addolorata chyba nieopatrznie zaoferowała, że sama się zajmie cateringiem. Musisz jej pomóc, Angelo. To oczywiste rozwiązanie. Moglibyście razem zająć się przygotowaniem jedzenia. Niech to będzie twój prezent urodzinowy dla Valentiny.

Usta Angela lekko się poruszyły, chociaż nie nazwałabym tego uśmiechem.

– Nie mam wyjścia, prawda?

– Nie masz.

– No dobrze, a więc wychodzi na to, że będę pomocnikiem Dolly.

– Świetnie. – Coco sprawiała wrażenie usatysfakcjonowanej. – To niech teraz Addolorata ci powie, co planujemy, a ja wracam do domu, zanim zrobi się dla mnie za gorąco.

Angelo ucałował ją na do widzenia i zamówił następną kawę. Wydawał się zmęczony. Dobrze znałam ten rodzaj wyczerpania. Widziałam przed sobą szarą twarz i puste oczy roztrzęsionego szefa kuchni, który ma za sobą ciężki tydzień.

– Czyż ona nie jest urocza, moja ciotka Coco? – powiedział. – Nie

przepracowała w życiu ani jednego dnia, ale innym ludziom potrafi świetnie wynajdywać zajęcia.

– Gdy zgodziłam się przygotować coś do jedzenia, w planach była impreza w nielicznym gronie – wyjaśniłam.

– Nie wierzę. – Ziewnął, a potem westchnął. – Na razie się tym nie martwmy. Zamierzam spędzić ten dzień, leżąc na plaży i nie myśląc o niczym.

– Brzmi świetnie!

– Może pojedziesz ze mną? Coco ma rację, będzie gorąco. Lido to świetne miejsce na taki dzień jak dzisiaj.

Gdy podjęłam decyzję o pozostaniu w Wenecji, wydałam szokująco dużą kwotę na strój kąpielowy. Był uszyty z miękkiej lycry, która ładnie przylegała do mojego ciała, ale nie wyciskała ze mnie życia. Nigdy wcześniej nie miałam kostiumu kąpielowego, w którym wyglądałabym tak korzystnie, a mimo to nie bardzo mi się uśmiechało występować w nim na plaży u boku Angela.

Szybko znalazłam wymówkę.

– Tak naprawdę powinnam wyprowadzić psa hrabiny.

Angelo nie chciał tego słuchać.

– Za godzinę psa będzie interesowało tylko to, żeby znaleźć chłodne miejsce w cieniu, w którym mógłby położyć się i ziajać. Nie będzie miał ochoty na spacer. Chodź ze mną na plażę.

Dzień był tak wilgotny, że potrafiłam sobie wyobrazić, jak dokuczliwy może się okazać upał. Dałam się więc przekonać.

– No dobrze, czemu nie.

Poszliśmy do mojego mieszkania; wbiegłam po schodach, a Angelo czekał na mnie w cieniu ściany w ogrodzie Coco. Wrzuciłam do torby plażowej najpotrzebniejsze rzeczy: olejek do opalania, ręcznik, kapelusz, długie kimono, książkę i kolorowe pismo dla kobiet. Poszło mi sprawnie, lecz Angelo zdążył się zniecierpliwić.

– Muszę się zanurzyć w morzu – powiedział.

Twierdził, że zna skrót prowadzący na przystanek *vaporetto*, więc pobiegłam za nim wąskimi alejkami i zadaszonymi przejściami. Droga była bardziej skomplikowana niż ta, którą zwykle przemierzałam. Nie wydawała mi się specjalnie szybsza, ale skoro już za nim szłam, nie

protestowałam.

Statek nie płynie długo na Lido. Wcześniej Angelo powiedział o Coco coś, co mnie szczególnie zainteresowało. Czy ona faktycznie nigdy nie przepracowała w życiu ani jednego dnia? Postanowiłam się wstrzymać z pytaniami, aż dotrzemy na plażę i będziemy mieć więcej czasu.

Wysiedliśmy z *vaporetto* na Lido i dołączyliśmy do tłumu miejscowych i turystów zmierzających zadrzewioną ulicą w kierunku wody. Gdy dotarliśmy do morza, tłum się rozpiechł. Część ludzi postanowiła skorzystać z kąpielisk publicznych, inni wybrali bardziej ekskluzywne, prywatne, na których można było wynająć małą drewnianą kabinę lub jeden z licznych parasoli rozstawionych na piasku. Na niektórych plażach płaci się dodatkowo za prysznice i toalety, za leżak oraz za możliwość skorzystania ze schowka na cenne przedmioty. Ceny zwały mnie z nóg.

– Nic dziwnego, że Coco nigdy tu nie bywa. Tu się raczej nie da targować.

Angelo się roześmiał i nalegał, że uiszczy za mnie opłatę.

– Możesz mi postawić drinka albo pizzę w porze lunchu.

Gdy już rozsiedliśmy się na leżakach pod żółtym parasolem przeciwsłonecznym, rozebrał się do skąpych kąpielówek. Ciało miał imponujące. Był smukły i umięśniony we właściwych miejscach, skórę miał śniadą i gładką. Na ten widok szczerzej owinęłam się luźnym kimonem.

– Idziesz popływać? – zapytał.

– Teraz nie, może później.

Wzruszył ramionami i skierował kroki w stronę morza. Biegł boso przez piasek, gdy woda sięgała mu do kolan, zatrzymał się, żeby ochlapać nią całe ciało, które zaczęło od tego błyszczeć. Zanurkował pod powierzchnią, by po chwili ponownie wynurzyć ciemną głowę i do mnie pomachać.

Gdyby Marie-Ann zobaczyła nas teraz, na pewno doszłaby do wniosku, że coś między nami jest, i nie należałoby się jej dziwić. Czasami sama się zastanawiałam, co właściwie między nami się dzieje. Podczas tańca nasze ciała pozostawały w harmonii, były tak blisko, że

mogłam chłonąć zapach skóry i włosów Angela. W takiej sytuacji trudno nie poczuć fizycznej fascynacji. Kiedy potem piliśmy prosecco w barze przy placu, nie mogłam uwierzyć, że zaledwie chwilę wcześniej znajdowałam się w jego ramionach.

Teraz wyszedł z morza, cały ociekając wodą. Zatrzymał się na linii mokrego piasku i otrząsnął krople z włosów. Stał tak i wpatrywał się w horyzont, aż słońce wysuszyło jego skórę i pozostała na niej już tylko sól.

– Lepiej? – zapytałam, gdy wrócił i rozłożył się na leżaku.

Uśmiechnął się szeroko.

– Tak, zdecydowanie lepiej. Też powinnaś wejść do wody. Nie jest może szczególnie czysta, ale temperaturę ma idealną.

Nie jestem stworzona do leżenia na plaży. Mogę tak spędzić jakieś pół godziny, ale potem zaczynam się niecierpliwie wiercić. Mam leżeć na brzuchu z twarzą wciśniętą w ręcznik? A może powinnam zostać na plecach i podnieść książkę, żeby odgrodzić się nią od słońca? Ani jedna pozycja, ani druga nie wydaje mi się wygodna. Do tego trzeba ciągle smarować się kremami i piasek przylepia się do skóry. W zagłębieniach ciała gromadzi się pot, a temperatura stale rośnie. Mam poczucie, że słońce mnie praży.

Angelo zasnął obok mnie, rozciągnięty na plecach. Z na przemian unoszącej się i opadającej klatki piersiowej wydobywało się sapanie. Postawiłam nogi na ziemi i zrzuciłam kimono. Pojawiła się szansa na krótką kąpiel.

Piasek parzył mnie w stopy, pokonałam więc drogę do morza dużymi skokami. Zanurzyłam się tak szybko, jak tylko mogłam, chowając głowę pod falami. Za plażowaniem może i nie przepadam, za to uwielbiam się pluskać w słonej wodzie.

Wokół mnie dzieci krzyczały w radosnej zabawie. Zamknęłam oczy i wystawiłam twarz w stronę nieba. Ile czasu minęło, odkąd Eden i ja zabraliśmy Katię na plażę? Ostatniego lata nie mieliśmy wakacji z prawdziwego zdarzenia, podobnie zresztą jak poprzedniego.

Problem wcale nie polegał na tym, że nie mogłam sobie zrobić wolnego. Chodziło raczej o planowanie, a konkretnie o wynajdywanie noclegów i rezerwacje, o pakowanie i rozpakowywanie bagażu.

Wszystko to wydawało się zbyt kłopotliwe. Po prostu nie potrafiłam się na to zdobyć.

Nagle dopadły mnie wyrzuty sumienia. Na tym leżaku powinien spać Eden, a Katia powinna krzyczeć i się bawić. Zaczęłam płynąć kraulem coraz dalej od brzegu, niemal fizycznie odczuwając tęsknotę za rodziną. Serce waliło mi jak młotem, więc się zatrzymałam. Przez chwilę starałam się utrzymywać w miejscu mimo popychających mnie fal. Próbowałam nad sobą zapanować.

Co było ze mną nie tak? W jednej chwili miałam ochotę zostać w Wenecji i rozpocząć tu nowe życie, a zaraz potem rozpaczliwie pragnęłam odzyskać dotychczasowe. Przyznałam rację Marie-Ann, że moja lista szczęścia do niczego mnie nie doprowadzi. Jeszcze nigdy nie byłam tak bardzo niepewna, czego chcę.

Zdażyłam wrócić, zanim Angelo się obudził. Teraz chrapał już na całego. Kobieta siedząca pod sąsiednim parasolem uśmiechnęła się do mnie ze współczuciem. Najwyraźniej uznała, że to mój chłopak albo mąż. Odpowiedziałam jej uśmiechem, po czym osuszyłam się ręcznikiem i z powrotem narzuciłam kimono.

Angelo przespał cały poranek, a ja w tym czasie próbowałam czytać. Przyniosłam ze sobą kryminał, ale nie mogłam nadążać za fabułą, bo moja uwaga była cały czas rozproszona. Rozmyślałam o swojej rodzinie i o rodzinie Valentiny, o tym, jak ciężko musimy pracować każdego dnia. Potem przypomniała mi się Coco, która przez całe swoje na pierwszy rzut oka urokliwe życie tylko imprezuje. Jak jej się to udawało? Co my wszyscy pozostali robimy nie tak?

Angelo obudził się po porze lunchu. Mnie czas upłynął na obserwowaniu rodzin, które gromadziły się wokół plażowych kabin z pudełkami z zapiekany makaronem, cielecymi eskalopkami w chlebie, udkami z kurczaka duszonymi w czosnku i sałatkami z dodatkiem chrupiącej radicchio. Plażowicze dzielili się jedzeniem z sąsiadami i napełniali sobie nawzajem szklanki winem. Apetyty zaspokajali w gwarnej atmosferze, wyraźnie czerpiąc z tego radość.

– Co powiesz na pizzę? – zapytałam Angela, gdy tylko otworzył oczy.

Spojrzał na zegarek.

– Tak długo spałem? Szkoda, że mnie nie obudziłaś.

– Wyglądałeś, jakbyś tego potrzebował. Chociaż dłużej bym już nie wytrzymała. Umieram z głodu.

– Jeszcze się na chwilę zanurzę, żeby się do końca obudzić, i idziemy jeść – obiecał.

Dotrzymał słowa. Faktycznie tylko zamoczył się w wodzie i od razu wyszedł, po czym owinął sobie ręcznik wokół pasa.

– Dobrze, niech będzie pizza – oznajmił. – *Andiamo!*

Zamówiliśmy jedzenie w barze na plaży. Pizza obłożona cienkimi plasterkami prosciutto smakowała zaskakująco dobrze.

– Aż mi ślinka ciekła – powiedziałam, wgrzyzając się w pizzę. – Gdybyś widział, jakie przekąski piknikowe jedli niektórzy ludzie!

– Ach, niedzielny lunch na Lido! To była nasza rodzinna tradycja, gdy byłem dzieckiem. Mama wstawiała o świcie i zaczynała gotować.

– Pomagałeś jej?

– Nie, wolałem wtedy odsypiać. Jedzenie nigdy nie zaprzętało mojej uwagi. Pojawiało się na stole, a ja je zjadałem. Potem matka poszła do pracy, a przygotowywaniem wieczornych posiłków zajęła się moja siostra Donatella. Nie ma na świecie gorszej kucharki! Nie potrafi ugotować najprostszej zupy czy makaronu. W ogóle nie dba o to, co je. Dla niej posiłek jest czymś, co najlepiej mieć jak najszybciej za sobą. Moi rodzice i ja zapatrujemy się na to inaczej. Dla nas jedzenie jest bardzo ważne. Nauczyłem się więc przyrządzać kilka dań i zastąpiłem Donatellę w kuchni.

– Mnie rzadko dopuszczano w dzieciństwie do gotowania – powiedziałam. – Kuchnia to było królestwo ojca. Nalegał, żebyśmy z siostrą jadły wszystkie posiłki w domu, a gdy akurat umawialiśmy się na randkę, dodawał do dań dodatkową porcję czosnku.

Angelo się roześmiał.

– Typowy włoski ojciec, co?

– Wtedy to był dla mnie koszmar. Teraz rozumiem, że w ten sposób sprawował kontrolę nad rodziną... i nad swoim życiem. W szafkach musiało być pełno jedzenia, a na kuchence stale coś musiało się pichcić, bo tylko wtedy miał poczucie, że o nas dba.

– No ale przecież jesteś kucharzem, prawda? Tak mi powiedziała

Coco. To jak się nauczyłaś fachu?

– Gotowanie było dla mnie formą buntu, bo wiedziałam, że ojciec tego nie chce. W końcu zaczął mnie uczyć, ale niechętnie i często pomijał jakiś składnik, dzięki któremu danie nabierało wyjątkowego charakteru. – To wspomnienie wywołało uśmiech na mojej twarzy. – Wyciągał przed siebie zaciśniętą pięść i wrzucał jakiś produkt na patelnię. Czasem musiałam się trochę zastanowić, ale w końcu zawsze udawało mi się odgadnąć, co to było.

– To chyba facet z charakterem – stwierdził Angelo.

– Owszem, ale w pozytywnym sensie.

– Czyli podobnie jak moja ciotka Coco.

– Nie, on jej w niczym nie przypomina... Chociaż chyba wiem, co miałaś na myśli. Oboje są ekscentryczni. – Wyciągnęłam rękę po kolejny kawałek pizzy, ale się zawahałam. – Powiedziałaś, że Coco nie pracowała w życiu ani jednego dnia. To prawda?

– Ona być może temu zaprzeczy, ale tak twierdzi moja matka.

– To w takim razie z czego żyła?

– Chyba po prostu sobie radziła.

Dopiero po kilku piwach wypitych w gorącym słońcu Angelo stał się nieco bardziej skory do rozmowy. Wyjawiał mi wówczas różne rzeczy o Coco. Niektóre spodziewałam się usłyszeć, inne mnie zaskoczyły.

– Moja matka mówi, że Coco nawet w dzieciństwie chciała zawsze wszystkiego, co najlepsze – usłyszałam. – Była najstarsza z rodzeństwa i narzucała innym swoją wolę. Mama wspomina, że się jej bała. Zdaje się, że Coco często ciągnęła młodsze siostry za włosy i szczypała.

– To do niej niepodobne. Zupełnie nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– Moje pozostałe ciotki też twierdzą, że tak było, więc to musi być prawda. Ponoć im ulżyło, gdy zaczęła spędzać czas z rodziną Nandy. Tyle że wtedy zaczęła snuć jeszcze bardziej ambitne marzenia. Widziałaś zdjęcia mojej ciotki z młodości? Była naprawdę piękna, ale mama twierdzi, że chodziło o coś więcej. Mówi, że Coco miała specyficzny sposób bycia i niezachwianą wiarę w siebie.

– Tak, to u niej widać. Myślę, że właśnie to sprawia, że nawet teraz, na stare lata, jest piękna.

– Niestety mogła sobie przypisywać różne wyjątkowe cechy, ale to nie miało żadnego znaczenia. Jako najstarsza z córek musiała zakończyć naukę w wieku trzynastu lat, żeby zostać w domu i pomagać matce w gotowaniu, sprzątanii i opiece nad młodszym rodzeństwem.

– Musiała tego nienawidzić.

Angelo popijał piwo.

– Znosiła to przez kilka lat, a potem uciekła z mężczyzną, który się nazywał Carlo Rizzoli. Był od niej znacznie starszy. Poznała go w pałacu należącym do rodziny Nandy. Mama mówi, że zrobiło się z tego duże zamieszanie. Początkowo nie chciał się z nią ożenić, ale ostatecznie uległ naciskom i doszło do ślubu.

– To nie mogło być szczęśliwe małżeństwo.

– Nawet gdyby okazało się nieudane, była na nie skazana.

We Włoszech nie było wtedy rozwodów.

– Czyli ten dom i pieniądze, za które od tamtej pory żyła, to wszystko po nim?

– Tego nie wiem. Być może dom został jej po nim, chociaż matka z jakiegoś powodu w to powątpiewa.

– Kreślisz mało pochlebny obraz Coco.

Angelo wzruszył ramionami.

– Ona jest, jaka jest.

Wyglądało na to, że historia Coco ma ciemne karty. Tylko że Angelo był młody i nie miał okazji tego obserwować. Jego wiedza na ten temat pochodziła z drugiej ręki.

– Jako dziecko często miałaś z nią kontakt? – zapytałam.

– Raczej nie – odpowiedział. – Pojawiała się na rodzinnych spotkaniach, żeby na chwilę skupić na sobie uwagę. Potem wychodziła i wszyscy rozmawiali już tylko o niej.

Roześmiałam się, bo świetnie potrafiłam to sobie wyobrazić.

– Później spędzałam z nią więcej czasu. Zabierała mnie do różnych miejsc: na przyjęcia koktajlowe, wieczorki taneczne, wernisaże. Twierdziła, że to ważny element mojej edukacji. Mama natomiast zawsze uważała, że robi to tylko po to, żeby ona była zazdrosna.

Znowu się roześmiałam.

– Przypuszczam, że twoja matka nie przepada za Coco.

– To bardzo różne kobiety i rzeczywiście nie za dobrze się dogadują, ale ja mam wobec Coco dług wdzięczności. To ona zabrała mnie na pierwszą milongę, no i pomogła mi rozkręcić biznes, o czym już wspominałem.

– I pewnie też ona poznała cię z Valentiną? – domyślałam się.

– Poznała mnie z wieloma osobami – powiedział jakby od niechcena. – Jak zapewne zdążyłaś się zorientować, Coco zna niemal wszystkich.

Angelo nie miał już ochoty na piwo, kupiłam więc dla nas obojga *gelato*. Jedliśmy lody, spacerując wzdłuż linii mokrego piasku. Od czasu do czasu wchodziliśmy do wody, żeby ominąć oblepione piaskiem dzieci. Przekroczyliśmy granicę sąsiedniej plaży. Parasole przeciwsłoneczne miały tam kolor niebieski i kabiny nieco się różniły od naszych, ale poza tym wszystko wyglądało mniej więcej tak samo. Na równych odcinkach piasku ludzie grali w piłkę, a dzieci bawiły się wiaderkami i łopatkami pośród ciał piekących się na słońcu i odsypiających lunch.

– Czuję się jak na wakacjach – stwierdziłam.

– Przecież jesteś na wakacjach – odparł Angelo.

– Niezupełnie. To raczej przerwa w aktywności.

Musiałam mu powiedzieć, że postanowiłam zrobić eksperyment i szukać szczęścia. Z początku uznał ten pomysł za zabawny i potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– Czyli postanowiłaś poświęcić całe lato, żeby zrobić listę rzeczy, które ci dają szczęście? – dopytywał wyraźnie rozbawiony. – Dlaczego potrzebujesz na to aż tyle czasu? Ja mogę ci przedstawić swoją listę tu i teraz.

– Założę się, że nie.

– Bez najmniejszego problemu.

– No to wymień dziesięć rzeczy, które dają ci szczęście. Zaczynaj! Nie zastanawiał się ani chwili.

– Pobyt na plaży, jedzenie *gelato*, gwar targu Rialto z samego rana, gdy idę do pracy, drink w moim ulubionym *bacaro* na koniec dnia. To cztery rzeczy. No dobra, jeszcze sześć. Oczywiście taniec. Tango daje mi szczęście. Podróże, chociaż to mi akurat kiepsko wychodzi. Filmy.

Przyjaciele. Seks. Niespodzianki. To ile już mamy?

– Dziesięć. – Liczyłam, gdy wymieniał.

– No widzisz, jakie to proste. – Był dumny z siebie. – Nie bardzo rozumiem, czemu tobie to sprawia tyle kłopotu.

– Staram się dotrzeć do istoty mojego szczęścia, a nie po prostu nakreślić pobieżną listę – wyjaśniłam.

– Mógłbym się nad tym zastanawiać cały rok, a i tak udzieliłbym takiej samej odpowiedzi – upierał się. – Za bardzo to komplikujesz.

Od tego momentu szliśmy dalej w ciszy obok siebie wzdłuż linii mokrego piasku. Pochłonęły mnie wątpliwości. Może Angelo ma rację? Nie wiem, o czym on myślał, ale gdy na niego spojrzałam, zobaczyłam zmarszczoną twarz.

Przeszliśmy kilka kilometrów i Angelo zasugerował, że pora wracać. Zaczął iść szybko, więc trochę mnie wyprzedził. Dzięki temu mogłam go obserwować. Patrzyłam na silne uda i szerokie barki. Widziałam, jak na niego spoglądają kobiety. Zwrócił na siebie uwagę nawet kilku mężczyzn w średnim wieku. Przeszło mi przez myśl, że dobrze jest być przystojnym i pewnym siebie.

W końcu zwolnił, żebym mogła go dogonić.

– Czyli co, Dolly? Zrobisz listę, a potem wrócisz do domu i zmienisz swoje życie? Taki masz plan?

– Ostatecznie tak to może wyjść – odpowiedziałam. – Wiesz, właściwie nie zdecydowałam o swoim życiu.

– Chyba zwykle tak bywa, co?

– No tak, ale w moim wypadku to chyba jakoś szczególnie widać. Przejęłam rodzinny biznes, wyszłam za mojego pierwszego poważnego chłopaka. To wszystko były łatwe wybory, takie oczywiste. Co nie znaczy, że słuszne...

– Zmiana kierunku wymaga odwagi – zauważył sentencjonalnie Angelo.

– Wiem. Nie jestem pewna, czy dam radę. Ani nawet czy chcę.

– W takim razie musisz sobie różne rzeczy w życiu poukładać.

– Tak, bo im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej wydają mi się niepokładane – przyznałam. – No i jeśli faktycznie za bardzo wszystko komplikuję, to świetnie mi idzie.

Gdy wróciliśmy na nasze miejsce na plaży, Angelo raz jeszcze poszedł zamoczyć się w morzu. Ja zanurzyłam tylko łydki i chlapałam wokół siebie, obserwując go, jak wchodzi głębiej. Niezbyt wielu plażowiczów zdecydowało się na kąpiel, miał więc miejsce, żeby wypracować właściwy rytm pracy rękami i głową. Pływał tak, jak tańczył – odważnie i zarazem swobodnie.

Gdy miał już dość pływania, wyszedł na płyciznę i stanął obok mnie.

– Zastanawiałem się nad tą moją listą – powiedział, odsuwając mokre pasma włosów, które nachodziły mu na oczy.

– Chciałbyś do niej coś dodać?

– Nie, ale doszedłem do wniosku, że to w ogóle zły pomysł. Na twoim miejscu sporządziłbym zupełnie inną listę.

– Jaką?

– Listę celów i rzeczy, które chcę osiągnąć i mieć. Tak wyobrażałbym sobie klucz do zmiany w życiu.

– Czyli masz coś wspólnego z Marie-Ann. Ona stworzyła swoją listę, kierując się właśnie taką perspektywą.

– Tak? I co się na niej znalazło?

Roześmiałam się.

– Przykro mi, ale jeśli ludzie mają mi się zwierzać z zawartości swoich list, to muszę ich treść zachowywać w tajemnicy.

Wieczorem zadzwoniłam do domu i podjęłam kolejną próbę przekonania Edena, żeby pozwolił Katii przylecieć do mnie w czasie wakacji. Zasugerowałam nawet, że mógłby do niej dołączyć.

– Moglibyśmy iść na plażę. To naprawdę niedaleko. Coco na pewno nie miałaby nic przeciwko temu, żebyśmy się wszyscy zadekowali w jej mieszkaniu na parę tygodni.

Coś mi tylko odburknął niezrozumiale.

– Letnie rozrywki nie powinny omijać Katii tylko dlatego, że ty i ja się nie dogadujemy – powiedziałam.

Zapadła cisza.

– Eden, jesteś tam jeszcze? Co o tym myślisz?

– Jestem, słuchaj, mam dużo roboty – rzekł szorstko.

– Nie możesz się wyrwać nawet na chwilę?

– Nie, jest trochę spraw do załatwienia z budynkiem, który wynajęli Pieta i Michele. To naprawdę zły moment.

– No to w takim razie niech Katia przyjedzie sama. Możesz ją odprowadzić na samolot, a ja ją odbiorę na miejscu. Poradzi sobie.

Eden tylko westchnął.

– Nie, Dolly...

– Dlaczego nie? – Próbowałam nie podnosić głosu.

– Choćby dlatego, że twoja matka zaproponowała, że zajmie się nią przez wakacje. Zaplanowały sobie mnóstwo rzeczy i już nie mogą się doczekać.

– A ja? Czy ja nie zasługuję na to, żeby spędzić trochę czasu z własną córką?

– To był twój wybór. Nie da się mieć wszystkiego.

– Wypchaj się, Eden. Że też ty musisz być taki uparty! – Byłam na niego wściekła. – Naprawdę tak bardzo by ci przeszkadzało, gdyby przyjechała do mnie na kilka dni? Wykorzystujesz nasze dziecko, żeby mi dokuczyć. Aż mi się nie chce wierzyć, że tak nisko upadłeś. Po prostu nie chce mi się w to wierzyć.

Przez chwilę mu wymyślałam. Nie wiem, kiedy się rozłączył, ale w pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że mówię sama do siebie. Byłam taka zła, że mimo wszystko krzyczałam dalej.

Gdy już trochę się uspokoiłam, nalałam sobie kieliszek wina i zaczęłam snuć plany. Może powinnam pojechać do domu i porozmawiać z Katią? Sama mogłabym ją przywieźć. Wtedy Eden nie mógłby mnie powstrzymać. Moja matka też mogłaby przyjechać. Mogłybyśmy poznawać Wenecję we trzy. Byłoby fajnie.

Po kilku kieliszkach doszłam do wniosku, że wszystko na nic. Gdybym pojechała do domu, to już bym stamtąd nigdy nie uciekła. Natychmiast pochłonęłyby mnie problemy mojego rozpadającego się małżeństwa i firmy. To lato w Wenecji było jednorazowym wydarzeniem, niepowtarzalną okazją, żeby mogła sprecyzować swoje życiowe priorytety. Nie byłam jeszcze gotowa, by z tego zrezygnować.

Dopiłam wino, po czym otworzyłam drugą butelkę.

Rozdział 18

Był poranek, a ja leżałam zwinięta na sofie, bolała mnie głowa i miałam uczucie suchości w ustach. Ktoś pukał do drzwi. Próbowałam ten fakt zignorować, ale pukanie stawało się coraz bardziej uporczywe.

– Kto tam? – wychrypiałam.

– Ja, a kto ma być? – W głosie Coco pobrzmiwało zniecierpliwienie. – Otwórz.

– Chwileczkę.

Gdy wstałam, poczułam w głowie pulsujący ból. Spojrzałam w lustro i skrzywiłam się na swój widok. Ubrania miałam wygniecione, włosy z jednej strony przyklapnięte, a z drugiej zmierzwione. Zobaczyłam załzawione, różowe oczy, a pod nimi wory, od których moja twarz robiła wrażenie jeszcze bardziej pucułowatej.

Coco wyglądała oczywiście jak nowo narodzona. Miała na sobie portfelową sukienkę z wyrazistym kwiatowym wzorem, a do tego trzy sznury ciężkich koralików.

– Wypatrywałam cię wczoraj wieczorem podczas milongi, ale się nie pojawiłaś. – Gdy zobaczyła zagracone mieszkanie, zmarszczyła lekko nos. – Co się stało?

– Wybierałam się, ale... coś mnie odciągnęło.

Coco spojrzała na puste butelki.

– Miałaś towarzystwo?

– Nie.

Uniosła brwi.

– Musisz się napić kawy. Mam zrobić czy gdzieś pójdziemy?

– Muszę wziąć prysznic, przebrać się...

– To w takim razie ja zrobię. Gdy będziesz gotowa, przyjdź do mnie.

Zanim zeszałam na dół do ogrodu, co prawda odświeżona, ale nadal w nie najlepszym stanie, Coco zdążyła już przesunąć stół do zacienionego narożnika i rozstawić na nim kawę i świeże bułeczki

z masłem i miodem. Pozwoliła mi zjeść i dopiero potem zaczęła mnie zasypywać pytaniami. Co się stało? Kto mnie tak zdenerwował? Czy to Angelo?

– Nie, to sprawa rodzinna.

– Rozumiem, ale... Sama wypijałaś dwie butelki? – zapytała z wyraźną dezaprobatą.

– Tak. – Nie musiałam się przed nią usprawiedliwiać.

– Angelo był zaskoczony, że nie przyszłaś na milongę. Jego zdaniem powinnaś ćwiczyć przy każdej nadarzającej się okazji.

Wzruszyłam ramionami i skupiłam się na wyjadaniu okruszków z talerzyka.

– Na pewno to nie Angelo cię tak zdenerwował? – powtórzyła pytanie.

– Na pewno.

– Bo przecież spędziłaś z nim cały dzień na plaży, prawda?

– Tak, pojechaliśmy na Lido. Dobrze się bawiliśmy.

– A rozmawialiście o jedzeniu na przyjęcie? Udało wam się ustalić menu?

– Jeszcze nie.

– Dlaczego nie? – zapytała dość oschle.

– Jakoś się nie złożyło, żeby o tym porozmawiać.

Coco odchyliła głowę.

– Liczyłam na to, że potraktujesz tę sprawę poważniej.

Postanowiłam nic na to nie odpowiadać.

– W tym tempie rozczarujesz wszystkich.

– Słuchaj, nie jest mi to do niczego potrzebne – powiedziałam. – Jeśli ma się z tego zrobić wielka afera, to ja się wycofuję.

Rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie.

– Nie możesz tego zrobić.

– Ależ oczywiście, że mogę.

Uniosłam głos, co chyba ją oburzyło. Ostatecznie jednak zdobyła się na uśmiech i poklepała mnie po dłoni.

– Kochanie, jesteś przemęczona. Może się na chwilę położysz. Odpoczniesz trochę, to zaraz poczujesz się lepiej.

Myśl o chłodnej pościeli w ciemnym pokoju rzeczywiście mnie

kusiła. Boris mógł dzisiaj poczekać na spacer. Wszyscy i wszystko mogło poczekać. Teraz byłam w stanie myśleć tylko o łóżku.

– Tak, masz rację. Muszę się położyć...

Naciągnęłam prześcieradło na głowę i raz po raz przysypiałam i budziłam się, bo drzemkę zakłócały jakieś hałasy. Dwa mieszkania pode mną ktoś coś wiercił. Grupa turystów ciągnęła swoje walizki po *fondamenta* pod moimi oknami. Coco słuchała muzyki tanecznej. Gondolier krzyczał coś do swoich znajomych. Nagle uświadomiłam sobie, że robię dokładnie to, co w każdy poniedziałkowy poranek w domu – próbuję odespać, podczas gdy Londyn wokół mnie zaczyna się rozpędzać, a Eden wyprawia Katię do szkoły. To by było tyle, jeśli chodzi o zmianę miejsca. Najwyraźniej tutaj wszystko wyglądało tak samo.

Zdenerwowałam się na siebie. Nie podobało mi się, że się tak zachowuję. Gdybym tylko mogła coś zrobić, żeby od razu poczuć się lepiej. Gdybym mogła połknąć jakąś pigułkę albo wypić jakiś syrop. Przeszło mi przez myśl, żeby zadzwonić do Piety, bo rozmowy z nią często podnosiły mnie na duchu.

W Anglii była wcześniejsza pora. Zadzwoniłam do niej na komórkę, odebrała po drugim dzwonku.

– Cześć, Dolly!

– Hej! – odparłam.

– Wszystko w porządku?

– No powiedzmy – odpowiedziałam. – A co u ciebie?

Pieta rozpoczęła długi monolog.

– U mnie nie, chwilowo przeżywam prawdziwe piekło. Osuwanie się ziemi, zgnilizna i co tam jeszcze... A wszystko w tym jednym budynku, na który się zdecydowaliśmy. Ciągłe leje. Dzieciaki złapały jakąś jelitówkę, którą wszyscy się zaraziliśmy. A do tego mam na głowie te wszystkie zwariowane panny młode, którym rozmiar zmienia się dosłownie z dnia na dzień.

Gdy zaczęła się rozwodzić o francuskich koronkach, chińskich jedwabkach i koralikach, przestałam jej słuchać.

– Cholera, muszę kończyć – powiedziała, gdy już i tak miałam jej zamiar przerwać. – Znowu jest mi niedobrze. Zadzwonię do ciebie

wkrótce.

Skończyłam rozmawiać, ale postanowiłam nie wychodzić z łóżka, oparłam tylko nogi o ścianę. Potem doszłam jednak do wniosku, że jeśli mam się lepiej poczuć, to muszę wstać i coś zrobić. Wysłałam do Angela SMS z pytaniem, czy ma dzisiaj czas, żeby omówić menu na przyjęcie. *Coco wkroczyła na wojenną ścieżkę*, poinformowałam go.

Odpowiedź przyszła po kilku minutach: *Nie martw się, już się nad tym zastanawiałem. Jeśli chcesz, możesz przyjść trochę wcześniej.*

W poniedziałki targ rybny nie działał, więc osteria była zamknięta. Na lekcję tanga byliśmy umówieni późnym popołudniem. Tymczasem minęła dopiero pora lunchu. Wiedziałam, że nie spodziewa się mnie aż tak wcześnie, ale musiałam dokądś pójść.

Potrzebowałam dłuższej chwili, żeby doprowadzić się do porządku. Nakładając na siebie przeróżne kremy i korektory, zdążyłam wypić dwie szklanki coca-coli. Oba te zabiegi trochę poprawiły mi humor. Znów wyglądałam jak człowiek, zwlokłam się więc po schodach, mijając po drodze drzwi Coco.

Angelo był chyba zaskoczony, gdy zobaczył mnie w drzwiach, nie sprawiał jednak wrażenia niezadowolonego. zaproponował, że znajdziemy jakieś zacienione miejsce na *campo*, gdzie moglibyśmy usiąść i omówić menu na przyjęcie. Zabrał ze sobą listę, którą wcześniej zrobił, ale rozważania na temat farszu do brioszek i dodatków do crostini pochłonęły go w takim stopniu, że nie miałam okazji się z nią zapoznać.

Jedzenie nie stanowiło dotychczas ważnego aspektu mojego weneckiego życia. Gotowałam, co prawda, *lunche* dla Nandy i zdarzyło mi się przyrządzić większy posiłek u siebie w mieszkaniu, ale żywiłam się głównie *cicchetti* i chlebem z serem i sałatą. To była spora odmiana w stosunku do mojego londyńskiego życia, które w większości upływało mi na gotowaniu, a przynajmniej na rozmyślaniu o kuchni. Nie brakowało mi tego, niemniej gdy słuchałam Angela, to wszystko w pewnym sensie do mnie wróciło.

Zrelacjonował mi swoje pomysły na przekąski i risotto, na deser i późną kolację dla maruderów. Stawiał na kuchnię fusion, ja natomiast wolałam się trzymać weneckich tradycji. Zaczęliśmy się spierać, więc jedne pozycje zniknęły z listy, inne zaś się na niej pojawiły. Obok nas

przechodziły kobiety z torbami na zakupy albo małymi dziećmi, a turyści zatrzymywali się, żeby podziwiać stary kościół i dzwonnice. Nawet pośród gwaru panującego na *campo* odnosiliśmy wrażenie, że mówimy językiem zrozumiałym tylko dla nas.

Rozmawialiśmy dalej, nawet gdy już ustaliliśmy menu. Opowiadaliśmy sobie o różnych lokalach, w których zdarzyło nam się jeść, o daniach, których próbowaliśmy, o tym, co uwielbiamy i bez czego nie potrafilibyśmy żyć, ale też o składnikach, których nie znosimy. Pamiętam, że nasza rozmowa ożywiła się w momencie, gdy poruszyliśmy temat smakowych oliw z oliwek (paskudna rzecz). Angelo długo rozwodził się na temat kuchni molekularnej (eksperymentów z jedzeniem), a ja dałam upust swoim żalom do krytyków kulinarnych (którzy na niczym się nie znają). Potem przeszliśmy do trudnych klientów i psychopatycznych pracowników kuchni. Przyjemnie się toczyła ta rozmowa. Angelo potrafił mnie rozśmieszyć, sprawił, że poczułam się lepiej.

– Wiesz, Dolly, nie mogę się doczekać, kiedy będziemy razem gotować – powiedział. – Myślę, że będziemy się dobrze bawić.

– Mam nadzieję. Dziś rano Coco mnie tym zestresowała.

– Dlaczego?

– Nie wiem, trochę zwariowała na punkcie tego przyjęcia. Robi wokół niego za dużo zamieszania.

– Pewnie już dawno nie miała okazji robić takiego zamieszania – powiedział.

– Chyba masz rację.

Całe popołudnie rozmawialiśmy o jedzeniu, a potem o tańcu. Angelo opowiedział mi o swojej nauczycielce – o starszej i bardzo doświadczonej kobiecie, która zupełnie odmieniła jego postrzeżenie tanga.

– Pokazała mi, jak tańczyć sercem, a nie głową.

– A skąd się wie, że się tańczy sercem? – zapytałam.

Angelo zastanawiał się chwilę.

– U każdego wygląda to inaczej. W moim wypadku chodzi o to, że akceptuję siebie. Przestaję się martwić o to, czy nie zanudzam partnerki powtarzającymi się krokami. Przestaję myśleć o tym, czy jest

zadowolona, ale też o tym, czy ja jestem zadowolony. Jestem całkowicie zanurzony w chwili, trwam w tym uczuciu. Wtedy wiem, że tańczę sercem.

Mówił szczerze i poważnie. A gdy tak siedział tuż obok mnie na ławce, z rękami za głową, wyglądał naprawdę pięknie.

– Czasami mam wrażenie, że jestem tego bliska – powiedziałam. – Ale potem zaczynam myśleć o krokach albo o utrzymywaniu równowagi i to uczucie mija.

– Musisz próbować, a z czasem będzie ci się to częściej udawało – zapewnił. – To tak jak z nauką gotowania. Wymaga czasu, ciężkiej pracy i cierpliwości. Pośpiech nic tu nie da.

– Ale przecież zostało nam niewiele czasu – zauważyłam. – Jeśli za kilka tygodni mamy wziąć udział w pokazach, to raczej powinniśmy się spieszyć.

Spojrzał na mnie.

– Nie musisz wychodzić ze mną na scenę. Nie będę cię zmuszał. Tego wieczoru będzie się prezentować wielu tancerzy, więc na pewno nikt nie zauważy naszej nieobecności. Chociaż uważam, że szkoda by było zmarnować okazję. Taki występ daje niesamowitą energię. To wielkie przeżycie. Powinnaś tego doświadczyć.

– Za mało jeszcze umiem – zarzekałam się. – Co do tego Coco ma rację.

– To może w takim razie zatańczymy. – Angelo wstał.

– Tutaj, tak w środku dnia?

Skinął potakująco głową.

– W Buenos Aires tańczy się w dzień i w nocy. Tańczy się wszędzie, na rogach ulic i na placach, na rynkach i w parkach. Wiadomo, że się robi to tylko na pokaz, dla turystów, ale to i tak jest piękne.

– Czyli ostatecznie tam byłeś? Pojechałeś, chociaż Valentina nie chciała ci towarzyszyć?

– Tak, pojechałem... ale wróciłem. – Wyciągnął do mnie rękę. – Addolorato, proszę, skończmy rozmawiać i zatańczmy.

Mimo że tańczyłam z Angelem już wiele razy, tango na skąpanym w jasnym słońcu *campo* było niesamowitym doświadczeniem. Nie było muzyki, zdarzyło mi się pomylić kroki i ciągle jeszcze więcej było

w tym amatorszczyzny niż wprawy, ale nie miało to znaczenia.

Angelo też to czuł, bo gdy na niego spojrzałam, na jego twarzy malował się uśmiech.

– Wystąpisz ze mną. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości – powiedział. – Widzę, że chcesz.

Nie bardzo wiem, ile czasu tam spędziliśmy. Słyszałam głosy dzieci wybiegających z pobliskiej szkoły. Cienie się wydłużyły, a stoliki przed barem zaczęły się zapełniać. Ludzie wracający z pracy do domu zatrzymywali się, żeby na nas popatrzeć.

Angelo się zatrzymał, ale ciągle jeszcze trzymał mnie w objęciach.

– Zmęczona? – zapytał.

– Tak – powiedziałam.

– No to chodźmy do mnie odpocząć.

Nie było nic dziwnego w tym, że położyliśmy się obok siebie na jego łóżku, leżeliśmy przecież ubrani i na pościeli. Angelo odwrócił się do mnie plecami i szybko zasnął. Byłam zmęczona po intensywnym tańcu, więc zamknęłam oczy i też odpłynęłam w sen.

Zapałam w cudowną popołudniową drzemkę, kiedy to człowiek na dwie godziny zapomina o bożym świecie. Gdy się obudziłam, stwierdziłam, że Angelo przewrócił się na bok. Opierał teraz rękę delikatnie na moim biodrze. Wydychał mi powietrze prosto w kark. Było mu tak dobrze, że nie miałam odwagi się ruszyć, by mu nie przeszkadzać.

Eden i ja też tak czasami leżeliśmy, ale niezbyt często. Nawet na początku zdarzało nam się to tylko wtedy, gdy on miał na to ochotę – i zawsze kończyło się seksem. Powtarzałam sobie, że tym razem tak się nie stanie. W tym wypadku chodziło przecież o dwoje przyjaciół, których ciała po prostu znajdują się obok siebie, tak jak na leżakach na Lido czy na ławce na *campo*. I tak jak wtedy, gdy tańczymy tango. To zupełnie nic nie znaczyło.

Tymczasem palce Angela zaczęły się poruszać. Głaskały mnie po biodrze. Po chwili złapały rytm i przesunęły się w kierunku brzucha, a potem zniknęły pod koszulką – i wtedy poczułam ich ciepło na skórze. Poruszały się długimi ruchami, docierając za każdym razem coraz dalej. Prawie wstrzymywałam oddech, czekając, aż Angelo coś powie.

On jednak się nie odezwał. Zaczął pocierać twarzą o mój kark, jego oddech stał się gorący. Po chwili położył nogę na moich nogach i przycisnął się do mnie. Wtedy jęknęłam.

Na ten dźwięk roześmiał się, jakby właśnie na to czekał. Jego ruchy stały się pewniejsze. Docierał dłonią coraz dalej, dotykając mnie coraz śmielej. Potem położył mnie na plecach i wsunął się na mnie. Nadal byliśmy w pełni ubrani, a nasze ciała przyciskały się do siebie, jakbyśmy byli parą nastolatków.

Dłońmi i biodrami Angelo zaczął nadawać mojemu ciału rytm, a ono podporządkowywało się jego woli. Zrzuciliśmy z siebie ubrania. Nagle przestałam się krępować swoim wyglądem. Wszystko, czego doświadczałam, było dla mnie zupełnie nowe, mimo że jego dotyk miał w sobie coś znajomego.

Niemal słyszałam w głowie muzykę do tanga. Pot nadał naszej skórze lekki poślizg, oddechy przyspieszyły. Podążałam tropem Angela tak jak podczas naszej wspólnej nauki i ćwiczeń. Akt miłości okazał się równie piękny jak taniec.

Odezwał się dopiero po wszystkim.

– W porządku?

– Tak. – Tylko na tyle potrafiłam się zdobyć.

Odsunął mi włosy z twarzy i przyglądał je z tyłu.

– Jesteś głodna? Mogę nam zrobić wielki talerz spaghetti z atramentem z ośmiornicy i dużą porcją *peperoncino*.

Ku własnemu zaskoczeniu stwierdziłam, że umieram z głodu. Przypomniałam sobie, że jadłam tylko brioszki z miodem, które przygotowała dla mnie Coco.

– Chyba mam trochę radicchio – mówił dalej. – Mógłbym ją podduścić na oliwie z dodatkiem soku cytrynowego. Albo może chcesz młode karczochy smażone z czosnkiem? Poczekaj, pójde zobaczyć, co dokładnie mam.

Wygramolił się z łóżka i naciągnął bawełniane szorty, które wcześniej wylądowały na podłodze. Z haczyka na drzwiach zdjął jedwabny szlafrok i położył go na łóżku.

– Przyjdź, gdy będziesz gotowa – powiedział.

Szlafrok pachniał inną kobietą. Być może był to zapach

Marie-Ann, ale przecież ona mówiła, że rzadko tu bywa. Być może zatem należał do Valentyny. Mimo wszystko włożyłam go i zawiązałam wokół talii cienki pasek. Chyba sama siebie zaskoczyłam, ale nie robiłam sobie wyrzutów. To było zbyt wspaniałe. Czułam się niesamowicie.

Angelo opróżnił dla mnie lodówkę. Pociął na cieniutkie plasterki kawałek chudej wieprzowiny i podał mi go z oliwą z oliwek, startym parmezanem i kawałeczkami kandyzowanych owoców w musztardowym sosie. Przegryzaliśmy przekąskę, a on w tym czasie zrobił piure z gotowanego kalafiora i uduszonego do miękkości pora, a na wierzch położył kawior. Potem przyszedł czas na spaghetti, które zjedliśmy z wielkim apetytem, nie przejmując się atramentowym zabarwieniem ust. Następnie pojawiły się dwa kieliszki na ozdobnych nóżkach z kruszonymi ciasteczkami z amaretto, maczanymi w wermucie, z dodatkiem mascarpone ubitego z jajkami i cukrem. Łyżeczką starałam się dokładnie wybrać z kieliszka ostatnie kropelki kremowej słodyczy.

– Wspaniała uczta, dziękuję – powiedziałam po skończonym posiłku.

– Proszę bardzo. To dla mnie czysta przyjemność karmić głodną kobietę.

Nie bardzo wiedziałam, co się dalej wydarzy. Czy powinnam już pójść, czy może Angelo wyobrażał sobie, że spędzimy razem noc? Był zajęty sprzątaniem i wkładaniem talerzy do zmywarki. Zaproponowałam pomoc, ale odmówił wzruszeniem ramion.

– Włącz muzykę, może jakieś tango.

– Chcesz znowu tańczyć? – zapytałam.

Spojrzał na mnie i się uśmiechnął.

– Ja chcę zrobić wszystko jeszcze raz. Ty nie?

Rozdział 19

Wiedziałam, że powinnam żałować, jednakże to tylko dodawało pikanterii całej sytuacji. Gdy następnego ranka przemykałam do swojego mieszkania, żeby nie obudzić Coco, byłam obolała, ale zadowolona.

Siedząc na balkonie w porannym słońcu, popijałam czarną kawę i paliłam papierosa. Potem wzięłam prysznic. Stojąc pod strugami ciepłej wody, wspominałam jego dotyk. Zmywałam z siebie jego zapach i powtarzałam sobie, że przecież nikt nigdy nie musi się o tym dowiedzieć. Podobało mi się, że miałam sekret. Dzięki temu czułam się bardziej interesująca.

Nigdy nie będę tak do końca żałować tamtej nocy. Nawet po tym wszystkim, co się stało. Mimo że nie powinnam tego robić. Dużo myślałam o tym, że miałabym ogromne pretensje do Edena, gdyby sytuacja była odwrotna. Później dopadło mnie poczucie winy – wobec niego i wobec Marie-Ann. Niemniej następnego dnia poprzednia noc wydawała mi się lekiem, którego bardzo potrzebowałam. W ogóle nie czułam się winna. Nastrój znacznie mi się poprawił. Włożyłam jedną ze ślicznych letnich sukienek pożyczonych od Coco i zeszłam do niej.

– Ach, to ty – powiedziała odrobinę gorzko. – Czy już mogę z tobą bezpiecznie porozmawiać?

– Przepraszam za wczoraj. Czy mogę cię zaprosić na śniadanie w ramach przeprosin?

Coco zmierzyła mnie wzrokiem.

– Chyba czujesz się lepiej. Nabrałaś kolorów, dobrze ci w tej sukience. Pomaluj trochę usta, to z tobą pójdę.

Tamtego ranka udałyśmy się nieco dalej niż zwykle, do lokalu dla turystów, który wystawiał stoliki wzdłuż kanału. Coco miała na sobie zielony kapelusz z szerokim rondem i luźną żółtą sukienkę, do której założyła odważny akryłowy, kwiatowy naszyjnik. Ludzie oglądali się za nami, a ona tylko się uśmiechała. Lubiła zwracać na siebie uwagę.

– Spałaś wczoraj cały dzień? – zapytała. – Bardzo cicho tam

u ciebie było.

– Poszłam się spotkać z Angelem.

Chyba się ucieszyła, gdy powiedziałam, że przez całe popołudnie planowaliśmy menu.

– Czyli organizację mojego małego przyjęcia mamy z głowy. – Coco wykonała obszerny gest rękami. – Teraz pozostaje nam jeszcze wybrać stroje.

– Ja będę gotować – przypomniałam jej. – Nie zamierzam się przesadnie elegancko ubierać.

– Mimo wszystko powinnaś wyglądać pięknie. Przecież nie będziesz siedzieć w kuchni cały wieczór. Moim zdaniem powinnaś pomyśleć o eleganckiej czarnej sukience, na którą mogłabyś narzucić fartuch. Powinnyśmy się wybrać na zakupy. Jest takie miejsce w Santa Croce, gdzie na pewno znajdzie się coś idealnego dla ciebie w bardzo przystępnej cenie.

– Dobrze, ale nie dzisiaj. Ostatnio zaniedbuję biednego Borisa. Nie zabierałam go na spacer od dobrych kilku dni.

Coco spojrzała na swoje małe pieski i pogłaskała je po głowach.

– Jakaż to głupota ze strony Nandy, że trzyma w domu takie wielkie zwierzę, skoro nie może go wyprowadzać.

– Valentina też tak mówi.

Coco westchnęła.

– Moja droga, stara przyjaciółka straciła resztki zdrowego rozsądku. Można odnieść wrażenie, że każda jej decyzja tylko utrudnia życie Valentinie. Naprawdę świetnie się składa, że urządzamy dla niej przyjęcie. To dziecko zasługuje na to, żeby się tego wieczoru poczuć kimś wyjątkowym.

– Coco, a czy zastanowiłaś się, z czego zapłacimy za jedzenie i wino? Angelo może różne produkty kupić hurtem, ale to i tak będzie kosztować.

– Zostaw to mnie. Wszystko jest pod kontrolą.

– Na razie średnio – zwróciłam jej uwagę.

– Wiem, mamy mnóstwo rzeczy na głowie. To ekscytujące, prawda? Najpierw przyjęcie, a tydzień później Festa del Redentore. Będziemy musiały przemyśleć dobór strojów. Z okazji święta trzeba

oczywiście włożyć coś kolorowego. Moim zdaniem powinnaś kupić nowe buty, to będzie inwestycja...

Coco rozwodziła się nad ubraniami na różne okazje, ale jej nie słuchałam. Rozmyślałam o dofinansowaniu przyjęcia; nie miałam nic przeciwko temu, aby się do niego dorzucić, ale nie było mnie stać na to, żeby pokryć wszystkie wydatki. Coco ciągle obiecywała, że się tym zajmie, lecz jej nie wierzyłam. Często odnosiłam wrażenie, że żyje w świecie fantazji. Miała wyjątkowy talent do unikania rzeczy, o których nie chciała nic wiedzieć. Byłam pewna, że do tej kategorii zalicza się konieczność znalezienia pieniędzy na opłacenie przyjęcia.

Coco domyśliła się, co mi chodzi po głowie.

– Addolorato, przestań się już tym przejmować – napomniwała mnie.
– Wkrótce będę miała tyle pieniędzy, że spokojnie wystarczy na wszystkie zakupy. Jest mi naprawdę przykro, że mi nie ufasz.

Valentina miała się nie dowiedzieć o przyjęciu, ale zrobiło się wokół niego tyle zamieszania, wysłano tyle zaproszeń, że prędzej czy później coś musiało do niej dotrzeć. Tamtego ranka zastałam ją w *palazzo*. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że nie jest zadowolona.

– Czy ty też bierzesz udział w tym spisku? – zapytała, cały czas trzymając Borisa za obrozę, jakbym miała zamiar go ukraść.

– Twoja matka poprosiła mnie o pomoc.

– A Coco, ona też jest w to zamieszana?

– Tak, i Angelo też.

Valentina zdenerwowała się jeszcze bardziej.

– Angelo? To do niego jeszcze nie dotarło, że ma się nie wtrącać w moje życie?

– Przecież tu chodzi o przyjęcie. O coś miłego, co ludzie chcą dla ciebie zrobić – tłumaczyłam. – Coco i twoja matka bardzo się ekscytują planowaniem. Czerpią z tego dużą przyjemność. Wszystko wymyśliła twoja matka. Chyba chciała zrobić dla ciebie coś miłego.

Valentina lekko zmrużyła oczy i na jej twarzy pojawił się wyraz bólu.

– Wiem... Biedna mama. Dla niej ciągle jestem małą dziewczynką, która uwielbia przyjęcia.

– A co, nie lubisz?

– Gdybym chciała mieć przyjęcie, to sama bym je sobie zorganizowała. – Valentina sprawiała wrażenie naprawdę poirytowanej.

– A tak zostałam zepchnięta na margines. To mi się nie podoba. Dlaczego wszystkim się wydaje, że wiedzą, co będzie dla mnie najlepsze? Nikomu nawet do głowy nie przyszło, żeby mnie zapytać. Czy kiedykolwiek powiedziałam, że zależy mi na przyjęciu urodzinowym? Nie!

– W takim razie to odwołaj. Jeszcze nie jest za późno. Choć Coco na pewno urządzi scenę, twoja matka też będzie zdenerwowana.

– Coco bym się w ogóle nie przejmowała, ale mama... – Na twarzy Valentiny pojawił się łagodniejszy wyraz. – Ona pewnie się cieszy na tę myśl. Marzy jej się przyjęcie na miarę tych, które organizowali z ojcem.

– Zdecydowanie się ożywiła. Tryska energią! – powiedziałam.

– Tak, też zauważyłam, że się zmieniła. Myślałam, że to za sprawą towarzystwa twojego i Coco. Gdybym wiedziała, o co tak naprawdę chodzi... – Valentina westchnęła. – Teraz już tego nie odkręcimy, prawda? Pewnie powinnam dopisać do listy gości swoich znajomych i postarać się bawić jak najlepiej.

– Tak – zgodziłam się. – Właśnie tak powinnaś zrobić.

– Tylko czy Angelo musi być w to zaangażowany?

– Będzie mi pomagać w kuchni.

– No tak, oczywiście. – Westchnęła ponownie. – A potem zupełnie przejmie stery i wszyscy będziemy musieli mu dziękować. Taki już jest.

Było późno, zanim udało nam się w końcu wyjść na spacer, i zrobiło się za gorąco dla dużego włochatego psa, takiego jak Boris. Szliśmy powoli cały czas w cieniu. Gdy zaczął ciężko dyszeć, zatrzymaliśmy się w jednym z barów, żeby poprosić o miskę wody. Miałam zamiar iść aż na Rialto, żeby kupić składniki na *sarde en saor* na lunch dla Nandy, ale zrezygnowałam z tego pomysłu i zawróciliśmy wcześniej.

Boris chyba cieszył się, że już jest w domu. Położył się na chłodnej marmurowej posadzce w kuchni, złożył głowę na łapach i patrzył, jak się krzątam w poszukiwaniu składników. Makaron się skończył, więc zrobiłam ciasto z jajek i semoliny, a następnie pocięłam je na szerokie

wstążki *pappardelle*. Namoczyłam suszone borowiki, usmażyłam czosnek z dużą ilością pancetty, a całość zalałam kilkoma kroplami marsali, którą znalazłam gdzieś z tyłu w szafce, i pozostawiłam całość do duszenia. Ponieważ nie było śmietany, wrzuciłam na patelnię kawałek masła. Lubię tak gotować, improwizować z tym, co mam. W takich chwilach chyba odzywa się we mnie odziedziczona po ojcu zapobiegliwość. Nanda na szczęście doceniała moje starania bez względu na to, co jej podałam. Przypuszczam, że w równym stopniu jak za jedzenie była mi wdzięczna za uwagę, jaką jej poświęcałam.

Siedziałyśmy w kuchni, ponieważ w saloniku panowała w takie upały straszna duchota. Zjadła swoją porcję *pappardelle* i zapytała o dokładkę.

– Nie było cię ani wczoraj, ani przedwczoraj – narzekała, gdy przekładałam jej na talerz resztę zawartości patelni.

– Przepraszam, miałam inne sprawy na głowie. Co pani jadła na lunch?

– Nikt nie przyszedł, a ja byłam głodna. Zadzwoiłam do *bacaro*, do którego zabrała mnie Coco. Przysłali mi świeże *tramezzini* z wędzoną wieprzowiną, kilka wybornych klopsików, a nawet trochę krewetek. Pyszne to było, ale drogie. Zbyt często nie mogę sobie na coś takiego pozwalać, nie stać mnie na to.

Przeprosiłam ją raz jeszcze i wyjaśniłam, że razem z Angelem pracowaliśmy nad menu na przyjęcie.

– To Coco jego także zaangażowała do pomocy? – Hrabina sprawiała wrażenie zaniepokojonej.

– On chyba nie ma nic przeciwko temu.

– Biedny Angelo.

Roześmiałam się.

– Dlaczego biedny?

– Bo jest zakochany w mojej córce, a ona złamała mu serce.

Postawiłam przed nią dokładkę *pappardelli*.

– Naprawdę? A co się stało?

– Takich szczegółów się nie zdradza. – Nanda sprawiała wrażenie całkowicie pochłoniętej nawijaniem wstążek makaronu na widelec. – Wiem tylko, że się pokłócili. Zanim to się stało, wszystkim nam się

wydawało, że wezmą ślub.

– Długo byli razem?

– Odkąd byli nastolatkami, Valentina swego czasu chodziła za tym chłopakiem, jakby była jego wiernym psem.

– Ciekawe, co poszło nie tak.

Nanda wzruszyła ramionami.

– Kto to wie? Może znudziło jej się to ciągle chodzenie za nim?

Chyba nie zamierzała na razie zdradzać mi nic więcej. Skupiła się na jedzeniu. Pochłonęła drugą porcję makaronu, po czym poklepała się po brzuchu i zaczęła narzekać, że się przejadła.

– Muszę dać sobie chwilę na trawienie. – Odsunęła od siebie pusty talerz i wstała. – Boris, mój słodki, chodź!

Pies z kuchni wyszedł w ślad za nią; zostałam ze stertą brudnych naczyń. Na wyposażeniu *palazzo* nie było sprzętu tak zaawansowanego technologicznie jak zmywarka, ale wcale mi nie przeszkadzało, że muszę zmywać ręcznie. Jako dzieci robiłyśmy to z Pietą po każdym wieczornym posiłku, a nikt nie siał w kuchni takiego chaosu jak mój ojciec. Używał do gotowania absolutnie wszystkich patelni, a sos pomidorowy potrafił dosłownie ściekać po ścianach. Pieta upierała się, że musimy doprowadzić kuchnię do idealnego porządku, zresztą wspólne sprzątanie stanowiło dla nas okazję, żeby trochę poplotkować i się pośmiać. Później bardzo często zdarzało nam się wyjść na tylne schody i ukradkiem wypalić papierosa. W rezultacie zlew pełen piany do dziś budzi we mnie pozytywne skojarzenia. To znak, że wszyscy się najedli i wszystko jest tak, jak być powinno.

Tamtego popołudnia po powrocie do mieszkania zastałam drzwi Coco otwarte na oścież. Krzyknęłam do niej słowa powitania, a wtedy ona zawołała mnie do środka. Siedziała przy stole w kuchni. Na blacie przykrytym miękkim sukniem leżało kilka sztuk biżuterii, zupełnie innej niż te wszystkie bransoletki i koraliki, które nosiła na co dzień. Dostrzegłam tam kilka złotych pierścionków, bransoletkę, naszyjnik, parę kolczyków i dużą broszkę, którą kiedyś miała przypiętą do turbanu. W klasycznych ozdobach połyskiwały kamienie, które wyglądały na brylanty.

– Żegnam się z nimi – powiedziała mi Coco. – Mam je od bardzo

dawna i nigdy mnie nie kusiło, żeby je sprzedać, nawet w najtrudniejszych momentach. Teraz zamierzam to zrobić.

– Dlaczego? – zapytałam z nadzieją, że nie popadła w tarapaty finansowe.

– Jak to dlaczego? Żeby zapłacić za przyjęcie Valentiny. To wszystko jest prawdziwe. Nie martw się. Znam kogoś, kto mi da za nie uczciwą cenę.

Byłam zszokowana.

– Coco, nie możesz tego zrobić!

Spojrzała na mnie.

– Nie rozumiesz. Muszę to zrobić.

– Valentina by tego nie chciała. Prawdę mówiąc, ona w ogóle nie chce tego przyjęcia.

Coco uniosła naszyjnik.

– Ten był bardzo drogi. Lorenzo nie powinien był wydawać na mnie takich pieniędzy. To była głupota z jego strony, ale on lubił mi kupować takie rzeczy, a potem zabierać mnie do eleganckich miejsc, żebym mogła je nosić.

– Całą tę biżuterię dostałaś od ojca Valentiny?

– Tak.

– Musiał nieźle szaleć na twoim punkcie.

Coco uśmiechnęła się jakby ze smutkiem.

– Nikogo nigdy nie kochałam tak jak jego. Zresztą z wzajemnością. Tworzyliśmy nadzwyczajną parę.

– Skoro ma to dla ciebie tak wielką wartość sentymentalną, nie wolno ci tego sprzedawać – przekonywałam ją.

Coco odłożyła naszyjnik i nasunęła jeden z pierścionków na palec, po czym wyciągnęła rękę, żeby podziwiać blask brylantów.

– Starzeję się i muszę myśleć o tym, co się stanie z moimi rzeczami, gdy mnie już nie będzie. Zawsze chciałam je zostawić Valentinie, ale ona nie chce ich przyjąć. Nawet nie chce tu przyjść i tego obejrzeć.

– Mimo że potrzebuje pieniędzy?

– Pewnie ma swoje powody. – Coco zsunęła pierścionek z palca. – Dobrze ją znam i wiem, że nie zmieni zdania. Zamierzam to więc

sprzedać i urządzić dla niej takie przyjęcie, jakie wydałby jej ojciec, gdyby żył.

– Gdyby się o tym dowiedziała...

– Byłaby wściekła, tak, wiem. Ale się nie dowie. Valentina pomyśli, że jej matka znalazła jeszcze coś, co dało się sprzedać. Być może będzie miała do niej nawet o to pretensje, ale przyjęcie będzie wspaniałe, więc wybaczy matce.

Patrzyłam, jak Coco owija po kolei wszystkie swoje skarby i chowa je w drewnianej szkatułce. Moment przekręcenia kluczyka w zamku miał w sobie coś ostatecznego.

– I tak prawie tego nie noszę – powiedziała. – Prowadzę teraz zupełnie inne życie niż wtedy z Lorenzem.

Poszła odstawić pudełko, a po powrocie oznajmiła, że potrzebuje sporej dawki pocieszenia. Miała bilety na koncert w słynnym teatrze La Fenice, ale jej przyjaciel Roberto dzwonił wcześniej i powiedział, że czuje się źle i nie może z nią pójść.

– Było mu przykro, że zostawia mnie na lodzie. Powiedziałam, że ma się nie martwić, bo ty chętnie zajmiesz jego miejsce. Orkiestra będzie grała piątą symfonię Beethovena. Spodoba ci się.

Planowałam tego dnia wcześniej położyć się do łóżka, bo poprzednią noc spędziłam z Anielem i niewiele spałam. Ponieważ jednak Coco wydawała się mieć kiepski nastrój, zgodziłam się jej towarzyszyć.

La Fenice ma tak absurdalnie bogato zdobione wnętrza, że człowiek czuje się tam jak we wnętrzu szkatułki na biżuterię. Miałyśmy miejsca dość blisko z przodu. Wokół nas wznosiły się prywatne łóżka umieszczone pod malowanym sufitem, którego brzegi zdobiły rzeźbione figurki i złożone zawijasy w ilościach, jakich nigdy wcześniej nie widziałam. Moja córka by oszalała na widok tego miejsca. Cieszyłam się, że Coco namówiła mnie na zmianę stroju na wieczorowy, bo w prostej letniej sukience czułabym się niestosownie.

O ile jednak teatr robił imponujące wrażenie, to fotele nie należały do najwygodniejszych. Spodziewałam się, że koncert mnie znudzi, miałam więc nadzieję, iż szybko się skończy. Tymczasem muzyka porwała mnie już od pierwszej chwili.

Podobało mi się absolutnie wszystko! I sala, i wybrzmiewająca w jej ścianach muzyka. Orkiestra i pasja na twarzach muzyków. Skrzypkowie zdzierający smyczki podczas gry i dyrygent, który niemal tańczył na swoim podeście, zachęcając ich do dalszego wysiłku – tylko z myślą o nas.

Orkiestra zagrała coś jeszcze oprócz Beethovena. Nie mam pojęcia, co to było, ale też mi się bardzo podobało. Gdy muzyka wybrzmiała, wraz z resztą publiczności podniosłam się z krzesła, żeby oklaskiwać występ i prosić o więcej. Przepęłniała mnie niesamowita radość.

W drodze powrotnej miałam wrażenie, że idę jakby lżej. W kółko mówiłam Coco, że koncert był niesamowity.

– Tak, wiem, kochanie, wiem – powtarzała, śmiejąc się.

Zaraz po powrocie do domu rozejrzałam się za notatnikiem. Szukałam go długo, ponieważ zniknął gdzieś pod stertą ubrań. Dawno niczego w nim nie zapisałam, ale teraz miałam pomysł na kolejny punkt.

Lista szczęścia Addoloraty

Muzyka – nie melodyjne popowe piosenki w radiu, których słuchają budowlańcy, lecz prawdziwa muzyka. Brzmienie, które porywa, przepęłnia radością i pozostaje w głowie długo po tym, gdy dźwięki ucichną.

Rozdział 20

Następnego ranka dostałam SMS od Marie-Ann. Napisała, że chętnie podejmie się kelnerowania na przyjęciu Valentyny. Podziękowała mi za świetny pomysł. Poczułam na sercu wielki kamień. Wiele się zmieniło, odkąd pod wpływem impulsu złożyłam jej tę propozycję. Teraz wydawało mi się, że popełniłam poważny błąd.

Szybko jej odpisałam, że już znalazłam kogoś innego do tej pracy, ale niemal natychmiast dostałam wiadomość od Marie-Ann, że i tak przyjdzie. *Dwie osoby na pewno poradzą sobie lepiej niż jedna.*

Klops, jak by to powiedziała moja matka. Nie widziałam wyjścia z tej sytuacji. Angelo na pewno pomyśli, że próbuję go wciągnąć w jakąś grę. Tak czy owak, uznałam, że najlepiej będzie jak najszybciej go poinformować o moich planach, na wypadek gdyby Marie-Ann miała się z nim skontaktować i mu o tym wspomnieć.

Wiedziałam, że o tej porze powinien być w pracy. Uznałam jednak, że może znajdzie dla mnie chwilę, jeśli zajrzę do niego w drodze po świeże sardynki na lunch dla Nandy.

Wsunęłam Coco pod drzwi krótki liścik, w którym sugerowałam, że mogłybyśmy się spotkać później w *palazzo* nad talerzem *sarde en saor*, po czym wyruszyłam w drogę, ciągnąc za sobą pustą torbę. Na targ dotarłam stosunkowo wcześniej, więc nie było tam jeszcze turystów, tylko miejscowi. Starsi ludzie często zaopatrywali się na tych samych stoiskach właściwie od zawsze, kilkakrotnie musiałam więc cierpliwie poczekać, aż zostaną obsłużeni przede mną, a oni w nieskończoność dyskutowali ze sprzedawcami o dojrzałości brzoskwiń i słodczy pomidorów.

Wolałam przechodzić od stoiska do stoiska, niż kupować wszystko od jednego sprzedawcy. Wybrałam kilka *fondi di carciofo*, kruchych dolnych części karczocha, już poobcinanych i gotowych do użycia. Trafiłam na sałatę, która wyglądała na świeżo zerwaną, a potem poszłam na targ rybny po sardynki.

Angelo stał przed drzwiami swojej osterii, sączył kawę i przyglądał się przechodniom. Uśmiechnął się na mój widok. Nie widzieliśmy się, odkąd wczoraj rano wyszłam z jego mieszkania, a mimo to nie dostrzegłam w jego zachowaniu żadnego skrępowania. Być może nie widział nic dziwnego w przygodnych romansach i Marie-Ann miała rację, że w jego życiu jest inna kobieta, albo nawet inne kobiety. Przypomniałam sobie jedwabny szlafrok przesiąknięty wyrazistym kobiecym zapachem. Biedna Marie-Ann.

– Wcześniej wstałaś. Co porabiasz? – krzyknął do mnie, gdy podeszłam bliżej.

– Kupuję ryby, żeby coś ugotować dla starszych pań. Miałam nadzieję, że cię spotkam. Chciałam ci coś powiedzieć.

Informacja na temat Marie-Ann co najwyżej go rozbawiła.

– Marie-Ann będzie kelnerką? To może być interesujące. Pewnie jest ciekawa Valentyny i dlatego się zgodziła.

– Pewnie tak.

– No cóż, wreszcie będą miały okazję się poznać. – Wypowiedział te słowa z taką lekkością, że zaczęłam się zastanawiać, czy Marie-Ann w ogóle go obchodzi i czy zdaje sobie sprawę, jakie ona ma wobec niego plany.

Dopił kawę i miał zamiar wrócić do pracy.

– Przyjdiesz dzisiaj na milongę, prawda? Gdybyś miała ochotę na szybkiego drinka przed tańcem, to będę w barze na rogu.

Wizja tego spotkania zupełnie zmieniła mój stosunek do nadchodzącego dnia. Żeby nie było, nie jestem naiwna i niczego od niego nie oczekiwałam, a już bynajmniej nie zamierzałam wiązać z Angelem swojej przyszłości. Po prostu w moim życiu na nowo zagościły przygoda, fascynacja i nieprzewidywalność, mimo że zdążyłam już przestać się łudzić, że kiedykolwiek znowu tego doświadczę. W moim londyńskim życiu bardzo mi tego brakowało, z każdym dniem stawało się ono tylko coraz bardziej szare i nic nowego się w nim nie działo. Wiele się zmieniło za sprawą tanga, a Angelo był ważnym elementem tego tanecznego doznania.

Po zakupach przepłynęłam *traghetto* na drugą stronę Canale Grande i poszłam do *palazzo*. Miałam zamiar zabrać Borisa do parku,

a potem ugotować coś smacznego na lunch dla Coco i Nandy.

Przeciskając się przez tłumy turystów ciągnących Strada Nuova, przypomniałam sobie, jak przyjechałam do Wenecji i zastanawiałam się, czym wypełnić wakacyjne dni. Teraz miałam mnóstwo spraw na głowie. Niemal co rano budziłam się z jakimś planem na nadchodzący dzień, niemniej nigdy nie zmagiałam się z natłokiem zajęć jak w domu. Nie stresowałam się, nic mnie nie przytłaczało i nie odczuwałam niewytłumaczalnego przygnębienia. Gdyby tylko prawdziwe życie mogło tak wyglądać, żadna lista nie byłaby mi potrzebna.

Większość dnia spędziłam w *palazzo* na przygotowaniach do przyjęcia. Planowałyśmy rozmieszczenie baru i parkietu do tańca. Coco i Nanda pomogły mi policzyć nakrycia i szklanki, żeby gościom na pewno niczego nie zabrakło.

Hrabina otworzyła duży kredens, w którym znalazłam piękne naczynia: szklane półmiski, wazony, kielichy i miski wykonane przez Lorenza i członków jego rodziny. Wyciągałyśmy je po kolei i unosiłyśmy do światła, żeby podziwiać bogactwo barw, którymi rozblyskały. Zdążyłyśmy wystawić wszystko na stół w kuchni i nad tym wszystkim usiąść, gdy niespodziewanie w progu stanęła Valentina.

– Co wy robicie?

– Oglądamy... i wspominamy – wyjaśniła jej Nanda.

– Chyba nie zamierzacie tego użyć podczas przyjęcia! – W głosie Valentiny pobrzmiwała surowość. – To wszystko jest zbyt cenne, zbyt kruche.

– Twój ojciec chciałby, żebyśmy tego używali i to podziwiali – odparła Coco.

Valentina rzuciła jej gniewne spojrzenie.

– Ty mi nie mów, czego chciałby mój ojciec.

– Zapomniałaś już, że zawsze wystawiał podczas przyjęć swoje najlepsze szkło? – upierała się Coco.

– Nie, niczego nie zapomniałam. Pamiętam doskonale. – Valentina niemal wysyczała te słowa.

– Tak czy owak, to wszystko należy do twojej matki – stwierdziła Coco. – Nando, co o tym myślisz? Czy nie szkoda by było nie wystawić kilku większych naczyń na pokaz?

Hrabina przeniosła wzrok z przyjaciółki na córkę; minę miała niezdecydowaną. Przesunęła palcami wzdłuż zakrzywionej krawędzi dużej zielonej misy.

– Nie wiem – powiedziała.

– Kiedyś układałaś w tej misie pomarańcze, stawiałaś ją na środku stołu – przypomniała jej Coco.

– Tak, to prawda. Bardzo elegancko to wyglądało.

– I zawsze w kilku wazonach stały świeże kwiaty – dodała Coco. – Chętnie je razem układałyśmy.

– To było dawno temu – powiedziała z tęsknotą w głosie Nanda.

– Czyż nie byłoby wspaniale znowu się tym zająć, rano w dzień przyjęcia? Mogłybyśmy wziąć ten czerwony wazon... Albo nie, może ten żółty.

Valentina cały czas patrzyła na nią z wyrzutem. Pewnie już się zorientowała, że przegrała tę bitwę.

– Będziemy bardzo uważać. Nic się nie zniszczy, obiecuję – zapewniła ją Coco. – No ale jeśli ten pomysł tak bardzo ci się nie podoba...

– Ciebie nie obchodzi, co ja myślę – odparła Valentina. – I tak zawsze robisz to, co zaplanujesz.

– Kochanie, nie bądź taka – powiedziała chłodno Coco. – Przecież sama mnie prosiłaś, żebym wróciła. Nie pamiętasz? Jeśli chcesz, mogę stąd wyjść.

Valentina rzuciła jej gniewne spojrzenie.

– Wiesz co, Coco? Czasem nie cierpię cię tak bardzo, jak moja matka cię kocha.

Valentina powiedziała to zupełnie bez emocji, po czym natychmiast obróciła się na pięcie i wymaszerowała zdecydowanym krokiem.

– Niemądra dziewczyna... Robić tyle szumu o kilka szkiełek z Murano – powiedziała Coco, gdy Valentina nie mogła jej już usłyszeć. – Nieważne, na pewno wkrótce jej przejdzie.

Oczywiście nie chodziło tylko o szkło, tylko o coś więcej – i ze wszystkich uczestników tej sceny jedynie ja nie wiedziałam o co. Lubujące się w tajemnicach i żyjące w cieniu weneckanki bynajmniej nie

zamierzały dopuścić mnie do swojego sekretu. Coco i Nanda wymieniły spojrzenia, a potem zaczęły odstawiać szkło do kredensu. Na stole pozostało tylko to, co wybrała Coco.

Podczas sprzątania obie panie rozmawiały o kwiatkach, które można by kupić. Zastanawiały się też, ile pomarańczy zmieści się w misie. Pomogły mi polerować kieliszki i przecierać talerze. Zupełnie jakby nic się nie stało.

Po pracy postanowiły odpocząć w saloniku hrabiny, a ja zamierzałam się urwać. Chciałam porozmawiać z Valentiną, ale nie wiedziałam, gdzie jej szukać. Czy śpiewa akurat na gondoli gdzieś na wodach kanału? Czy bierze udział w próbie w operze? A może jest w księgarni Acqua Alta? Valentina nie miała żadnego stałego grafiku, więc nie sposób było to ustalić.

Najłatwiej było mi sprawdzić w księgarni, dlatego tam poszłam najpierw. Siedziała za kasą, głaszcząc czarnego kota, który rozłożył się na ladzie. Na mój widok skinęła głową.

– Dobrze, że przyszedłeś. Mam kilka angielskich powieści, które ci chciałam dać. Zamokły trochę i strony z nich wypadają, więc nie nadają się do sprzedaży. Zabawne, ale stare książki są w stanie przeżyć tu zdecydowanie dłużej niż nowe.

– Nie mam czasu na czytanie – powiedziałam – ale, tak czy owak, dziękuję, wezmę je. Może po przyjęciu znajdzie się kilka bardziej leniwych dni.

– Przyjęcie... – Z ust Valentiny wydobyło się niecierpliwe westchnienie. – Im szybciej to się skończy, tym lepiej.

– Naprawdę tak myślisz? Wszyscy poza tobą nie mogą się doczekać. To paradoksalne, bo odbywa się z okazji twoich urodzin.

– Tylko że to nie jest moje przyjęcie, to jest przyjęcie Coco. Nawet moja matka zdaje sobie z tego sprawę, chociaż oczywiście zgadza się na wszystko, czego życzy sobie ta kobieta.

– Nie rozumiem... Co masz przeciwko Coco?

– Zapytaj ją.

– Ona mi nie powie. Powiedziała, że mam zapytać ciebie.

– Skoro tak... – Valentina zniknęła na chwilę pod ladą, po czym wynurzyła się ze stosikiem książek w miękkich powyginanych

okładkach. – Zapytaj Angela. On zna tę starą historię, a w każdym razie większą jej część.

Założyłam, że wszystko sprowadza się do dawnego romansu Coco i jej ojca.

– Powiedz mi cokolwiek – poprosiłam, biorąc od niej książki. – Skoro tak bardzo nie lubisz Coco, to dlaczego kazałaś mi ją sprowadzić z powrotem do *palazzo*?

– Ze względu na moją matkę. – Valentina wstała i zepchnęła kota z lady. – Coco stanowi ważną część jej przeszłości, zarówno tej dobrej, jak i tej złej.

Postanowiłam, że tego wieczoru spróbuję namówić Angela, by przy drinku opowiedział mi coś jeszcze o Coco, ale gdy przyszedłam do All'Arco, ku swojemu zdziwieniu wśród jego przyjaciół dostrzegłam Marie-Ann. Wyglądała zjawiskowo. Swobodne loki na głowie, makijaż nieco mocniejszy niż zwykle. Na mój widok uśmiechnęła się, a gdy się uścisnęłyśmy na powitanie, szepnęła mi do ucha:

– Dziękuję.

Nie bardzo wiedziałam, czym sobie na to zasłużyłam. Założyłam, że chodziło o Angela.

– Nie wiedziałam, że się tu dzisiaj spotkamy – powiedziałam.

– Idę na milongę – odparła. – Nie mów nic Angelowi, ale wzięłam kilka lekcji tanga. Zainspirowałaś mnie tym, jak szybko się uczysz, no i tym, co mi powiedziałaś tamtego wieczoru. Masz rację, że jeśli mi na nim zależy, to muszę o niego walczyć.

Nie pamiętałam, żeby jej powiedziała coś takiego. Byłam wręcz przekonana, że niczego takiego ode mnie nie usłyszała.

– Zamierzam brać lekcje, aż nauczę się tańczyć tak dobrze, żebym mogła z nim tańczyć. No i wybieram się na przyjęcie Valentyny, tak jak sugerowałaś. – Marie-Ann uśmiechnęła się do mnie promiennie. – Jesteś ze mnie dumna?

Poczułam się okropnie, ale co miałam powiedzieć? Że poszłam do łóżka z jej facetem? Że jestem prawie pewna, że on sypia jeszcze z jakąś inną kobietą? To nie był ani dobry moment, ani dobre miejsce na taką rozmowę... Zresztą nie wiem, czy w ogóle zdobyłabym się na odwagę, żeby ją o tym poinformować.

– Tak... Oczywiście – wydusiłam z siebie. – A co z propozycją pracy w Nowej Zelandii?

– Odrzuciłam ją. Jestem dobra w tym, czym się tutaj zajmuję, a w przyszłości na pewno pojawią się jeszcze inne oferty. A Angelo jest tylko jeden, no nie?

– No tak. – Staralam się nie myśleć o nocy, którą z nim spędziłam. Nie chciałam tego wspominać, gdy stałam twarzą w twarz z Marie-Ann, ale nic innego nie chciało się pojawić w mojej głowie.

– Tylko mu o tym wszystkim nie mów, a zwłaszcza o tangu – poprosiła. – Chcę mu zrobić niespodziankę, gdy już mi będzie lepiej szło. Dzisiaj będę tylko obserwować. Mój nauczyciel powiedział, że to dobry pomysł.

– A kto cię uczy? Ktokolwiek to jest, na pewno znają się z Angelem. Angelo zna przecież wszystkich tancerzy tanga.

– To kobieta. Wie, że ma się z tym nie zdradzić. Rozmawiałam z nią podczas tej milongi, na którą przyszliśmy razem. Spotkałam ją przypadkiem następnego dnia i zapytałam, czy nie udzieliłaby mi kilku lekcji.

– Dziwne, że wcześniej się nie zdecydowałaś – powiedziałam. – Co cię przed tym powstrzymywało?

– Nie przemyślałam tego – przyznała. – Cały ten czas trzymałam mocno rękę na pulsie mojej kariery zawodowej, a życie osobiste pozostawiałam własnemu biegowi. Uważałam, że wszystko się samo ułoży. Głupie, nie? Aż nagle ty się pojawiaasz ze swoją listą szczęścia, skupiona na swoich potrzebach. Uświadomiłam sobie, co robiłam nie tak.

Wpatrywałam się w nią ze zdumieniem. Po głowie krążyła mi szalona myśl, by wyznać jej prawdę. Potem jednak poczułam dotyk na ramieniu i zobaczyłam Angela. Podał mi drinka. Kiedy nasze oczy się spotkały, lekko się do mnie uśmiechnął.

– Chyba dobrze, że przyniosłem ci duży kieliszek, a nie *ombra* – powiedział, patrząc, jak łapczywie wypijam cały trunek.

Nie sprawiał wrażenia, by obecność nas obu razem choć trochę go krępowała. Rozmawialiśmy przez chwilę, po czym poszedł po następne drinki i kilka talerzy z *cicchetti*. Angelo może był odprężony, ale ja

zdecydowanie nie. Nigdy wcześniej nie znalazłam się w podobnej sytuacji. Owszem, Eden miał przede mną inne dziewczyny i z kilkoma kobietami sypiał, ale nigdy nie przebywałam z nimi w jednym pomieszczeniu, a już na pewno nie stałam z nimi ramię w ramię. Wytrąciło mnie to z równowagi, Marie-Ann najwyraźniej jednak nic nie zauważyła, bo trąkotała jak najęta.

– Wydaje mi się, że znasz kobietę, która mnie uczy – powiedziała, zbliżając usta do mojego ucha. – Ma na imię Coco. Twierdzi, że się przyjaźnicie.

– Coco cię uczy? – powtórzyłam głupkowato.

– Tak. Chyba nawet się ucieszyła, gdy ją o to poprosiłam. Starsi ludzie lubią się czuć potrzebni. Niezły z niej charakter, co?

Tamtego wieczoru podczas milongi na Campo San Giacomo dell’Orio cały czas czułam na sobie wzrok Marie-Ann. Odnosiłam wrażenie, że wyobraża sobie siebie na moim miejscu, wczuwa się w pracę moich nóg i ruchy moich bioder. Siedziała na jednej z ławek pod drzewem i odpowiadała uśmiechem na każde moje spojrzenie.

W pewnym momencie stwierdziłam, że chciałabym, by poszła do domu i pozwoliła mi pokierować wieczorem tak, jak to sobie zaplanowałam.

Jak zwykle na wieczorek taneczny przyszło więcej kobiet niż mężczyzn, więc musiałam podzielić się Angelem z innymi partnerkami. Nawet Coco musiała użyć Silvia innym. Spędziłyśmy sporo czasu na ławce z Marie-Ann, czasami szeptałyśmy między sobą. Tamta tancerka ma dobrą postawę, ta porusza się trochę niedbale, inna za bardzo się popisuje. Zabolalo mnie to, że mnie Coco nie zaproponowała nauki tańca, za to zgodziła się zostać nauczycielką Marie-Ann. Nie potrafiłam tego zrozumieć. Przecież się przyjaźniłyśmy.

Silvio zaprosił mnie do tańca podczas *tandy* i zgodziłam się, chociaż wiedziałam, że Coco chciałaby jak najszybciej wrócić z nim na parkiet. Dziwnie się czułam w objęciach starszego mężczyzny. Trzymał mnie słabiej niż Angelo, prowadził z mniejszą siłą. Jego tango było grzeczniejsze, spokojniejsze.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze, *cara* – szeptał. – Zrobiłaś ogromne postępy, odkąd zrobiliśmy razem pierwsze kroki. Teraz jesteś tancerką.

Kiedy *tanda* dobiegła końca, inni mężczyźni zaczęli rozstawać się ze swoimi partnerkami, ja jednak pozostałam w objęciach Silvia.

– Jeszcze jedna? – zapytałam.

– Z przyjemnością – odparł szarmancko.

Wtedy pojawiła się Valentina. Wkroczyła pewnie na sam środek Campo San Giacomo dell’Orio, całą sobą jakby krzycząc: Popatrzcie na mnie! Miała na sobie bardzo krótką zwiewną sukienkę w kolorze szkarłatnym, która odsłaniała stokrotkę wytatuowaną na ramieniu. Rozpuszczone włosy spływały jej miękkimi falami na plecy. Największy podziw wzbudził we mnie jednak sposób, w jaki się poruszała. Głowę miała uniesioną wysoko, jakby wyruszała na podbój świata.

Zatrzymała się, wyraźnie rozglądając się za partnerem do tańca. Angelo był chyba jedynym mężczyzną, który stał w tym momencie bez partnerki. Wykonała gest odsłoniętym ramieniem i wyciągnęła do niego rękę. On spojrział na nią w taki sposób, że przez moment wydawało mi się, że nie przyjmie zaproszenia. Ona uniosła brwi. On się uśmiechnął. Podeszli do siebie.

– To teraz będzie pokaz! – powiedział Silvio.

Gdy po raz pierwszy obserwowałam Valentinę i Angela, ich taniec zrobił na mnie duże wrażenie, ale wtedy jeszcze nie rozumiałam, na co tak naprawdę patrzę. Teraz zdawałam sobie sprawę, że na moich oczach rozgrywa się coś niezwykłego. Valentina i Angelo tańczyli jak walczące ze sobą zwierzęta. Najpierw to ona zdawała się być górą, potem on przejął kontrolę nad sytuacją, ona jednak nie dawała za wygraną. Pozostali odsunęli się na bok, żeby zrobić im więcej miejsca.

W pewnym momencie spojrzałam na Marie-Ann. Miała lekko otwarte usta i patrzyła jak zaczarowana. Siedząca obok niej Coco udawała, że w ogóle nie jest tym poruszona. Ale przecież musiała być. Jak my wszyscy.

Rozpoznałam muzykę, to był utwór *Libertango*. Melodia przybiera na sile w ramach *crescenda*. To samo działo się z ich tańcem. Angelo właśnie to chciał zaprezentować w Buenos Aires. Wyobrażał sobie, że zadziwią widzów umiejętnościami i śmiałością, ale Valentina się nie zgodziła. Patrząc na nich, zastanawiałam się, czy żałowała swojej decyzji.

Kiedy kończyli tańczyć, brakowało im tchu. Angelo odszedł na kilka kroków od Valentyny, lekko się uklonił i zaczął jej klaskać. Pozostali do niego dołączyli, niektórzy wydawali też okrzyki zadowolenia. Potem rozpoczęła się kolejna *tanda*, ale większość z nas nie kwapiła się do tańca – bo któż mógłby przebić coś takiego?

Tylko Coco pozostała nieporuszona. Podeszła do Silvia i razem udali się na parkiet, by tańczyć swoje dostojne tango. Stopniowo zaczęły do nich dołączać kolejne pary.

Wróciłam na ławkę, usiadłam obok Marie-Ann i powiedziałam:

– To jest Valentina.

– No tak, oczywiście – odparła.

– I co o tym myślisz?

Spojrzała na mnie.

– Chyba muszę się napić.

Przeniosłyśmy się do stolika w barze, w którym serwowano prosecco. Zamówiłam butelkę. Zdążyłam właśnie napełnić dwa kieliszki, gdy podeszła do nas Valentina, ciągle jeszcze zarumieniona po tańcu. Jej skóra lśniła, a w oczach jaśniał blask. Marie-Ann zeszywniała.

– Właśnie tego mi trzeba. – Valentina opadła na ostatnie wolne krzesło przy stoliku i skrzyżowała długie odsłonięte nogi. – Przyszłam ci postawić drinka. Addolorato, masz u mnie dług wdzięczności. No i jestem ci winna przeprosiny.

– Z jakiego powodu?

Opuściła głowę, jakby pogodzona z losem.

– Dziś wieczorem po powrocie do domu musiałam wysłuchać długiego wykładu mamy. Jeszcze nigdy nie była dla mnie taka surowa. Wychodzi na to, że jestem niegrzeczna i niewdzięczna i że ją bardzo rozczarowałam.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć.

– O rany.

– Tak, wiem. Na szczęście powinna szybko zapomnieć, że jest na mnie zła. Zawsze zapomina. – Valentina zwróciła się do Marie-Ann: – Przepraszam, chyba nie miałyśmy okazji się poznać.

– Nie. – Marie-Ann wyciągnęła rękę i przedstawiła się jako moja przyjaciółka. Jak to miała w zwyczaju, zapytała prosto z mostu: – Jesteś

dziewczyną Angela? Czy była dziewczyną?

– Zgadza się, była. – Na Valentinie to chyba nie zrobiło wrażenia.
– Ale to już stare dzieje.

– W takim razie miło mi cię poznać. Może zorganizuję nam trzeci kieliszek?

Gdy już wszystkie miałyśmy drinka w dłoni, Marie-Ann wzniosła toast.

– Za przyszłość, cokolwiek miałyby przynieść! – powiedziała, po czym stuknęłyśmy się kieliszkami.

– Przyszłość? – W głosie Valentiny brzmiało powątpiewanie. Odstawiła kieliszek, nawet nie zanurzając w nim ust. – Staram się nie wybiegać myślami zbyt daleko. Tak jest mi łatwiej.

– Przeszłość to już zamknięty rozdział – stwierdziła Marie-Ann. – Nie ma sensu świętować jej toastami.

Valentina pospieszyła z odmienną opinią:

– Przeszłość nigdy się nie kończy, w każdym razie nie w Wenecji. Na zawsze pozostaje z nami. Kieruje życiem wielu z nas.

– Twoim życiem też?

– Tak, oczywiście, pod pewnymi względami... Ale nie dotyczy to mojej przeszłości z Angelem, jeśli o to pytasz. Nie mam nic przeciwko temu, żeby ten rozdział się zamknął. W moim życiu liczą się teraz jeszcze inne rzeczy oprócz tańca.

Marie-Ann wypić tego wieczoru dużo prosecco. Chyba uznała, że odniosła zwycięstwo, ja jednak miałam wątpliwości, czy rzeczywiście tak było. Właśnie przed chwilą mogłyśmy zobaczyć, z jaką pasją jej chłopak tańczy z Valentiną. Dla mnie było jasne, że źródłem tej namiętności musiało być jedno z nich.

Valentina zamówiła dla nas butelkę prosecco, a potem poszła, nie wypijając ani łyżeczki. W jej miejsce pojawiła się Coco, która pomogła nam wypić wino. We trzy urządziłyśmy sobie małe przyjęcie, podczas którego Coco opowiadała nam różne pikantne historie z przeszłości. Mówiła o przyjęciach w posiadłości Guggenheimów, o artystach, których znała, o sukienkach, które nosiła, i o mężczyznach, którzy się do niej zalecali. Marie-Ann wydawała się równie urzeczona jak ja. Zastanawiałam się, jak często Coco ukazywała którejkolwiek z nas

swoje prawdziwe oblicze.

Kończyliśmy już drugą butelkę, gdy Angelo przyszedł się pożegnać. Tłumaczył się zmęczeniem. Zaraz potem Marie-Ann też się ulotniła.

– Lubię ją – powiedziała Coco, gdy odchodziła. – To silna dziewczyna.

– Uczysz ją tańczyć.

– Tak, bo sama siła nie wystarczy. Trzeba jej pomóc. – Coco poklepała mnie po dłoni. – Wydaje mi się, że byłaby dobra dla Angela. Powiedziałabym, że idealna.

– Czyli próbujesz ich do siebie zbliżyć, wyswatać tak jak Nandę i Lorenza?

Coco sprawiała wrażenie zaskoczonej.

– To zupełnie nie to samo.

Dolałam jej do kieliszka resztkę wina, która została w moim. Przesunęłam drinka w jej stronę.

– To może mi opowiesz – zaproponowałam.

– Co mam ci opowiedzieć?

– Swoją historię, wszystko.

– Przez cały wieczór opowiadam ci różne historie – stwierdziła Coco.

– Ale ja chcę wiedzieć więcej. Chcę poznać prawdziwą historię, dowiedzieć się wszystkiego. Nie rozumiem, dlaczego tyle rzeczy trzymasz w tajemnicy.

– Nigdy nikomu nie powiedziałam wszystkiego. Nie wiedziałabym, od czego zacząć – odparła bezradnie.

– Gdy poznałaś Lorenza, byłaś mężatką, prawda?

Skinęła potakująco głową.

– To w takim razie zacznij od niego. Opowiedz mi o swoim mężu.

Relacjonuję zatem to, co udało mi się wyciągnąć od odpornej Coco, gdy tancerze opuszczali *campo*, a barman przyniósł nam ostatnią butelkę przed zamknięciem. Opowiadała mi swoją wersję historii, a ja w tym czasie wyobrażałam sobie, co usłyszałabym, gdyby relacjonowała mi ją Nanda albo mężczyzna, którego poślubiła, albo ten, którego naprawdę kochała...

Rozdział 21

Był, a w każdym razie chciał być, artystą. Nie był przystojny i był znacznie starszy ode mnie. Powtarzał, że jestem jego muzą i że jest mi pisane pojawić się na jego obrazach. Prawił komplementy, których ja chętnie słuchałam.

W końcu zgodziłam się pozować mu do aktu. Potrzebował dużo czasu, żeby go skończyć, ponieważ częściej się ze mną kochał, niż malował. Twierdził, że nie potrafi się oprzeć. Musisz wiedzieć, że byłam wtedy naprawdę ładna. Taka młoda... Dopiero dojrzewałam.

Obiecał mi, że zachowa to w tajemnicy, ale próżność wzięła w nim górę. Zaczął pokazywać portret przyjaciółom i chwalić się, że mnie posiadał. Plotki dotarły do mojej rodziny. Moi bliscy zorientowali się, że ich okłamywałam, że potajemnie spotykałam się z nim po nocach, że przy każdej nadarzającej się okazji wymykałam się z domu. Czasy były wtedy takie, że zmuszono nas do ślubu. Żadne z nas tego nie chciało. Jemu odpowiadało kawalerskie życie, ja też wolałam rolę muzy niż gospodyni gotującej, sprzątającej i wywabiającej plamy z jego bielizny.

Cały czas mnie malował. Godzinami stałam nago przed sztalugą. Wpadał w złość, gdy się poruszyłam. Jeśli obraz nie spełniał jego oczekiwań, wyżywał się na mnie. Byłam wtedy nieszczęśliwa, znikąd nie mogłam oczekiwać ratunku. Rodziny mój los nie interesował. Twierdzili, że sama jestem sobie winna. Moją jedyną prawdziwą przyjaciółką była Nanda, ale cóż ona mogła zrobić?

Mój mąż zorganizował wystawę. Zmusił mnie do udziału w wernisażu. Na wszystkich ścianach wokół wisały obrazy przedstawiające moje nagie ciało, a on oprowadzał mnie pośród nich pod rękę. Nie dałam po sobie poznać, co wtedy czułam, ale o mało nie umarłam. Mój Boże, jak wielkiego wymagało to ode mnie wysiłku, żeby w ogóle utrzymać się na nogach, o przywołaniu uśmiechu na twarz nie wspominając. Bo widzisz, on mnie przedstawiał jako brzydką. Potwornie brzydką.

Właśnie tamtego wieczoru poznałam Lorenza. Mój mąż świętował, palił cygara i upijał się, więc na jakiś czas o mnie zapomniał. Zostałam sama w rogu galerii. Czułam się zupełnie zagubiona. Nagle podszedł do mnie wysoki przystojny chłopak. Podał mi kieliszek prosecco.

– Miałbym ochotę zabić twojego męża – powiedział. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że mówi poważnie.

Lorenzo znał się na sztuce. Zaczął mi wyjaśniać, co jest nie tak z tymi obrazami. Dzięki niemu przestałam widzieć na nich siebie, a zobaczyłam jakąś paskudną postać, która powstała w wyobraźni mojego męża.

– Ludzie będą to kupować – rozpaczalam – i wieszając sobie na ścianach. Będą codziennie patrzeć na mnie taką.

– Ja je kupię – obiecał. – A potem zniszczę.

Do końca wieczoru sprzedaly się wszystkie obrazy, wszystkie trafiły do rąk tego samego nabywcy, które zażyczył sobie pozostać anonimowy. Mój mąż pękał z dumy. Wydawało mu się, że w końcu znalazł mecenasa. Przez chwilę znów zaczął mnie traktować życzliwie, ponieważ przyczyniłam się do jego sukcesu. Jednakże żaden bogaty mecenas nie zgłosił się do niego i w jego życiu nic się nie zmieniło, więc w końcu znowu wyszedł z niego potwór.

Nie mogłam przestać myśleć o Lorenzu. O tym, co powiedział o moim mężu i jego obrazach. O tym, co dla mnie zrobił. Poszłam do galerii i prosiłam, żeby mi podano jego dane kontaktowe, ale nie udało mi się uzyskać nawet nazwiska. Mój mąż wcześniej wielokrotnie domagał się od galerii udzielenia tych samych informacji, również bez skutku.

Mój mąż za dużo pił. Z czasem stał się niechlujny i leniwy. Praktycznie mieszkał z przyjaciółmi w bacari, rzadko wracał do domu trzeźwy. Zaczęłam uciekać stamtąd przy każdej nadarzającej się okazji, spędzałam czas w towarzystwie Nandy. Nie zorientował się, więc z czasem nabrałam śmiałości. Zaczęłam chodzić na przyjęcia, najpierw do palazzo, a potem także do innych miejsc z nowymi przyjaciółmi. Pewnego razu poszłam na przyjęcie, które odbywało się w studiu pewnego artysty. Był tam również mój mąż. Mimo wszystko zostałam i wypłam kieliszek prosecco. Dopiero potem wymknęłam się, żeby mnie nie zauważył.

Stawałam się kobietą i zaczynałam zwracać na siebie uwagę mężczyzn. Po pewnym czasie zdecydowałam się na romans. Mój kochanek był ode mnie starszy. Dzięki niemu przekonałam się, że mój mąż nie tylko w malowaniu jest nie najlepszy. Ten mężczyzna miał mnóstwo pieniędzy i chciał o mnie zadbać. Miał żonę, ale tkwił w nieudanym małżeństwie, tak jak ja, ponieważ w tamtych czasach we Włoszech nie było rozwodów. Błagał, żebym odeszła od męża. Obiecywał, że zapewni mi mieszkanie i będzie mi kupować tyle pięknych rzeczy, ile tylko zechcę.

Odmówiłam, bo nie chciałam okryć się hańbą. Wydawało mi się, że lepiej będzie trwać w dotychczasowym układzie. Wtedy jednak do mojego męża dotarło, że powoli kończą mu się pieniądze. Zapragnął wypełnić kolejne płótna spaczonymi przedstawieniami mojego nagiego ciała i zorganizować kolejną wystawę, żeby je sprzedać. Przestał chodzić do bacari i przetrzymywał mnie w swoim studiu, zapamiętał malując. Znowu przeżywałam koszmar.

Zbliżało się otwarcie wystawy, a mnie ogarniała panika. Nie mogłam liczyć na to, że znowu pojawi się jakiś życzliwy nieznajomy, taki jak Lorenzo, który zechce wyratować mnie z opresji. Skontaktowałam się więc z moim kochankiem i powiedziałam, że przyjmuję jego propozycję. A potem uciekłam.

Po prostu wymieniłam jednego mężczyznę na innego. Ten, co prawda, nie chciał mnie malować, ale był równie zaborczy. Sprawił mi małe mieszkanie w Santa Croce i oczekiwał, że cały czas będę tam na niego czekać. Prawie nigdzie nie wychodziłam. Mój mąż groził, że jeśli mnie gdzieś wypatrzy, zrobi mi krzywdę. Rodzina dotkliwie przeżywała skandal. Nandzie powiedziano, że ma się już ze mną nie widywać. Na szczęście moja stara przyjaciółka nie posłuchała. Odwiedzała mnie, co prawda, rzadko, ale kilka razy jej się udało.

Znów dałam się złapać w pułapkę. Tak bardzo chciałam uciec, że zaczęłam namawiać mojego kochanka na różne prezenty – na biżuterię, futra i wszystko, co mogłabym sprzedać, żeby zdobyć pieniądze. Planowałam wyjechać z Wenecji, chociaż nie zastanawiałam się dokąd.

Wtedy znowu spotkałam Lorenza. Pewnego dnia wczesnym rankiem poszłam na targ Rialto. W pośpiechu kupowałam to i owo, gdy

nagle usłyszałam: „Signora, signora”.

Nie chciałam zbyt długo z nim rozmawiać, bo obawiałam się, że mój kochanek mógłby akurat przyjść i nie zastać mnie w domu. Ale też nie mogłam znieść myśli, że mielibyśmy się rozstać. Byłam przekonana, że Lorenzo czuje to samo. Powiedział, że tworzy wyroby ze szkła i że zainspirowałam go do stworzenia czegoś wyjątkowego. Bardzo chciał mi to pokazać.

Jakże jednak miałam jechać na Murano bez mojego kochanka? To był wymagający mężczyzna, który często do mnie przychodził. Nie było dnia, żeby nie zastukał do moich drzwi.

Powiedziałam mu więc, że na urodziny chciałabym dostać jakiś artystyczny wyrób ze szkła. Wiedziałam, że będzie nalegał, abym pojechała z nim na Murano i coś sobie wybrała. Wytwórnę Viadrów planowałam zostawić sobie na koniec wycieczki. Liczyłam na to, że do tego czasu mój kochanek się znudzi albo stwierdzi, że musi wracać i zająć się interesami albo pobyć trochę z rodziną. On jednak postanowił poświęcić mi cały dzień i praktycznie nie odstępował mnie na krok.

W wytwórni Viadrów powitał nas Lorenzo i osobiście zaprezentował nam swoją ofertę. Od razu wiedziałam, który z przedmiotów powstał pod wpływem inspiracji moją osobą. Była to połyskująca złotem figurka nagiej kobiety o łagodnych kształtach. Podziwiałam ją z takim zapalem, że mój kochanek nie miał innego wyjścia, jak złożyć ofertę zakupu.

Lorenzo upierał się, że przedmiot jest zbyt kruchy, byśmy mieli go sami zawieźć do domu. Obiecał zorganizować odpowiednie opakowanie i dostarczyć figurkę na miejsce. Wiedziałam, że zamierza przywieźć mi ją osobiście, więc przez kolejne dni czekałam na jego przybycie, drżąc jednocześnie z podniecenia i ze strachu.

Pojawił się niezbyt wczesnym rankiem w poniedziałek następnego tygodnia. Wspólnie odpakowaliśmy figurkę, po czym postawił ją na półce.

– Trzeba by ją podświetlić od tyłu, żeby jaśniała tak jak ty – powiedział.

Serce mi się krajało na myśl, że mogę już nigdy nie zobaczyć Lorenza. Po tym pięknym mężczyźnie zostałyby mi wówczas tylko ta

figurka. Tak bardzo szalałam na jego punkcie, że nie zważając na niebezpieczeństwo – mój kochanek mógł się pojawić w każdej chwili – zaciągnęłam Lorenza do łóżka.

Jeden raz nie mógł nam wystarczyć. Lorenzo wielokrotnie do mnie wracał. Spotykając się, dużo ryzykowaliśmy. Kilkakrotnie o mały włos nie zostaliśmy przyłapani. Nie potrafiłam się z nim rozstać. Naprawdę wolałam umrzeć.

Lorenzo chciał, żebym została jego żoną, ale wiedzieliśmy, że to niemożliwe, bo ja już miałam męża. Wieczorami wypłakiwałam oczy z żalu. Wkrótce rodzina zaczęła na niego naciskać, żeby się ożenił i zadbał o ciągłość rodu. Nie miałam wątpliwości, że w tym momencie go stracę.

I tak oto zostałam swatką. Im dłużej zastanawiałam się nad swoim pomysłem, tym sprytniejszy mi się on wydawał. Lorenzo i Nanda. Gdyby dwoje ludzi, których kochałam najbardziej na świecie, wzięło ślub, utrzymałabym kontakt z obojgiem.

Lorenzo z początku nie był przekonany, Nanda dała się łatwiej namówić. Mężczyzna, którego jej przedstawiłam, reprezentował sobą wszystko, czego oczekiwała od przyszłego męża: był przystojny i zamożny, pochodził z dobrej rodziny, miał dobre maniery. Nie widziałam w tym nic złego. Wiedziałam, że Lorenzo zawsze bardziej będzie kochać mnie, ale że ją także obdarzy uczuciem. Miała prowadzić u jego boku szczęśliwe życie. Nie musiała wiedzieć, że kupił dom w Cannaregio, do którego się przeprowadziłam, gdy porzuciłam kochankę.

Sporo czasu minęło, zanim się o nas dowiedziała. Wtedy prawo dopuszczało już rozwody, ale zarówno ona, jak i ja doskonale wiedziałyśmy, że Lorenzo nigdy nie zdecyduje się na taki krok. Owszem, uwielbiał mnie, ale za bardzo cenił sobie swoją pozycję. Mój Lorenzo był człowiekiem, który chciał wzbudzać szacunek i podziw. Był genialnym artystą, biznesmenem i prominentnym członkiem weneckiej społeczności. Kochał swoje dzieci i swój dom. Niewykluczone, że i Nandę pokochał.

Byłam na niego zła, że inne rzeczy okazały się dla niego ważniejsze niż ja, więc zaczęłam się spotykać z innymi mężczyznami. Dbałam o to, żeby o tym wiedział. Lorenzo nigdy nic nie mówił, ale przypuszczam, że

łamałam mu serce kawałek po kawałku za każdym razem, gdy pokazywałam się z kolejnym kochankiem. W końcu roztrzaskałam je całkiem, tak jak jego szklaną figurkę.

Kiedy się zabił, usłyszałam od Nandy, że powinnam poczuwać się do winy. Powiedziałam jej, że jest głupia, chociaż miała rację. Lorenzo był przekonany, że mnie traci. Ta myśl była dla niego nie do zniesienia jak wszystkie jego nieudane inwestycje i problemy biznesowe. To był niesamowicie piękny i mądry człowiek, ale czasem dopadała go chandra. Tak to chyba jest z artystami. W każdym razie nigdy nie wierzyłam w to, że odebrał sobie życie, że świadomie postanowił mnie opuścić. Nawet dzisiaj trudno mi zrozumieć, jak mógł coś takiego zrobić.

I tak się przedstawia moja historia, Addolorato, moja smutna historia. Staram się tego nie rozpamiętywać. Wolę wkładać jaskrawe ubrania i wychodzić światu na spotkanie z uśmiechem na ustach. Przeszłości nie da się zmienić, błędów nie da się cofnąć. Mogę tylko żyć dalej. Iść dalej przed siebie i dalej się starać. Nikt z nas nie może nic więcej zrobić.

Coco spodziewała się chyba krytyki z mojej strony. Jakże jednak miałabym ją surowo oceniać, skoro sama poszłam do łóżka z chłopakiem innej kobiety? Doskonale zdawałam sobie sprawę, jak łatwo można narobić bałaganu we własnym życiu. Jednocześnie potrafiłam zrozumieć, dlaczego Valentina nie darzyła jej sympatią.

Nawet przez myśl mi nie przeszło, że to nie jest cała historia. Byłam upojona prosecco i pod zbyt dużym wrażeniem opowieści Coco. Poza tym bez przerwy wynajdywałam podobieństwa jej przeszłości z własnymi doświadczeniami. Obie wyszłyśmy za mąż bardzo młodo. Obie dokonałyśmy wyborów, które trwale wpłynęły na nasze życie.

Resztę historii Coco miałam okazję poznać dopiero podczas przyjęcia – choć ostatecznie musiałam ją sobie poskładać z relacji różnych osób. W rezultacie ja również zostałam strażniczką tajemnicy.

Rozdział 22

Pośród drzew połyskiwały światełka, a powietrze wypełniała muzyka do tanga. Marie-Ann przeciskała się przez tłum, napełniając kieliszki winem. W kuchni Angelo i ja wykładaliśmy jedzenie na półmiski. Po planowaniu i oczekiwaniu w końcu nadszedł dzień przyjęcia.

Coco gdzieś się krzątała. Miała na sobie prostą czarną sukienkę z lejącego materiału, z długimi rękawami i zakrywającą całą szyję. Obie ręce miała obwieszane bransoletkami, a wszystkie palce u dłoni ozdobione pierścionkami. Na głowę nałożyła kolorową przepaskę z piórami.

– Zamierzam zaszaleć – oświadczyła – i nie obchodzi mnie, co kto sobie pomyśli.

Wszyscy goście zdawali się wyznawać podobną filozofię. Przyszli na przyjęcie obwieszeni srebrem i złotem. Powyciągali chyba najlepszą biżuterię i włożyli na siebie, co się dało. Wsłuchując się w odgłosy przyjęcia, odnosiło się wrażenie, że dobrze się bawią. Nawet w oddalonej kuchni słyszałam, jak szum rozmowy stopniowo narasta.

Początkowo miałam zbyt dużo pracy, żeby dołączyć. Siedzieliśmy w kuchni z Angelem i na wyścigi wysyłaliśmy na górę kolejne tace *cicchetti*. Marie-Ann z trudem nadążała z ich roznoszeniem.

– Przestańcie, przecież to śmieszne – wołała do nas. – Nikt tam już nie chce jeść. Muszę ich zmuszać, żeby się częstowali.

Pomogła nam posprzątać, a potem namówiła Angela, żeby zaprosił ją na parkiet. Patrząc, jak pokazuje jej podstawowe kroki tanga, wyobrażałam sobie, że mówi do niej: „Marie-Ann, po prostu podążaj za mną”.

Dość długo tango pozostawało naszą domeną, moją i jego. To ja tańczyłam w jego ramionach, to ja deptałam mu po palcach, tak jak teraz Marie-Ann. Marszczyła czoło, starając się odczytywać sygnały, które jej wysyłało jego ciało.

Ktoś mógłby pomyśleć, że byłam zazdrosna, że poczułam nieprzyjemne ukłucie żalu. Z mężczyznami takimi jak Angelo jest jednak tak, że w tańcu można ich zatrzymać, natomiast gdy muzyka milknie, zaczynają się problemy. Chyba raczej cieszyłam się, że nie jestem na miejscu Marie-Ann... Mimo że tańczyli tango.

Zostali na parkiecie, a ja poszłam szukać znajomych twarzy. Najpierw wypatrzyłam Nandę. Siedziała sama na białym skórzanym fotelu, który przyniósł skądś jeden z przyjaciół Coco. Sprawiała wrażenie zaniepokojonej, jakby nie potrafiła sobie przypomnieć, co właściwie ci wszyscy ludzie robią w jej *palazzo*. Na podłodze obok fotela stała opróżniona do połowy butelka prosecco i pusty kieliszek.

Usiadłam przy niej i chwyciłam ją za rękę.

– Wszystko w porządku?

Ścisnęła mnie tak, że aż mi zgmiotła palce.

– Nando, czy mam panią zabrać na górę? Chyba za dużo tego wszystkiego.

– Nie.

– Na pewno?

– Tak.

Uparcie wpatrywała się w kogoś. Podążyłam wzrokiem za jej spojrzeniem i stwierdziłam, że patrzy na córkę. Valentina najwyraźniej postanowiła cieszyć się tym przyjęciem. Miała na sobie luźną jedwabną, czarną sukienkę. Tryskając taneczną energią, rozmawiała z nieznanym mi mężczyzną.

– Chyba dobrze się bawi – stwierdziłam.

Nanda nie odpowiedziała.

– Przynieść pani coś do picia? – zaproponowałam. – Może wody.

– Nikt nie wie – odezwała się Nanda, cały czas wpatrując się w Valentinę.

– Słucham?

– Nikt nie wie – powtórzyła.

– Co to znaczy? Czego nikt nie wie? – zapytałam.

Spojrzała na mnie z wielkim smutkiem w oczach.

– Nie mogę powiedzieć. Obiecałam.

Uświadomiłam sobie, że jest pod wpływem jakichś emocji. Być

może nie potrafiła sobie poradzić ze stresem, który się wiązał z przyjęciem. A może wypła za dużo prosecco.

– Chyba powinna pani odpocząć – powiedziałam. – Wygląda pani na bardzo zmęczoną.

– Odpocząć? – Spojrzała na mnie z powątpiewaniem. – Potrzeba mi odpoczynku?

– Tak, chodźmy do saloniku. Tam będzie spokojniej.

Pomogłam jej wstać i wyprowadziłam z pokoju. Gdy weszłyśmy na górę, z przyjemnością rozsiadła się w swoim fotelu.

– Masz rację, jestem zmęczona – powiedziała. – Może zamknę na chwilę oczy. Nikt tam nie będzie za mną tęsknić. Na przyjęciach i tak wszyscy zawsze chcą rozmawiać z Coco.

Wiedziałam już co nieco na temat ich przeszłości, więc zrobiło mi się jej żal.

– To na pewno nieprawda.

– Ależ prawda. Ja zawsze byłam tą nudną, a ona tą fascynującą. Nikt nigdy nie potrafił przewidzieć, co szalonego zrobi za chwilę Coco.

– Wyobrażam sobie.

– Były takie czasy, gdy całe życie Coco było jednym wielkim przyjęciem.

– Gdy była mężatką?

– Nie, znacznie później. Gdy urodziła się Valentina. No ale przecież nie można mieć do niej pretensji... – Nanda potrząsnęła głową. – Tak czy owak, nikt o tym nie wie.

Była taka smutna, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie przyprowadzić jej kogoś do towarzystwa. Najpierw otworzyłam okiennice, żeby wpuścić do pokoju trochę świeżego powietrza. Potem pogasiłam światła, zostawiając tylko jedną lampę. Nanda zdążyła w tym czasie zamknąć oczy, jej oddech też się uspokoił.

Wróciłam na dół i odszukałam jej syna Giacoma. Przeciskałam się przez gąszcz tancerzy i tłum imprezujący w korytarzach, aż w końcu trafiłam na niego w ogrodzie. Pił brandy w towarzystwie urodziwej kobiety, która okazała się jego żoną. Nie bełkotał, ale policzki miał zarumienione, a twarz błyszczącą. Powiedziałabym, że był trochę wstawiony.

– Biedna mama – powiedział, gdy przedstawiłam mu sytuację. – To przyjęcie, ci ludzie... Wspominanie przeszłości nie zawsze dobrze robi.

– Teraz śpi, ale może powinien pan do niej później zajrzeć. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej.

– Nie dziwię się – odparł. – Wielokrotnie powtarzałem mojej siostrze, że sprowadzenie tu Coco nie było dobrym pomysłem. Ona zawsze sprowadza na nas kłopoty.

W naturalnym odruchu wystąpiłam w obronie przyjaciółki.

– Niezbyt to uczciwe. Coco darzy pańską rodzinę wielkim uczuciem. Nie mam co do tego wątpliwości. To ona zorganizowała to przyjęcie. Sprzedała swoją najlepszą biżuterię, żeby za nie zapłacić.

– Biżuterię, którą dostała od mojego ojca?

– Tak – przyznałam.

– W takim razie w końcu próbuje naprawić krzywdy, które wyrządziła.

– Na pewno nie chciała nikogo zdenerwować – powiedziałam.

– Miejmy nadzieję. Coco narobiła w przeszłości dość zamieszania.

– Bo miała romans z pańskim ojcem?

– Romans? – Spiorunował mnie spojrzeniem. – Chodziło o coś znacznie poważniejszego. Wiedziała pani, że sprowadził tu kiedyś Coco i że ona mieszkała pod jednym dachem z moją matką?

Byłam zaskoczona.

– Nie, nie wiedziałam.

– Tak. Mieszkała z nami przez kilka miesięcy. Mniej więcej w okresie, gdy przyszła na świat Valentina. Byłem wtedy mały, ale dobrze to pamiętam. Mama bardzo dużo płakała, rodzice często podnosili głos. Jaki człowiek sprowadza swoją kochankę do domu, w którym mieszka jego ciężarna żona?

– Dlaczego pańska matka się na to godziła?

– Pewnie uznała, że nie ma wyjścia. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, skąd się bierze jej lojalność wobec Coco. Można odnieść wrażenie, że całe życie mama jest przywiązana do tej kobiety.

– Przez pewien czas były skłócone – przypomniałam mu.

– Tak, poszło o Valentine. Tak się składa, że tylko o nią się kłóca.

– Naprawdę? Wydawało mi się, że chodzi o sprzedaż pałacu. Że zdaniem Coco należałoby to zrobić, a pańska matka nie chce.

– Nie, kłótnia dotyczyła Valentiny. – Giacomo zdawał się o tym w pełni przekonany. – Że za dużo pracuje, że marnuje swój talent, że robi to, a potrzebuje tamtego... Coco ma bardzo sprecyzowane zdanie na temat mojej siostry.

Wtedy wszystko ułożyło mi się w głowie w całość. Już wcześniej mogłam się zorientować, ale przegapiłam pewne drobne wskazówki. Składały się na jedną wielką prawdę, która nagle stała się dla mnie oczywista.

– O Boże! – powiedziałam bezwiednie.

– Co się stało?

– Właśnie sobie uświadomiłam, że mogłam przypadkiem zostawić zapaloną świecę w pokoju pańskiej matki – skłamałam. – Powinnam iść ją zgasić. Nie chciałabym, żeby wyniknął z tego pożar.

Przeprosiłam Giacomą i jego żonę i pobiegłam na górę ile sił w nogach, zupełnie jakbym się spodziewała, że zasłony zdążyły się już zająć. Oczywiście w pokoju nie paliła się żadna świeca, a Nanda spokojnie spała. Kucnęłam przy niej i lekko potrząsnęłam jej ramieniem.

– Hrabino...

– O co chodzi? – Zamrugła powiekami i otworzyła oczy. – A, to ta kobieta z zagranicy... Co ty tu robisz o tej porze?

Korzystając z tego, że jeszcze się nie rozbudziła, wypaliłam prosto z mostu:

– Valentina jest córką Coco, prawda? Tylko że o tym nie wie.

– Nikt nie wie – powiedziała szybko Nanda. – Nikt nigdy nie może się dowiedzieć.

– Domyśliłam się.

– Nie wierzę ci. – Teraz już patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Mówię prawdę.

Nanda wyglądała na przerażoną.

– Przez te wszystkie lata nikt nie wiedział. Tylko Coco i ja, i mój mąż nieboszczyk.

– Dlaczego nigdy pani nie powiedziała Valentinie?

– Były takie momenty, że chciałam, ale Coco stanowczo się temu sprzeciwiała. Moja przyjaciółka jest bardzo dobrym człowiekiem. Dba o mnie. – Nanda owinęła swoją dłoń wokół mojego nadgarstka i mocno wbiła mi paznokcie w skórę. – Ona mnie kocha.

– Valentinę też kocha – powiedziałam miękko.

– Tak, ale narobiła już dość skandalu i dobrze to rozumie. – Nanda wzięła głęboki wdech, jak gdyby chciała się uspokoić. – Dlaczego Valentina też miałaby przez to cierpieć? Nie tego chciał dla niej Lorenzo. Właśnie dlatego namówił Coco, żeby ją oddała, i dlatego mnie poprosił, żebym ją wychowała jak swoje dziecko. Chciał uniknąć skandalu. Właśnie dlatego nikt nie może o tym wiedzieć.

– Nic nie powiem – obiecałam.

Rozluźniła trochę chwyt.

– Moja córka dorastała w szanowanej rodzinie. Nauczyła się doceniać rodzinne tradycje. Ten pałac, muzeum szkła, nazwisko i nasze miejsce w historii Wenecji, to wszystko należy do niej. Po co jej mówić prawdę i pozbawiać ją tego wszystkiego, zwłaszcza teraz, gdy zakłada rodzinę?

– Rodzinę? – powtórzyłam bezmyślnie. – Valentina będzie miała dziecko?

Wydawało mi się, że byłam wystarczająco zszokowana przebiegiem tego wieczoru. Teraz znów spadła na mnie zaskakująca wiadomość.

Po Valentinie nie było widać, że jest w ciąży. Nie wspomniała o tym. Nawet nie wiedziałam, że w jej życiu jest jakiś mężczyzna.

– Zgadza się. Bardzo się z tego cieszę. – Nanda uśmiechnęła się.

– Czy Angelo jest ojcem?

– Nie, oczywiście, że nie. Na szczęście moja córka skończyła z nim dawno temu. On nie był dla niej odpowiedni. Nie mogliby być razem.

Teraz już się domyślałam dlaczego.

– Ona i Angelo są kuzynami, ale o tym nie wiedzą...

Nanda skinęła potakująco głową.

– Tak, są kuzynami. Teraz na szczęście nie ma to znaczenia. Moja córka związała się ze szklarzem, młodym mężczyzną, wieloletnim znajomym rodziny. Mam nadzieję, że u jego boku czeka ją życie, jakiego

Lorenzo chciał dla swojego dziecka. Angelo też kogoś ma, prawda?

– Chyba tak.

– Uznałyśmy z Coco, że w końcu wszystko dobrze się układa...

W każdym razie mamy taką nadzieję.

– Nie pisnę ani słowa – powtórzyłam obietnicę. – Ani Valentinie, ani Coco, nikomu.

– Czasem bardzo trudno jest dochować tajemnicy. – Hrabina ponownie złożyła głowę na oparciu fotela i zamknęła oczy. – Tajemnice bywają straszne.

Jak się domyśliłam? Coco i Valentina nie były do siebie podobne, ale miały charakterystyczny sposób bycia, niezachwianą pewność siebie. Na prawdę mogła mnie też naprowadzić specyficzna mieszanka krytyki i dumy, którą matki wykazują w stosunku do swoich córek. Coco zawsze miała wyrobione zdanie na temat Valentiny. Giacomo to zauważył, ale nie potrafił tego zinterpretować. Ponieważ Valentina była jej córką, Coco nie mogła patrzeć, jak popełnia życiowe błędy.

Różne inne rzeczy też nagle zaczęły nabierać dla mnie sensu. Rozumiałam już, dlaczego Valentina nie mogła zamieszkać nad Coco. Coco za bardzo by cierpiała, gdyby miała ją tak blisko siebie. Nanda też pewnie by się z tego nie ucieszyła. Rozumiałam, dlaczego moja stara przyjaciółka raz po raz chodzi do opery słuchać występów Valentiny i dlaczego daje znajomym do zrozumienia, że jest jej matką chrzestną.

Usiłując na chwilę uciec od ciągle jeszcze głośniego przyjęcia, poszłam do kuchni. Usiadłam przy stole, żeby chwilę pomyśleć. Czy na miejscu Valentiny chciałabym wiedzieć? Czy na miejscu Coco potrafiłabym milczeć?

Najwięcej myślałam jednak o Nandzie. Przez tyle lat łączyło ją z Coco znacznie więcej, niż się wszystkim wydawało. To musiało wymagać niesamowitej siły. Nanda musiała z wielką determinacją bronić swojej wizji życia. Było mi jej żal i jednocześnie czułam dla niej wielki podziw. Ostatecznie zdołała utrzymać wszystko w tajemnicy.

Nie wiem, jak długo tak siedziałam, pochłonięta kompletowaniem układanki i zupełnie nieświadoma wydarzeń rozgrywających się na górze bez mojego udziału. W końcu przyszedł po mnie Angelo i oznajmił, że pora iść tańczyć.

Kusiło mnie, żeby wyjść do ogrodu, gdzie ciągle jeszcze grała orkiestra, żeby przytulić się do Angela i pozwolić mu, by poruszał moim ciałem wedle własnej woli. Już prawie wstałam i wyciągałam dłoń w kierunku jego ręki, gdy ostatecznie się powstrzymałam. Bynajmniej nie ze względu na Marie-Ann czy mojego męża. Nie kierowały mną aż tak szlachetne pobudki, myślałam głównie o sobie. Angelo nie mógł mi dać tego, czego chciałam.

– Chyba powinniśmy dać sobie spokój z tańcem – powiedziałam.

Był zaskoczony.

– Dlaczego?

– Bo tak będzie najlepiej.

Podszedł do mnie bliżej i oparł się biodrem o stół.

– Zrobiłem coś, co cię uraziło?

Potrząsnęłam głową.

– Nie.

– Jeśli zrobiłem, to przepraszam. Ale przecież jesteś mężatką, Dolly, no i przyjechałaś tu tylko na lato. Nigdy nic więcej z tego nie będzie.

– Niczego więcej nie oczekuję.

Dotknął lekko mojego policzka.

– Może nie zaczynamy tego od nowa – powiedziałam łagodnie.

Angelo cofnął się o krok i przez chwilę wpatrywał się z góry w moją twarz. Potem podszedł do kuchenki. Zaczął podnosić pokrywki i odsłaniać półmiski. Krzątał się po kuchni.

– Mówimy na was *foresti*, wiedziałaś? Tak nazywa się ludzi z zewnątrz, którzy nie mają w Wenecji swojego miejsca, którzy prędzej czy później stąd wyjadą i wrócą do swojego życia.

Słyszałam to słowo.

– Z kobietami takimi jak ty... czy jak Marie-Ann... nie ma sensu decydować się na cokolwiek więcej niż to, co było między nami. W końcu i tak pojedziecie do domu, a żeby związek miał szansę przetrwać, trzeba mieszkać w tym samym mieście. Trzeba oczekiwać od życia tego samego.

– Dlatego rozstałaś się z Valentiną? Bo chciała czegoś innego?

– Valentina? – Z hukiem odstawił garnek na blat. – Ona jest teraz

z jakimś *stronzo* z Murano. Będą mieli dziecko.

– Słyszałam.

– Aż mi się nie chce w to wierzyć. To jakiś nudny szklarz i potrafię łatwo przewidzieć, jakie życie ją czeka: praca, rodzina, prowadzenie ładnego domu i urządzanie przyjęć w weekendy. Ze mną mogłaby mieć znacznie więcej.

– Ale może ona tego właśnie chce.

– Przecież ona pięknie śpiewa i pięknie tańczy. – Z hukiem postawił patelnię na kuchence.

– To, że się coś robi dobrze, wcale nie oznacza, że koniecznie trzeba się tym zajmować – stwierdziłam. – Może ani śpiewanie, ani taniec tak naprawdę nie dają jej szczęścia? Może ona chce tego życia, które tobie wydaje się nudne?

Angelo potrząsnął głową na znak, że nie przyjmuje tego do wiadomości. Podszedł do lodówki i przejrzał jej zawartość. Wyjął miskę z resztkami *baccalà mantecato* i *sarde en saor*, trochę owoców morza i inne produkty. Wyłożył to wszystko na stole obok kilku kromek opieczonogo białego chleba.

– Przyrzędziliśmy dzisiaj mnóstwo różnych potraw, ale sami nie mieliśmy okazji nic zjeść – powiedział. – Pora nadrobić zaległości.

Obserwowałam, jak rozsmarowuje krem z solonej ryby po *crostini*, a potem starannie układa na każdej kromeczce gotowaną krewetkę i małą grzaneczkę.

– Miałaś nadzieję, że ty i Valentina wrócicie do siebie? – dociekałam. – Dlatego jesteś taki zdenerwowany?

– Nie... no może... – Angelo siedział z głową pochyloną nad jedzeniem. – Po prostu nie chce mi się wierzyć, że ona jest z kimś takim. Nie mogę na to patrzeć.

– Przecież nie mogłaś zakładać, że nigdy sobie nikogo nie znajdzie. Angelo wziął łyżeczkę i zaczął starannie wykładać porcje sardyńskiej pasty na pozostałe kawałki chleba.

– Valentine i mnie łączy coś szczególnego. Rozstaliśmy się, ale ta więź pozostała. A teraz mam udawać, że to nic nie znaczy?

Kiedy uniósł wzrok, dostrzegłam w jego oczach łzy.

– Jesteśmy sobie pisani. Powinniśmy być razem. Ten facet nie ma

do niej prawa.

Było mi go szkoda, tak jak było mi szkoda wszystkich osób uwikłanych w historię rozgrywającą się wokół Coco i jej życia miłosnego. Bardzo żałowałam, że nie mogę powiedzieć mu o tym, co naprawdę go łączy z Valentiną. Ale przecież obiecałam. Cokolwiek by się działo, musiałam dotrzymać słowa.

Podsunał mi talerz z *crostini*.

– Jedz. Na pewno jesteś głodna, a to wszystko się zmarnuje, jeśli ktoś tego nie doje.

Sama się sobie dziwiłam, ale apetyt mi dopisywał. Podczas gotowania byłam zbyt zajęta, żeby zajmować się czymkolwiek poza sprawdzaniem smaku potraw. Teraz jadłam łapczywie, wgryzając się w *crostini*. Pasta *baccalà mantecato* była smaczna i sycąca. Sardynki doprawione octem miały wyrazisty smak.

Angelo wrócił do lodówki i przyniósł kolejne resztki, tym razem ostry kozi ser obtoczony w popiele, kruche kawałki papryki grillowanej bez skórki, miękkie rozmarynowe klopsiki i małe tarty z pikantnym nadzieniem, doprawione wyrazistą *salsa verde*.

– Jesteś na mnie zła? – zapytał, gdy już się najadłam. – Uważasz, że niewłaściwie cię potraktowałem?

– Nie, bynajmniej. Dobrze się bawiliśmy i moglibyśmy pozostać przyjaciółmi.

– Świetnie. – Kawałkiem chleba gonił po talerzu pasek czerwonej papryki. Uśmiechnął się. – Bardzo cię lubię, wiesz?

Ja też go lubiłam, tylko że cały wieczór słuchałam opowieści o tym, jak dwie kobiety poświęciły się dla ukochanej córki, i w rezultacie zaczynałam inaczej patrzeć na swoje życie. Słowa Nandy kazały mi się zastanowić, jak wiele rzeczy uważam w życiu za oczywiste. Zaczęłam myśleć o tym wszystkim, co tego lata porzuciłam. Po raz pierwszy nie potrafiłam znaleźć żadnego uzasadnienia dla swojej decyzji. Spojrzałam na siebie jej oczami... i dostrzegłam swoją słabość.

Widziałam tylko jedno rozwiązanie. Musiałam ściągnąć Katię do Wenecji. Zamierzałam błagać Edena, aż go złamię. Potem resztę lata spędzę z córką. Będziemy robić to wszystko, co zaplanowałam, a nawet więcej. Będziemy się raczyć *gelato*, spacerować Mostem Westchnień,

pływać gondolami. Spróbuję ją naprawdę poznać, jako człowieka, a nie tylko jako moje dziecko. Ona zaś będzie miała okazję zobaczyć we mnie kogoś innego niż tylko wiecznie zabieganą matkę, z którą ma do czynienia na co dzień. Wywieziemy stąd wiele dobrych wspólnych wspomnień.

Jeśli miałyby to oznaczać, że przestanę chodzić wieczorami na milongi, nie wezmę udziału w pokazie tanga i nie spotkam się już z Angelem, to trudno. Niech tak będzie. Nie potrafiłam rozbudzić w sobie poczucia winy z powodu tego, do czego doszło między nami, ale wiedziałam, że pora z tym skończyć, zanim – jak Coco – stracę to, co naprawdę w życiu się liczy.

Tamtego wieczoru tańczyłam, ale nie z Angelem. Najpierw moim partnerem został Silvio, a potem jego miejsce zajął drugi przyjaciel Coco, Marcello. Potem miałam okazję tańczyć z kilkoma innymi mężczyznami, których znałam, i z kilkoma, których nigdy wcześniej nie spotkałam. Każdy miał mi do zaproponowania inny rodzaj tanga, a ja za każdym razem pozwalałam się prowadzić.

Wieczór powoli zbliżał się ku końcowi. Angelo i Marie-Ann gdzieś zniknęli, podobnie jak wielu innych gości. Najdłużej zostali ci najstarsi, białowłose kobiety w sztywnych taftach i przygarbieni mężczyźni wspierający się na laskach zakończonych srebrną rączką. Pewnie zdawali sobie sprawę, że dla nich to może być ostatnie takie przyjęcie, a w związku z tym chcieli się nim w pełni nacieszyć.

Coco była w swoim żywiole, znajdowała się w samym centrum wydarzeń. Flirtowała z mężczyzną w niebieskim smokingu z szerokimi klapami wykończonymi aksamitem, który zapewne pamiętał jeszcze lata siedemdziesiąte. Śmiała się dźwięcznie, odrzucając głowę do tyłu. Wiedziała, że na nią patrzę. Właśnie tego oczekiwała.

W słabym świetle, które ukrywało niedoskonałości jej pomarszczonej skóry, łatwo było dostrzec w niej Coco sprzed kilkadziesiątu lat. Stałaby w tym samym stroju wśród artystów i szklarzy i świetnie by się bawiła, racząc ich swoim celnym dowcipem i zaraźliwym śmiechem.

Teraz wiedziałam, że w tym samym miejscu rozegrały się jednak również smutne wydarzenia. Coco chowała się za murami *palazzo*, by

ukryć ciążę, a potem oddała dziecko. Popęłniła w swoim życiu wiele błędów, za które potem musiała słono zapłacić. Miałam nadzieję, że mam szansę uniknąć podobnego losu.

W końcu przyjęcia nie dało się już dłużej ciągnąć, ale Coco uznała, że noc jest ciągle jeszcze młoda. Chwyciła pełną butelkę prosecco i namówiła Marcella, aby zabrał nas swoją wodną taksówką w rejs po kanałach, podczas którego moglibyśmy wypić wino.

Było gorąco, a nad stojącą wodą unosił się przykry zapach, na który ludzie często się skarżą. Gdy się mieszka w Wenecji, można się do niego przyzwyczaić, ale musiał być wyjątkowo silny, skoro nawet Coco zwróciła na niego uwagę. Przysłuchiwałam się, jak wraz z Marcellem i Silviem narzekają na statki wycieczkowe, które blokują ich lagunę, i na *foresti* zapychających wąskie uliczki – na to, że ich miasto wpada w ręce obcych. To jeden z ulubionych tematów poruszanych przez weneccjan, a rozmowy zawsze przebiegają w podobny sposób. Żadne z nich nie oczekiwało, że dodam coś od siebie. W końcu byłam przyjezdna i wkrótce miałam wrócić do swojego świata, jak stwierdził Angelo.

Wiedziałam, że gdy z końcem lata opuszczę Wenecję, będzie mi tego wszystkiego brakować – tego miejsca i tych ludzi. Będę tęsknić za wodą i za tym, jak zmienia kolor z niemal szarego rano na lśniący zielony, a potem prawie całkiem czernieje w nocy. Będę tęsknić za wrażeniem unoszenia się na wodzie, które ogarniało mnie za każdym razem, gdy kładłam się do łóżka i zamykałam oczy. Będę tęsknić za uliczkami tak wąskimi, że czasami trzeba się ustawić bokiem, by nimi przejść. Będę tęsknić za widokiem gondolierów, którzy przesiadują na moście i wydają się nigdy nie pracować, za to zawsze wzdychają i z nadzieją wołają *buongiorno*, a także za urokliwymi mostami i skąpanymi w słońcu *campi*, no i za majestatycznym Canale Grande. Przede wszystkim jednak będę tęsknić za tymi chwilami, gdy zmęczona ludźmi i całym dniem chodzenia dostrzegę charakterystyczny metalowy dziób gondoli gdzieś za rogiem, gdzie w ogóle nie spodziewałam się zobaczyć wody – i nagle sobie uświadomię, że Wenecja po raz kolejny mnie zaskoczyła.

Lista szczęścia Addoloraty

Przebywanie w miejscu otoczonym wodą: kanałami, morzem, jeziorami czy choćby fontannami. Szum płynącej wody, światło odbijające się od jej powierzchni. Zanurzanie się w wodzie i unoszenie na wodzie.

Rozdział 23

Od czasu przyjęcia dni płynęły mi szybciej, niżbym sobie tego życzyła. Większość czasu upływała mi na tym, co dotychczas. Wyprowadzałam Borisa na spacer i dotrzymywałam towarzystwa hrabinie. Robiłam zakupy na targu Rialto. Raz udało mi się namówić Coco, żeby pojechała ze mną na Lido. Brodziła w błotnistej wodzie, osłonięta od stóp do głów. Zabrałam ją na lunch, uraczyłam też kolacją.

Ciążyło mi to, że znam prawdę o jej życiu. Najtrudniej przychodziło mi milczenie. O tyle różnych rzeczy chciałam zapytać, tyle chciałam powiedzieć. Nie miałam komu zwierzyć się z tego, że dostrzegłam podobieństwo między Coco a Valentiną. Jeśli moja przyjaciółka wydawała się przygnębiona, mogłam się tylko domyślać powodów. Cały czas miałam na końcu języka ten wielki sekret, który przez lata skrywały z Nandą. Nie mogłam jednak powiedzieć Coco, że wiem. Ona nie chciała mi zdradzić tej tajemnicy i obawiałam się, że mogłaby mieć pretensje do Nandy, że przyczyniłoby się to do kolejnej kłótni między nimi. A przecież ostatnio dobrze się dogadywały.

Za swoją misję uznałam więc pomagać w taki sposób, żeby Coco się nie zorientowała. Kupowałam bilety do opery, byśmy mogły posłuchać Valentiny. Urządzałam kolacje w *palazzo*, byśmy mogły usiąść do posiłku wokół kuchennego stołu jak rodzina. Serwowałam proste posiłki, na przykład miejscową rybę w świeżych ziołach z lekką sałatką albo mięsne szaszłyki z dodatkiem kremowej polenty, ale ich przyrządzanie zawsze sprawiało mi przyjemność. Moje gotowanie miało sens. Chodziło w nim nie tylko o to, żeby nakarmić ludzi, ale także o to, aby ich do siebie zbliżyć.

Niewykluczone, że Nanda zapomniała o tym, co mi powiedziała. Nigdy więcej nie wróciła do tematu, a po przyjęciu pozostało w jej głowie tylko mgliste wspomnienie, które mieszało się z obrazami z innych podobnych uroczystości z dawnych czasów.

Pewnego wieczoru Valentina przysłała mi pomoc, gdy sprzątałam

po kolacji. Zostałyśmy w kuchni same, skrobałyśmy i wycierałyśmy naczynia.

– Będzie nam ciebie brakować, gdy wyjedziesz z końcem lata – powiedziała. – Moja matka bardzo cię polubiła. Dużo o tobie mówi.

To zdanie mnie zaintrygowało.

– A co takiego mówi?

– Dużo mówi o tym, co jej gotujesz do jedzenia. Chętnie mi opowiada, co jadła danego dnia. Na początku sądziłam, że zmyśla. Trudno mi było uwierzyć, że ktoś zupełnie obcy będzie skłonny tyle dla nas zrobić.

Valentina polerowała błękitne kieliszki. Należały do kolekcji szkła z Murano, ale Nanda nalegała, byśmy zaczęły używać ich na co dzień.

– Mama chyba nigdy wcześniej nie miała do czynienia z przyjezdnymi. Zastanawia się, jak wygląda twoje życie w Anglii, gdzie mieszkasz i dlaczego jesteś tutaj, a nie ze swoją rodziną. Odpowiadam jej, że nie wiem i że też mnie to czasem dziwi.

Nie miałam ochoty nawet zastanawiać się nad tym, co musiałabym jej powiedzieć, żeby to wszystko wyjaśnić. Ograniczyłam się więc do stwierdzenia:

– Zrobiłam sobie trochę wolnego. Tylko na okres lata.

– Mnie się to wydaje dziwne. Tak bardzo się zaangażowałaś w życie naszej rodziny, a my niewiele o tobie wiemy. Tylko tyle, ile powiedziała nam Coco. – Widząc moją minę, Valentina dodała pospiesznie: – Nic się nie martw, nie plotkowała. Powiedziała tylko, że twoje małżeństwo przechodzi trudniejszy okres.

– Tak, to prawda.

– Ale dlaczego przyjechałaś tutaj i związałaś się z nami, skoro masz własne problemy? – dociekała Valentina. – Gdybym ja planowała lato wolne od wszystkiego, to zdecydowałabym się na leżenie na plaży, a nie na opiekę nad dwiema starszymi kobietami.

Gdybym miała być z nią całkiem szczerą, mogłabym jej powiedzieć, że z cudzymi problemami zawsze łatwiej sobie poradzić, że często pomagają oderwać się od rzeczywistości, a nawet przynoszą ulgę. Powiedziałam jednak:

– Sprawia mi to przyjemność. One są ciekawe.

Kieliszki i talerze trafiły na swoje miejsce, a patelnie obciekały na suszarce. Valentina przewiesiła wilgotną ścierkę przez krawędź zlewu i odwróciła się do mnie, żeby posprzątać kilka ostatnich rzeczy.

– Tego lata spędziłaś też dużo czasu z Angelem – zauważyła.

– Dopóki uczył mnie tańczyć tango. Teraz to się skończyło.

– Czyżby jego nowa dziewczyna się temu sprzeciwiała?

– Po prostu miałam dość.

– Ta jego nowa dziewczyna, Marie-Ann, była na moim przyjęciu, prawda? Obserwowała go.

– Przyszła pomóc. Ja ją o to poprosiłam.

– Pewnie się martwiła, że on ciągle może być zakochany we mnie.

– Valentina nalała wody do dwóch szklanek, po czym jedną podała mnie. – Niewykluczone, że jest, ale nie mam przecież wpływu na jego uczucia. Nigdy nie miałam. Tak to już z nim jest. Chodzi własnymi ścieżkami i oczekuje, że będzie się podążać za nim, i to bynajmniej nie tylko w tangu.

– A ty nie chciałaś za nim podążać? W każdym razie nie do Buenos Aires.

– Wydawało mu się, że mnie namówi do zmiany zdania. Że nie będę chciała go stracić albo może że zależy mi na tych konkursach i występach tak jak jemu. Ale prawda wyglądała inaczej.

– Nie żałujesz tej decyzji?

– Absolutnie nie – zapewniła. – Mam to, czego chcę. Mam mężczyznę, który mnie kocha i który pozwala mi dokonywać własnych wyborów. Mężczyznę, który nie traktuje mnie tak, jakbym stanowiła jego własność. Mamy takie same priorytety, marzy nam się taka sama przyszłość. Z Angelem nigdy to tak nie wyglądało. Możesz to powiedzieć jego przyjaciółce, jeśli chcesz. Życz jej powodzenia z nim.

Wracając tamtego wieczoru do domu Strada Nuova, doszłam do wniosku, że Valentina ma rację. Tak bardzo zaangażowałam się w życie rodziny Viadrów, że moi bliscy zaczęli mi się wydawać obcy. Od czasu przyjęcia starałam się to zmienić. Dzwoniłam do domu raz albo dwa razy dziennie, odnowiłam kontakt z córką i próbowałam porozumieć się z mężem.

Powoli robiliśmy postępy. Zaczęliśmy wyznaczać konkretne daty.

Eden powiedział, że mógłby wysłać do mnie Katię pod koniec lipca. Trochę mnie to rozczarowało, ponieważ ominęłoby ją hucznie obchodzone Festa del Redentore, a sierpień nie był najlepszą porą, żeby poznawać uroki Wenecji. W sierpniu większość mieszkańców wyjeżdża na wakacje, by uciec przed skwarem. Nie chciałam jednak za bardzo naciskać, żeby Eden się nie rozmyślił.

Pomyślałam, że jeśli w Wenecji zrobi się za gorąco, to pojedziemy z Katią do domu moich rodziców na wybrzeżu Basilicata, ściągniemy tam resztę rodziny i namówimy Coco do przyjazdu. Snułam rozmaite plany, układałam najróżniejsze listy. Byłam dla Edena tak miła, jakby to była dla mnie kwestia życia i śmierci.

Coco nie wykazała większego zainteresowania informacją, że może do mnie przyjechać córka. Chciała rozmawiać tylko o Festa del Redentore. Już postanowiła, w co się ubierze, ale ciągle jeszcze nie dostała zaproszenia na żadne z przyjęć organizowanych na łodziach pływających po wodach laguny, co napawało ją wyraźnym niepokojem.

Zastanawiałam się, czy nie mogłybyśmy popłynąć z Marcellem jego taksówką wodną, ale ona szybko odrzuciła ten pomysł. Twierdziła, że święto trzeba spędzić na znacznie większej łodzi, w jakimś eleganckim miejscu, gdzie nie będzie tłumów hałaśliwej młodzieży.

– Dawniej mogłam przebierać w zaproszeniach – uskarżała się – ale wszyscy moi starzy znajomi albo poumierali, albo zrobili się nudni.

Coco każdego dnia przedstawiała mi inny plan. Być może Roberto wie, na jakie przyjęcie mogłybyśmy pójść? A może któryś z pozostałych jej przyjaciół coś zaproponuje? Czym prędzej chwyciła za słuchawkę, ale potem wracała przygnębiona. Roberto miał zamiar świętować ze swoją rodziną. Jeden z jej dawnych partnerów nie czuł się najlepiej, a inny sprzedał łódź.

– A może usiądziemy na Riva degli Schiavoni? – zasugerowałam.
– Mogłybyśmy przygotować kosz piknikowy i stamtąd obejrzeć fajerwerki. Valentina mówiła, że wiele osób tak właśnie robi.

– Ale nie ludzie tacy jak my – upierała się Coco.

Święto zbliżało się wielkimi krokami, a ona dąsała się coraz bardziej. W końcu oznajmiła, że w ogóle nie zamierza zaprzętać sobie tym głowy.

– Tyle razy już w tym uczestniczyłam. Czy jeden więcej robi różnicę?

– Ale ja chciałabym pójść – powiedziałam. – Wszyscy o tym mówią. Fajerwerki mają być w tym roku wyjątkowo piękne.

Coco udawała brak zainteresowania.

– Idź, jeśli chcesz – odparła. – Ja cię nie zatrzymuję.

Ostatecznie zadzwoniłam do Marie-Ann, żeby zapytać, czy może nam pomóc. Okazało się, że ma bilety na przyjęcie, które sprawiało wrażenie ekskluzywnego. Obiecała nam też załatwić. Nie były tanie, ale cena obejmowała kolację i wstęp na jedną z imprez organizowanych w hotelu po zakończeniu głównych obchodów. Mina Coco, gdy jej o tym powiedziałam, utwierdziła mnie w przekonaniu, że warto było się zdecydować na taką ekstrawagancję.

– Ta łódź? Naprawdę? Znam ją. Co roku odbywa się tam przyjęcie. Bardzo eleganckie. Bilety są podobno nieosiągalne.

– Skoro Marie-Ann obiecała, to je zdobędzie.

– W takim razie musimy jeszcze raz zastanowić się nad wyborem strojów.

Coco zniknęła w pokoju, w którym znajdował się jej skarbiec z ubraniami, i zamknęła za sobą drzwi. Zapadła cisza, którą przerywały tylko odgłosy upadających ubrań i mamrotanie. W końcu wróciła z naręczem sukni wieczorowych, niektóre były jasne, inne wyszywane koralikami, jeszcze inne wykonane z lejającej się satyny albo jedwabiu.

– Szkoda, że sprzedałam brylanty – powiedziała, odkładając ubrania na stół w kuchni. – Byłaby okazja, żeby je założyć. No cóż...

Trudno było mi uwierzyć, że przyjęcie na łodzi może mieć aż tak formalny charakter, ale postanowiłam nie dyskutować. Pozwoliłam Coco wybrać dla mnie zwiewną szyfonową suknię w kolorze koralowym i wsunąć mi na palce kilka pierścionków z dużym oczkiem.

Podczas dobierania strojów Coco cały czas rozwodziła się na temat różnych przyjęć, w których miała okazję uczestniczyć podczas Festa del Redentore. W każdej relacji pojawiał się jakiś mężczyzna, który był w niej zakochany i któremu ona ostatecznie łamała serce. Nie umiałam stwierdzić, ile prawdy jest w tych opowieściach.

– Ta Festa nie będzie taka jak tamte – zakończyła z westchnieniem.

– Niemniej łódź na pewno będzie się prezentować pięknie, a rano przejdziemy się mostem pontonowym, który zostanie zbudowany na potrzeby przeprawy na Giudeccę. Na miejscu kupimy bilety na loterię kościelną i kandyzowane orzechy w torebkach. Tak zawsze świętowaliśmy z rodzicami, gdy byłam dzieckiem. Wyczekiwałam tego dnia. Festa del Redentore to był dla mnie symbol dobrej zabawy. Cała Wenecja wychodzi wtedy na ulice, wszyscy są kolorowo ubrani.

Dowiedziałam się od Coco, że podczas tego święta Wenecja wspomina zakończenie epidemii dżumy, która nawiedziła miasto setki lat temu. Powiedziała też, że w ramach obchodów odbywa się również msza i regaty gondolierów.

– Największe zainteresowanie budzą oczywiście fajerwerki, więc w sobotni wieczór laguna zapełni się łodziami i barkami. Wszędzie będą się odbywać przyjęcia, atmosfera będzie niesamowita.

Miałam wątpliwości co do koralowej, szyfonowej sukienki, bo kolor mi nie odpowiadał. Coco uparła się jednak.

– Jeśli tylko użyjesz odpowiedniej szminki i upniesz włosy, będziesz wyglądać idealnie – oświadczyła. – Ta sukienka prezentuje się na tobie znacznie lepiej niż kiedykolwiek na mnie.

– A kiedy ją nosiłaś? – zastanawiałam się. – Kupił ci ją Lorenzo?

– Nie, dostałam ją od innego mężczyzny, bardzo dobrego przyjaciela. Nie wydaje mi się, żebym miała ją jeszcze kiedyś włożyć, więc możesz ją sobie zatrzymać, Addolorato.

– Dziękuję, ale nie skorzystam. W domu nie miałabym jej gdzie nosić. Zupełnie nie pasuje do życia, które tam prowadzę.

– W takim razie powinnaś zmienić swoje życie – stwierdziła dosadnie Coco.

– Obawiam się, że ono się zmieni, czy mi się to podoba, czy nie – przyznałam. Staralam się o tym za dużo nie myśleć. Pewnie po prostu nie chciałam się pogodzić z rzeczywistością, ale prędzej czy później nie będę miała innego wyjścia.

– To wtedy sobie stworzysz nową rzeczywistość – usłyszałam od Coco. – Mnie się udało. Wiele lat temu stałam się takim człowiekiem, jakim chciałam być. Od tamtej pory sama decyduję o tym, co będę robić, dokąd pójdę i z kim. Sama nadaję kształt swoim dniom. Innym

pozwalam się prowadzić tylko w tangu.

– Ale jak ci się to udało? Z czego się utrzymujesz? – To była jedyna rzecz, której dotychczas nie udało mi się ustalić.

– Lorenzo kupił dla mnie ten dom i dał mi trochę pieniędzy. Odtąd jestem na swoim i żyję jak kobieta niezależna.

– Ale przecież pieniądze od Lorenza musiały się w którymś momencie skończyć.

Coco wymamrotała coś niezrozumiałego.

– Z czego się utrzymujesz? – naciskałam. – Wiem, że jesteś bardzo zaradna, ale przecież musisz płacić rachunki jak wszyscy ludzie.

Coco milczała przez chwilę, po czym powiedziała:

– Byli też inni mężczyźni, którzy doceniali mnie tak jak Lorenzo. Nagle do mnie dotarło.

– Chcesz powiedzieć, że dawali ci prezenty? Że dawali ci pieniądze?

– Nigdy niczego mi nie brakowało. Nigdy też nie robiłam nic wbrew sobie. Jeśli kochałam się z mężczyzną, to tylko dlatego, że sama tego chciałam – oznajmiła z godnością.

Wpatrywałam się w nasze odbicia w dużym lustrze wiszącym na jednej ze ścian. Wyglądałyśmy trochę tak, jakbyśmy wyszły na chwilę z przyjęcia odbywającego się gdzieś w pokoju obok, żeby chwilę spokojnie porozmawiać.

– Masz za sobą nadzwyczajne życie, Coco – powiedziałam.

– Pod pewnymi względami tak. Mam nadzieję, że czeka mnie jeszcze wiele nadzwyczajnych momentów.

– Ja też – przytaknęłam.

Podobno Wenecja tonie. Jeśli to prawda, to aż się dziwię, że nie zapadła się jeszcze kilka centymetrów pod ciężarem wszystkich ludzi, którzy licznie wylali się na ulice z okazji Festa del Redentore. Coco nalegała, żebyśmy wyszły wcześniej. Teraz już rozumiałam dlaczego. W eleganckich strojach przeciskałyśmy się przez tłum, żeby przy placu Świętego Marka wsiąść na pokład łodzi, na której odbywało się przyjęcie.

Znajomi i krewni zbierali się na brzegach laguny, by wspólnie piknikować. Rozsiadali się na rozkładanych krzesłach i ustawiali wokół

siebie połowę wyposażenia kuchni: patelnie z makaronami, tace z mięsem i warzywami, talerze pełne owoców i miski pełne orzechów.

W tym samym czasie rzesze hałaśliwych młodych ludzi upijały się przy dźwiękach muzyki dudniącej z głośników na statkach i barkach unoszących się na wodzie.

Coco zmarszczyła się na ten widok.

– Upijają się i skaczą do laguny, żeby się schłodzić. Potem przypląwa po nich wodna policja i zabiera ich na noc gdzieś do celi. Tak sobie wyobrażają imprezowanie.

Dzięki biletom od Marie-Ann mogłyśmy wsiąść do większej łodzi, na której zgromadziło się bardziej eleganckie towarzystwo. Wśród gości przemykali kelnerzy z szampanem i zakąskami, a kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, pokład rozbliśnieł dyskretnymi światełkami. Wystroiliśmy się nieco przesadnie, ale Coco miała rację, że mogłaby na to przyjęcie założyć brylanty.

Marie-Ann pojawiła się w towarzystwie Angela. Ucieszyłam się na jego widok. Brakowało mi naszych spotkań. Tęskniłam za wspólnymi lekcjami, za tańcem i za towarzyszącymi mu emocjami. Nie żałowałam jednak swojej decyzji. Spędziliśmy razem jedną noc i zdołaliśmy utrzymać to w tajemnicy, ale właśnie zaczynałam rozumieć, że tajemnice to kłopotliwa sprawa i nie potrzebowałam mieć ich więcej.

W pewnym momencie, gdy Angelo nie patrzył, Marie-Ann spojrzała na mnie i uniosła brwi. Zastanawiałam się, czy w końcu mieli okazję poważnie porozmawiać. Jeśli tak, liczyłam na to, że Marie-Ann faktycznie odnalazła w sobie całą siłę, którą dostrzegła w niej Coco. Wydawało mi się, że będzie jej potrzebować.

Tej nocy nikt nie tańczył, na łodzi panował zbyt duży ścisk. Rozbrzmiewały natomiast muzyka i rozmowy, dobiegały nas też odgłosy z innych przyjęć. Mogliśmy obserwować światła statków unoszących się na wodzie, żółte latarnie rozwieszane wzdłuż mostu pontonowego. Widzieliśmy też Giudeccę w oddali i piękną lagunę wokół nas.

Gdy kościelne dzwony wybiły północ, noc rozświetliła się fajerwerkami. Czarne niebo zalał barwny deszcz, raz układający się w kształt serca, kiedy indziej przypominający ogon smoka. Raz po raz rozlegały się wybuchy i trwało to co najmniej pół godziny.

Obserwując ten spektakl z uniesioną głową, rozmyślałam o majestatycznej starej Wenecji, która ma swoje dobre, ale też złe strony. Tu tłumy i turystyczna tandeta, tam nieco podupadły blichtr. Tu stęchły zapach wąskich uliczek, tam rozległy Canale Grande. Tu żebracy rozłożeni na ulicach, tam kierowcy taksówek wodnych o wyglądzie gwiazd filmowych.

W tym mieście można być szczęśliwym albo nieszczęśliwym tak jak w każdym innym miejscu. Wpatrując się w światła rozbłyskujące na niebie, pomyślałam, że Coco ma rację. Każdy sam decyduje o tym, w którą stronę pójdzie. Każdy tworzy siebie sam.

Byłyśmy zbyt zmęczone, żeby pójść na kolejne przyjęcie, pożegnałyśmy się więc z Marie-Ann i Angelem, po czym zanurzyłyśmy się w świętujący tłum.

Kładąc się do łóżka, zauważyłam, że mój telefon leży obok na stoliku. Uświadomiłam sobie, że go tu zostawiłam na cały wieczór. Spojrzałam na ekran, żeby sprawdzić, czy ktoś do mnie dzwonił. Wyświetliło się dziesięć nieodebranych połączeń, wszystkie od Piety. Znalazłam też SMS, że mam się z nią jak najszybciej skontaktować bez względu na porę, bo chodzi o coś pilnego.

Rozdział 24

Zdarzył się wypadek. Na początku myślałam, że chodzi o Katię, i poczułam niemal ulgę, gdy się dowiedziałam, iż to Eden ucierpiał. Pieta wyjaśniła mi wszystko przez telefon. Starła się zachować spokój, ale głos jej się trząsał.

– Nie wiemy, co się stało. Eden chyba wszedł na rusztowanie, gdy robotnicy poszli już do domu. Ostatnio denerwował się, że remont postępuje powoli. Powtarzaliśmy mu, że ma się tym nie przejmować, ale i tak robił sobie wyrzuty. W każdym razie wszedł na górę i spadł... Z dość dużej wysokości. Michele znalazł go, gdy pojechał zobaczyć, jak idzie praca.

– Wszystko z nim w porządku? – zapytałam, spodziewając się odpowiedzi twierdzącej. Wydawało mi się, że różne złe rzeczy przytrafiają się innym, ale nie mnie.

– Jeszcze nie wiadomo. Jest dość mocno posiniaczony i poobijany, ale lekarze mówią, że największy problem stanowią obrażenia głowy.

Zacząłam zasypywać Pietę pytaniami, ale nie potrafiła udzielić mi zadowolającej odpowiedzi na żadne z nich.

– Za wcześnie, by cokolwiek powiedzieć – powtarzała. – Jest nieprzytomny i niewiele wiadomo. W każdym razie powinnaś wracać. Michele rezerwuje ci bilet na lot wczesnym rankiem. Musisz tylko dotrzeć na lotnisko, okej?

Ubrałam się i wrzuciłam do torby jakieś przypadkowe rzeczy. Napisałam krótki liścik do Coco i w pośpiechu wyszłam z budynku. *Calli* ciągle były pełne ludzi w imprezowych nastrojach, ale wystarczyło im jedno spojrzenie na moją minę, żeby usunąć mi się z drogi.

Wśród tłumów dominowali Włosi, którzy zapewne przyjechali na święto z Mestre i odleglejszych miejsc. Wkrótce mieli wracać do domu, wypełniając do granic możliwości promy, pociągi i autobusy... tak więc komunikacja będzie działać z opóźnieniem. Wpadłam w lekką panikę. Zatrzymałam ludzi, którzy sprawiali wrażenie miejscowych. Zapytałam,

gdzie najłatwiej złapać wodną taksówkę.

– Niech pani spróbuje w okolicach dworca kolejowego. –
Na twarzy mężczyzny malowało się powątpiewanie. – Przykro mi, signora, ale dzisiaj może być ciężko... Festa... Tłumy... Łodzie blokują drogi.

Już mieli iść w swoją stronę, gdy nagle dostrzegli w świetle latarni moją twarz – i zapewne łzy w moich oczach.

– A dokąd musi pani dotrzeć, signora? – zapytała kobieta.

– Muszę się dostać na lotnisko. Mam samolot wczesnym rankiem. To nagła sprawa – łkałam. – Mój mąż miał poważny wypadek. Musi istnieć jakiś sposób, żeby się szybko wydostać z Wenecji.

– Proszę iść z nami, signora. Mamy łódź. Zawieziemy panią.

To była mała motorówka, więc nie poruszaliśmy się ze szczególnie dużą prędkością. Przepychaliśmy się przez bardzo zatłoczone kanały, ciesząc się, że w ogóle udaje nam się płynąć przed siebie.

Kobieta cały czas rozmawiała ze mną, wypytywała o mój pobyt w Wenecji. Chciała wiedzieć, gdzie mieszkałam i czym się zajmowałam. Próbowałam jej odpowiadać możliwie grzecznie, ale kosztowało mnie to dużo wysiłku. Myślałam tylko o tym, żeby dotrzeć na lotnisko, wsiąść do samolotu i wrócić do domu. Nie miałam ochoty przesiadywać na łodzi i opowiadać o tym, że owszem, widziałam Kolekcję Peggy Guggenheim i zwiedziłam Pałac Dożów.

Podróż powrotna do Londynu zdawała się trwać trzy razy dłużej, niż powinna. Oczekiwanie na lotnisku, kolejka do odprawy i kontroli bezpieczeństwa, godziny bezczynności w powietrzu... Spanikowana i zmartwiona, rozmyślałam o tym, co może się stać najgorszego i że Eden może umrzeć.

Jak Katia i ja miałybyśmy żyć bez niego? Jak taki świat w ogóle mógłby istnieć? Dotychczas skupiałam się na jego irytujących cechach. Nie miałam okazji przedstawić go z drugiej strony – jako łagodnego i życzliwego człowieka, zabawnego i troskliwego mężczyznę. Nie wspominałam o uroczych drobnostkach. Na przykład o tym, że ratuje pająki i wyrzuca je za okno. Nie opowiadałam o tym, jak kiedyś piskłę wypadło z gniazda, a on przez godzinę budował rampę, żeby umożliwić mu bezpieczny powrót na górę. Ostatniego lata obsiał trawnik

słonecznikami, bo wiedział, że lubię te kwiaty. Robi różne dziwne rzeczy, które bawią i mnie, i Katię. Odgrywa sztuczki, opowiada fatalne dowcipy. Nie znam drugiego tak pomocnego człowieka. Jeśli szukasz kogoś, kto pomógłby ci w przeprowadzce całego domu, zajrzał do twojej chorej matki albo odebrał cię z drugiego końca miasta, bo uciekł ci ostatni autobus i właśnie wydałeś pieniądze, które przydałyby się na taksówkę, Eden stanie na wysokości zadania bez słowa zająknięcia. To jest po prostu miły facet. Właśnie dlatego za niego wyszłam. Potem dopuściłam do siebie zgorzknienie i żal i zapomniałam o tym wszystkim. Ale w drodze powrotnej do domu myślałam tylko o tym.

Później, gdy wspominałam tamtą noc, miałam wrażenie, jakbym została siłą wyrwana z Wenecji. Pamiętałam podróż lotniczą i poczucie samotności, niepewności. Pamiętałam życzliwość obcych mi ludzi – nie tylko do pary, która dysponowała łodzią, ale też mężczyzny, który podał mi chusteczkę, żebym mogła otrzeć łzy, i kobiety, która przyniosła mi butelkę wody i kubek ze słodzoną kawą. W tych wspomnieniach widziałam już jednak tylko niewyraźne zarysy postaci przemawiających do mnie ze współczuciem. Nie wiem nawet, czy udało mi się im odpowiednio podziękować.

W hali przylotów czekał na mnie szwagier Michele. Na widok znajomej twarzy poczułam wielką ulgę, mimo że była blada i spięta.

– Tak mi przykro, Dolly – powiedział, obejmując mnie ramieniem. – Okropnie się czuję. Żałuję, że w ogóle go poprosiłem, żeby się zajął tym budynkiem. To od początku była jedna wielka katastrofa, a teraz jeszcze to.

W drodze do szpitala przyglądałam się Michele, jak siedzi żałośnie skulony za kierownicą. Znałam go od lat. Miałam okazję obserwować, jak jego ciemne włosy siwieją i jak traci urodę z powodu zmęczenia i ciężkiej pracy. Teraz wyglądał, jakby mu przybyło dziesięć lat, odkąd ostatnio się widzieliśmy.

– Mam wyrzuty sumienia... – powtarzał. – Wydaje mi się, że to moja wina.

Mnie samą dręczyło tak wielkie poczucie winy, że nie potrafiłam powiedzieć nic, co mogłoby go podnieść na duchu. Gdybym tak nie dręczyła Edena o pracę, gdybym nie wyrwała się do Wenecji pod

wpływem egoistycznego kaprysu, gdybym wróciła do domu, żeby wszystko uporządkować... wtedy nie doszłoby do tego wypadku.

– Przynajmniej żyje – powiedział Michele. – Gdy go znalazłem na podłodze, w pierwszej chwili pomyślałem, że to koniec. Dzięki Bogu, że tam pojechałem. Inaczej mógłby tak leżeć całą noc.

Opowiedział mi, że bardzo bał się ruszać Edena i w oczekiwaniu na karetkę siedział na ziemi i trzymał go za rękę. Stwierdził, że modlił się po raz pierwszy od lat i że na dźwięk syreny zaczął płakać. Wszystkie te obrazy przesuwają mi się przed oczami jak film. Zobaczyłam Edena, który zsuwa się z rusztowania i upada na ziemię. Zobaczyłam, jak Michele nad nim kuca, jak karetka rozbłyska światłami i jak ratownicy spieszą z noszami. Chętnie pozbyłabym się tych obrazów, ale one w kółko krążyły mi w głowie.

– Katia jeszcze nie wie – powiedział Michele. – Jest teraz u twoich rodziców. Odkąd zaczęło się lato, spędza z nimi dużo czasu. Uznaliśmy, że na razie nie ma sensu jej martwić.

Zupełnie nic nie czułam, pewnie byłam w szoku. Chciałam, żeby Michele się pospieszył i jak najszybciej dowiózł mnie do szpitala, jakby moja obecność na miejscu miała cokolwiek zmienić, jakbym mogła coś poradzić na tę okropną sytuację.

Oczywiście nic nie mogłam zrobić. Eden leżał na oddziale intensywnej terapii, podłączony do urządzeń monitorujących pracę serca i ciśnienie krwi, wspomagających oddychanie i zapobiegających zadławieniu, kontrolujących ciśnienie w głowie. Oczy miał otwarte, ale mnie nie widział. Chwyciłam go za rękę i ścisnęłam, ale się nie poruszył.

To było przedziwne doświadczenie, miałam bowiem ochotę zadzwonić właśnie do Edena. Potrzebowałam wsparcia. Chciałam od niego usłyszeć, że mam nie wariować, bo wszystko będzie dobrze. Tęskniłam za jego głosem. Tymczasem on leżał w głębokiej ciszy, a ja siedziałam bezradnie u jego boku.

Przez pokój przewijali się różni ludzie. Niektórzy mówili coś do mnie łagodnym, cierpliwym tonem. Usłyszałam coś o tomografii i o obrażeniach mózgu, o połamanych żebrach i pękniętej czaszce. Wyjaśniali mi, że nie wchodzi w rachubę żadna operacja, która mogłaby cokolwiek cudownie odmienić, że nie pozostaje nic innego, jak tylko

czekać, monitorować jego stan, podawać leki, podtrzymywać funkcje organizmu i liczyć na poprawę.

Pieta spędziła w szpitalu całą noc, brat Edena przybył na miejsce, gdy tylko się dowiedział. Tworzyliśmy małą grupkę wyczerpanych i udręczonych troską ludzi, którzy na zmianę chodzą po kawę i pocieszają się po cichutku, szepczą coś przez telefon do krewnych i znajomych, podają sobie nawzajem chusteczki i płaczą.

– Wszystko będzie dobrze – powtarzaliśmy sobie nawzajem. – Ma dobrą opiekę. Wyjdzie z tego. Nic mu nie będzie.

Nie wiem, czy ktokolwiek z nas w to wierzył. Spodziewałabym się, że wszyscy myśleliśmy raczej: a jeśli nie...

Podczas tego długiego dnia spędzonego na oczekiwaniu i trzymaniu kciuków pomogło mi coś, co kiedyś powiedziała Coco. *Przeszłości nie da się zmienić, błędów nie da się cofnąć. Mogę tylko żyć dalej. Iść dalej przed siebie i dalej się starać. Nikt z nas nie może nic więcej zrobić.*

Przypominałam sobie te słowa za każdym razem, gdy poczucie winy zaczynało mnie przygniatać, gdy w głosie personelu medycznego wyczuwałam niepewność i gdy dzień zbliżał się ku końcowi. Nic innego mi nie pomagało.

Późnym wieczorem Eden zaczął powoli się wybudzać. Do tego czasu zdążyliśmy wysłać resztę rodziny do domu, żeby trochę odpoczęli. Na miejscu zostaliśmy tylko Pieta i ja. Na początku nie wiedziałyśmy, co się dzieje. Eden mrugnął raz czy dwa, wydał z siebie jęk. Potem wymamrotał coś, czego nie zrozumiałam.

– Eden. – Chwyciłam go za rękę, a Pieta zerwała się z krzesła i wybiegła z sali, żeby zawołać pielęgniarkę. Zanim wróciła, znowu leżał nieruchomo, więc zaczęłam się zastanawiać, czy mi się nie wydawało.

Przez resztę nocy to odzyskiwał, to tracił świadomość. Od czasu do czasu próbował coś powiedzieć, ale przypominało to bełkot. Raz jakby się zdenerwował i zaczął się rzucać.

Coś sensownego powiedział, dopiero gdy zaczęło świtać.

– Co się stało? – Był zachrypnięty i zaspany. – Gdzie ja jestem?

Z początku nie posiadałam się z radości.

– Jesteś bezpieczny, w szpitalu. Miałeś wypadek – powiedziałam. –

Ale wszystko będzie dobrze.

Wydawało mi się, że zrozumiał, ale kilka chwil później powtórzył pytanie i musiałam mu na nie udzielić tej samej odpowiedzi. Powtarzało się to mniej więcej przez godzinę, aż w końcu Eden zamknął oczy i znowu zasnął.

Przerażona zwróciłam się do Piety:

– Myślisz, że on wie, kim jesteśmy?

Chciała mnie chyba pocieszyć, ale w jej głosie pobrzmiwała troska.

– Pamiętasz, lekarze mówili, że będzie zdezorientowany. To trochę potrwa.

– A jeśli on mnie nie będzie pamiętać? Albo Katii?

– Nie możesz tak myśleć. Musimy zachować optymizm.

– Boże, ale mi głupio – powiedziałam. – Przez całe lato układałam listę rzeczy, które mi dają szczęście, a o tej najważniejszej zupełnie zapomniałam.

Siostra przytuliła mnie, a ja się rozplakałam, ale cicho, żeby Eden nie usłyszał. Tamtego dnia płakałam tylko tak.

– A jeśli on mnie nienawidzi? – Wciskałam twarz w ramię Piety. – Wcale by mnie to nie dziwiło.

– Przecież to jest Eden, zapomniałaś już? On nie potrafi nienawidzić. To nie ten typ człowieka.

– Wiem, ale przecież mógł się zmienić – stwierdziłam i moja siostra nic mi na to nie odpowiedziała.

Płakałam jeszcze później tego dnia, gdy w domu mojej siostry zobaczyłam się z Katią. Po dwóch bezsennych nocach, które upłynęły mi na zamartwianiu się, stanęła przede mną moja piękna córka, w obcisłych džinsach kupionych jej przez moją matkę. Wydoroślała i chyba ucieszyła się na mój widok.

Uściskałam ją i schowałam twarz w jej lśniących włosach, żeby nie dostrzegła łez w moich oczach. Ten nasz bliski kontakt przyniósł mi ukojenie. Nie chciałam przerywać tej pięknej chwili, nie chciałam jej mówić o wypadku Edena. Kiedy to w końcu zrobiłam, rozplakała się razem ze mną.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałam, nie do końca wierząc

w te zapewnienia. – Jest pod dobrą opieką. Niedługo będziesz go mogła odwiedzić, gdy nabierze sił.

Przytuliłam jej ciepłe ciało i otarłam łzy. Aby odwrócić jej uwagę od wypadku, zaczęłam mówić o Wenecji – o tym, co robiłam i kogo tam poznałam. Opowiadałam jej różne historie i pokazywałam w telefonie zdjęcia gondolierów w pasiastych koszulach, łodzi wycieczkowych pływających po Canal Grande, witryn w cukierniach chwalących się swoimi wypiekami, Borisa goniącego za patykiem, Coco i Silvia tańczących tango przy blaskach wieczornego słońca. Sama patrzyłam na to wszystko z lekkim rozrzewnieniem, a jednocześnie z goryczą. Uczucie nostalgii mieszało się z silnym poczuciem winy. Kochałam Wenecję, ale też budziła we mnie teraz wielki smutek.

– Pojedziemy tam kiedyś? – zapytała Katia, przeglądając zdjęcia. – Zabierzesz mnie z sobą następnym razem?

– Oczywiście – odparłam. – Właśnie taki mam plan. Sporządziłam już nawet listę rzeczy, które mogłybyśmy razem zobaczyć. Gdy tylko twój tata poczuje się na tyle dobrze, żeby podróżować, pojedziemy tam we trójkę.

Naprawdę miałam nadzieję, że wszystko się ułoży i będę mogła dotrzymać tej obietnicy. Cały czas mówiłam to Katii. Powtarzałam to również moim rodzicom i Piecie, jakby licząc na to, że tak się stanie, jeśli będę dostatecznie często zaklinać rzeczywistość.

Powrót do zdrowia po urazie głowy obejmuje serię małych zwycięstw. Pierwsze Eden odniósł, gdy zapamiętał moją odpowiedź na pytanie o to, co się stało. Kolejne wtedy, gdy wymówił moje imię i ścisnął mnie za rękę. Potem wielką radość przyniosła nam jego deklaracja, że czuje się trochę lepiej. Następnie poczuliśmy ulgę, że przenoszą go z intensywnej terapii na oddział rekonwalescencji. Kurczowo trzymaliśmy się tych sukcesów. Cały czas się staraliśmy, cały czas szliśmy naprzód. Dokładnie tak, jak radziła Coco.

Przeszkadzało nam, że Eden nie pamięta samego wypadku i nie potrafi wyjaśnić, co w ogóle robił na rusztowaniu. Często o tym rozmawialiśmy, aby poskładać elementy układanki w całość i zrozumieć, dlaczego ktoś tak wyczulony na względy bezpieczeństwa wspinał się wysoko po godzinach pracy – i jak to się stało, że spadł. Eden

przypuszczał, że był niezadowolony z postępów prac budowlanców, i postanowił skontrolować stan rzeczy, gdy już pójda do domu. Nie był tego jednak pewny.

Pomijając te luki w pamięci, zaczynał powoli wracać do siebie. Każdy dzień przynosił kolejne oznaki poprawy. Senność powoli ustępowała, podobnie bóle głowy. Złamania się zrastały, a lekarze pozytywnie oceniali stan Edena. Spędzałam w szpitalu dużo czasu, żeby dotrzymać mu towarzystwa. Czytałam na głos książki i gazety, rozmawialiśmy o tym, co porabia Katia. Niezależnie od naszej sytuacji małżeńskiej i tego wszystkiego, co się między nami ostatnio wydarzyło, cieszyłam się, że znowu jesteśmy razem – tylko on i ja, z dala od zgiełku całego otaczającego nas świata. Mieliśmy dużo czasu na rozmowy.

– Chciałbym wrócić do domu – powiedział mi pewnego popołudnia. – Tam szybciej bym wrócił do zdrowia. Kiedy zamierzają mnie wypuścić?

Spojrzałam na niego zdumiona. Nie wiedziałam, co mu powiedzieć. Cały czas skupialiśmy się na jego rekonwalescencji, nic innego się nie liczyło. Wszystkie inne sprawy odsunęłam na dalszy plan, ale nie mogliśmy tego ignorować w nieskończoność.

– Eden? – Nachyliłam się i chwyciłam go za rękę. Skórę na placach miał sztywną, dłonie spracowane. To były ręce silnego, praktycznego człowieka. Trzymałam je mocno w najważniejszych chwilach mojego życia: gdy staliśmy przed ołtarzem w kościele Świętego Piotra i wypowiadaliśmy słowa przysięgi, gdy rodziłam naszą córkę, gdy byłam smutna i gdy byłam szczęśliwa.

– Dolly? – Eden intensywnie wpatrywał się we mnie. Chyba domyślał się, co mi chodzi po głowie.

– Ja też bym chciała, żebyś wrócił do domu. I chcę tam być, gdy wrócisz.

– Żeby się mną zajmować?

– Tak, ale nie tylko dlatego. – Ścisnęłam jego palce. – Żebyśmy znowu byli rodziną jak kiedyś.

– Pewne rzeczy muszą się zmienić, Dolly. Ja nie zapomniałem – powiedział łagodnie. – Nie byliśmy szczęśliwi. Nie możemy o tym zapomnieć tylko dlatego, że miałem wypadek. Jeśli to w ogóle

cokolwiek zmienia, to co najwyżej tyle, że szczęście staje się ważniejsze.

– Przecież możemy być szczęśliwi – wyszeptałam. – To nie jest niemożliwe. Musimy tylko na to pozwolić.

Szpital to nie najlepsze miejsce na prowadzenie dyskusji o przyszłości, ale odkładałam tę rozmowę już tyle czasu, że dłużej nie mogłam czekać. Siedząc skulona przy łóżku Edena, próbowałam mu wytłumaczyć, jak się czuję i czego się nauczyłam. Nie przyszło mi to łatwo, bo jemu się wydawało, że tak jak kiedyś próbuję zrzucić całą winę na niego.

– Masz rację, że pewne rzeczy muszą się zmienić – zgodziłam się.
– Zastanówmy się, dlaczego w ogóle postępowaliśmy tak, a nie inaczej. Czy tego tak naprawdę chcieliśmy? Czy uważaliśmy, że inaczej być nie może?

Eden nie bardzo wiedział, o co mi chodzi.

– Masz do mnie pretensje, że z powodu wypadku nie mogę pracować, prawda?

– Nie, chodzi o to, żebyśmy byli szczęśliwi. Nie tylko ja, my wszyscy.

Sporządziliśmy więc listę, na której wypunktowaliśmy i podkreśliliśmy to, co uznaliśmy za najważniejsze, to, co musiało się zmienić. Był to swego rodzaju plan działania.

Zależało mi na tym, żebyśmy mieli mniej obowiązków i trosk. Eden oczekiwał, że będę mniej pić i więcej czasu przebywać w domu. Ja chciałam przeżywać przygody, Eden zaś spędzać czas z rodziną. Różnimy się od siebie, więc każde z nas chciało wpisać na listę coś innego, postanowiliśmy jednak znaleźć – a przynajmniej spróbować znaleźć – sposób, aby to wszystko pogodzić.

Ostatni punkt podkreśliłam aż trzy razy. Postanowiłam, że zrealizujemy go jak najszybciej – pojedziemy we trójkę do Wenecji. Chciałam, żeby Katia i Eden mogli poznać świat, który tam odkryłam, żeby doświadczyli tego spowitego cieniem podmokłego miasta. Miałam nadzieję, że urok Wenecji sprawi, że coś się w nas zmieni.

– Gdybyśmy mieli przenieść się tam na jakiś czas, Katia mogłaby chodzić do szkoły międzynarodowej – powiedziałam. – Przy okazji nauczyłaby się włoskiego. Mój ojciec bardzo by się ucieszył.

Eden odnosił się do mojego pomysłu z rezerwą.

– Przez taki wyjazd jeszcze bardziej się zadłużymy i będzie nam przez to trudniej. Jesteś pewna, że tego chcesz?

– Tak, uważam, że zdecydowanie warto – nalegałam. – Jeśli wrócimy do dawnego życia, to nic się nie zmieni. Będzie nam ciężko. Znowu wszystko nas przytłoczy. To świetny moment, żeby wyjechać. Ty wracasz do zdrowia, a ojciec ciągle dobrze się bawi, doglądając Little Italy. Mamy niepowtarzalną okazję!

– Ale dlaczego Wenecja? Nie możemy pojechać na wakacje gdzie indziej?

– Podczas tego lata bez ciebie i Katii ułożyłam tam sobie życie. Teraz chciałabym, żebyście stali się jego częścią. Chyba tego potrzebuję.

– A jeśli to nie wypali? – zapytał Eden. – Podejmiemy wysiłek, wydamy pieniądze, a ostatecznie i tak się rozstaniemy?

Odłożyłam listę i raz jeszcze chwyciłam go za rękę. Odwróciłam ją, żeby przyjrzeć się gromadzie jasnych piegów pokrywających ją z wierzchu. Przyglądałam się skórze, która właśnie zaczynała się marszczyć i obwisać.

– Nic ci nie mogę obiecać – powiedziałam. – Nie ma żadnej gwarancji na poprawę, ale moim zdaniem, Wenecja to dla nas szansa.

Rozdział 25

Tak oto znaleźliśmy się we troje w Wenecji. Zatrzymaliśmy się w mieszkaniu nad Coco. Chyba cieszy się z naszej obecności, zwłaszcza z pojawienia się Katii, którą nam chętnie podkrada i stroi w koraliki i piórka. Moja córka jest zafascynowana uroczą starszą panią i ciągle mnie o nią wypytuje. Oczywiście tylko na niektóre pytania mogę jej udzielić szczerzej odpowiedzi, bo nie mogę zdradzać sekretów Coco.

Jest późna jesień, możemy więc poznawać Wenecję w złotej odświeżeniu. Światło zrobiło się miękkie, a na drzewach i pnączach pojawiły się złociste i czerwone liście. W zacienionych miejscach czuć chłód, który zwiastuje zmianę pory roku.

Coco ciągle mnie przestrzega, że gdy się ochłodzi, przestanie mi się tu podobać. Zapowiada mgły i deszcze, powodzie i utrzymującą się przez wiele dni szarżyznę. Eden i ja nie wybiegamy tak daleko w przeszłość. Uczymy się żyć chwilą.

On radzi sobie tu zdecydowanie lepiej, niż sądziłam. Po angielsku można się tu porozumieć na tyle łatwo, że brak znajomości języka włoskiego w niczym mu nie przeszkadza. Co prawda za każdym razem, gdy się gdzieś wypuszcza, gubi drogę w labiryncie *calli*, ale ostatecznie wraca do domu zafascynowany jakimś nowym odkryciem. Lubi wdawać się w rozmowy z turystami, zaprzyjaźnił się też z grupą gondolierów, którzy go jakby adoptowali. Chodzą razem do mało uczęszczanych *bacari*, do których ja nigdy nie dotarłam, a jeśli akurat nie mają nic innego do roboty, zabierają jego i Katię na przejażdżki po kanałach.

Oczywiście plecy nadal mu dokuczają, bo upadek pogorszył ich stan. Miewa też bóle głowy i napady skrajnego zmęczenia. Potrafi przyczepić się do Katii o byle co, zaskakując ją tym. Czasami popada w gorszy nastrój, z którego trudno go wyciągnąć. Tłumaczymy sobie, że to wszystko skutki urazu głowy. Staramy się jakoś przetrwać takie dni i liczymy na to, że następne będą lepsze.

Jak słusznie przewidywałam, pobyt w Wenecji nam służy. Nie

zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo brakowało mi milongi na Piazza San Giacomo dell'Orto, dopóki tam nie poszłam. Znowu poczułam radość z tańca, samego ruchu i muzyki. Postanowiłam to kontynuować jako pasję i czas przeznaczony tylko dla siebie.

Podczas tych wieczorów spotykam Angela, ale nie tańczę z nim zbyt często. Rozstał się z Marie-Ann i pojawia się teraz z inną dziewczyną. Ona pochodzi z Wenecji, jest od niego młodsza, ma ciemne włosy jak Valentina i bardzo dobrze tańczy. On znowu opowiada o Buenos Aires, o tańcu pokazowym i zawodach. Tym razem chyba znalazł kobietę, która pójdzie za nim tam, dokąd on się chce udać.

Żadne z nas nie wspomina o nocy, którą razem spędziliśmy. Mam nadzieję, że tak to już zostanie. Wiele osób pewnie by uznało, że powinnam wyznać Edenowi prawdę. Nawet zastanawiałam się nad tym chwilę, ale ostatecznie powstrzymała mnie przed tym myśl o wielkiej krzywdzie, jaką bym mu w ten sposób wyrządziła. To była tylko jedna noc. Namiętność i fascynacja zrodzona z tańca skłoniły mnie do zrobienia czegoś, czego nie należało robić; ta jedna szalona noc zniszczyłaby nową, delikatną więź, która właśnie nawiązuje się między mną a Edenem. Doszłam więc do wniosku, że lepiej będzie milczeć i zachować to w tajemnicy, pogrzebać to gdzieś głęboko w moim wnętrzu. Przecież każdy ma jakieś tajemnice. W każdym razie teraz tak się na to zapatruję.

Marie-Ann ciągle jest w Wenecji. Spotykam ją na milongach. Narzeka na brak partnera i bez przerwy spogląda na Angela. Powtarzam jej, że powinna o nim zapomnieć, bo on nigdy nie był właściwym mężczyzną dla niej, ale chyba mi nie wierzy.

Nandy nie widuję zbyt często, ale zostaliśmy wszyscy zaproszeni na ślub Valentyny ze szklarzem; ma się odbyć na wiosnę. Obie mieszkają na razie na Murano, a *palazzo* stoi puste. Coco ma nadzieję, że wkrótce do niego wrócą. Tęskni za nimi bardziej, niż się wszystkim wydaje... Wszystkim poza mną. Zgodziła się nawet pojechać ze mną do nich w odwiedziny.

Nanda urządziła się w ładnym domu i teraz ma gospodynię, która gotuje dla niej posiłki, robi jej herbatę i wyprowadza Borisa. Valentina ma już widoczny ciążowy brzusek i jest znacznie szczęśliwsza niż

wtedy, gdy pędziła z jednej pracy do drugiej. Nadal odnosi się do mnie z pewną rezerwą i waży każde słowo, ale odnoszę wrażenie, że odkąd ona i jej narzeczoncy postanowili połączyć rodzinne przedsięwzięcia, nie musi się już tak bardzo martwić o pieniądze. Chyba nie tęskni za swoim starym życiem, nawet za śpiewaniem i tańcem. O ile mi wiadomo, obecny stan rzeczy jej odpowiada. Być może właśnie tego chciała od samego początku.

Ostatnio znalazłam w szufladzie mój notatnik. Ten, w którym tworzyłam swoją listę szczęścia. Zapewne Coco go tam schowała po moim wyjeździe, razem z ubraniami i biżuterią, którą zostawiłam.

1. Przyjęcia.
2. Popołudniowe drzemki.
3. Psy.
4. Kieliszek chłodnego prosecco.
5. Dobre sąsiedztwo.
6. Tango.
7. Dobra kawa, odpowiednio podana.
8. Muzyka.
9. Przebywanie w miejscu otoczonym wodą.

Dziwaczna zbieranina, którą trudno uznać za przepis na szczęście. Ta lista od początku nie uwzględniała rzeczy najważniejszych, takich jak rodzina, przyjaciele czy miłość. Wydawały mi się zbyt oczywiste. Teraz rozumiem, że niesłusznie.

Dopisałam je więc na samej górze, a notatnik zatrzymałam, ponieważ mam przeczucie, że jeszcze kiedyś mi się przyda. Niby dlaczego miałabym poprzestawać na dziesięciu punktach? Każdy się zmienia, zmieniają się też marzenia. Definicja szczęścia nie jest ciągle taka sama.

Przy okazji zastanawiałam się też nad minionym latem i nad tym, co właściwie skłoniło mnie do wpisania na listę tych konkretnych rzeczy. Pokazałam swoje notatki Edenowi i razem ustaliśmy, jak moglibyśmy je wpleść w nasze życie, gdy wrócimy do Anglii.

Marzą mi się zmiany w Little Italy. Chciałabym przeistoczyć restaurację w swego rodzaju *bacaro*. Rano serwowalibyśmy pyszną kawę i przekąski na małych tacach wyłożonych klasycznymi

serwetkami. Zrezygnowalibyśmy z białych obrusów i wyszukanego wyposażenia restauracyjnego. Lokal przeistoczyłby się w taki punkt, do którego się przychodzi, gdy ma się ochotę na śniadanie, i wraca, żeby przekąsić *cicchetti* i wypić *ombra* wina. Wystrój powinien być codzienny, ale stylowy, przyjazny jak w klubie. Stali klienci mogliby liczyć na wyjątkowe traktowanie. Witałoby się ich po imieniu i zagadywało przez chwilę, częstując nowinkami, które mają zostać wprowadzone do oferty, lub winem właśnie dodanym do karty.

Latem ojciec i Federico mogliby siedzieć na świeżym powietrzu i grać w karty ze starszymi Włochami z okolicy. Eden i ja wynajęlibyśmy nasze mieszkanie i przenieśliśmy się z Katią do pomieszczeń nad restauracją. Little Italy stałaby się wtedy przedłużeniem naszego domu. Bylibyśmy wszyscy razem, nalewalibyśmy gościom drinki i zbieralibyśmy puste kieliszki. Klienci staliby się naszymi przyjaciółmi. W niedzielę nadal serwowalibyśmy stare lunchowe przysmaki dla klientów, którzy przychodzą do nas od lat. A ze dwa razy w tygodniu wieczorami zsuwalibyśmy stoliki, przeobrażając lokal w klub taneczny na potrzeby milongi.

To na razie marzenia, ale przecież niejedno już mi się udało w życiu zrealizować. Planujemy z Edenem szczegóły, zapisując wszystko w moim notatniku. Może pewnego dnia to urzeczywistnimy, a może nie. Podoba mi się to, że nie wiem. Dzięki temu wszystko staje się bardziej interesujące. Postanowiłam, że teraz moje życie będzie jak tango. Nie będę niczego wymuszać. Zdam się na naturalny rozwój wypadków, będę żyć chwilą i cieszyć się tym uczuciem. Chcę żyć sercem, a nie głową. Wychodzi mi to coraz lepiej.

Zaczęłam tworzyć listę tego, co daje mi szczęście, ponieważ odnosiłam wrażenie, że życie przecieka mi przez palce, a kolejne lata toną we mgle bylejakości. Chciałam być zadowolona. Było to z jednej strony naiwne, z drugiej zaś okazało się znakomitym pomysłem.

Nie bez przyczyny nie doceniałam tego, co miałam. Po prostu chciałam czegoś innego. Nie innego męża, nawet nie innej pracy. Chciałam zmiany, dzięki której każda minuta każdego dnia mojego życia nie byłaby już dokładnie wyliczona, szczegółowo zaplanowana. Od początku było to możliwe, lecz zbyt mocno tkwiłam

w dotychczasowej rzeczywistości, żeby to dostrzec.

Problem z pogonią za szczęściem polega na tym, że ono stale ucieka nam tanecznym krokiem i nieustannie połyskuje gdzieś w oddali poza naszym zasięgiem. Cała sztuka polega na tym, aby nauczyć się je zatrzymywać, dostrzegać jego obecność i dopuszczać do siebie. Oczywiście wcale nie jest to proste i ja też jeszcze w pełni tego nie opanowałam, ale teraz z większą łatwością doceniam drobne przyjemności dnia codziennego i potrafię dostrzec w nich źródło większej radości. Tego nauczyła mnie Wenecja, a głównie Coco. Natomiast wypadek Edena pomógł mi tę wiedzę uporządkować.

Szczęście ma dla mnie wiele znaczeń. To przede wszystkim robienie tego, na co mam ochotę, przebywanie z ludźmi, na których mi zależy, oraz spędzanie czasu w miejscach, w których wszystko wydaje mi się możliwe.

W tej chwili źródłem mojego szczęścia jest Wenecja. Nie twierdzę, że to rozwiązanie dobre dla każdego i zawsze, zwłaszcza dzisiaj, gdy mój balkon tonie w deszczu i powoli zaczynam wierzyć w to, co Coco mówi na temat zimy.

Mam jednak nadzieję, że pogoda się poprawi. Że Katia przyjdzie zaraz na górę, by mi pokazać, cóż za wspaniałą suknię i jaki makijaż wymyśliła dla niej moja przyjaciółka. Że Eden obudzi się z drzemki wypoczęty i dziś wieczorem pójdziemy razem na milongę. Chciałabym zatańczyć *tandę* w promieniach słońca zachodzącego za potężną fasadą starego kościoła. Mam nadzieję, że moja córka spędzi trochę czasu z miejscowymi dziećmi, a mój mąż pogawędzi z turystami i opowie im o tych wszystkich miejscach, które koniecznie powinni obejrzeć, zanim wyjadą z Wenecji.

Jesteśmy teraz w mieszkaniu należącym do Coco, jesteśmy razem i jesteśmy bezpieczni. To mi wystarcza do szczęścia.

Podziękowania

Tango okazuje się kolejną z wielu rzeczy, do których nie mam talentu. W związku z tym pragnę podziękować Rilindowi Modiglianemu za to, że poświęcił palce swoich stóp, by podzielić się ze mną wiedzą na temat tanga argentyńskiego. Inspiracją stała się dla mnie również *Lekcja tanga* Sally Potter, gdyż zakochałam się w wybitnym tancerzu Pablu Veronie (Angelo ma z nim pewne wspólne cechy). Włączałam muzykę z tego filmu w samochodzie i wyobrażałam sobie, jak pięknie do niej tańczę.

Sam pomysł fabuły powstał za sprawą książki *Projekt szczęście* Gretchen Rubin. Wiele informacji i inspiracji czerpałam również z opracowań *Venice and Food* Sally Spector, *Venezia: Food and Dreams* Tessy Kiros oraz *Venice Osterie* Micheli Scibilli. Garderobę Coco dobierałam, posiłkując się zdjęciami z bloga Advanced Style Ariego Setha Cohena. Informacji na temat urazów głowy udzielił mi neurolog, doktor William E. Wallis.

Jak zwykle pragnę podziękować całemu zespołowi z Orion and Hachette, a zwłaszcza mojej redaktor Genevieve Pegg oraz agentce Caroline Sheldon. Na słowa uznania zasługują też inni ludzie, dzięki którym ta książka powstała i trafiła do rąk czytelników, a więc graficy, korektorzy, sprzedawcy i specjaliści od reklamy, oraz księgarze. Dziękuję Wam, wszystkim naraz i każdemu z osobna.

Chciałabym także podziękować Marie-Ann Billens, której mąż namówił mnie na wprowadzenie jej jako postaci do książki z myślą o zwiększeniu zainteresowania zbiórką funduszy na rzecz świetnej organizacji charytatywnej Look Good Feel Better.

Na zakończenie słowo uznania dla mojego męża Carne'a Bidwilla, który akceptował moje wyprawy do Wenecji. Jeździłam tam zbierać materiały do książki i upierałam się na te samotne wycieczki, bo „tak robi moja bohaterka”. Następnym razem pojedziesz, obiecuję.

Spis treści

Wstęp
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Podziękowania

